

ANETA PONOMARENKO

# DOM ŚMIERCI



Ponomarenko Aneta

Dom śmierci

*Anusi, mojej najukochańszej córce Przemysławowi Bugajnemu –dwóm bardzo ważnym osobom  
w moim życiu*

## Rozdział 1

*Słońce się zaćmi od samego wschodu, i swoim blaskiem księżyc nie zaświeci. Ukarzę Ja świat za jego zło i niegodziwców za ich grzechy. Położę kres pysze zuchwały i dumę okrutników poniżej.* (Księga Izajasza 13, 10–11) Przeraził się bał. Jak jeszcze nigdy w życiu. Pot perlił mu się na czole i od czasu do czasu skapywał na ubranie. Sięgnął do torby z narzędziami, którą przewiesił na ukos przez pierś, żeby nie zsunęła mu się z ramienia. Był w takim stanie, że nie mógł niczego utrzymać.

Bo ręce też mu drżały. Boże, jak chętnie napiłby się teraz pianistego, chłodnego piwa lub palącej, dodającej animuszu gorzałki. Z trudem przełknął ślinę, lecz to nic nie pomogło. Obrazy lejących się strumieniem trunków nie chciały zniknąć przed oczu.

A oni tam czekali. Czekali, aż zrobi swoje lub... umrze. Wiedział, że nie ma innego rozwiązania. I już nie wierzył, że mu się uda. Stał tu dobre pół godziny, jeśli nie dłużej, i nic, cholera, nie pasowało!

Jakież był głupi! Głupi i zbyt pewny siebie. Myślał, że jest najlepszym fachowcem w mieście, co tam, w całej guberni! Że da sobie radę z każdą przeszkodą. Dlatego od razu się zgodził, gdy tylko usłyszał kwotę. Dwieście rubli! Tyle pieniędzy! I tylko jedna mała przeszkoda do pokonania. Drzwi. Marne drzwi.

Ileż on się już w życiu takich drzwi naotwierał! Ludzie gubili klucze, łamali je w zamkach i Bóg wie, co jeszcze. A on otwierał, bo był ślusarzem. I to nie byle jakim, mistrzem cechu... A teraz tkwi tu i poci się ze strachu jak mysz.

Spojrzał na wciąż drżące dłonie i machinalnie otarł pot z czoła. Nie może już dłużej zwlekać, bo tamci się znecierpliwia. Gdy nie udało mu się otworzyć drzwi i chciał się wycofać, jeden powiedział, że zabije jego rodzinę, jeśli odmówi wykonania roboty, której się podjął.

Owszem, podjął się dobrowolnie, ale nikt mu nie powiedział, że w tym cholernym domu aż się roi od śmiercionośnych pułapek. Gdyby wiedział, że zwykle drzwi okażą się wcale nie takie zwykłe... Kto wie, może i tak by się podjął, bo to było przecież wyzwanie. Rękawica rzucona mistrzowi. Nikt nie zdołał dostać się do środka. Za chwilę może się okazać, że on też nie.

Wreszcie wyjął z torby zagięty drucik i długo mu się przyglądał. Może będzie pasował. Włożył go do zamka i zaczął powoli w nim manipulować, nasłuchując, czy szczęknie zapadka.

Co tak stuka, u licha? To nie był normalny dźwięk towarzyszący otwieraniu zamka, choćby nie wiem jak skomplikowanego. Więc co tak klekocze?

Otarł twarz rękawem, bo pot już nie kapał, lecz spływał leniwą strużką. Wcale nie zauważył, że to zrobił. Jego umysł nie rejestrował już niczego poza dźwiękami mogącymi dochodzić z zamka. I tego dziwnego stukotu. Boże, to chyba serce tak mu bije...

Strach sięgnął wreszcie zenitu i nagle wszystko stało mu się obojętne. Byłe stąd odejść lub... Lub zginąć.

– No, dalej tam! – krzyknął jakiś niecierpliwy głos z tyłu. – Nie będziemy tu sterczeć bez końca.

Ponagląją go. Ledwo to usłyszał, gdyż głosy dochodziły jakby zza mgły, z innej rzeczywistości.

Jego ręce, niezależnie od woli mózgu, wciąż pracowicie poruszały drucikiem i blaszką. Skąd ta blaszka? Nawet nie zauważył, że ją wyjął. Mniejsza z tym.

Naraz usłyszał znajomy szcęk zamka. Potem drugi. Drgnęła jakaś sprężyna i drzwi stanęły otworem. Boże, co za ulga. Chyba mu się jednak udało? Ma się jednak to szczęście!

Znów otarł twarz rękawem i zrobił krok w przód. Nic nie widział, wewnątrz było ciemno choć oko wykol. Zastanawiał się właśnie, co robić dalej, gdy wtem coś nad nim zachrobotало i ze złowrogim świstem spadło w dół. Niczego nie poczuł. Tylko zdziwienie.

Po kilku minutach ciszy do drzwi podeszły dwie osoby. W ciemności nie można było rozpoznać ich twarzy.

– Odsuń go z przejścia, może da się wejść do środka – rozkazał męski głos.

Ktoś stęknął, coś zaszurało, jęknęła jakaś sprężyna i trzasnęło. Drugi głos zaklął szpetnie.

– Nic z tego. Drzwi się same od razu zatrzasnęły.

– Tak myślałem – odparł właściciel rozkazującego głosu i też zaklął. – Gdybym wiedział, jak ten drań mnie urządzi, zabiłbym go dużo szybciej. Chyba coś podejrzewał i postanowił się zabezpieczyć. Myślał może, że zdoła uciec, zanim się do niego dobiorę. Lecz ze mną to nie przejdzie! Ale i tak mnie urządził, psiakrew!

– A co z nim? – jego towarzysz kopnął leżące obok zwłoki.

– Weź go do lodowni. Za dużo tych ciał w tak krótkim czasie. Nie chcę, żeby ktoś zaczął nas podejrzewać. Ten ślusarzyna skamlał, że powiedział komuś o robocie. Może kłamał, a może nie. Lepiej pozbądź się go za jaki miesiąc, po takim czasie nikt się nie połapie, gdzie był.

– Nie zaśmierdnie się?

– Dorzucaj co jakiś czas lodu, to może wytrzyma.

Agent do specjalnych poruczeń Walery Konstantynowicz Jezierski przechadzał się niespokojnie po swoim gabinecie w pałacu gubernatora. Dwa ciała. Jedno bez głowy, drugie całe. Co powie Michałowi Piotrowiczowi Daraganowi? Że nie ma pojęcia, kto tych ludzi tak urządził? Ani tym bardziej dlaczego?

A Zaifa jak nie było, tak nie ma. Z ostatniego listu wynikało, że już wyruszył w drogę powrotną do kraju, ale któż mógł wiedzieć, ile czasu mu to zajmie? Podróż przez Atlantyk, potem przez kilka krajów. Powozem, dyliżansem pocztowym, bo choć kolej się rozwijała, to nadal nie docierała do wielu miejsc. Łączyła kilka miejscowości w Anglii, Francji czy Niemczech, lecz całe przedsięwzięcie wymagało nie tylko rządowych koncesji, ale i olbrzymich nakładów finansowych. Jedno i drugie było trudne do uzyskania. Jakby tego było mało, w wielu krajach znaczenie nowego wynalazku było zwyczajnie niedoceniane. Władze odmawiały wydawania koncesji, brak było ustaw dopuszczających przymusowe wyłączenia. Wśród społeczeństwa krążyły najdziksze plotki o szkodliwych skutkach „parowych koni” i to zarówno dla pasażerów, jak i dla tych, co mieszkali w pobliżu tras kolejowych. Dlatego w wielu miejscach ludność stawiała czynny opór i uniemożliwiała nawet prace pomiarowe.

Mimo to w Ameryce i w bardziej uprzemysłowionych państwach europejskich zaczęły powstawać kolejowe towarzystwa akcyjne. Wiedział to z listów Zaifa, który zamierzał zainwestować pieniądze w któreś z amerykańskich towarzystw. Z tego powodu chciał sprzedać jedną z fabryk w Niemczech odziedziczonych po stryju. Kolej budowano na trasach, gdzie linie dyliżansowe cieszyły się największą frekwencją. O żadnej koordynacji działalności poszczególnych przedsiębiorstw nie mogło być nawet mowy. Na nowo budowanych odcinkach, rozrzuconych chaotycznie po całej prawie Europie, jednakowy był tylko... rozstaw szyn, narzucony koniecznością importowania angielskich lokomotyw.

W Rosji, której częścią od dawna była również i Polska, także nie wszystko szło dobrze pod tym względem, jednak linie kolejowe powstawały, i to już od początku tego wieku<sup>1</sup>. Do obecnego roku wybudowano wiele „dróg żelaznych”, między innymi Warszawsko-Wiedeńska z Warszawy do Grodziska<sup>2</sup>, Kolej Warszawsko-Bydgoska do

Aleksandrowa, pierwsza w Królestwie Polskim<sup>3</sup>, nie mówiąc już o licznych połączeniach wewnątrz samej Rosji. O jej potęgę niech świadczy fakt, że trwały już przygotowania do budowy Magistrali Transsyberyjskiej między Czelabińskiem i Władywostokiem długości – bagatela – ponad sześć i pół tysiąca wiorst!<sup>4</sup>

Leżący w zaborze pruskim, ale tylko około dwudziestu trzech wiorst<sup>5</sup> dalej na zachód Ostrów Wielkopolski miał już takowe. Prusacy dobrze wiedzieli, że rozwój kolei powoduje wzrost gospodarczy w miejscowościach znajdujących się przy żelaznych szlakach. Ostrów Wielkopolski wykorzystał swoją szansę i pierwszy pociąg zajechał tu 10 grudnia 1875 roku, w dniu otwarcia prywatnej linii kolejowej Poznań–Kluczbork. W roku 1888 wybudowano linię do Leszna. Dla miasta był to jeden z przełomowych momentów w jego historii<sup>6</sup>.

Natomiast na obszarze ziemi kaliskiej sieć dróg była słabo rozwinięta i zaniedbana, Prosna niespławna, a odległość do najbliższej stacji kolejowej przekraczała dziewięćdziesiąt trzy wiorsty<sup>7</sup>. Konny transport towarów stosowany w guberni kaliskiej w dużym stopniu podnosił ceny wytwarzanych wyrobów. W związku z tym jedną z najważniejszych spraw dla dalszego rozwoju przemysłowego i handlowego miasta było połączenie kolejowe z innymi ośrodkami miejskimi. Nic dziwnego, że jego ekscelencja Daragan także od lat walczył o pozwolenie, by i Kalisz zyskał połączenie kolejowe. Jezierski wiedział od niego, że miejscowe władze już od połowy dziewiętnastego wieku negocjowały z niechętnymi władzami rosyjskimi połączenie Kalisza z siecią kolejową funkcjonującą na obszarze Rosji i podporządkowanego jej Królestwa. Daragan wiele razy pisał w tej sprawie do Warszawy, a także Petersburga, ale na razie nic nie mógł wskórać. Na pytanie Jezierskiego, dlaczego rosyjskie władze są tak niechętnie budowie linii kolejowej akurat w Kaliszu, gubernator wyjaśnił:

– Względy militarne – odrzekł, westchnąwszy. – Nie powinno się budować linii kolejowych na terenach przygranicznych, do których wszak zalicza się Kalisz. W przypadku wojny nieprzyjaciel mógłby je wykorzystać do przerzucenia własnych wojsk w głąb Rosji. Ale dalej będę próbował, Waliesza, nie spocznę, bo to ogromnie ważna sprawa dla rozwoju guberni.

Jezierski jeszcze raz westchnął, siadł za biurkiem i sięgnął po list od Zaifa.  
*Drogi przyjacielu – czytał po raz nie wiadomo który. – Piszę do Ciebie, gdyż pod koniec maja wyruszam w drogę powrotną. Jestem już częściowo spakowany. Przyznam szczerze, że nie miałem jeszcze zamiaru wracać, ale listy, które ślesz, są w najwyższym stopniu niepokojące. Znów jakiś morderca wybrał sobie nasz cichy, spokojny Kalisz na pole swej zbrodniczej działalności! Dręczy mnie niepokój, że zbrodni będzie więcej, a listy idą tak wolno!*

*Z tego, co piszesz, wnioskuję, że nie wiesz, czy to działania celowe, czy tylko seria nieszczęśliwych wypadków. Niestety, piszesz zbyt mało, bym mógł sobie wyrobić jakąś opinię, więc pozostaje mi tylko wracać, by Cię wspomóc. Nie wiem, czy ta pomoc na coś się przyda, ale przyjaciela w potrzebie nie godzi się pozostawiać. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, zwłaszcza niesprzyjająca pogoda na morzu, to spodziewaj się mnie w połowie czerwca.*

*Pogodziłem się już ze stratą i bólem...*

Jezierski nie dokończył czytania listu, gdyż rozległo się pukanie do drzwi. Odłożył gęsto zapisaną kartkę na biurko i zawołał krótko:

– Wejść!

Do gabinetu nieśmiało wsunął się Jasiak Poraj. Miał markotną minę i nie spoglądał zwierzchnikowi w oczy.

– No, co tam? – zapytał bez większej nadziei agent. – Znaleźliście coś?

– Nic, wasza wielmożność – odparł Jasiak ze smutkiem. – Skubany nie zostawia żadnych śladów! Próbowałem zdjąć odciski palców, jak mnie nauczył doktor...

- Z czego? – zdumiał się Jeziński. – Przecież ciało leżało w rynsztoku?
- No też właśnie, nie bardzo było z czego.
- Jasiek zamilkł, by po chwili sapnąć jak miech kowalski.
- Szefie, zupełnie nie wiem, co robić.
- Na początek postaraj się ustalić tożsamość ofiary.
- To już wiem – ożywił się Jasiek. – Nazywał się Ambroży Łabędź. Murarz.
- Zaraz, zaraz, a ten pierwszy był kim?
- Stolarzem. Stanisław Zamułka.
- A tak. Ktoś mu odciął głowę wraz z częścią tułowia. Potworne!
- Ano – zgodził się flegmatycznie Jasiek, jak zawsze, gdy nie miał na coś wpływu.
- Minęło już kilka dni, czy w szpitalu zrobił ktoś wreszcie sekcję?
- W końcu ktoś tam zrobił.
- Co zatem się przydarzyło temu Łabędziowi?

Jasiek wyjął z kieszeni bluzy sfatygowany notes, z namaszczeniem go przekartkował i stwierdził:

- Coś jakby uduszony.
- Co to znaczy „coś jakby”? – zirytował się agent. – Możesz jaśniej?
- Nie mogę, wasza wielmożność. Bo nieboszczyk ponoć udusił się piaskiem.
- Piaskiem? – osłupiał Jeziński.
- Tak mam zapisane.
- To musi być jakiś wariat! Kto zabija w tak dziwaczny sposób!
- Wasza wielmożność ma rację. Ani chybi to wariat. Chyba, że sam się tak zaprawił.
- Sądzisz, że dobrowolnie łykał piasek? I sam się wrzucił do rynsztoka? Tak jak ten bez głowy? Według ciebie sam ją sobie uciął? I zanim umarł, kopnął głowę do bramy, a sam skonał prawie dwadzieścia metrów dalej, w ciemnej uliczce, do której nawet ładacznice nie zaglądną?
- Ktoś mógł kopnąć głowę dla zabawy – podsunął niepewnie Jasiek.
- Ładna mi zabawa!
- Mógł być pijany, to pewnikiem ani nie zauważył.
- Zgodziłbym się z tobą, gdyby nie fakt, że na miejscu, gdzie go znaleziono, nie było ani śladu krwi. A chyba trudno odciąć komuś głowę bez pozostawienia choćby kropli krwi?
- Tego już nie wiem, wasza wielmożność – zrezygnował Jasiek i podrapał się za uchem.
- To co mam robić?
- Idź pogadać z jego rodziną. Może czegoś się dowiesz. Czy miał jakichś wrogów, czy ktoś mu groził i tak dalej. Może miał romans z mężatką i zazdrosny mąż nie zdzierzył.
- Musiałby być bardzo zazdrosny. Ale ten piasek...
- Właśnie, ten piasek. To mi nie wygląda na zazdrosnego męża. Prędzej na jakieś wymyślne tortury. Ale co taki murarz mógł wiedzieć?
- Nie mam pojęcia, szefie.
- Ja, niestety, też nie. Tak czy inaczej, trzeba zacząć jak zwykle. Najpierw rodzina, potem popytaj tam, gdzie pracował... a właśnie, gdzie pracował?
- Podobno pomagał w pracach wykończeniowych ratusza. Poza tym miał różne drobne fuchy, ale nie wiem jeszcze, jakie.
- No to do roboty! Ja muszę iść do jego ekscelencji, a potem czeka mnie posiedzenie komitetu Gubernialnego Towarzystwa Popierania Trzeźwości i spotkanie w sprawie jakiegoś charytatywnego spektaklu. Jakbym i bez tego nie miał co robić!

Na takich nudnych zajęciach czas płynął Jezińskiemu niezbyt szybko. Na dodatek

szczególnie mocno doskwierał mu brak postępów w śledztwie. To niemożliwe, żeby nikt nic nie widział! To się przecież nie zdarza. Zawsze jest jakiś przypadkowy świadek. Czemu nie chce się ujawnić? Przecież wyznaczył nagrodę, całe dwieście rubli, i nic. Oczywiście, znalazło się kilku optymistów, którzy myśleli, że są na tyle sprytni, by wycygnąć nagrodę, ale nie z Jezierskim takie gierki.

Agent chodził rozdrażniony, ponury. Twarz mu się rozjaśniała tylko na widok żony i dzieci, lecz i to nie na długo. Mijały dni, a on nie miał żadnego punktu zaczepienia. Ktoś jednemu mężczyźnie uciął głowę z kawałkiem barku, napchał piasku w gardło drugiemu, a on nie wiedział nawet, czy te sprawy są połączone, czy też to dwa osobne wypadki.

I jak, u licha, morderca to zrobił? Nie jest łatwo odciąć komuś głowę z przyległościami, chyba że ma się... No właśnie, co? Do głowy przyszło mu tylko jedno: gilotyna. Kojarzyła mu się głównie z rewolucją francuską, Marią Antoniną i Ludwikiem XVI. Obiło mu się także o uszy, że narzędzia tego używano do wykonywania kary śmierci również w innych krajach, bodajże w Niemczech, Belgii, Szwecji i jakiejś Persji, a w Anglii mieli „szkocką dziewicę”, ale nie był pewien. Na wszelki wypadek poszedł do biblioteki w resursie kaliskiej i poczytał trochę na ten temat w Encyklopedii Brockhousa, jednak nie na wiele mu się ta wiedza zdała.

Dowiedział się przede wszystkim, że doktor Joseph-Ignace Guillotin, profesor anatomii z Paryża, wykorzystał swą wiedzę o ludzkim ciele do ulepszenia czegoś znanego już od wieków. Ulepszenia okazały się tak udane, że nową maszynę ochrzczono jego nazwiskiem, i tak powstała gilotyna. Sam pomysł konstrukcji, w której ostrze jest podnoszone, by następnie spaść na kark skazańca, można odnaleźć w dużo wcześniejszych maszynach, na przykład w „szkockiej dziewicy”, „szubienicy z Halifaksu” czy włoskiej mannai. Jednak w urządzeniu doktora Guillotina samo ostrze naprawdę przecinało kark, podczas gdy wcześniejsze modele zwykle po prostu łamały go brutalnym uderzeniem. W gilotynie zastosowano skośne ostrze oraz tak zwaną lunetę, czyli dwuczęściowy uchwyt na zawiasach, trzymający szyję skazańca w odpowiednim miejscu. Ścięcie głowy następuje właśnie za pomocą dużego, ciężkiego, bo ważącego około czterdziestu kilogramów, noża o skośnym ostrzu, który opada pionowo siłą własnego ciężaru.

No więc kto w Kaliszu mógłby mieć takie urządzenie? Jest duże i ciężkie. Gdzie to można trzymać, żeby nikt się nie dowiedział? Nie, to przecież jakaś bzdura! – zirytował się agent. – Gilotyna w Kaliszu? Niemożliwe. Za to piasku nie brakuje.

Nawet nie zauważył, że wypowiedział te słowa na głos, dlatego bardzo się zdziwił, gdy zza dużej płachty jakiegoś czasopisma wychynęła głowa śniadego bruneta i niski głos oznajmił:

– A jednak podobno była gilotyna w Kaliszu.

Głowa zniknęła, a Jezierski siedział jakiś czas bez ruchu, oszołomiony tą niezwykłą wiadomością. Po chwili zerwał się z miejsca i podszedł do mężczyzny skrytego za gazetą.

– Przepraszam bardzo – zaczął grzecznie. – Jestem Walery Konstantynowicz Jezierski, agent do specjalnych poruczeń – przedstawił się.

– Wiem, kim pan jest – mruknął mężczyzna, nie odrywając wzroku od gazety. Jezierski mimowolnie zarejestrował, że czytał on „Gazetę Warszawską”.

– Ale ja nie wiem, kim pan jest.

– Nazywam się Jan Grabowski. – I po chwili jakby wahania dorzucił: – Jestem z pochodzenia Grekiem<sup>8</sup>.

– Aaa – wyjąkał Jezierski zaskoczony tą informacją, usiłując sobie na gwałt przypomnieć, co wiedział na temat niewielkiej społeczności greckiej zamieszkującej Kalisz. Kołatało mu się po głowie, że pierwsi emigranci przybyli do miasta w osiemnastym wieku i że głównie trudnili się handlem winem. Osobiście znał tylko Dymitra Simo Szymanowskiego, który



zmarł w ubiegłym roku, a i to tylko dlatego, że był znaną osobą i miał ogromną wiedzę na temat grodu nad Prosną<sup>9</sup>. – Znał pan może Dymitra Szymanowskiego? – zapytał wreszcie, choć niemal natychmiast zorientował się, że było to głupie pytanie. Grecy wszak znali się między sobą bardzo dobrze.

Grabowski jednak przyznał tylko:

– Tak. Wiele z nim rozmawiałem, gdyż często bywał w mojej księgarni.

W tym momencie Jezierski omal nie trzepnął się w czoło.

– Ach, to pan ma księgarnię w domu pani Mamroth przy ulicy Warszawskiej<sup>10</sup>? – zawołał agent, który był częstym gościem kaliskich księgarni, choć jego ulubioną pozostawała księgarnia Bronisława Szczepanakiewicza, zresztą usytuowana przy tej samej ulicy.

– Już nie. Obecnie prowadzi ją moja siostra z mężem. Często tam jednak zaglądam, a Dymitr swego czasu regularnie sprawdzał wszystkie księgarnie w okolicy. Od niego właśnie wiem, że w Kaliszu była kiedyś gilotyna.

– Czy mógłby mi pan nieco przybliżyć ten temat? – zagadnął z kurtuazją agent, wdzięczny za szybkie przejście do sedna rzeczy.

– Mógłbym, a jakże. Ale niech pan lepiej usiądzie – wskazał mu sąsiedni fotel, który agent przysunął sobie skwapliwie. Usiadłszy, wyciągnął notes, by móc w razie czego zapisać informacje.

– To chyba nie będzie panu potrzebne – uśmiechnął się Grabowski, wskazując na notes – bo historia z gilotyną miała miejsce w piętnastym wieku.

Agent z trudem ukrył rozczarowanie, jednak dla pewności zapytał jeszcze:

– A nie wie pan przypadkiem, co się z nią stało?

– Przepadkiem wiem, choć o jej istnieniu nie mówią żadne przekazy pisemne. Jedynym śladem jej istnienia była płaskorzeźba przedstawiająca scenę egzekucji wykonanej gilotyną. Znajdowała się ona na zapiecku ławy w tutejszym kościele parafialnym św. Mikołaja. W 1828 roku ława została wysłana przez proboszcza, księdza Przybylskiego, do zbiorów „starożytności” Izabeli Czartoryskiej w Puławach. I tam zaginęła w czasie powstania listopadowego. W Kaliszu został jedynie gipsowy odlew tej płaskorzeźby. Jest na nim przedstawiona scena ścięcia przestępcy klęczącego pod typowym dla dawnych gilotyn rusztowaniem, przytrzymywanego za włosy przez pomocnika kata.

Agent zamknął notes i z grzeczności już tylko zapytał:

– Kim był ów przestępca?

– Włodko z Donaborza, który pochodził z rodu Pałuków. Nie byle kto, syn wojewody inowrocławskiego, a może kaliskiego. Sam piastował godność kasztelana i starosty nakielskiego. Ożeniony z córką księcia raciborskiego Waclawa. I popatrz pan, mimo tych godności i koligacji był typowym średniowiecznym rycerzem-rabusiem, a nadto wicherzycielem mącącym przeciwko królowi. Po wojnie trzynastoletniej przygotowywał się do wszczęcia wojny domowej w kraju. Pochwycił go w końcu starosta generalny wielkopolski, Piotr z Szamotuł. Włodko został skazany na śmierć, a wyrok wykonano w Kaliszu w dniu 21 albo 22 maja 1467 roku. W księdze grodzkiej kaliskiej z lat 1455–1460 zanotowano na ostatniej karcie, że Włodko został ukarany z rozkazu króla Kazimierza Jagiellończyka, lecz rodzaj kary śmierci nie został odnotowany<sup>11</sup>.

– To wszystko prawda? – zapytał nieufnie agent.

– Najprawdziwsza. Tyle że scena uwieczniona na ławie mogła też przedstawiać męczeńską śmierć św. Mateusza. Tak czy inaczej, płaskorzeźba dokumentuje znany skądinąd fakt posługiwania się w Europie gilotyną już w szesnastym wieku, a nawet wcześniej. Nie stanowi jednak niezbitego dowodu, że w Kaliszu używano jej w piętnastym wieku.

– No to mamy jasność – westchnął agent, wstając z fotela. – Nadal nie wiadomo, czy w Kaliszu była, a tym bardziej czy jest jakaś gilotyna.

– Cóż. Tym razem na troje babka wróżyła: gilotyna mogła być, nie było jej i może być.

– Sądzi pan, że w Kaliszu ktoś może posiadać takie... nietypowe urządzenie? – zdziwił się agent.

– Na tym świecie, drogi panie, wszystko jest możliwe.

– A kto, pańskim zdaniem, mógłby mieć coś takiego?

– Najpewniej jakiś kolekcjoner.

– Kogo by pan typował do tej roli? – indagował agent z rosnącym zainteresowaniem.

– Radcę Garszyńskiego, gdyby jeszcze żył. Ale teraz... Sam nie wiem.

Jezierski wzdrygnął się na wspomnienie śmierci radcy Garszyńskiego, choć minęły już dwa lata. Faktycznie, prawnik miał w swoim gabinecie sporą kolekcję różnych osobliwości, którą agent kilkakrotnie widział. Co się z nią stało? Może trzeba to sprawdzić? Niemniej gilotyny tam wtedy nie było, choć przecież mógł ją trzymać gdzie indziej.

– Swoją drogą, ciekawym bardzo, po co panu taka informacja? – zapytał Grabowski, po raz pierwszy okazując agentowi zainteresowanie.

– Ach, to nic – Jezierski niedbale machnął ręką. – Błahy zakład ze znajomym. Pozwoli pan, że go pożegnają – skłonił się. – Jestem wielce zobowiązany, że mnie pan oświecił nieco w tej materii.

– Zawsze do usług – mruknął Grabowski, rzucając ukradkiem przenikliwe spojrzenie i na powrót zniknął za płachtą czasopisma.

Minęło kilka kolejnych dni, była już druga połowa maja. Jezierski chodził jak struty. Nie podobało mu się, że tak naprawdę wyczekuje kolejnego zabójstwa, licząc na to, że morderca popełni wreszcie jakiś błąd.

Późnym rankiem, a właściwie bliżej południa 20 maja, po odprawie i rozdzieleniu zadań między podwładnych, agent postanowił złamać rutynę porządku dnia i poszedł do cukierni. Z jednej strony chciał oderwać się na chwilę od wyjątkowo trudnego śledztwa, pobyć trochę między zwykłymi ludźmi, a z drugiej dowiedzieć się, o czym się w mieście mówi, jakie krążą plotki. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale miał przy tym nikłą nadzieję, że niechcący usłyszy coś użytecznego.

W Kaliszu było wiele takich lokali, ale Jezierski wybrał cukiernię Fibigierów na rogu Grodzkiej. Poza kawą i ciastkami był tam bilard i czytelnia czasopism. Wiele osób, szczególnie panów, lubiło się tam spotykać, by pogawędzić o tym i owym. Agent lubił tam chodzić, gdyż już dawno odkrył, że mężczyźni plotkują nie mniej (jeśli nie więcej) niż kobiety i jeśli ktoś chciał być na bieżąco z „opiniami” nieco bardziej światłych mieszkańców grodu nad Prosną, to nie mógł sobie wymarzyć lepszego miejsca. W dodatku wieczorami cukiernia była znakomicie oświetlona, co powodowało, że goście przesiadywali w niej do późna. Właściciel nie skąpił na to grosza i płacił za gaz po 2 ruble dziennie.

Wysłuchawszy mimochodem ostatnich plotek i komentarzy, które, niestety, w niczym mu nie pomogły, przynajmniej jeśli chodzi o śledztwo, Jezierski zagłębił się w lekturze gazet. Właśnie sięgał po lekko wystygłą już kawę, gdy usłyszał tupot nóg. Zerknął przez szybę i ujrzał pędzącego Poraja. Widok ten nie wróżył niczego dobrego. Agent westchnął i odłożył gazetę.

– Szeffie! – wydyszał spocony Jasiek. – Zdarzyło się...

– Ciszej! – syknął Jezierski, bo głowy wszystkich obecnych zwróciły się z ciekawością w ich kierunku. – Usiądź i mów szeptem. Albo jeszcze lepiej chodźmy stąd. I tak kawa mi wystygła.

Zapłacili i wyszli. Po kilku krokach, gdy agent był już pewien, że nie usłyszy ich żadna ciekawska para uszu, kazał Porajowi mówić.

– Mamy kolejne zabójstwo – zaczął młodzieniec i ukradkiem otarł chustką spoczone pod czapką czoło. Nie wypadało iść przecież w towarzystwie drugiej co do ważności osoby w guberni, błyszcząc jak gazowa latarnia. – Ciało znalazł jakiś żebrak grzebiący w śmieciach na Wydorach<sup>12</sup>. Musi długo tam leżał, bo zaczął cuchnąć. Ten truposz, znaczy się.

Jeziński nie podzielał opinii swojego pomocnika.

– Mamy piękną pogodę tej wiosny, jest bardzo ciepło. Nie musiał długo leżeć, żeby zacząć cuchnąć. Kto to?

– Jeszcze nie wiemy, szefie.

– Jak tym razem pozbawiono ofiarę życia?

– Dziwnie. Ciało jest rozplatane wzdłuż, od głowy do, za przeproszeniem, du...

– Nie musisz kończyć, domyślam się, o którą część ciała ci chodzi.

– Ale nieboszczyk nie rozdzielił się na prawą i lewą część, tylko na przód i tył.

– Bardzo dziwne. Muszę to zobaczyć. Ale i tak wygląda na to, że nasz zabójca, specjalista od nietypowej śmierci, znów uderzył.

– Może tak, a może nie.

– Rana równa czy poszarpana?

– Równiutka jak nożem ciął.

– Hm... Co za narzędzie ma ten zbrodniarz? To nie może być gilotyna, bo w niej się mieści tylko głowa, nie można rozciąć na połowy ciała dorosłego człowieka.

– Gilotyna? – zaciekawiał się Jasiak.

– Ech, do siebie mówię. Jedziemy tam. Szukaj dorożki.

Na miejscu czekało na nich dwóch stójkowych, którzy pilnowali, by nikt nie podchodził do ciała. Ciekawscy mieszkańcy Wydorów, kaliskiej dzielnicy nędzy, gromadzili się w pobliżu niczym kruki czekające żeru. Jeziński kazał ich przepędzić, ale nie na wiele się to zdało, bo po chwili i tak wracali.

Jasiak nie przesadzał. Ciało faktycznie zaczęło się już rozkładać, choć i bez tego stanowiłoby makabryczny widok. Trup leżał twarzą do ziemi. Jeziński przyłożył zwiniętą chustkę do nosa i obejrzał uważnie nieboszczyka oraz jego najbliższe otoczenie.

– Zobacz, Jasiak – powiedział, zmarszczywszy brwi. – Znów nie ma krwi. Jest za to sporo wody. Skąd ta woda? Przecież nie padało?

– Nie wiem, szefie.

– Dlaczego nie wiemy, kto to jest?

– Bo nikt nie widział jeszcze jego twarzy. Kazałem nie ruszać, dopóki szef nie przyjedzie.

– No to zrób to teraz, może ktoś go rozpozna. Tylu ludzi wokół sterczy, niech się na coś przydadzą, skoro nie chcą się rozejść.

Jasiak zbliżył się niechętnie do trupa, by go odwrócić. Ze wstrętem chwycił ciało za rozpołowione barki, ale wysliznęło mu się i z obrzydliwym mlaśnięciem upadło na poprzednie miejsce. Jasiak omal nie zwymiotował, ale po chwili dzielnie przewyciężył falę nudności.

– Niech mu ktoś pomoże, co się tak gagicie! – rozkazał Jeziński.

Dwaj stójkowi, niewiele starsi od Jaśka, spojrzeli po sobie ze zgrozą.

– No już, do roboty! – przynaglił ich agent.

Podeszli, ociągając się, i pomogli Porajowi odwrócić zwłoki. Zaraz potem obaj odbiegli na bok, by zwymiotować. Jasiak mężnie wytrzymał na miejscu, choć co chwilę przełykał ślinę, bo

zawartość żołądka znów podchodziła mu do gardła.

– Szefie! – zawołał, zapominając naraz o wstręcie, jaki budziło w nim ciało, i nudnościach. – Tu leży łód!

Jeziński spojrział na miejsce, w którym przed chwilą spoczywał nieboszczyk i dostrzegł kilka nierównych brył roztapiającego się lodu.

– To takie buty – szepnął do siebie.

Jasiek spojrział na niego pytająco.

– Dobra robota. Gdybyśmy przyszli trochę później, po lodzie nie byłoby już śladu. Ech, że też nie ma jeszcze Zaifa! Ten pewnie wiedziałby od razu, że ofiarę zabito wcześniej i trzymano potem w lodzie. Na szczęście przybyliśmy dostatecznie szybko i sprytnie posunięcie zabójcy nas nie oszuka. Ale tylko Zaif będzie mógł określić czas zgonu, choć pewnie niezbyt dokładnie.

– Co więc robimy z nieboszczykiem, szefie? Od razu na sekcję? Przydusi się jakiegoś doktora, bo pan Prusinowski nadal poza miastem...

– Ani mi się waż dawać to ciało jakiemuś konowałowi. Musi doczekać, aż doktor Zaif przyjedzie.

– Ale w takim stanie...

– Do lodowni go, duraku! Natychmiast!

Młodzi stójkowi wrócili zawstyżeni, ocierając usta. Byli jednak ciekawi, dlaczego agent tak się zdenerwował.

– Maciąg nie będzie zachwycony takim woniejącym trupem – mruknął Jasiek.

– Powinien być tu lada moment, bom po niego posłał, zanim pobiegłem po szefa.

– Zapłać mu, ile zażąda, i niech jak najszybciej zabiera ciało do lodowni. Szkoda, że nie wiemy, kto to jest.

– Ja wiem – odezwał się nieśmiało jeden z policjantów.

– No?

– Kłocki Franciszek, ślusarz. Bardzo dobry fachowiec. Mocne, dobre zamki robił, klucze dorabiał...

– Odtąd będzie miał do czynienia tylko z kluczami świętego Piotra – stwierdził sentencjonalnie agent. – I gdzie się ten Zaif podziewa? Ja tu mam urwanie głowy, a jego ciągle nie ma.

– Pewnikiem jest już blisko – pocieszył go Jasiek. – Tylko patrzeć, jak go będziemy witać.

– Obyś się nie mylił, bo jego ekscelencja urwie mi głowę, jeśli wkrótce nie znajdę zabójcy. Pomoc Jakuba bardzo by się nam przydała, bo jako żywo, to miasto nigdy nie miało tak dobrego medyka. I to zarówno jeśli chodzi o żywych, jak i martwych.

– Jego ekscelencja na pewno wie, że nie tak łatwo złapać takiego... dziwaczego zabójcę.

– Miejmy nadzieję, że podziela twoje zdanie – odparł agent, a po chwili zapytał z zainteresowaniem: – Powiedziałeś „dziwaczego”? Czemuż to?

– Jak to? Przecie ten zbrodniarz zachowuje się jak jakiś cudak. Kto to widział tak dziwnie zabijać? Nie wystarczy to nożem przebić, siekierką zarąbać lub strzelić? Można też udusić. Ale takiego zabijania to ja nijak nie rozumiem. Po co odcinać głowę? Albo piasek sypać do gardła? Toż to całkiem nie po Bożemu...

– Zabijanie bliźniego nigdy nie będzie po Bożemu – Jeziński zwrócił uwagę Jaškowi zupełnie odruchowo, gdyż w jego głowie trwała gorączkowa gonitwa myśli. Słowa Jaška

nasunęły mu jakieś skojarzenie, ale trwało to ledwie mgnienie oka i zaraz uleciało.

Jasiek gładko łyknął uwagę zwierzchnika i dalej rozwódził się nad dziwactwami zabójcy, który nie dość, że tak się namęczył, głupio zabijając, to potem z niewiadomych przyczyn podrzucał zwłoki byle gdzie. Dalszych wywodów agent już jednak nie słuchał, pogrążony we własnych rozmyślaniach.

Po powrocie z miejsca zbrodni Jezierski zarządził energiczne śledztwo. Jego ludzie dwoili się i troili, znosili mnóstwo informacji, a na rozkaz agenta także plotek i pogłosek. Nic jednak nie posuwało sprawy naprzód. Stała w miejscu i ani drgnęła.

Policji brakowało nawet podejrzanego, bo Franciszek Kłocki, jak zresztą i pozostałe dwie ofiary, nie miał żadnych romansów, długów ani zdeklarowanych wrogów. Ot, zwykli ludzie, pracownicy rzemieślnicy, którym wcale nieźle się powodziło.

Minęło sporo czasu, a Jezierski nadal nie miał czym się pochwalić przed zwierzchnikiem. Sprawiało mu to przykrość głównie dlatego, że gubernator Michał Piotrowicz Daragan był nie tylko jego przyjacielem, ale jednym z niewielu wspaniałych ludzi, których Jezierski szczerze podziwiał.

Rodzina Daraganów<sup>13</sup> była szlachtą pochodzącą z obwodu połtawskiego i czernihowskiego, gdzie zachował się dom Daraganów z pierwszej połowy osiemnastego wieku. Jego najstarszym znanym przodkiem był pradziadek Iwan Daragan. Dziadek z kolei, również noszący imię Michał, był majorem wojsk rosyjskich i zmarł w 1860 roku.

Rodzicami byli Piotr Michajłowicz Daragan<sup>14</sup>, znany rosyjski generał, gubernator Tuły i jego żona Anna<sup>15</sup>, pedagog i autorka wielu książek dla dzieci. Książki te spodobały się cesarzowej Marii Fiodorownej tak bardzo, że mianowała ją na stanowisko przełożonej szkoły w Moskwie, a następnie Instytutu Sierot w Petersburgu. Oboje rodzice zostali pochowani w Wilnie.

Młody Michał Piotrowicz rozpoczął naukę w najlepszej szkole wojskowej Rosji, czyli w Mikołajewskiej Szkole Kawalerii w Petersburgu. Potem służył w Oliwiopolskim Pułku Ułanów i jeszcze jako młodzieniec brał udział w wojnie krymskiej w latach 1853–1856. Po jej zakończeniu kontynuował studia w petersburskiej Mikołajewskiej Akademii Sztabu Generalnego, szkole przeznaczonej dla starszych oficerów. Ukończył ją w 1858 roku. Brał udział w stłumieniu powstania styczniowego i być może to spowodowało, że wkrótce potem przeszedł do służby cywilnej, mimo że jako wojskowy otrzymał wiele odznaczeń.

Nie od razu otrzymał znaczące stanowisko. Dopiero 16 stycznia 1870 roku objął pierwszą ważną funkcję cywilną, został mianowicie wicegubernatorem Mińska, gdzie z własnych funduszy sfinansował upiększenie mińskiego parku. Był już wówczas żonaty z Katarzyną. W 1871 roku urodziły się im córki, bliźniaczki Anna i Maria.

2 stycznia 1876 roku Daragan awansował i został gubernatorem czernihowskim. Tu w pełni ujawniły się jego kulturalne zainteresowania, choć nie było to dobrze widziane w carskim imperium, które zawsze obawiało się niezależnej myśli nie tylko u podbitych narodów, ale i własnych obywateli. To na jego prośbę minister spraw wewnętrznych 22 kwietnia 1877 roku wydał zezwolenie na powstanie „Gazety Czernihowskiej”. Daragan poparł także utworzenie publicznej biblioteki, którą otwarto 28 marca 1877 roku. W tym samym czasie wybuchła wojna z Turcją i miasto zapełniło się rannymi. Gubernator zadbał wówczas nie tylko o dobre zaopatrzenie szpitali, ale i o to, aby ranni jeńcy byli traktowani w taki sam sposób jak Rosjanie.

30 lipca 1878 roku Michał Piotrowicz został przeniesiony na stanowisko gubernatora wołogodzkiego. Zirykowało go tam nieusuwalność niektórych urzędników, przy nazwiskach

których zrobiono adnotację „niezastąpiony”. Do historii przeszła pewna anegdota, według której już podczas pierwszego spotkania nowego gubernatora z urzędnikami administracji, którzy winni byli stawić się w mundurach, Daragan zauważył, że sekretarz Komitetu Statystycznego Wołody, Flegont Arseniew, przyszedł w stroju cywilnym. Daragan stwierdził wówczas „Nie widzę sekretarza” i nakazał natychmiastową dymisję. Arseniew jednakże był nie tylko znakomitym statystykiem, ale również wybitnym etnografem oraz historykiem, dlatego gubernator otrzymał reprimendę od dyrektora Centralnego Komitetu Statystycznego Rosji w Petersburgu. Arseniew został przywrócony na stanowisko, ale odtąd już zawsze stawiał się u przełożonego wyłącznie w mundurze.

30 listopada 1879 roku Daragan przestał być gubernatorem Wołody. Po kilkuletniej przerwie otrzymał stanowisko gospodarza guberni kaliskiej, które objął 21 stycznia 1883 roku. Dwa lata później, w 1885 roku urodził mu się w Kaliszu Iwan, jeden z dwóch synów<sup>16</sup>. Obecnie chłopczyk pod opieką preceptora przebywał z wizytą u rodziny w Wilnie.

– Walery, co się dzieje? – pytał tymczasem zaniepokojony gubernator. – Dwa lata temu dawałeś sobie świetnie radę.

– Wcale nie. Przynajmniej nie od razu. Tam też długo nie mieliśmy punktu zaczepienia. Ale miałem znakomitego pomocnika.

Gubernator uśmiechnął się dobrotliwie.

– Zdaję sobie sprawę, że od czasu, gdy się z nim zaprzyjaźniłeś, masz wielki szacunek dla tej nowej dziedziny wiedzy i dużo na ten temat czytasz... No, przypomnij mi, jakże się ona nazywa?

– Różnie. W zachodniej Europie zwą ją medycyną prawną – *médecine légale*, a w krajach słowiańskich sądową.

– Otóż to, medycyna sądowa. Ale przecież nie tak znów dawno nawet nie słyszałeś o jej istnieniu i jakoś dawałeś sobie radę. Dlaczego teraz nie wierzysz we własne siły?

– Michale Piotrowiczu – westchnął z żalem agent – w tym niedużym mieście, jak i w wielu podobnych mu w Rosji, rzadko zdarzają się tak trudne sprawy. Nawet jeśli w grę wchodzi zabójstwo, to najczęściej mamy do czynienia z działaniem pod wpływem alkoholu, gniewu, zazdrości. Sprawca zwykle nie planuje zbrodni i nie stara się zacierać śladów. Nie mówiąc o tym, że przeważnie jest to mało inteligentny człowiek, często otumaniony wódką. Nie powiem, czasem zdarza się, że jakaś żona lub mąż nabiera chęci, by usunąć z tego świata współmałżonka. No i co? Jeśli nie jest to jakaś wyjątkowo głupia osoba i użyje trucizny, rzadko kiedy udaje się coś udowodnić. Co tam udowodnić! Pojęcia nawet nie mamy, że zostało popełnione morderstwo! Nie inaczej bywa, gdy zabójca działa z innych pobudek i w dodatku jest mądry, doświadczony i dobrze zorganizowany. No i teraz mamy do czynienia z takim przebiegłym typem.

– Ale dwa lata temu...

Jeziński zamyślił się. Był wtedy rok 1888. Miastem co i rusz wstrząsały wiadomości o nagłych zgonach wyglądających na nieszczęśliwe wypadki lub samobójstwa. Ale młody, nikomu nieznanymi jeszcze żydowski lekarz, Jakub Zaif, nie dał się zwieść i rozpoznał w nich sprytnie zatuzowane zabójstwa. Dalsze gwałtowne zgony to potwierdziły. Właśnie wtedy zaczęła się współpraca Zaifa z rosyjskim agentem do specjalnych poruczeń, Walerym Jezińskim, ściągniętym do Kalisza przez swego przyjaciela, gubernatora Daragana.

Tymczasem ginęli kolejni ludzie, którzy wydawali się nie mieć ze sobą nic wspólnego, między innymi prawnik, zakonnik i stolarz. Zabójca był wciąż nieuchwytny i coraz bardziej śmiały, a jego zbrodnie coraz brutalniejsze.

Dzięki swemu zamiłowaniu do nauki Zaif dość szybko naprowadził Jezierskiego na właściwy trop w śledztwie, który prowadził do tajemniczego depozytu, jaki masoni z zachodniej Europy przekazali kaliskiej loży masońskiej. Niestety, od wielu lat loża ta nie istniała, bowiem cała polska masoneria została na rozkaz cara zlikwidowana. Nie wiadomo więc było, gdzie depozyt się znajduje ani co zawiera, choć morderca wyraźnie liczył na skarb. Włamywał się do domów, różnych instytucji, a nawet klasztorów, zabijając każdego, kto mu stanął na drodze.

Na szczęście Jezierski miał otwarty umysł i bez trudu dał się przekonać Zaifowi do zastosowania w śledztwie najnowszych zdobyczy nauki. Decyzja ta szybko zaczęła przynosić wymierne efekty, a zbieranie i porównywanie odcisków palców doprowadziło w końcu do odkrycia tożsamości zabójcy – Adama Forstera, młodego człowieka, który przyjechał z Niemiec do radcy Garszyńskiego, by rzekomo przestudiować jego kolekcję, a także inne księgozbiory znajdujące się w mieście i okolicach. Trzeba też przyznać, że morderca do ostatniej chwili pozostawał nieuchwytny. Odkrył miejsce ukrycia skarbu i uciekł do podziemnych lochów, przebiegających pod miastem. W pościgu za nim Jezierski omal nie zginął, jednak w końcu udało mu się dopaść sprawcę, choć musiał go w obronie własnej zabić<sup>17</sup>.

– Wiem, Michale Piotrowiczu – pokiwał głową agent, otrząsnąwszy się z chwilowego zamyślenia. – Wtedy też mieliśmy do czynienia z wyjątkowo sprytnym i bezwzględny mordercą. Ale bez pomocy, jaką policjantowi daje mądry i dobrze wykształcony medyk, naprawdę trudno ruszyć z miejsca. Doktor Zaif potrafił wyciągnąć wiele informacji z samej sekcji zwłok, na przykład z kształtu i rodzaju rany, potrafił odkryć, że ktoś został otruty i dowiedzieć się, czym. Jego rozległa wiedza medyczno-chemiczna i logiczny umysł pomagały mi naprowadzić śledztwo na właściwy tor. Tym razem nasz zabójca nie zostawia żadnych śladów, nie zdołaliśmy znaleźć nawet odcisków palców, ale nawet gdyby były, głowę dam, że nie ma ich w naszej kartotece.

Agent westchnął i mówił dalej.

– Może i zdołałbym wpaść na jakiś trop, gdybym chociaż miał do dyspozycji miejsce zbrodni. Ludzie jednak giną gdzie indziej, a zwłoki są podrzucane w przypadkowe miejsca. No i co tu zrobić? Choćbym pękł, nie mam na razie punktu zaczepienia. W dodatku, niestety, nie jestem medykiem, żeby samemu przeprowadzić sekcję, a tutejsi lekarze...

Potrząsnął tylko z niechęcią głową.

– Doktor Zaif nie pisał, że już jedzie?

– Owszem, napisał, że jedzie, ale jeszcze nie dojechał – stwierdził markotnie agent.

– Wstyd się przyznać, ale bardzo mi go brakuje.

– Na pewno niedługo się zjawi. Kiedy wyruszył?

– Pod koniec maja.

– Toż to prawie dwa tygodnie temu! Tak, na pewno wkrótce przybędzie. Tymczasem rób, co możesz, nie ustawaj w wysiłkach. Tylko patrzeć, jak Hurko<sup>18</sup> zacznie się czepiać.

– E, nie tak szybko. Prasa niewiele o tym pisała, i to tylko lokalna.

– Skąd wiesz?

– Systematycznie czytam gazety, zwłaszcza warszawskie.

– Nie wiem, jakim sposobem nie zwietrzyli jeszcze takiej gratki – zdumiał się gubernator.

– Iiii, wmówiłem naszym pismakom, że to nieszczęśliwe wypadki. Nie daliśmy im pełnych informacji o obrażeniach i przyczynach śmierci.

– Nieładnie, Walery, nieładnie.

– Co miałem robić? Nie chciałem, żeby żurnaliści włóczyli się za mną i przeszkadzali

chłopcom w robocie. A co najważniejsze, w ten sposób Hurko jeszcze się o niczym nie dowiedział.

– Rozumiem, rozumiem. Mam nadzieję, że nieprędko się dowie. No dobrze, a teraz powiedz mi, jak tam było na posiedzeniu komitetu Gubernialnego Towarzystwa Popierania Trzeźwości?

– Ech, same nudy!

– Walery, to bardzo ważne, żeby prości ludzie nie oddawali się pijaństwu. Sam to powinieneś wiedzieć, bo przez pijaństwo masz więcej pracy.

– Co to za praca. Sto razy bardziej wolałbym zajmować się pijackimi burdami, niżli tyloma zabójstwami.

– Zapominasz, że ci nieszczęśnicy krzywdzą też żony i niewinne dzieci – powiedział gubernator surowo. – Trudno pomóc takim rodzinom, nie mamy na to dość pieniędzy, bo Hurko gdzie może, tam obcina wydatki.

– A sam kradnie na potęgę!

– Cii, może to tylko pogłoski.

– Sam w to nie wierzysz, przyjacielu.

– Kto to naprawdę wie? Lepiej nie sądzić innych, nie mając dowodów w rękę.

– Z ciebie to święty człowiek, Michale Piotrowiczu – westchnął agent. – Uważaj jednak na Hurkę, bo on cię nienawidzi i chętnie ci zaszkodzi, gdy tylko znajdzie jakiś pretekst.

– Cóż, nie ma, biedak, łatwego charakteru.

Jeziński wybuchnął śmiechem, ale szybko na powrót zmarkotniał. Postanowił iść do siebie, by po raz kolejny przejrzeć zgromadzone informacje. Wciąż miał nadzieję, że znajdzie coś, co pozwoli mu ruszyć z miejsca i zbliżyć się do ujęcia tajemniczego zbrodniarza.

Gdy już niemal wychodził, dobiegł go jeszcze głos gubernatora:

– Pamiętaj, że jutro jedziemy do Ostrowa?

– Pamiętam – westchnął agent.

Jeszcze i to! Miał towarzyszyć jego ekscelencji w podróży do pobliskiego, ale leżącego już za granicą Ostrowa Wielkopolskiego, gdyż gubernator chciał obejrzeć ich linię kolejową i osobiście wypytać o wszystkie sprawy związane z jej budową. Ale jemu, Jezińskiemu, nie kolej była teraz w głowie!

Niestety, następnego dnia gubernator nie dał się przekonać, że osoba Jezińskiego jest zbędna w tej podróży, skoro w śledztwie i tak nie było postępów i polecił mu przekazać swoje obowiązki na jeden dzień Kaminskiemu.

– Walery, jedziemy z oficjalną zagraniczną wizytą, od dawna umówioną i przygotowaną – Daragan łagodnie napominał go w powozie. – Nie wypada, by drugi co do ważności urzędnik guberni, którą zarządzam, nie pojawił się na takim spotkaniu.

– Ładna mi zagranica – mruknął Jeziński. – Ledwie dwadzieścia parę wiorst<sup>19</sup>!

– No właśnie! Tak blisko nas i już mają połączenie kolejowe, i to nie byle jakie. A my musimy do nich powozem jechać. Posłuchaj tego: konna poczta osobowa porusza się z prędkością do siedmiu wiorst na godzinę i trasę z Poznania do Ostrowa pokonuje w jakieś czternaście godzin. A od zbudowania kolei Ostrów ma już pięciokrotnie szybsze połączenie ze światem, nic więc dziwnego, że zaczął się tak dynamicznie rozwijać<sup>20</sup>!

– Rozumiem wszystko, ale przecież i tak chyba nie wierzysz, że dostaniesz zgodę na budowę kolei? – niechętny podróży Jeziński był sceptyczny. – Co nas obchodzi jakiś Ostrów w Prusach!

– Jeśli dowiemy się, jak im się udało tak szybko zbudować linię kolejową, będziemy



mogli przedstawić w Petersburgu szczegółowy plan robót, wstępne wyliczenia kosztów i materiałów! Może wówczas władze łaskawszym okiem spojrzą na moją petycję.

Tak więc rad nierad, Jezierski musiał jednak myśleć o kolei.

Ku zdumieniu agenta pobyt w Ostrowie okazał się jednak całkiem udany, szczególnie że powitano ich bardzo serdecznie i najpierw zaproszono na posiłek. Może dlatego, że był zmuszony przestać myśleć o kaliskich zabójstwach, a skupić się na parowozowni, szynach, wagonach i innych tego typu problemach technicznych.

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy Ostrowa Wielkopolskiego, gdyby kilkanaście lat temu właściciel pobliskiego Raszkowa zgodził się na budowę stacji kolejowej na swojej ziemi. Na pewno linia kolejowa z Poznania do Kluczborka została przesunięta o kilka kilometrów na zachód i wtedy to Raszów, a nie Ostrów, stałby się prężnie rozwijającym się miastem.

Pierwszy pociąg zajechał do Ostrowa 10 grudnia 1875 roku, w dniu otwarcia prywatnej linii kolejowej PoznańKluczbork, która liczyła ponad 187 wiorst. Nieco wcześniej, 22 listopada 1875 roku oddano linię do wstępnej eksploatacji, a po osiemnastu dniach dopuszczono do ruchu. Od razu położono dwa tory. Na trasie wybudowano 16 stacji i 2 przystanki. Na początku codziennie kursowały dwa pociągi pasażerskie, ale dość szybko Ostrów stał się ważnym węzłem kolejowym. W roku 1888 wybudowano linię do Leszna i szykowano się do połączenia kolejowego ze Skalmierzycami<sup>21</sup>.

Gdy rosyjscy goście obejrżeli już wszystko, co było do obejrzenia i wysłuchali historii budowy linii kolejowej, postanowili przed wyjazdem obejrzeć samo miasto. Dostali za przewodnika jednego z kancelistów, który biegle władał językiem rosyjskim i ruszyli na krótki rekonesans po mieście.

Nowy przewodnik, chcąc się wykazać przed zwierzchnikami i gośćmi, nie szczędził im szczegółów historycznych.

– Początkowo Ostrów był prawdopodobnie niewiele znaczącą osadą wśród łągów i bagien – mówił. – Najstarsza wzmianka pochodzi z siedemnastego wieku i mówi o Ostrowie jako niewielkim, prywatnym ośrodku miejskim o charakterze rolniczym, istniejącym już w roku 1404. Trzydzieści lat później kanonik kaliski, Jerzy z Ostrowa herbu Korab, otrzymał od biskupa poznańskiego Stanisława Ciołka zgodę na utworzenie odrębnej parafii w Ostrowie. Miasto kilkakrotnie niszczyły pożary, a także wojny. Na początku osiemnastego wieku, po wielkiej zarazie i najeździe wojsk, mieszczenie zrezygnowali z praw miejskich. W ten sposób w 1711 roku Ostrów na krótki okres stał się formalnie wsią. W 1714 roku, dzięki działalności Jana Jerzego Przebendowskiego, nastąpiła ponowna lokacja, połączona z wydaniem licznych przywilejów. W 1815 roku właścicielem Ostrowa został Antoni Henryk Radziwiłł, późniejszy namiestnik Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Po upadku Księstwa Warszawskiego Prusacy przenieśli tu siedzibę powiatu odolanowskiego, Sąd Powiatowy oraz Kasę Powiatową. Wzrosła też rola garnizonu ostrowskiego, a to z kolei spowodowało zwiększenie liczby dróg bitych. A i przygraniczne położenie przynosi zyski...

Na wzmiankę o przygranicznym położeniu jego ekscelencja westchnął z melancholią, gdyż to samo położenie hamowało rozwój jego Kalisza. Znudzony cokolwiek Jezierski, który już dawno chciał wracać do „swoich” zabójstw, rozglądał się bez entuzjazmu. Szli właśnie ulicą Raszkowską, a z ust ich niezmordowanego przewodnika bezustannie wylewał się strumień wiadomości i pochwał jego rodzinnego miasta. Jezierski właściwie przestał już go słuchać, gdy wtem jego wzrok przyciągnęła stojąca nieco w oddali nietypowa budowla. Swoim mauretańskim stylem bardzo odbiegała od reszty zabudowy miasta.

– Cóż to jest? – zapytał agent nieco żartobliwie. – Jakiś pałac z baśni tysiąca i jednej

nocy?

Kancelista spojrział z lekkim zaskoczeniem.

– To synagoga<sup>22</sup>.

– Synagoga? – teraz zdziwił się agent.

Tym razem kancelista zdawał się jeszcze bardziej zaskoczony. Gubernatora Daragana zdawała się bawić ta wymiana zdań. Przyglądał się im w milczeniu, choć z lekkim uśmiechem.

– Wasza miłość, przecież... – zaczął kancelista nieco niepewnie. – Przecież w Kaliszu jest więcej Żydów niż w Ostrowie<sup>23</sup>, zatem musicie mieć i synagogę – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Naturalnie, że mamy – powiedział niemal z oburzeniem agent. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że odczuwa coś w rodzaju lokalnego patriotyzmu. – Ale kaliska synagoga wygląda zupełnie inaczej<sup>24</sup>!

– Mniejsza o to – wtrącił się w końcu gubernator. – Styl architektoniczny nie ma znaczenia.

– Chętnie zajrzałbym do środka – stwierdził nieoczekiwanie Jezierski, myśląc przy tym o swojej żonie i przyjacielu. Niedługo będzie mógł im się pochwalić, że zna nie tylko kaliską synagogę.

– Ależ oczywiście – wybąkał mocno zdumiony kancelista, gdyż agent nie zdradzał dotąd większego zainteresowania zwiedzaniem. – Synagoga nie jest zbyt stara, ma trzydzieści lat, o ile się nie mylę<sup>25</sup>, i wiąże się z nią pewna tragiczna historia.

– Chętnie posłucham panie... Eee... Jackowski – oznajmił agent, czym wprowadził w zdumienie obu swych towarzyszy i skierował kroki w stronę budynku.

Urzędnik, mile polechtany, że gość zapamiętał jego nazwisko, rażno ruszył przed siebie, snując jednocześnie opowieść.

– Było to 10 października 1872 roku – zaczął – w czasie święta Jom Kippur. Balkony zwane babińcami były wypełnione kobietami i dziećmi, a mężczyźni, zgodnie z tradycją, znajdowali się na dole. Budynek miał od 1868 roku oświetlenie gazowe, które wtedy nagle zgasło, ale gaz nadal się ulatniał. Przerażone kobiety wraz z dziećmi zaczęły biec ku schodom, lecz te nie wytrzymały naporu i runęły w dół, powodując śmierć dziewiętnastu osób. Zginęło wtedy czternaście kobiet, dwie dziewczynki, dwóch chłopców i ewangeliczka. Ta tragedia odbiła się szerokim echem w całej Europie.

Gdy skończył, stanęli akurat na progu synagogi. Weszli do środka, do wielkiej sali głównej, otoczonej z trzech stron drewnianymi, dwukondygnacyjnymi galeriami pełniącymi rolę babińca. Ściana wschodnia kryła bogato zdobioną arkę, Aron ha-kodesz<sup>26</sup>, o wysokości niemal całego pomieszczenia, ujętą dwoma wieżami. Ścianę zamykał duży murowany łuk z ozdobną bordiurą. Wnętrze oświetlały mosiężne żyrandole oraz dziesięć dużych okien zasłoniętych przez galerie i jeden okulus od strony arki. Okna wypełniały kolorowe witraże. Ściany pokrywała dekoracja malarska przedstawiająca motywy geometryczne oraz roślinne. Całą salę przykrywał drewniany strop.

Panowie obejrzeni wewnątrz, nie kwapiąc się jednak, by wejść na galerie i wyszli na zewnątrz. Jezierski niemal natychmiast stracił zainteresowanie dalszym zwiedzaniem, marząc o czymś do jedzenia. Zaczął rozmyślać, co też takiego mogą im podać w tutejszym lokalu, lecz jego kulinarne wizje zakłóciło niespodziane pojawienie się dwóch mężczyzn, którzy właśnie wyszli z kamienicy pod numerem 34, niemal się z nimi zderzając. Mężczyźni uchylili kapelusza, uprzejmie przepaszając i oddalili się w przeciwnym kierunku. Jeden z nich wydał się jednak agentowi znajomy, a że nie przypominał sobie, by znał kogokolwiek w Ostrowie, uważnie mu

się przyjrzał. Ku swemu zdumieniu rozpoznał w mężczyźnie jednego z kaliskich rajców. Odruchowo przyjrzał się także kamienicy, którą opuścili, ale nie zauważył w niej nic ciekawego poza bogatym, neogotycko-neorenesansowym wystrojem.

– Widziałeś tego człowieka, który nas przed chwilą minął? – agent zagadnął gubernatora szeptem.

– Było ich dwóch, ale przyznam, że nie przyjrzałem się żadnemu – odparł Daragan i odruchowo odwrócił się. – Ależ to rajca Bukowski! – wykrzyknął zdumiony. – Nie wiem, kto mu towarzyszy.

– To jeden z najbardziej znanych w Ostrowie notariuszy, Ważkowski – wtrącił szybko kancelista. – Baaardzo drogi.

– Notariusz? – zdziwił się agent. – Po co mu notariusz?

– Wygląda na to, że wasz rajca kupuje dom w Ostrowie – stwierdził obojętnie kancelista. – Bo ten Ważkowski zajmuje się tylko nieruchomościami.

Jezierski wzruszył ramionami i wszyscy poszli dalej, tym razem by znaleźć jakieś miejsce z dobrą kuchnią, gdyż goście mocno już zgłodnieli.

W drodze powrotnej gubernator mówił tylko o kolei, lecz Jezierski słuchał go nieuważnie, myślami bowiem znów był w aktach dziwacznych zbrodni, które ktoś popełniał, a on wciąż nie wiedział, kto i dlaczego. Wyprawa do Ostrowa szybko wyleciała mu z pamięci.

Mijały kolejne dni. Jezierskiego bez reszty zaprzętało śledztwo w sprawie trzech już zabójstw. Zapominał pójść do domu na obiad, za co żona później robiła mu wyrzuty. Przez cały dzień żywił się głównie herbatą i cygarami. Dopiero późnym wieczorem zjadał obfity posiłek, zastępujący mu obiad i kolację. Nie żałował sobie przysmaków, rekompensując w ten sposób niedojadanie i stres w pracy. Żona próbowała hamować jego wieczorny apetyt, jednak nie na wiele się to zdawało. Wkrótce zauważyła, że nieregularne odżywianie spowodowało, iż ubrania zaczęły mu się robić za ciasne w pasie, jednak on nie zwracał na to uwagi.

W ten sposób minął kolejny tydzień. Śledztwo tkwiło w martwym punkcie i nie wyglądało na to, by sytuacja miała się szybko zmienić. Lecz nie był to bynajmniej koniec dramatycznych wydarzeń, spędzających sen z oczu agenta do specjalnych poruczeń w randze radcy stanu.

Ten dzień miał na długo zapaść wszystkim w pamięć. Był późny poranek w połowie czerwca i nic nie zapowiadało tego, co wkrótce nastąpiło. Zaprzętnięci swoimi sprawami kaliszanie spieszyli w rozmaitych kierunkach, a wszelakiej maści powozy, już to zwykłe furmanki, już to dorożki albo kolaski zamożniejszych mieszkańców, wypełniały ulice.

Świeciło słońce, na niebie nie było ani jednej chmurki. Nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, jasność dnia poczęła blednąć, ciemnieć i powiało chłodem. Na dworze, mimo zbliżającego się południa, zapadał zmrok! Zmierzający w stronę pałacu gubernatora Jasioł Poraj przystanął, skonsternowany tym nietypowym zjawiskiem, i spojrzął w górę. Czysty dotąd błękit nieba zaczął wyraźnie szarzeć, jak i reszta barw otaczającego świata. Ptaki zamilkły tak nagle, jakby straciły głos, za to psy wałęsające się tu i ówdzie zaczęły wycić niczym wilki do księżyca. Jasioł aż gębę rozdziawił ze zdumienia i począł się drapać w tył głowy, zsuwając czapkę niemal na nos. Wtem na widoczny w oddali pałac gubernatora i stojącą w pobliżu kolegiatę św. Józefa padł złowrogi cień.

Tuż przed nosem oszołomionego Jasioła przeleciał jak wichor jakiś czarny nieoznakowany żadnym herbem powóz, nieomal tratując wpatrzonych w niebo przechodniów. Oprócz tętentu końskich kopyt Jasioł mimowolnie zarejestrował jeszcze jakiś głuchy łoskot, jakby coś ciężkiego upadło na ziemię, i po chwili powóz zniknął w zapadających ciemnościach. Było to

o tyle dziwne, że inne dorożki czy furmanki stały od dobrych kilku minut nieruchomo, a kierujący nimi woźnice gapili się w ciemniejące gwałtownie niebo. Jasiak też niemal natychmiast zapomniał o czarnym powozie, gdyż oto noc ogarnęła ziemię. Nastąpiła ciemność tak głęboka, że nie było nic widać o trzy kroki, a na niebie ukazała się czarna jak węgiel kula otoczona wieńcem płomieni. Wokół zaśnity gwiazdy.

Poraj aż zachłysnął się z wrażenia. Nie on jeden. Wszędzie słyhać było okrzyki niedowierzania, podekscytowania, ale też i jęki przerażenia. Tuż za nim zaszlochała jakaś kobieta, inna uczyniła znak krzyża, a stojące przy niej dziecko rozplakało się. Jakby na dany znak coraz więcej osób zaczynało szeptać modlitwy, które zagłuszał narastający płacz dzieci i kobiet. Ludzi ogarnął zabobonny niepokój.

– Patrzcie, to dobro walczycy ze złem! – krzyknęła jakaś niewiasta.

– Tak, ludzie, to za wasze grzechy! – rozległ się męski głos.

– Za grzechy kobiet! – wrzasnął inny jegomość. – Zaćmienie Słońca powoduje wielką ilość grzechów popełnionych przez kobiety, nadmiar grzechów męskich zaś daje zaćmienie Księżyca!

– O, święty się znalazł! – wykrzyknęła z oburzeniem kobieta. – Rad byś się wykręcił od kary za własne grzechy, ale znają cię tu! Kogóż to przedwczoraj widziałam, jak nie...

– Zamilcz jejmość! – syknął wrogo zaczepony. – Nikt tu twoich kalumnii nie chce słuchać...

Ktoś inny zaintonował starą modlitwę:

– Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...

Kolejne osoby żarliwie ją podjęły:

– ...ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać...

Kilka osób uklękło. Poraj, choć bardzo religijny, poczuł się nieswojo. Był na służbie, a podczas niej ściśle przestrzegał regulaminu i poleceń zwierzchników. Ani zbiorowa histeria, ani niezwykle zjawiska nie były rzeczami, z którymi byłby obznajomiony, więc nie bardzo wiedział, jak się zachować i co robić.

– Trzeba dać szybko ofiarę na mszę! – zawołał tymczasem pobrzmiwający fanatyzmem głos. – Żeby dobro zwyciężyło, a Słońce znów mogło dawać ciepło i światło. Inaczej biada nam, grzesznikom!

– Ludzie! – zakrzyknął jakiś młodzieniec. – Tu wcale nie o wasze grzechy idzie. Jeśli podczas zaćmienia Słońce ma czerwony kolor, to pewnością dojdzie do rozlewu krwi i wielu zginie!

Gapie oniemieli. Zapadło nagle milczenie, jako że wszyscy wpatrywali się w ognistoczerwony krąg wokół ciemnej tarczy. W tym samym momencie, gdy napięcie przerażonych zaćmieniem ludzi sięgnęło zenitu, jakiś cień pośród innych cieni przysunął się w pobliże jednej z zagapionych na Słońce kobiet. Stanął za jej plecami i badawczo przyglądał się jej odzieniu. Jego uwagę zwrócił przepiękny szal z cieniutkiego kaszmiru. Mężczyzna uśmiechnął się, jakby znalazł coś, czego szukał i niespodzianie podniósł ramię, przysuwając je do szyi kobiety. Ta ujrzała tylko nagły błysk i poczuła coś, jakby drapanie. Gdy jednak się obejrzała, nikogo już za nią nie było. Tylko inni gapie wpatrzni w niebo. W panujących ciemnościach nikt nie zauważył, jak kobieta nagle osunęła się na trotuar. Wyglądała jakby zemdląca, lecz w pobliżu jej głowy powiększała się ciemna plama. W tym dziwnym, nienaturalnym mroku była czarna jak atrament.

Kilkanaście metrów dalej mężczyzna dostrzegł inną kobietę, która miała na sobie identyczny szal. Całe zajście powtórzyło się, lecz i tym razem nikt niczego nie zauważył

w spowijających ziemię ciemnościach. Uwaga wszystkich była wciąż skierowana na nieboskłon i nawet stojący blisko siebie ludzie nie zwracali uwagi na to, co dzieje się tuż obok nich.

Fakt ten wykorzystała jeszcze jedna osoba. Wzięła za rękę stojące obok jednej z kobiet dziecko, na oko czteroletnie, i mówiąc, że „pójdziemy poszukać tatusia”, wyprowadziła dziewczynkę poza tłum gapiów. Dziecko nie protestowało, więc nikt ze stojących w pobliżu dorosłych nie zareagował, tak naturalnie wyglądała ta scena. Poraj również nic nie spostrzegł, ale nic w tym dziwnego, gdyż wszystkie te zdarzenia miały miejsce poza zasięgiem jego wzroku.

Ciszę, która zapadła, znów zakłócił turkot jadącego powozu. Ten jednak pojazd poruszał się dość wolno, wręcz ostrożnie, by nikogo nie potrącić w panujących ciemnościach. Ludzie bowiem wciąż stali nieruchomo tam, gdzie zastało ich niecodzienne zjawisko. Nagle powóz zatrzymał się nieopodal, a z wnętrza wyskoczył jakiś szczupły mężczyzna. Po ciemku Poraj nie mógł dojrzeć nic więcej ponad to, że mężczyzna ów ubrany był w cudzoziemski strój podróżny i wydawał się być młody.

– Jasiak! – zawołał przyjezdny.

Poraj zmarszczył brwi na taką poufałość wobec munduru policmajstra, który z dumą nosił zaledwie od kilku miesięcy, ale głos wydał mu się dziwnie znajomy.

– Nie poznajesz mnie? Jakub Zaif!

– Nasz pan doktor! – wykrzyknął zdumiony Jasiak i rzucił się w stronę podróżnego.

– A to się ekscelencje ucieszają! Od dawna czekamy tu na pana jak na zbawienie! I nie tylko wielmożność Jezierski, ale i sam gubernator stale się o doktora dopytują!

Stojący wokół gapie zerkali niepewnie na dwóch młodych mężczyzn, którzy okazali się być w tak dobrej komitywie z najważniejszymi osobami w całej guberni. Niektórzy znali nawet nazwisko dopiero co przybyłego, o którym głośno było przed dwoma laty, gdy w Kaliszu grasował okrutny morderca. By odnaleźć skarb masonów, gotów był nie tylko zabijać, ale i torturować Bogu ducha winnych ludzi, w tym i osoby duchowne. To właśnie Jakub Zaif miał się wydatnie przyczynić do jego ujęcia, za co gubernator wręczył mu nawet medal. Krótco potem młody doktor wyjechał za granicę, podobno do Ameryki, i aż dotąd o nim nie słyszano.

Tymczasem światło dnia zaczęło powracać. Znikły gwiazdy, jakby kto świeczki zdmuchnął, a czerwona, ognista kula pojaśniała, wracając statecznie do zwykłego blasku. Wtedy też, najpierw stopniowo, potem coraz szybciej, poczęła znikać sina ciemność z widnokrzęgu i czarny delikatny pył z niewielkich obłoczków, które nie wiadomo kiedy napłynęły i wnet pobielały. Ptaki na nowo podjęły przerwany śpiew, najpierw nieśmiało i nielicznie, później z coraz większą ochotą i werwą.

– No i po zaćmieniu... – rzekł spokojnie Zaif. – Kalisz nieprędko zobaczy je ponownie<sup>27</sup>.

– Panie doktorze – zaczął nieśmiało Poraj, przestępując z nogi na nogę.

– No, co tam, Jašku?

– Czy pan wie, skąd się takie dziwne rzeczy na świecie dzieją, że w środku dnia noc nastaje?

– Masz na myśli zaćmienie Słońca?

– Ano właśnie.

– Dlaczego pytasz? Przecież to wcale nie takie znów rzadkie zjawisko. Występuje od niepamiętnych czasów. Każdego roku na kuli ziemskiej zachodzą przynajmniej dwa takie zdarzenia. Znano je na przykład w starożytnej Asyrii, skąd pochodzi jedna z tabliczek, na której zapisano pismem klinowym, że w miesiącu Siwan Słońce zaćmiło się w trakcie buntu, jaki wybuchł w mieście Aszur, a miało to miejsce 15 czerwca 763 roku p.n.e.<sup>28</sup>. To ponad dwa i pół tysiąca lat temu! Zaćmienia Słońca albo Księżyca znali również Egipcjanie, są też opisane

w wielu miejscach w Biblii.

– Ale jak to w ogóle jest możliwe?

– Najprościej mówiąc, zjawisko to powstaje, gdy Księżyc znajdzie się pomiędzy Słońcem a Ziemią i przesłoni sobą światło słoneczne. Mamy też zaćmienie Księżyca, do którego dochodzi tylko wtedy, kiedy jest on w pełni. Zjawisko to można obserwować, gdy Księżyc znajdzie się po przeciwnej w stosunku do Słońca stronie Ziemi i wejdzie w zacieniony przez nią obszar. Ważne są jeszcze inne czynniki, ale to za skomplikowane, żeby ci teraz tłumaczyć.

Jasiek skinął głową, ale widać było, że nadal coś go nurtuje.

– Co cię jeszcze gnębi?

– To może głupie, ale czy zaćmienie Słońca zwiastuje jakieś... – Poraj głośno przełknął ślinę – ...jakieś krwawe wydarzenia albo wojnę?

– Nie, oczywiście że nie – szybko zapewnił go doktor. – To tylko taki przesąd.

W starożytności ludzie wierzyli nawet, że do zaćmienia dochodzi wtedy, gdy smok, zamierzając połknąć Słońce, chwytą w paszczę jego kawałek. Wtedy ludzie powinni wyjść na dachy domów i bić w metalowe naczynia, odpalać petardy i strzelać w powietrze, żeby smok przestraszył się hałasu, puścił Słońce, albo Księżyc, które trzyma w pysku, i uciekł. Ale chyba w to nie wierzysz?

Jasiek wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Pewnie, że nie – odparł z trochę sztucznym rezonem. – Przed chwilą jednak słyszałem takie straszne przepowiednie, że aż skóra mi ścierpła. Bo jak dodać do tego jeszcze i to, co się ostatnio w mieście wyprawia...

– A co takiego się wyprawia? – spytał spokojnie doktor.

– Eee, to już może lepiej będzie, jak szef sam doktorowi powie.

Zaif wiedział o dwóch zabójstwach i miał nadzieję, że więcej ich nie było. Uśmiechnął się lekko, wyobrażając sobie te wszystkie drobne, acz dokuczliwe sprawy, jakie mogły mieć tymczasem miejsce w Kaliszu. Koncerty, amatorskie przedstawienia, jarmarki, od czasu do czasu jakiś bal. Poza tym kradzieże, bójki, awantury, czasem samobójstwo. Takie straszne rzeczy, jak zabójstwa sprzed dwóch lat, zdarzają się rzadko. Lecz w tej chwili jego wzrok padł na coś, co przypominało sporych rozmiarów tłumok porzucony tuż przy trotuarze.

– A cóż to znowu? – zdziwił się.

Poraj, któremu powrót jasności i obecność doktora nadzwyczajnie dodały animuszu, roztrzącił gapiów i żwawo ruszył w kierunku nieruchomego kształtu.

– Ktoś musiał zgubić bagaż – mówił, oglądając się na Zaifa. – Pewnikiem ten wariat, którego niedawno tędy przejechał jak szalony. Miałem mu nawet parę rubelków kary wlepić, ale ciemno się zrobiło i... Doktorze! Szybko! Toż to trup!

– A nie mówiłem? – stwierdził z satysfakcją mężczyzna, który przed chwilą wieszczył rozlew krwi.

– Prorok jaki czy co? – mruknął skonsternowany Poraj, któremu znów zrobiło się nieswojo.

Gapie podeszli bliżej. Kilka osób krzyknęło, jakaś kobieta zapłakała. Jej płacz natychmiast podjęło kilkoro stojących w pobliżu dzieci. Więcej jednak było widać ciekawskich spojrzeń, a dwóch czy trzech obywateli ruszyło żwawo w stronę nowej, nieoczekiwanej sensacji. Zaif powstrzymał ich stanowczym ruchem i w kilku szybkich krokach znalazł się przy Jašku. Przyklęknął i odsunął ciemny płaszcz szczelnie zakrywający leżący kształt. Jego oczom ukazał się budzący grozę widok. Całe ciało krzepko zbudowanego mężczyzny było podziurawione, jakby ktoś nadział je na pręty albo kratownicę, dziury bowiem tworzyły geometryczny wzór.

Kształt i liczba ran były tak nietypowe, że nawet przyzwyczajony do widoku nagłej śmierci doktor nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia i lekkiej odrazy.

– Jasiak, pędź po radcę Jezierskiego i kilku policjantów – nakazał. – Ja tu tymczasem poczekam i popilnuję ciała. Odsuń tylko trochę tę gawiedź, bo wszystko wokół zdeptają. Może zostały jakieś ślady...

Jasiek z powątpiewaniem pokręcił głową, ale polecenie Zaifa zamierzał wykonać, gdyż tak postąpiłby każdy bohater z sensacyjnych opowiadań, jakie po kryjomu Poraj czytywał. Były to najczęściej nowele kryminalne o dzielnych zagranicznych detektywach, którzy niemal w mgnieniu oka rozwiązywali takie zagadki, że człowiek by nawet nie przypuszczał, iż coś takiego jest w ogóle możliwe. Weźmy na przykład takiego pana Poego i jego *Zabójstwo przy rue Morgue*...

Jasiek otrząsnął się z zamyślenia i z wielką pewnością siebie zaczął rozganiać gromadzący się tłumek. Nie szczędził przy tym wypowiedzianych grubym głosem upomnień i gróźb surowych kar: co najmniej miesiąca w kozie lub kilku dziesiątek rubli grzywny dla nieposłusznym. Odsunawszy ciekawskich na odległość jakichś trzech metrów, porzucił swą powagę stróża prawa i rzucił się pędem do pałacu, by jak najszybciej zawiadomić Jezierskiego.

Po niespełna dziesięciu minutach nadjechał powóz, przywożąc Jezierskiego i Poraja, siedzącego z wielce dumną miną na koźle obok woźnicy. Zaraz za nimi nadbiegło kilku stójkowych. Zobaczywszy to gapie, przez moment ośmieleni nieobecnością stróżów prawa, przestali napierać i rozstąpili się z szacunkiem. Jasiek natychmiast zaczął komenderować posiłkami i policjanci przystąpili do spisywania zeznań świadków. Jezierski natomiast podszedł do doktora i uściśnął go krótko, acz z widocznym wzruszeniem.

– Drogi Jakubie! – zawołał z cicha i odsunął Zaifa na długość ramienia, by mu się znów przyjrzeć. – Takem rad cię widzieć w dobrym zdrowiu! Długo cię nie było i bardzo nam brakowało twojej obecności. Jak wiesz, wielkie nieszczęście spadło tu na nas. Cała rodzina jego ekscelencji nadal jest pogrążona w bólu, choć żalobę zdjęli, boć i rok już minął. Ale my wciąż cierpimy, tak, tak. Nie dziwię się, żeś wracać nie chciał i wolałeś cały swój ból znośić z dala od przyjaciół i miejsc, które by ci o stracie przypominały. Drogi mój, zacny przyjacielu! Brak mi tu ciebie było okrutnie. A ostatnimi czasy coraz bardziej. Porozmawiamy jednak nieco później, bo tu wokół zbyt wiele ciekawskich oczu i uszu.

Zaif, także wyraźnie mocno wzruszony, skinął tylko w milczeniu głową.

– Jasiek! Każ tu zaraz sprowadzić starego Maciąga, żeby zawiózł ciało do laboratorium doktora. Wiesz, Jakubie, wszystko, co zostawiłeś w Kaliszu, pozostało nienaruszone, osobiście tego dopilnowałem. Czy ktoś rozpoznał ciało? – znów zwrócił się do Poraja. – Tylko mi nie mów, że nie zdążyli się przyjrzeć.

– Przyjrzeć to może się i przyjrzeli – stwierdził flegmatycznie Jasiek – chociaż doktor szybko na powrót przykrył zwłoki płaszczem. Ale nikt do znajomości z nieboszczykiem jeszcze się nie przyznał.

– No to spraw dobrym ludziom uciechę i odkryj zwłoki. Może się kto zgłosi, zanim stąd odjedziemy. My z doktorem chwilę jeszcze porozmawiamy w powozie, ale zaraz jedziemy do pałacu. Ty wszystkiego dopilnujesz.

Poraj służbiście trzasnął obcasami.

– Tak jest, proszę waszej wielmożności – i ku zdumieniu ciżby mrugnął porozumiewawczo do Zaifa, który uśmiechnął się szeroko. Jezierski natomiast udał, że niczego nie zauważył i wziął doktora pod ramię, by poprowadzić przyjaciela do swojego powozu, ale Zaif go powstrzymał.

– Poczekaj, Walery, muszę zwolnić karetkę pocztową, którą tu przybyłem z Niemiec.  
– To teraz transatlantyki zawijają do Niemiec?  
– Nie, najpierw wylądowałem w Anglii, skąd promem dostałem się przez kanał do Francji, a stamtąd dyliżansem do Niemiec. Ostatni etap podróży przebyłem karetką pocztową, na którą szczęśliwie udało mi się zdążyć. Muszę zapłacić woźnicy i zabrać bagaż.  
– Tym to się zajmą moi ludzie. Jasiek, każ komuś zabrać bagaże doktora i uregulować rachunek za podróż.  
– Dokąd zawieźć bagaże? – spytał zawsze praktyczny Poraj.  
Jeziński spojrzał na doktora.  
– Do mojego mieszkania. Z ojcem zobaczę się wieczorem. Przedtem chciałbym...  
– Oczywiście, oczywiście. Niczym się nie martw, wszędzie cię zabiorę, wszystko ci opowiem. A teraz jedźmy do jego ekscelencji, który rad będzie zobaczyć cię po tak długiej podróży.  
– Powinienem się najpierw przebrać – zaprotestował Zaif.  
– Nie trzeba, to tylko krótka wizyta, a jego ekscelencja będzie wiedział, że przyprawiam cię prosto z drogi. Oficjalne spotkanie umówimy kiedy indziej, gdy już wypoczniesz.  
– Walery! Ty mi czegoś nie mówisz. Czy coś się stało?  
Jeziński wypuścił dech jak miech kowalski.  
– Chodźże stąd wreszcie, żebyśmy mogli normalnie porozmawiać, bez podsłuchującej cizby. Wszystko ci opowiem.  
– A więc jednak coś się stało!  
– Skaranie boskie z tobą. Chodź!  
Zaif pozwolił się poprowadzić do powozu agenta i wkrótce obaj odjechali w stronę pałacu gubernatora. Ludzie natomiast długo jeszcze stali na placu. Z przejściem i wręcz lubością rozprawiali o zaćmieniu oraz wyrzuconym z powozu ciele. Dawno nie było w mieście takich sensacyjnych wydarzeń!  
Tłok panował wciąż wielki i nie od razu zauważono leżące nieruchomo kobiety. Gdy już to nastąpiło, rzucono się je cucić, początkowo bowiem wszyscy byli przekonani, że niewiasty zemdlały. Niestety, kałuże krwi zastygłe pod ciałami szybko rozwiały wszelkie wątpliwości. Na zgromadzonych ludzi padł blady strach. Nie od razu też znalazł się chętny, który poszedłby o tym wydarzeniu zawiadomić policję.



## Rozdział 2

Tymczasem Jezierski z przyjacielem wysiadali właśnie przed pałacem gubernatora. Był to klasycystyczny gmach zbudowany, jak głosił łaciński napis na ścianie frontowej, w latach 1824–1825. Początkowo w tym miejscu stały budynki z końca szesnastego wieku. Stanowiły one największy w Kaliszu zespół architektoniczny, który ciągnął się od placu św. Józefa przez ulicę Kolegialną do ulicy Łaziennej. Cały ten zespół znajdował się kiedyś w rękach jezuitów, których w czasach kontrreformacji sprowadzono do Kalisza. W ich miejsce Szpilowski i Reinstein zaprojektowali monumentalny budynek na planie litery „E”, z czterokolumnowym portykiem korynckim.

Krótką wizyta u jego ekscelencji Michała Piotrowicza Daragana mocno wstrząsnęła Zaifem. Traf chciał, że zaprowadzono ich do tej samej sali, co przed dwu laty<sup>29</sup>. Znow stał w przestronnej komnacie w pastelowych barwach. Sufit nadal był błękitny, z namalowanymi gdzieś obłoczkami, dającymi złudzenie pogodnego letniego nieba. Pokój rozświetlały duże okna wychodzące na kaliski park. Wypolerowany parkiet dębowy, intarsjowany domieszką innego drewna, układał się w fantazyjną, trójwymiarową mozaikę.

Niezbyt liczne meble rozstawiono przy ścianach. Stało tam kilka sof, dwa szezlongi, kilka stolików, fotele i krzesła – wszystko obite wykwintnym materiałem w delikatny kwiatowy deseń lub brokatem. Tu i ówdzie widniały cenne, ale też starannie dobrane dzieła sztuki. Stał wśród nich kryształowy puchar z wizerunkiem Marii Leszczyńskiej, który zwrócił uwagę Zaifa, gdy był tu po raz pierwszy. Tak jak wtedy Maria, córka gubernatora, brzdąkała coś cicho na fortepianie przy oknie. Nie tryskała jednak wesołością jak dawniej. Spoważniała, a w jej oczach zagościł smutek.

Gubernator niemal się nie zmienił od tego czasu, choć przybyło mu siwych włosów i nieco się przygarbił, jakby niewidoczne brzemie, które dźwigał, było ponad jego siły. Nadal był przystojnym mężczyzną, szczupłym, o ciemnych włosach zaczesanych do tyłu tak, że odsłaniały wysokie czoło. Bujne, dość długie wąsy, starannie przycięte, opadały w dół, ale ich końce podkreślone były do góry. Jasne oczy spoglądały rozumnie i nieco melancholijnie, ale z całej postaci bił smutek. Nawet gdy Daragan się uśmiechał, ten smutek wciąż był widoczny w jego oczach.

Przede wszystkim jednak brakowało Anny grającej na harfie. Druga córka gubernatora, bliźniacza siostra Marii, zmarła nagle rok wcześniej, w maju, po kilkudniowej zaledwie chorobie. Zaif, który zakochał się w niej od pierwszego niemal wejrzenia, zresztą z wzajemnością, wciąż nie mógł w to uwierzyć. Wiadomość zastała go w Ameryce, gdzie przebywał u dziadków ze strony matki, i pogrążyła w takiej rozpacz, że omal nie postradał zmysłów. Nie chciał w ogóle wracać do kraju, ale słane, ostatnio niemal bez przerwy, listy od Jezierskiego, proszącego, by wracał, skłoniły go wreszcie do zmiany zdania.

Lecz jakież inny był ten powrót od zamierzonego! Miał wrócić po dwóch, trzech latach i prosić gubernatora o rękę Anny. Zamiast tego mógł tylko pójść na jej grób. Znał niemal na pamięć nekrolog zamieszczony w „Kaliszaninie”, który przysłał mu jakiś dalszy znajomy. Sprawił mu tym wiele bólu, choć nadawca nie miał takich intencji. Tyle że wiedział, iż Zaif poznał rodzinę gubernatora, ale nie miał pojęcia, jakie uczucia żywił wobec dziewczyny.

Jak to szło? *Podobało się Bogu dotknąć straszonym ciosem rodzinę p. Gubernatora kaliskiego, zabierając spośród niej do lepszego życia jedną z dwóch bliźniaczek, dziewczynkę s.p. Annę Daragan. Cios to tem boleśniejszy, że niespodziewany; kilkudniowa zaledwie choroba zmogła młody organizm i udaremniła wszelkie wysiłki sztuki lekarskiej. Jeżeli cokolwiek*

*przynieść może pociechę w podobnym smutku, to chyba chrześcijańska rezygnacja, każąca się zgadzać z wolą Nieba, to chyba myśl o wieczności i nadzieja, że tam gdzieś w pozagrobowym świecie spotkają się znowu duchy czyste i nierozłączną już nigdy. Na podobne boleści ludzie skuteczniejszego nie mają balsamu.*

*Szacunek i sympatia, jakie cały ogół tutejszy żywi dla dotkniętej nieszczęściem rodziny, znalazły swój wyraz w niekłamanym współczuciu i żalu po stracie pełnej zalet dziewczynki. Widomymi oznakami tego żalu – to kwiaty i wieńce zasypujące jej trumnę; niewidomymi – to szczerza modlitwa, płynąca z setek piersi przed Tron Najwyższego o anielstwo dla zmarłej, a ukojenie dla osieroconych<sup>30</sup>.*

Zaif otrząsnął się z zamyślenia i podszedł do gubernatora.

– Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje – powiedział głosem łamiącym się ze wzruszenia.

Daragan znał uczucia zmarłej córki do doktora, choć starał się jej wyperswadować tak trudną ze względu na różnice społeczne i wyznaniowe obojga miłość. Teraz, zamiast odpowiedzieć, przycisnął młodzieńca do piersi i uściskał. Lubił Zaifa bardzo, a jeszcze bardziej cenił za niepospolity umysł i w innych okolicznościach oddałby mu rękę Anny bez wahania. Los jednak sam rozstrzygnął ten problem.

Jakub zapłakał. Scena była tak wzruszająca, że łzy popłynęły po twarzach wszystkich obecnych. Nawet czekający przy drzwiach na rozkazy Jacenty ocierał ukradkiem mokre oczy. Nikt nie wstydził się tych łez, przeciwnie, wspólna boleść po stracie kochanego przez wszystkich dziewczęcia zacieśniła więzy między nimi. Czuli się sobie bliscy, niczym rodzina, choć więzy krwi łączyły jedynie Daragana z Marią.

Po wzruszającym powitaniu wszyscy zasiedli przy jednym ze stolików, a Maria nakazała Jacentemu przynieść samowar. Wkrótce potem pili znakomitą mocną herbatę, zagryzając na rosyjski sposób konfiturami z wiśni i ciasteczkami. Wspominali minione chwile, gdy towarzyszyła im Anna, lecz tym razem nie były one już tak bolesne. Przypominały raczej wspomnienia osób o kimś, kogo chwilowo nie ma tutaj, bo przebywa gdzieś daleko, ale sercem są wciąż wszyscy razem. Na różnych ploteczkach i wspominkach czas upłynął im szybko i przyjemnie. W końcu musieli się rozstać, gdyż gubernatora wezwały obowiązki, a i Jeziński z Zaifem mieli co robić.

Jeziński zabrał przyjaciela do swego gabinetu, by móc z nim wreszcie porozmawiać na inne niecierpiące zwłoki tematy, niedające mu spokoju. Mając jednak na względzie długą podróż przyjaciela, kazał najpierw podać suty obiad, w czasie którego zamierzał mu wszystko wyłuszczyć.

Zaifowi bardzo to odpowiadało. Z natury był milczący i zawsze więcej słuchał niż mówił. Teraz też spokojnie jadł znakomite pielmienie – małe pierożki, niewiele większe od kołdunów, które trafiły na rosyjskie stoły z Syberii, a pochodziły z kuchni chińskiej. Jeziński nie jadł, lecz chodził po gabinecie, paląc cygaro i tłumacząc Zaifowi, dlaczego tak pilnie wzywał go do powrotu.

– Sam wiesz, że nie zawracałbym ci głowy z byle powodu, choć chciałem, żebyś był drużbą na moim ślubie z Deborą. Ale tak szybko wyjechałeś, a myśmy też ze ślubem nie zwlekali...

– Ten zaszczyt należał się jego ekscelencji – stwierdził spokojnie Zaif, nadziewając na widelec kolejny pierożek. – A jak rozwiązaliście problem religii? W jakim obrządku był ślub?

– W obu – uśmiechnął się agent. Doktor również.

– A właśnie, pisałeś, że urodził się wam synek.

– Tak, to nasz pierworodny. Ale teraz mamy też dwie dziewczuszki.

Zaif odłożył widelec i spojrzał na przyjaciela ze zdumieniem.

– Walery, wybacz... ale wy jesteście niecałe dwa lata po ślubie! Jakim cudem macie troje dzieci?

Jeziński, który akurat nalewał sobie herbatę, musiał odstawić czym prędzej filiżankę, żeby jej nie stłuc. Zaczął bowiem śmiać się tak, że aż łzy pociekły mu po policzkach.

– To bliźniaczki, ośle! – wydyszał wreszcie, gdy mógł znów mówić.

– Słusznie mi się należało – stwierdził z pokorą Zaif i spokojnie wrócił do obiadu.

Jeziński pociągnął łyk herbaty, wziął odłożone do ciężkiej, kryształowej popielnicy cygaro i znów zaczął się przechadzać.

– Ale nie o to chodzi – powiedział.

– Domyślam się.

– Tak?

– Zapewne chodzi ci o te dwa zabójstwa, o których pisałeś.

– Jakbyś zgadł – powiedział z goryczą agent. – Ale nie dwa. Chodzi mi dokładnie o cztery zabójstwa, wliczając w to dzisiejsze zwłoki należące do... – Uniósł do oczu leżącą na biurku kartkę, którą musiał ktoś przynieść, zanim tu weszli. – Do Wawrzyna Trzeciaka, z zawodu cieśli. Dobrze się Jasiak spisał, skoro tak szybko ustalił nazwisko ofiary.

Zaif aż gwizdnął z wrażenia. Nie była to częsta reakcja u zwykle opanowanego i powściągliwego w reakcjach doktora.

– Co się dzieje? – zapytał zdumiony.

Jeziński wydmuchnął kłęb dymu i westchnął.

– Żebym to ja wiedział!

– Jak to! – zdumienie Zaifa wzrosło jeszcze bardziej. – Nic nie wiesz? To niemożliwe!

– Coś tam wiem, ale raz, że naprawę mało, a dwa, zapewniam cię, że to do niczego nieprzydatne.

– Zobaczymy. Mów zatem, co wiesz.

– Na razie znam nazwiska i zawody ofiar. Zauważyłem też pewną prawidłowość.

Wszyscy to mężczyźni zajmujący się pracą fizyczną. Murarz, stolarz, ślusarz i cieśla.

– Sami rzemieślnicy związani z budownictwem lub naprawą domów czy też innych budynków – stwierdził w zamyśleniu Zaif.

– I co z tego wynika? – zapytał z rozpaczą Jeziński.

– Jeszcze nie wiem, ale możliwości jest wiele.

– Na przykład? – zgryźliwość w głosie agenta wynikała z frustracji, nie była wymierzona w osobę doktora, o czym ten doskonale wiedział, więc się nie przejął.

– Na przykład, że ktoś chorobliwie nienawidzi przedstawicieli tych zawodów. To może być wynik urojeń, choroby psychicznej, ale przyczyną może być też jakiś uraz powodujący niechęć do wszystkich przedstawicieli jakiegoś określonego zawodu. Może kiedyś padł ofiarą oszustwa ze strony kogoś takiego albo doznał innej krzywdy...

– I od razu zabija? – Jeziński nie mógł powstrzymać ironii. – W dodatku jak to możliwe, żeby podpadło mu aż tyle zawodów? Rozumiem jeden, na przykład stolarz. Albo murarz. Ale co mu zrobił ślusarz czy też cieśla? No co?

Zaif nie potrafił powstrzymać uśmiechu, widząc tak rozżalonego agenta.

– Naprawdę nie wiem. Może wszyscy ci rzemieślnicy pracowali w jego domu i okazali się fuszerami? Oszustami? Albo jedno i drugie? A może zabójca nie jest osobą przy całkiem zdrowych zmysłach...

– Myślisz, że to wariat? – zapytał Jeziński z niejaką nadzieją. W głębi duszy uważał, że wariat prędzej czy później przejawia widoczne oznaki swojego obłądzenia, a ludzie takie rzeczy widzą i się boją, więc ktoś to w końcu zgłosi. Łatwiej zatem takiego złapać.

– Nie. Przedstawiam ci tylko jedną z możliwości. Dopóki nie dowiem się czegoś więcej, niczego nie będę zakładał.

– Słusznie, ale niewiele więcej wiem.

– Powinieneś wiedzieć, jak zginęli.

Jeziński przestał spacerować i popatrzył na Zaifa z lekkim wyrzutem.

– Co do niektórych chyba wiem, jak zginęli, ale, najogólniej mówiąc, niczego nie jestem pewien. Wyjechałeś i straciłem najlepszego patologa, jakiego w życiu widziałem. Skąd mam wiedzieć, czy tych kilku łapiduchów, którzy robili sekcje, albo nawet i pan Prusinowski, czegoś nie przeoczyli albo się nie pomylili? I czyja to wina? He?

– Ależ Walery!

– Wiem, wiem. Tak tylko mówię, żebyś wiedział, jak byłeś i jesteś mi potrzebny tu, na miejscu. Nie mogłem trzymać ciała w nieskończoność, bo miejsca by zabrakło w kostnicy i lodu, nie mówiąc o rodzinach, które chciały pogrzebać swoich zmarłych. Wszak nie wiedziałem, kiedy wrócisz. Ale ten przedostatni i dzisiejszy nieszczęśnik są do twojej dyspozycji – zakończył z dumą.

Zaif uśmiechnął się mimo woli.

– Dotrwają do jutra?

– O, z całą pewnością, nawet dłużej. Dziś i jutro możesz wypoczywać i witać się z rodziną.

– Dziękuję, prawdziwy z ciebie łaskawca.

Agent machnął ręką, jakby odganiał muchę.

– Nie narzekaj. Już dość się naleniuchowałeś za granicą.

– Tego bym nie powiedział. Ale jutro z samego rana wezmę się do pracy. Zacząlbym już dziś, lecz przyznać muszę, że długa podróż dała mi się jednak we znaki.

– Przynajmniej nie będziesz się nudził. Po powrocie z tych obcych krajów nasz Kalisz wydaje ci się pewnie zupełną prowincją.

– Faktycznie wydaje się mały. Nieprawdopodobnie wręcz, by w takim miejscu znów doszło do tyłu zbrodni!

– Po twoim wyjeździe długo był spokój. Początek tego roku też nie obfitował w poważne przestępstwa. O, tu masz wycinki z „Kaliszanina”. Sokołow mi je przygotowuje, żebym wraz z jego ekscelencją miał zwięzły wyciąg z tego, co pisze prasa. Oczywiście drugi egzemplarz „Kaliszanina” jest wysyłany do Petersburga, zgodnie z ukazem carskim<sup>31</sup>. Nie mam jednak czasu na czytanie każdej gazety od deski do deski. Taki zbiór najważniejszych wydarzeń jest bardzo przydatny. Ten rejestr Sokołow prowadzi od stycznia. Ostatnie artykuły wpiął w tym tygodniu. Którego dziś mamy? Siedemnastego czerwca, tak? No to ostatni wycinek jest z dwunastego. Widać przez te kilka dni nie zdarzyło się nic godnego uwagi.

Wziął do ręki niezbyt gruby skoroszyt i otworzył go.

– Posłuchaj, to jest ze stycznia. Szacowna kaliska gazeta pisze tak: *W zeszłą środę w nocy, w domu przy ul. Piekarskiej, wybuchnął pożar. W tej właśnie chwili przechodził tamtędy rewizyjny, strażnik Iwanów, który ujrzawszy niebezpieczeństwo, wpadł do wnętrza domu i pożar w samym zarodku ugasił przy pomocy stróżki<sup>32</sup>.*

Albo: *Od pewnego czasu powtarzały się w Kaliszu dość śmiało kradzieże. Policja czuwała i wpadła na trop złodziei, schwyciła ich w tych dniach na gorącym uczynku.*

Rzezimieszki, niedawno wypuszczeni z więzienia, główne swoje siedlisko mieli na Rypinku gdzie mieszkał ich przywódca, u którego wykryto wiele skradzionych przedmiotów<sup>33</sup>. Mieliśmy też w okolicy jedno utonięcie, ale to nieszczęśliwy wypadek. Wiąże się z nim jednak pewna ciekawostka.

Agent przerwał na chwilę, by zapalić kolejne cygaro, więc Zaif sam wziął skoroszyt i przeczytał wskazany artykuł: *Córka mieszczanina w Wieruszowie, załamawszy się na lodzie Prośny utonęła i przez kilka tygodni nadaremnie szukano topielca, dopiero przed kilku dniami siostra zmarłej, opierając się na sennem widzeniu, jakie miała, wskazała najdokładniej miejsce nad brzegiem rzeki, gdzie po wyrąbaniu lodu znaleziono zwłoki nieszczęśliwej*<sup>34</sup>.

– Jak sądzisz – zapytał Jezierski. – Czy ta dziewczyna naprawdę ma zdolność jasnowidzenia?

– Nie wiem. Zawsze możesz to sprawdzić. Zaprosz ją, by pomogła ci w śledztwie.

Agent prychnął z niechęcią.

– Jeszcze czego! Chyba na głowę bym upadł, a jego ekscelencja wysłałby mnie na leczenie, gdybym z jakąś mieszczką śledztwo ustalał! Zresztą miałem tu już większych ekspertów. O, proszę – wskazał palcem.

Zaif przebiegł wzrokiem krótką informację, która głosiła, że *Zjechał do Kalisza p. Czesław Czyński*<sup>35</sup>, doktor medycyny, członek towarzystwa psychologicznego w Londynie, celem urzędzenia dwóch seansów hipnotycznych (...) *Pierwszy seans odbędzie się w sali koncertowej, w przyszłą niedzielę, o godzinie 8-ej wieczór*<sup>36</sup>.

– Czyński! – wykrzyknął niemile zaskoczony Zaif. – Mam nadzieję, że z nim nie rozmawiałeś?

– Jakoś się nie złożyło – odparł zdumiony Jezierski. – A dlaczego?

– To zły człowiek – stwierdził ponuro doktor. – Niektórzy uważają go za masona, ale żadna przyzwoita loża nie powinna się przyznawać do kogoś takiego. To oszust, zwolennik anarchii i prawdopodobnie satanista. Wyjątkowa kanalia. Miał nawet proces o uwiedzenie trzydziestoosmioletniej baronowej Hedwig Zedlitz. Słyszałeś o tym? Nie? Baronowa szukała u Czyńskiego pomocy w problemach z żołądkiem i migrenami. Podczas wizyt terapeutycznych zakochała się w nim, a jej ojciec pozwał go, oskarżając o uwiedzenie córki i zaaranżowanie nielegalnej ceremonii ślubnej. Czyńskiego aresztowano i w Monachium rozpoczął się proces trwający trzy dni. Odbił się szerokim echem w Europie, wzniesając debatę na temat legalności hipnozy. Ostatecznie Czyński został skazany na trzy lata więzienia za nieprawne zawarcie małżeństwa<sup>37</sup>. Podejrzewam go także o przynależność do Zakonu Iluminatów, zwanego też Zakonem Martynistów, który próbował przejąć kontrolę nad wszystkimi tajnymi stowarzyszeniami na świecie, także nad masonerią<sup>38</sup>.

Jezierski roześmiał się.

– Jakubie! Znów te tajne stowarzyszenia! Iluminaci? Martyniści? Nie powiesz mi, że do nich też należysz? I co to właściwie znaczy „przejąć kontrolę”?

W przeciwieństwie do agenta, doktor nawet się nie uśmiechnął.

– Nie, nie należę do iluminatów, jestem tylko mało ważnym masonem.

– Nie takim znów mało ważnym, skoro zostałeś strażnikiem ich skarbu. Zresztą znakomitym w tej roli.

– Nie przesadzajmy.

– Jesteś zbyt skromny. Doprawdy nie wiem, czy to zaleta, czy wada. Nieważne. Wyjaśnij mi natomiast, kim są ci iluminaci i czy należy się ich obawiać? Mają tu jakieś wpływy?

– Cóż, to trochę przydługa historia, więc może opowiem ci ją innym razem.

– W porządku. Wracając jednak do tego, co ostatnio działo się w Kaliszu, rzecz jasna oprócz tych kilku niewytłumaczalnych śmierci, to w tym miesiącu, mieliśmy jeszcze jedną kradzież i tragiczny wypadek. Bardzo przykry, wierzaj mi. Jego ekscelencja bardzo się nim przejął.

Zaif znów zaczął czytać. Oba artykuły były na tej samej stronie, pierwszy dotyczył kradzieży: *W tych dniach w mieszkaniu rotmistrza dragonów W. popełnioną została znaczna kradzież. Nie wykryty jak dotąd złoczyńca zabrał z szuflady stolika tysiąc kilkadziesiąt rubli. Kradzież odbyła się w dość niezwykłych okolicznościach, złodzieja schwytano prawie w pułapkę, gdyż spostrzeżono go dość wcześnie i zamknięto w mieszkaniu, a pomimo to ująć zdołał. Podejrzan o udział indywidualnie aresztowano*<sup>39</sup>.

Kolejna informacja niosła rzeczywiście bardzo przykre wieści: *W zeszłą sobotę matka stała się mimowolną zabójczynią swoich dwojga dzieci. Kobieta usługująca w jednym z domów przy ulicy Marjańskiej, zobaczywszy kawałek kielbasy zabrała takową i dała ją do spożycia swoim dwojgu dzieciom. Wkrótce potem okazały się symptomy otrucia, młodsze z dzieci, pięcioletnie – zmarło, starszy chłopiec jedenastoletni odwieziony został do szpitala.*

*Zabrana kielbasa była przygotowana jako trucizna na szczury*<sup>40</sup>.

– Biedne dzieciaki – westchnął ze smutkiem. – A jak też musi się czuć ich matka! Nie jestem w stanie wyobrazić sobie takiej tragedii. Jedyne celowe pozbawienie kogoś życia napawa mnie większym żalem i gniewem.

– Mówisz o morderstwie – skonstatował agent.

– Tak – przyznał Zaif. – A mamy ich teraz niemało, jeśli mam wierzyć twoim słowom.

– Wiesz, że możesz. Wszystko, co udało się mnie i moim ludziom zgromadzić na ten temat, znajduje się jednak w innym skoroszycie. Także raporty z sekcji. W tym, który teraz czytasz, są tylko zwykłe informacje. O koncertach, majówkach, *et cetera, et cetera*.

– Daj mi w takim razie ten drugi skoroszyt.

– Jasiek już go zawiózł do twojego mieszkania, razem z bagażami. Poczytasz sobie, gdy się już odświeżysz i odpoczniesz. Tylko nie przy jedzeniu, bo to naprawdę niemiła lektura.

– Jestem lekarzem i jak sam wiesz najlepiej, przeprowadziłem już wiele sekcji zwłok.

Mało co mnie wyprowadzi z równowagi lub pozbawi apetytu.

– Być może, ale jeśli za granicą nie praktykowałeś, to pewnie trochę się odzwyczaiłeś od takich opisów i widoków. Bo widzisz – w głosie agenta zabrzmiała nietajona duma – nie od razu to się udało, ale poszedłem za twoimi radami i w końcu zdołałem wdrożyć nowe metody pracy, tak jak to planowaliśmy przed twoim wyjazdem. Od dłuższego czasu robimy też fotografie przestępców oraz... zwłokom. Czasem udaje się też sfotografować miejsce zbrodni, nawet w terenie, jeśli topografia sprzyja. Rozumiesz, ten sprzęt jest piekielnie nieporęczny. Poza tym to drogie przedsięwzięcie, więc przyznaję, że nie robimy tego zbyt często, niestety.

– To jednak bardzo mądra decyzja – pochwalił doktor.

– Sokołow zajmuje się teraz prowadzeniem zbioru fotografii i odcisków palców, natomiast Kamiński prowadzi normalne archiwum, z informacjami tradycyjnymi, powiedziałbym. Wiesz, opis, miejsce zamieszkania, wszelkie informacje, jakie uda się zdobyć. A że na stałe współpracuje z ochroną... To, niestety, jest obowiązkowe w całym kraju. Ale ma też swoje dobre strony, bo ochrona zawsze coś wywęszy, a i swoje archiwa ma bogate, więc łatwiej nam teraz sprawdzać różne podejrzane ptaszki.

– Kartoteka przestępców to podstawa – przyznał Zaif. – Ale fakt, że wzbogaciłeś ją o fotografie i odciski palców, to już postawa godna męża stanu. Czy ty wiesz, że jesteś równy, co tam, lepszy od samego Bertillona<sup>41</sup>? Lepszy, bo on stosuje pomiary antropometryczne, a ty

odciski palców. Moim zdaniem jego pomiary nie są ani w połowie tak skuteczne w identyfikacji, jak odciski palców. Poza tym wymagają skomplikowanych pomiarów i zapisywania mnóstwa wymiarów każdego delikwenta. To bardzo pracochłonna i wcale nie tak pewna metoda! A przez to zniechęcająca. Niemniej Bertillon w zeszłym roku<sup>42</sup> osiągnął już chyba szczyt sławy. Dostał własne pomieszczenia, w których urządził coś w rodzaju centrum antropometrii w Paryżu, a także atelier fotograficzne. Nakazał robić przestępcom dwa zdjęcia: *en face* i z profilu, w tym samym oświetleniu i z tej samej odległości. Skonstruował nawet specjalne krzesło obrotowe! A ty jak robisz zdjęcia?

– My robimy co najmniej trzy zdjęcia – z dumą oświadczył agent. – *En face*, z profilu i całej sylwetki. Czasem więcej, jeśli przestępca ma jakieś charakterystyczne cechy, na przykład znamiona, brodawki albo garb.

Zaif był zachwycony.

– Niesłychane! Nigdy nie przypuszczałem, że zwrócisz uwagę na moje nieśmiałe propozycje, by na miejscu zbrodni robić zdjęcia, a ty poszedłeś jeszcze dalej i fotografujesz też przestępców i ich fizyczne defekty!

– A tak, doskonale pamiętam, co mi mówiłeś dwa lata temu, gdy obaj biedziliśmy się nad rozwiązaniem zagadki zabójstw, których dokonywał Adam Forster<sup>43</sup>, by zdobyć skarb masonów. Już wtedy wspominałeś, że przydałby się fotograf. Wtedy nie musiałybyś tyle szkicować. Mimo wszystko to były dobre czasy, nie sądzisz?

– Tak, powiedziałbym, że to była prawdziwa przygoda, gdyby tylu Bogu ducha winnych ludzi nie straciło życia – westchnął Zaif.

– Ha! – zakrzyknął nagle agent, przypomniawszy coś sobie. – Ty nawet nie wiesz, ile tu mieliśmy ambarasu po twoim wyjeździe! Wszak zamieniłeś prawdziwe klejnoty na podrobione i gdy Hurko w końcu to odkrył, niemal tu przyjechał! Tylko lekki atak apopleksji go powstrzymał, ale od tej pory jeszcze bardziej nienawidzi gubernatora Daragana. Nijak nie chciał przyjąć do wiadomości, że skarb nie był prawdziwy.

– Dlaczego? – zaciekał się Zaif. – Przecież nie mógł udowodnić, że było inaczej.

– Wszystko przez ten kielich, który Jasiek od razu rozpoznał. Ten z kolegiaty Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Jak się okazało, już wcześniej było z nim niemało kłopotów i w końcu prasa się rozpisala, że do kościoła wrócił falsyfikat i różne osoby były podejrzewane o jego przywłaszczenie. Z nami włącznie.

– Nie może być! – Zaif był wstrząśnięty samą myślą, że ktoś mógłby go podejrzewać o kradzież. Natomiast Jezierskiego wyraźnie to bawiło.

– A tak. Przez tych pismaków Hurko oczywiście o wszystkim się dowiedział i zaczął podejrzewać, że to myśmy cały skarb zagarnęli i tylko ten kielich zwróciliśmy kościołowi.

– Prawdziwy skarb został przekazany prawowitym właścicielom – stwierdził lakonicznie Zaif. – Kielich skradł zapewne Forster. A że nie należał on do skarbu, więc oddałem ci go, byś zwrócił własność kolegiacie.

– Tak, pamiętam. Ale znasz Hurkę, jego skąpstwo i chciwość są słynne jak Polska z Rosją długa i szeroka. Ktokolwiek jednak jest właścicielem skarbu...

– To i tak nieistotne – dokończył za niego doktor.

– Z pewnością. Ale historia jest długa, więc opowiem ci ją kiedy indziej.

– Opowiedz mi ją w drodze. Bo mnie chyba odwieziesz, zamiast skazywać na nudnego fiakra? W zamian dostaniesz ode mnie prezent, który wiozę aż z Ameryki. Będziesz jednak musiał wstąpić do mnie na chwilę, bo wszystko jest w bagażach.

– Chętnie z tobą pojedę, ale historię kielicha opowiem ci innym razem. W końcu to nic

takiego, co by nie mogło poczekać.

– W porządku, na pewno wkrótce trafi się okazja do rozmów przy stole biesiadnym. Wtedy opowiesz mi, w jaki sposób kielich z kaliskiej kolegiaty przyczynił się do apopleksji gubernatora Hurki.

Jeziński roześmiał się.

– Oczywiście. Jacenty! – zawołał na kamerdynera, a gdy ten się niezwłocznie pojawił, widać czuwając za drzwiami, rzucił: – Każ Pietii zajeżdżać, odwiozę doktora do domu.

Kamerdyner skłonił się z uszanowaniem i bez słowa wyszedł spełnić polecenie agenta.

Niebawem jechali wygodnie rozparci w powozie opatrzonym znakami gubernatora. Zaif mieszkał na Przedmieściu Wrocławskim<sup>44</sup>, skąd miał stosunkowo blisko do szpitala św. Trójcy, gdzie wynajmował pomieszczenia na laboratorium. Nie było to bardzo daleko od pałacu gubernatora, ale jednak już blisko Rogatki Wrocławskiej, czyli oficjalnego końca miasta. Wszystko, co za nią leżało, długo jeszcze zaliczano do wsi. Podróż minęła im jednak szybko na wymianie licznych drobnych informacji o tym, co się działo, szczególnie u wspólnych znajomych. Wkrótce stanęli na miejscu.

– Wstąpisz ze mną na górę? – zapytał doktor i wysiadł z powozu. Znajdowali się przy samej bramie kamienicy, w której wynajmował obszerne mieszkanie, odkąd wyprowadził się od ojca, zajmującego piękną willę pod Kaliszem.

Jeziński przymrużył filuternie oko.

– Za nic nie przepuszczę takiej okazji! Przecież obiecałeś mi prezent z Ameryki. Przyznam, że jestem ogromnie ciekaw, co też to może być.

– Gdy tak mówisz, zaczynam się zastanawiać, czy prezent spełni twoje oczekiwania – zaniepokoił się Zaif i poprowadził gościa do mieszkania.

Otworzywszy drzwi, stanął zaskoczony w progu.

– O, bardzo tu czysto, jak na dwa lata mojej nieobecności – zdziwił się.

Jeziński chrząknął i niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Muszę ci się przyznać, że załatwiłem twojemu medycznemu pomocnikowi stancję w tym domu. Mieszka w służbówce u stróża, dlatego mógł doglądać twojego dobytku.

– Staś Małyżko? Ależ Walery, to znakomity pomysł! Żałuję, że sam na to nie wpadłem przed wyjazdem, ale wszystko działo się tak szybko, że nie przyszło mi to do głowy. Gdybym o tym pomyślał, kazałbym mu zamieszkać nie na dole, ale w moim mieszkaniu. Tu też jest służbówka. A mieszkanie było cały czas opłacane, ojciec dbał o wszystkie moje sprawy.

– Nie byłem pewny, czy to wypada, więc na wszelki wypadek zainstalowałem go na dole. Staś i tak był zadowolony. Ja zresztą także, bo jak ci już wiadomo, mieliśmy tu trochę zuchwałych kradzieży, nie wspominając o pożarach. Poza tym znalazłem mu pracę, zapewniam cię, że nie przymierał głodem.

Zaif uściśnął mu rękę z wdzięcznością i podszedł do złożonych w niedużym saloniku bagaży, porządnie ustawionych, niczym w wojskowym ordynku. Wyłowił jeden kufer i otworzył go. Ze środka wyjął zbite z cienkiej sklejki znacznych rozmiarów, ale niezbyt ciężkie pudło i podał je przyjacielowi. Jeziński zdjął wieko i jego zdumionym oczom ukazał się kompletny strój indiańskiego wojownika. Uszyta z miękkiej skórki bluza, ozdobiona koralikami, frędzlami i kawałkami futer, także spodnie i mokasyny. Oprócz tego pióropusz, łuk, kołczan ze strzałami, nóż myśliwski i kasetka z dwoma rewolwerami.

– Oryginalne colty – powiedział Zaif, wiedząc, że przynajmniej rewolwery spodobają się agentowi. – Chociaż właściwie nie powinienem ich tak nazywać, bo od dobrych trzydziestu lat produkuje je firma zbrojeniowa Smith & Wesson<sup>45</sup>. Opracowali wiele wzorów rewolwerów.



Znakomita broń palna. Widziałem, że miałaś podobny.

– Miałem, ale dużo starszy i nie tak piękny – odparł wzruszony agent. – Tamten ma wżery i sprężyna się złamała. Już go od dawna nie używam. Ostatnim jego wyczynem było zastrzelenie Forstera.

– Teraz masz dwa i w dodatku usprawnione, nie zacinają się. Do tego kilka pudełek naboju, które zapakowałem oddzielnie. No cóż, dam ci je później, bo nie wiem, gdzie są. Ale podobno w Europie bez problemu można kupić amunicję. W Niemczech i Anglii na pewno, nie wiem, jak w Polsce lub Rosji.

– O to się nie martw. Musiałbym być bardzo kiepskim agentem, żeby sobie nie poradzić z kupnem potrzebnej mi amunicji.

– No to świetnie. Natomiast ten strój Indianina...

– Do licha! Gdzie według ciebie miałbym w czymś takim wystąpić? – zafrasował się Jezierski. – Nie mówię, że mi się nie podoba, ale...

– Zrobisz furorę na balu kostiumowym. A właściwie zrobicie, bo Deborze przywiozłem strój indiańskiej squaw. Oba są oryginalne, zrobili je Apacze Mescalero.

– Chyba że tak – odetchnął z ulgą Jezierski i szeroko uśmiechnął się na myśl, jaką też minę będzie miała jego żona, gdy zobaczy swój prezent od Jakuba.

– Mam też cztery takie stroje dla dzieci. Dwa chłopięce i dwa dla dziewcząt. Nie wiedziałem, ile zamierzacie mieć dzieci, więc uznałem, że cztery na początek wystarczą...

– A niech cię kule biją! – roześmiał się agent.

– Jeden poczeka...

– Jak to powiem Deborze, to jak nic cię udusi! Na razie ma dosyć dzieci, bo w krótkim czasie trafiła nam się trójka, a ona się boi, że następnym razem znów mogłyby nam się przydarzyć bliźnięta!

Zaif się uśmiechnął.

– W takim razie sam zawieź jej prezenty. Ja odwiedzę ją jutro albo nawet pojutrze, może do tego czasu złość jej minie.

– Już dzisiaj pewnie chciałaby cię widzieć, ale nic jej jeszcze nie powiedziałem o twoim przyjeździe. Musisz przede wszystkim przywitać się z ojcem i wypocząć po tak długiej podróży. Już mam wyrzuty sumienia, że cię na trzy godziny przyaresztowałem, lecz tak bardzo chciałem, żebyś wrócił i pomógł mi w śledztwie, że musiałem ci o nim opowiedzieć!

– Nie przejmuj się, nie jestem aż tak zmęczony. Poza tym mnie też brakowało twojego towarzystwa.

– Dziś cię już zostawiam. Musisz jednak koniecznie odwiedzić nas pojutrze. Debora nie daruje mi, jeśli nie wymogę na tobie obietnicy, że przyjdiesz do nas na obiad. Nie wiem tylko, czy ojciec cię wypuści. Wszak on też się za tobą stęsknił.

– Och, jak znam mojego kochanego staruszka, to na pewno już szykuje jakieś przyjęcie z okazji mojego powrotu. Zawiadomiłem go telegraficznie, że wracam dziś wieczorem. Namówię go jednak, żeby przyjęcie zrobił w piątek lub sobotę i zaprosił od razu rodzinę i wszystkich naszych kaliskich przyjaciół. Wtedy będę miał czas odwiedzić was pojutrze, bo dziś jest dopiero wtorek.

– W takim razie jesteśmy umówieni.

Odprawiany przez przyjaciela Jezierski zmierzał do wyjścia i był właśnie o krok od drzwi, gdy te niespodziewanie otwarły się na oścież tak gwałtownie, że z trzaskiem uderzyły o ścianę.

– Jasiak! – zawołał zdumiony i jednocześnie poirytowany agent. – Co też wyprawiasz,

utrapieńcze?! Wchodzisz jak do obory!

Mocno zdyszany Jasek spojrział na pryncypała z niemym wyrzutem.

– Szeffie – wydusił z trudem – są kolejne ciała...

Jezierski przyskoczył do niego.

– Jakie ciała? Mów zaraz!

– Dwie kobiety.

– Kobiety? – zdumiał się niebotycznie agent. – Dziwne!

I wybiegł spiesźnie.

Pozostawszy tak niespodzianie sam, Zaif mruknął do siebie w zadumie:

– Tak, to dziwne.

Coraz mniej mu się podobało to wszystko. W mieście z pewnością działo się coś niedobrego. Atmosfera stawała się coraz mroczniejsza i zaczynała łudząco przypominać tę sprzed dwóch lat, gdy po mieście grasował Forster.

– Obawiam się, że czeka nas jeszcze wiele niespodzianek, a co jedna, to gorsza – obwieścił na głos.

Kolejne dwa dni upłynęły Zaifowi jak z bicza strzelił. Dwoił się i troił, przeprowadzając z pomocą Stasia Małyszki autopsję Wawrzyna Trzeciaka i Franciszka Kłockiego. Dziś od świtu obaj mozolili się nad ciałem pierwszej kobiety, w kolejce czekały zwłoki jeszcze jednej. Doktor wiedział, że w najbliższym czasie nie wyrwie się z pracy, w najlepszym razie skończy jutro. Mimo to dręczyła go ciekawość, co takiego się wczoraj wydarzyło, że dziś musi dokonać sekcji dwóch stosunkowo młodych kobiet! Jak na razie nie dostał od Jezierskiego żadnych wieści, więc miał nadzieję, że agent złoży mu choćby krótką wizytę i opowie, co się stało.

Jezierski wpadł do szpitala św. Trójcy około południa, niosąc sporej wielkości papierową torbę z kanapkami i butelką wina.

– Nie wiedziałem, czy można tu gdzieś zrobić herbatę – powiedział, rozglądając się nieufnie po pomieszczeniu, które przyjaciół przed kilkoma laty wynajął od szpitala za własne pieniądze. Urządził w nim nowoczesne laboratorium, a za nim miejsce do przeprowadzania sekcji, w którym królował duży metalowy stół. Przy laboratorium wydzielił też coś w rodzaju niewielkiego gabinetu, gdzie miał biurko, dwa krzesła i szafkę na dokumenty. Tam też jadali ze Stasiem posiłki, jeśli wypadło im długo pracować.

– Widzę, że nieźle się już urządziłeś – stwierdził agent, rozglądając się z uznaniem. – Ale przed dwoma laty przeżyłem tu chwilę grozy – wyznał.

– Naprawdę? – zdziwił się doktor. Małyszko chciwie, acz dyskretnie nastawił ucha.

– Gdy byłem tu pierwszy raz, nie miałeś tak nowoczesnego wyposażenia.

– Nieprawda, laboratorium było całkiem nowe.

– Laboratorium tak, nawet mi się podobało, bo człowiek czuł się w nim jak w pracowni alchemika, ale miałeś tu takie straszne przyrządy. Istne narzędzia tortur!

Doktor wskazał ręką oszklone szafki, wiszące za plecami Jezierskiego na ścianie niczym galeria obrazów.

– Masz na myśli tę kolekcję? Powiększyłem ją o kilka egzemplarzy. Niektóre niedawno nadeszły z Ameryki. Część zdołałem nawet opisać.

Jezierski zamarł, ale w końcu niechętnie spojrział we wskazanym kierunku. Jego oczom ukazał się budzący dreszcz widok rozmaitych narzędzi chirurgicznych. Wyszczerbiona piła tarczowa Graefego<sup>46</sup> szczyrzyła zęby w upiornym uśmiechu, trepan, który z boku wyglądał jak korkociąg, bo miał podobną rączkę, straszył grubym ostrzem pośrodku, otoczonym przez mniejsze ostrza. Właśnie stwierdził, że ma dość, gdy jego wzrok padł na coś wyglądającego

dużo bardziej niewinnie i interesująco zarazem.

– A co to takiego? – zapytał, wpatrując się w walizeczkę wypełnioną jakimiś dziwnymi akcesoriami.

– Zestaw do lewatywy z dymu tytoniowego – wyjaśnił Zaif uprzejmie.

– Ki diabeł? – zdumiał się agent.

– Lewatywa tytoniowa polega na wdmuchnięciu dymu tytoniowego w odbyt pacjenta. Pierwotnie w celu reanimacji ofiar zbyt długo przebywających pod wodą, później dla różnych innych medycznych celów. Podłużną końcówkę wkłada się nieprzytomnemu w odbyt, a następnie wprowadza dym za pomocą dmuchawy. Temperatura oparów miała sprzyjać poprawie oddychania.

Jeziński otarł pot z czoła.

– Okropność – wychrypiał. – Zupełnie nie rozumiem, po co trzymasz to całe żelastwo. Mam nadzieję, że ta część, w której przeprowadzałeś kiedyś sekcje, wygląda lepiej. Pamiętam tylko metalowy stół.

– Nadal mam metalowy stół.

– Ten sam?

– Nie, ten jest nowszy, ma tak zwane kanały odpływowe.

– Kanały odpływowe? – zdziwił się agent, a Staś odwrócił głowę, by ukryć uśmiech, gdyż doskonale wiedział, co się za chwilę stanie.

– Wiesz, czasem ciało trzeba umyć, nieraz przed sekcją, a już na pewno po niej. Tymi kanałami spływa krew, woda i inne...

Tego agentowi było aż nadto. Zzieleniał na twarzy i bez słowa wypadł za drzwi.

– Co mu się stało? – zdumiał się Zaif. – Przecież doskonale wie, na czym polega sekcja zwłok?

– Ale nigdy nie brał w niej udziału – stwierdził pobłaźliwie Staś. – Ja też najspierw okropnie się brzydziłem. Chorowałem ze dwa dni po pierwszym nieboszczyku, którego przy mnie otworzyli, a przez resztę tygodnia mogłem tylko pić gorącą wodę. Inaczej nawet po herbacie rzyg... Znaczą, miałem torsję. A jeść to zupełnie nie mogłem.

– No dobrze, wszystko to rozumiem, ale Walery jeszcze nie widział ciała! Przecież, u licha, wciąż stoimy w części laboratoryjnej!

– Sądzę, że po tych narzędziach, które tu obejrzał, wystarczył mu opis stołu.

– Niesłychane! – skomentował wciąż zdumiony Zaif. – Kiedy wróci, zaprowadź go do gabinetu i przynieś z kuchni gorącej wody, żeby mógł się napić herbaty. Wino mu raczej nie pomoże, nie rozgrzewa aż tak dobrze, a ja nie mam tu nic mocniejszego. Herbata będzie w sam raz dla jego wrażliwego żołądka. Zaraz skończę i będziesz mógł zaszyć ciało. Potem wysterylizuj narzędzia. *À propos* sterylizacji, pamiętaj, żeby nie poddawać temu procesowi rękawiczek, jak to zrobiłeś ostatnio. Są z gumy, chłopcze. Wysoka temperatura je niszczy. Najpierw je umyj, nie zdejmując z rąk, w wodzie. Potem trzeba je odkazić w dwuprocentowym roztworze formaliny i opłukać w wodzie destylowanej. Następnie nasadź je na drewniane prawidła, żeby wyschły i napudruj talkiem. Przy okazji sprawdź, czy nie mają gdzie dziury, bo wtedy trzeba nałożyć łatę. Od wewnątrz. I odłóż je na bok, bo można ich używać dopiero po kilku dniach – westchnął, ale zaraz się uśmiechnął. – Te rękawiczki to prawdziwe dobrodziejstwo autorstwa pana Halsteda<sup>47</sup>, zwanego ojcem amerykańskiej chirurgii.

– Przywiózł je pan z Ameryki?

– Tak, i zapewniłem sobie stałą ich dostawę. Nie są jeszcze zbyt popularne, nawet w Stanach Zjednoczonych, gdyż doktor Halsted użył ich po raz pierwszy podczas operacji

zaledwie w zeszłym roku. No, wystarczy na razie tego wykładu. Bierzmy się do pracy. Poszło nam tak sprawnie, że może jeszcze dziś skończymy autopsję tych dwóch kobiet. Nie wiem, czy trzeba przeprowadzać pełną sekcję... – mruknął i zagłębił się w problemy zawodowe, całkowicie zapominając o agencie i Stasiu. – Przyczyna śmierci wydaje się jasna...

I tak, mrużąc bardziej do siebie niż do pomocnika, doktor ruszył w głąb pomieszczenia, gdzie mieścił się metalowy stół, a na nim rozcięte zwłoki kolejnej ofiary... Ofiary czego? Wypadku czy tajemniczego zabójcy? Zaif nie wiedział, jednak jego instynkt skłaniał się raczej w stronę zabójcy.

Po pewnym czasie Jeziński przyszedł do siebie po wstrząsie, jaki przeżył w pracowni Zaifa, w której nie był od dwóch lat. Pomogły mu w tym niewątpliwie liczne filiżanki herbaty, które wlewał w siebie od chwili, gdy tylko Staś doholował go do gabinetu i zaopatrzył w gorącą wodę. Sekcji tym bardziej nie chciał oglądać, więc poprosił Stasia, by oderwał na chwilę doktora od pracy.

– Gdy nie było cię w kraju – tłumaczył się Jeziński – nie zaglądałem do szpitala ani razu. Dlatego odzwyczaiłem się od takich widoków. No cóż, najwyraźniej jestem tchórzem. Panicznie boję się dentystry, a twoja kolekcja wygląda po prostu strasznie! Czuję się jak w izbie tortur!

– Wcale nie uważam, żebyś był tchórzem – dodał mu otuchy doktor. – Wielu ludzi boi się dentystry. Ja sam nie znajduję w tym przyjemności, choć jestem lekarzem. A moją kolekcję potraktuj jako niegroźną ciekawostkę.

– Niegroźną! Przecież każdym z tych narzędzi można zadać śmierć!

– Jak każdym narzędziem – filozoficznie stwierdził Zaif. – Nożyczkami także, a przecież nie mdlejesz na widok nożyczek.

– Ty to zawsze umiesz odwrócić kota ogonem! – uśmiechnął się mimo woli agent. – No, dosyć tego dobrego!

W tej chwili za oknami rozległo się głośnie dzwonięcie.

– Oho! – zawołał agent. – Pewnie gdzieś się pali!

– Dobrze, że nie ma już w mieście zbyt wielu drewnianych budynków – zauważył Zaif.

– Inaczej mielibyśmy powtórkę katastrofy z 1792 roku...

– Dosyć! – powstrzymał go agent pospiesznie. – O wielkim pożarze już słyszałem.

Poszło wtedy z dymem pół Kalisza<sup>48</sup>.

– Prawie cały Kalisz.

– Niech ci będzie. Na szczęście to nie moja sprawa, tylko chłopców świętej pamięci pana Puscha<sup>49</sup>.

– Obyś nie wymówił tego w złą godzinę – ostrzegł doktor. – Jeśli ktoś zginie...

Jakby w odpowiedzi na słowa Zaifa za drzwiami rozległ się tupot stóp i do laboratorium wpadł Poraj.

– Gdzie pan jest, szefie?! W jednej kamienicy wybuchł pożar i ludzie złapali jakiegoś żebraka. Myślą, że to on podpalił dom.

– A cóż ja mam do tego? – obruszył się Jeziński. – Podpalenia to sprawa straży ogniowej.

– Ale oni chcą go powiesić, szefie!

Jeziński spojrzał z wyrzutem na przyjaciela. Bez słowa wstał, westchnął i wyszedł z następującym mu na pięty Jaśkiem.

Po kilku godzinach agent wrócił do szpitala, by dokończyć rozmowę z doktorem.

– Jestem zmordowany jak pies – oznajmił od progu. Usiadł na krześle i zaczął się wachlować machinalnie jakimś raportem, który wziął ze stołu obok.

- Ale mów, co się stało! – zdenerwował się Zaif. – Zabili tego biedaka?
- Prawie. Na szczęście zdążyłem. Dosłownie w ostatniej chwili. Już miał pętlę na szyi.
- Nie mogę pojąć, co w tych ludzi wstąpiło – powiedział doktor zmartwionym tonem.
- Do tej pory nie zaobserwowałem w mieszkańcach Kalisza tak krwiożerczych instynktów, by pchnęły ich do samosądu.
- No, z tymi instynktami to bym na twoim miejscu uważał. W końcu od kilku miesięcy ktoś tu zabija ludzi.
- To prawda – zasępił się Zaif.
- Mniejsza z tym. Skończyłeś sekcję tych mężczyzn?
- Tak. Została jeszcze jedna kobieta.
- Znalazłeś coś interesującego?
- Właściwie to nic – westchnął doktor. – Wszystko się zgadza z wnioskami, jakie wyciągnąłem na podstawie zewnętrznych oględzin. Trzeciak ma ciekawe rany kłute, równomiernie rozmieszczone. Co do Kłockiego, to nie ma wątpliwości, że śmierć poniósł wcześniej, a potem trzymano jego ciało w lodowni. Na śmietnisko wywieziono je znacznie później.
- Potrafisz określić, kiedy go zabito?
- Zdajesz sobie sprawę, że żądasz niemal cudu? Przykro mi, ale moja odpowiedź nie będzie zbyt dokładna. Sądzę, że mogło to nastąpić jakiś miesiąc wcześniej.
- Ciało znaleziono dwudziestego maja, zatem biedaka pozbawiono życia w kwietniu.
- Raczej w drugiej połowie kwietnia, tyle tylko mogę powiedzieć.
- Dobrze i to. Coś jeszcze?
- Nie ma śladów, że ktoś najpierw ogłuszył ofiary lub wstrzyknął im jakąś truciznę czy środek usypiający. Bardzo to wszystko dziwne, ale nadal nie wiem, co spowodowało takie obrażenia, lecz zginęli tak jak mówiłem. Jeden wielokrotnie przekłuty czymś ostrym, co ma takiej samej wielkości ostrza, drugi rozplątany. Bardzo dziwnie rozplątany, ściśle mówiąc. Nie mam pojęcia, jakim narzędziem. Poza tym na pewno ponieśli śmierć w innych miejscach niż ich znaleziono. Tak jak poprzednich dwóch. Przejrzałem raporty i zdjęcia, choć przyznaję, że bardziej niż pobieżnie. Właściwie to rzuciłem tylko okiem.
- Skąd wiesz, że wszyscy zginęli w innych miejscach?
- Sam to wiesz równie dobrze jak ja. Wszystkie rany powodowały duży wpływ krwi. Tam, gdzie ich znaleziono, krwi nie było.
- Czyli ich ciała podrzucano.
- Tak.
- Czemu nie zakopano? Nie znaleźlibyśmy ich tak łatwo, być może wcale.
- Widocznie mordercy nie zależało na ukryciu ciał.
- W takim razie to nie był raczej wypadek w fabryce. Właściciel albo wezwałby policję, albo chciałby to ukryć.
- I mnie się tak wydaje.
- Ale to mnie nie zwalnia z obowiązku sprawdzenia fabryki.
- Masz rację. Trzeba się upewnić. A jak tam przesłuchania robotników i rzemieślników? Jezierski tylko machnął ręką, ale widocznie coś sobie przypomniał, bo się nieco ożywił.
- Byłem z moimi ludźmi w kilku budowanych lub remontowanych domach – uśmiechnął się mimo woli. – Trzeba przyznać, że bardzo gościnnie nas przyjmowano, choć nie zawsze właściciel był na miejscu. Szkoda, że tego nie widziałeś. W pewnym domu, tu w Kaliszu, kucharka zakochała się w jednym murarzu, ale się wstydziła do tego przyznać. Cała ekipa na

tym zyskała, bo gotowała dla wszystkich, żeby się nie wydało, który jest wybrankiem jej serca. Myśmy też musieli zjeść obiad i wypić morze herbaty, zanim nas puścili. Nie narzekałem, bo w czasie jedzenia chętnie rozmawiali. Niestety, nie powiedzieli niczego, co by mi pomogło zidentyfikować sprawcę.

– Sprawca jest bardzo sprytny – przytaknął Zaif. – Niełatwo będzie go schwytać.

– Jakubie, wiem, że jesteś nieludzką zmęczony, ale skoro już zrobiłeś sekcję jednej z zamordowanych kobiet, to czy możesz mi coś powiedzieć na ten temat?

Zmęczony Zaif pokiwał głową.

– Przyznaję, że była to najbardziej pobieżna sekcja zwłok w moim życiu, ale prawdę mówiąc, nie wiązałem z nią wielkich nadziei. Najpierw dokonałem oględzin zewnętrznych obu kobiet i na pierwszy rzut oka było widać, jak te kobiety zginęły. Mówię tu w liczbie mnogiej, gdyż jestem przekonany, że zabójstwa obu kobiet dokonał ten sam sprawca, w ten sam sposób i sekcja ciała drugiej ofiary nie wniesie nic nowego. Wracając do tematu, nie znalazłem żadnych innych śladów przemocy ani oznak, żeby ofiary się broniły. Moim zdaniem napastnik je całkowicie zaskoczył.

– Myślisz, że go znały i nie obawiały się, dlatego je zaskoczył?

– Niekoniecznie, choć wykluczyć tego nie mogę. Ze sposobu, w jaki sprawca poderznął im gardła można wywnioskować, że atak nastąpił od tyłu. Kobieta najprawdopodobniej w ogóle nie widziała napastnika. Ale mogła też odwrócić się do niego plecami, nie obawiając się niczego. Tego, Niestety, nie da się dociec po samych śladach widocznych na ciele ofiary. Dlatego jedyne, co mogę powiedzieć z całkowitą pewnością, to fakt, że śmierć w oczywisty sposób nastąpiła poprzez poderżnięcie gardła, a to, jak już mówiłem, raczej nie budziło wątpliwości już na miejscu zbrodni. Sekcja była więc tylko formalnością. Poza tym mogę stwierdzić, że ta kobieta, którą już... nazwijmy to, przebadalem, była całkowicie zdrowa i w żadnym wypadku nie groził jej nagły zgon spowodowany jakąś chorobą. Może jednak twoi ludzie znaleźli coś na miejscu zbrodni?

Jeziński smętnie zwiesił głowę. Był wyraźnie przybity.

– Nic a nic. Zanim ktoś z tłumu gapiów poszedł wreszcie zawiadomić policję, oba miejsca, gdzie znaleziono zwłoki, były już kompletnie zdeptane. Ludzie skorzystali z okazji i najpierw sobie dokładnie wszystko obejrżeli. Cud prawdziwy, że nie przesunęli zwłok!

– Skąd wiesz?

Agent uśmiechnął się słabo mimo widocznego zafrasowania.

– Krew z ran była pod ofiarami, więc leżały tam, gdzie upadły.

– Tak, to właściwy wniosek.

– I nic innego nie możesz mi powiedzieć o tych kobietach? – zapytał zmartwiony agent.

– Cóż, z punktu widzenia anatomii widać między ofiarami spore podobieństwa. Pewnie zwróciłeś już na to uwagę, że obie były w podobnym wieku i podobnego typu urody. Miały około trzydziestu lat, może trochę młodsze, obie rude, choć kolor włosów różnił się odcieniem. Same włosy były jednak zadbane i bujne. Poza tym miały zgrabne figury. Czy były jakoś spokrewnione?

Jeziński pokręcił głową i wyjął notes.

– Mam tu zapiski przygotowane przez Kaminskiego. Ta z nieco ciemniejszymi rudymi włosami to Joanna Sokołowska, lat dwadzieścia siedem. Mężatka od czterech lat, bezdzietna, mąż marynarz... Marynarz? – zdziwił się mimowolnie. – Przecież stąd daleko do morza?

– Może małżonek pochodzi z Gdańska czy Gdyni – wzruszył ramionami Zaif. – Poza tym, gdzie jest powiedziane, że marynarzem może zostać tylko mieszkaniec miejscowości

nadmorskich?

– Słusznie – zgodził się z nim agent, studiując dokładnie notatki. – Niemniej wolałbym to sprawdzić... A, widzę, że Kaminski już zasięgnął informacji. Ochrona go sprawdziła. Nie jest szpiegiem i nie podejrzewa się go o żadne inne przestępstwo... Przynajmniej na razie.

A pochodzi z miejscowości... Ceynowa<sup>50</sup>? To jakaś wioska rybacka nad Bałtykiem. Żonę poznał w Sopot. Pobrali się i on zamieszkał u niej, w Kaliszu, gdyż tu pod miastem miała dom po rodzicach, a on tylko chałupę rybacką na wybrzeżu. Dom po ślubie sprzedali i kupili dużo mniejszy domek w samym Kaliszu. Sokołowski był już wtedy marynarzem i zawodu nie zmienił, podobno dobrze im się wiedzie. Nie są może bogaci, ale do biednych też nie należą. Mieszkają... To znaczy teraz już tylko on... przy ulicy Dobrzeckiej.

– A ona czym się zajmowała?

Agent przejrzał notatki.

– Przed zamążpójściem była nauczycielką na pensji dla dziewcząt. Po ślubie zajmowała się już tylko domem. Musiała się nudzić, bo dość często pomagała przy organizacji różnych dodatkowych zajęć i imprez szkolnych, jak wyjścia do teatru, koncerty szkolne i takie tam. Oczywiście społecznie.

– A kim była druga kobieta?

Jeziński przez chwilę w milczeniu studiował zapiski.

– Druga ofiara to Melania Chwiałkowska, lat trzydzieści. Zapalona działaczka miejscowego Towarzystwa Muzycznego. Stara panna. Mieszkała sama w niewielkim mieszkaniu przy ulicy Rybnej<sup>51</sup>, które kupił jej brat w zamian za zrzeczenie się roszczeń do spadku po rodzicach. Musiał być z niego niezły gagatek, głowę dam, że oszukał biedaczkę... No, ale mniejsza z tym. Brat sprzedał wszystko i wyprowadził się gdzieś za granicę, od dawna tu go nikt nie widział, więc chyba możemy mieć go z głowy. Niemniej każę sprawdzić ten wątek, bo a nuż wredny braciszek przepuścił całą fortunę i postanowił zabrać siostrze resztę majątku? Nie takie rzeczy się zdarzały.

– Sądysz, że mógł ją zabić? – zaciekawiał się Zaif.

– Nie mam pojęcia, ale nie zawadzi sprawdzić, kto on zacz.

– Ale czemu zabijałby również Sokołowską?

– A bo ja wiem? Może się pomylił? Sam mówiłeś, że są podobne do siebie. Albo dla niepoznaki, żeby odwrócić podejrzenia od siebie i swojej rodziny?

– Dlaczego podejrzewasz brata Chwiałkowskiej, a męża Sokołowskiej nie? Moim zdaniem częściej mordują mężowie niż bracia.

– Zgadzam się z tobą, ale tym razem mamy całkowitą pewność, że mąż Sokołowskiej znajduje się na statku gdzieś w drodze do Afryki i z całą pewnością nie mógł pojawić się w Kaliszu.

– Rozumiem. Ale brat też nie musi być zabójcą.

– I zapewne nie jest, ale sprawdzić nie zawadzi. Zlecę to Kaminskiemu, niech te jego kontakty z ochroną na coś się przydadzą. A teraz pozwolisz, że cię opuszczę, bo chciałbym jak najszybciej wydać w tej sprawie polecenia. A ty kończ już pracę, bo padniesz tu niczym koń pociągowy. Stasiek! Pomóż panu doktorowi, żeby mógł iść wreszcie do domu i odpocząć. Po tak długiej podróży musiał od razu przeprowadzić sekcję kilku osób i na pewno jest wykończony. Ty też zaraz zmykaj. Bardzo wam obu, moi drodzy, dziękuję!

Jeziński po raz pierwszy od dawna wyszedł na ulicę radosny jak skowronek, niemal pogwizdując, mimo że wiedział, iż sekcja zwłok dwóch kobiet zabitych podczas zaćmienia Słońca nie wniosła nic nowego, gdyż obie zmarły z upływu krwi spowodowanego

poderżnięciem gardła. A to było widać gołym okiem.

Poza podobnym typem urody, co szybko rzuciło się w oczy Zaifowi, Jezierski samodzielnie znalazł inny wspólny punkt łączący kobiety, które według jego informacji w ogóle się nie znały. Tym punktem był przepiękny, cieniutki kaszmirowy szal, naprawdę znakomitej jakości i z pewnością bardzo drogi, droższy od jedwabiu. Zaif zgodził się z nim, że to bardzo obiecujący trop i gorąco namawiał, by go jak najprędzej sprawdził. Obaj bowiem zauważyli, że tak kosztowny szal nie pasował do żadnej z nich. Co prawda Sokołowska była w zdecydowanie lepszej sytuacji finansowej niż Chwiałkowska, ale nawet jej nie można było nazwać bogatą. Dlatego agent nie wierzył, że zabójcą był ktoś z rodziny, jego nos podpowiadał mu, że szal ma duże znaczenie, więc uczepił się go jak rzep psiego ogona. Poza tym jego uwagę zwrócił fakt, że żadna z osób znających bliżej kobiety nie potrafiła wyjaśnić, skąd kobiety te szale wzięły. Czy kupiły gdzieś, czy może dostały? Tak, to zdecydowanie może być obiecujący trop.

Podniesiony na duchu Jezierski wrócił do biura i natychmiast kazał sprawdzić, gdzie kupiono te szale lub materiał, z jakiego je wykonano. I tu zaczęły się trudności, okazało się bowiem, że nie wiadomo. W Kaliszu nikt takiego materiału (ani tym bardziej szali) na pewno nie sprzedaje. Nie ma go również w Warszawie, Poznaniu czy Łodzi. Nawet w Petersburgu. Jezierski, zły i zawiedziony, że nic nie idzie jak należy, wszędzie nosił przy sobie nieszczęsny szal, pokazując go, komu się tylko dało. Miał nadzieję, że w końcu ktoś będzie dysponował odpowiednią informacją. Niestety, szal wszyscy podziwiali, ale nikt nie wiedział, skąd pochodzi.

Jak często bywa w takich sytuacjach, sprawa ruszyła z miejsca przez przypadek. Szal rozpoznał dopiero pewien warszawski kupiec bawiący w gościnie u państwa Zawistowskich, których Jezierski znał, acz niezbyt dobrze. Agent spotkał Zawistowskich z ich gościem w cukierni, gdzie wszedł na chwilę poprawić sobie humor i pokrzepić czymś słodkim. Kupiec, od lat działający w branży włókienniczej, natychmiast rozpoznał w tym szalu materiał, który od niedawna sprzedawała pewna paryska firma, „Blanche Toile”. Nie wiedział jednak, czy firma sama sprowadziła towar z Indii, czy też kaszmir kupiła od kogoś innego. Wątpił również, by „Blanche Toile” szyła owe szale, znana bowiem była głównie z handlu materiałami, a nie wyrobami krawieckimi.

Więcej na ten temat kupiec nie wiedział, mimo to uszczęśliwiony Jezierski wyściskał znajomych i ich gości, właścicielowi cukierni kazał na własny koszt ugościć ich najdroższymi przysmakami, a potem wypadł jak szalony w poszukiwaniu dorożki. Złapawszy fiakra, natychmiast wrócił do biura i kazał wezwać kuriera. Sam w tym czasie napisał list, do którego dołączył szal i wysłał kuriera w drogę. W liście pytał, czy przedstawiciel firmy dysponuje informacjami lub jakąś dokumentacją o nabywcach materiału, z którego uszyto załączony szal.

Pozostało mu tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać na odpowiedź, pamiętając o tym, że odpowiedź z Francji może iść kilka tygodni, jeśli w ogóle ktoś z firmy zdecyduje się odpisać. Wszak przedstawiciel rosyjskiej władzy nie miał tam żadnej mocy, mogło się więc zdarzyć i tak, że odpowiedzi nie otrzyma. Postanowił jednak odczekać ze dwa tygodnie i dopiero potem przedsięwziąć inne kroki. Chociaż, trzeba przyznać, nie miał też wielkiej nadziei, że od razu dostanie listę nabywców. Liczył się z tym, że będzie musiał pojechać osobiście do Francji, by wydobyć potrzebne mu informacje. Na wszelki wypadek list zakończył całą masą komplementów pod adresem firmy, mimo że jej nazwę poznał dopiero dzień wcześniej. Miał po prostu nadzieję, że jego sposób „łapania na miód, nie ocet” okaże się także tym razem skuteczny i przedstawiciel firmy będzie przychylniej nastawiony i nie odmówi informacji.

### Rozdział 3



Wieczorem Zaif udał się na cmentarz prawosławny, by odwiedzić grób Anny. Spędził tam dwie długie i pełne smutku godziny, wspominając tę, która tak głęboko zapadła mu w serce. Cmentarz o tej godzinie był niemal pusty, co bardzo odpowiadało skrytej naturze młodego lekarza.

Rankiem udał się do ojca, gdzie spędził resztę dnia i został na noc. Nie tylko Maks Zaif był wzruszony z powodu powrotu jedynaka, także służba, którą w tym domu traktowano niemal jak członków rodziny. Nic w tym dziwnego, skoro większość z nich pracowała tam najmniej od dziesięciu lat, a niektórzy całe życie. Szef kuchni Maksa Zaifa, nie pytając nawet swego pana o zgodę, gotował tylko ulubione potrawy Jakuba, kamerdyner osobiście mu je podawał, nawet gdy nie była to pora posiłku. Przez nikogo niepoganiane pokojówki uwijały się przy jego garderobie i sprzątały pokój bez mała cztery razy dziennie. Na dłuższą metę byłoby to irytujące, gdyby nie stanowiło objawu szczerego przywiązania do „młodego panicza”. Jakub był naprawdę wzruszony i okazywał to na tyle, na ile potrafił.

Te przyjemne chwile spędzane na łonie rodziny zakłócała mu jedynie myśl o nierozwiązanych zabójstwach. Cały czas był w kontakcie z Jezierskim, z którym przesyłali sobie kilka razy dziennie kartki z informacjami. Najbardziej zadowolony był z tego Staś Małyszko, który został kurierem opłacanym przez obie strony.

Student ogromnie się ucieszył z powrotu doktora z zagranicy, choć nie mógł narzekać na opiekę, jaką w zastępstwie Jakuba sprawował nad nim starszy pan Zaif oraz agent do specjalnych poruczeń. Staś studiował medycynę dzięki interwencji i znajomościom Jakuba. Przyznano mu nawet indywidualny tok nauki. Dzięki temu pojawiał się na uczelni co kilka miesięcy, na wcześniej wyznaczony listownie termin. Przebywał w Warszawie przez kilka dni i zdawał egzaminy z określonego zakresu materiału. Wiedzę praktyczną nabywał w kaliskich szpitalach, ale tam traktowano go bardziej jak posługacza niż studenta medycyny. Nikt prócz Zaifa niczego mu nie wyjaśniał, nie pozwalał na wykonanie choćby najprostszyc zabiegów. Na szczęście przed dwoma laty nauczył się przy swoim protektorze tyle, że z powodzeniem zaliczał kolejne egzaminy.

Teraz chętnie podjął się funkcji pośrednika w korespondencji, by Jakub mógł wymieniać z agentem uwagi, i robiłby to za darmo, lecz obaj mężczyźni i tak wręczali mu wynagrodzenie. Zaif natomiast, żeby odegnać ponure myśli i zająć się czymś podczas przymusowej bezczynności, ponownie wziął się za czytanie materiałów, które przygotował dla niego Jezierski w sprawie tajemniczych zgonów nękających od kilku miesięcy gród nad Prosną, tym razem dokładnie i z uwagą.

Długo przyglądał się dołączonym fotografiom (nielicznym) i rysunkom (kiepskim) przez lupę, by nie przegapić żadnego szczegółu. Najwięcej uwagi poświęcił obrażeniom ofiar. Wiedział, że jeśli policjanci postępowali według ustalonych wcześniej szczegółowych wskazówek, fotografia stanowi ważny dowód, natomiast protokół daje gwarancję, że zdjęcie czy rysunek zostało wykonane w określonym miejscu, czasie i warunkach. Starannie zapisywał w notesie swoje uwagi, spostrzeżenia oraz pytania o pewne szczegóły, których nie znalazł w raportach lub nie w pełni zrozumiał. Miał zamiar zadać je później agentowi.

Praca znów tak go pochłonęła, że tego popołudnia spędził z ojcem mało czasu. Z wielkim trudem udało mu się więc go przekonać, by wieczorem pozwolił mu wybrać się na obiad do Jezierskich. Gdyby nie fakt, że agent pojął za żonę kuzynkę Zaifa, Deborę Goldberg, ojciec prawdopodobnie byłby bardziej niezadowolony, że tak szybko wyfruwa z rodzinnego gniazda, skoro ledwo co wrócił po dwóch latach spędzonych w dalekich Stanach Zjednoczonych. Udało mu się jednak przekonać ojca, że to w końcu tylko kilka godzin, a on się przecież nigdzie dalej

nie wybiera. Wychodząc, czuł się jak uczeń, który z trudem wyrwał się z domu, ale warto było, gdyż spędził z przyjaciółmi uroczy wieczór. Powitaniem, a potem śmiechem i krzykiem na widok egzotycznych prezentów nie było końca.

W czasie tej wizyty pewna rzecz speszyła jednak młodego doktora. Nieco później przyznał, że z początku nie mógł oswoić się z widokiem trzech maleńkich istotek w ramionach obojga dumnych rodziców. Zaskoczyła go szczególnie delikatność i czułość Walerego w stosunku do żony i dzieci. Ten widok przypominał mu, co sam utracił, i Jakub posmutniał.

Debora widać to wyczuła, bo dość szybko wezwała nianię i kazała jej położyć dzieci spać, choć jej mąż wydawał się mocno zdziwiony tą decyzją. Jednak nie kwestionował jej głośno, utwierdzając Zaifa w przekonaniu, że małżeństwo kuzynki z pewnością nie było błędem, choć w rozplotkowanym Kaliszu nie brakło osób, które wprost nazwały je mezaliansem. Nie sposób bowiem uniknąć komplikacji, jeśli małżonkowie są różnej narodowości i wyznania. Małżeństwa Rosjan z Polkami i Żydówkami nie były akceptowane ani przez społeczność polską, ani rosyjską. Szczególnie nieprzychylnie nastawieni do nich byli duchowni Cerkwi i Kościoła katolickiego, którzy często odmawiali uznania takich związków, a partnerów innego wyznania traktowali jako schizmatyków. W efekcie księża odmawiali spowiedzi i komunii wielkanocnej. Niewiele tu pomógł przykład późniejszego warszawskiego generała-gubernatora Michaiła Czertkowa, który – gdy jeszcze przebywał na rosyjskiej prowincji – zakochał się w Żydówce, Oldze Iwanownej z domu Rosenblatt. Była ona żoną Wereszczagina, miejscowego policmajstra. Jej uroda spowodowała, że Czertkow rozwiódł ją z mężem i sam poślubił. Plotki głosiły, że odkupił ją za trzydzieści tysięcy rubli. Jak było, tak było, ale w efekcie Czertkow popadł w niełaskę konserwatywnego pod względem obyczajowym dworu w Petersburgu<sup>52</sup>.

– Opowiedz, Jakubie, jak ci tam było w Ameryce i czy poznałeś jakąś tamtejszą ślicznotkę, z którą mogłeś chodzić na przyjęcia i do teatru – powiedziała w pewnym momencie Debora.

Wypełzający na twarz rumieniec zdradził młodego doktora bardziej, niż gdyby od razu przyznał się do jakiejś znajomości. Jego uporczywe zaprzeczenia nie zdały się na nic. I tak na wesołych przekomarzeniach i opowieściach Jakuba upłynęła im reszta wieczoru.

Zaif właśnie zbierał się do wyjścia, gdy ktoś głośno załomotał do drzwi. Zaniepokojona Debora spojrzała na męża, ale ten pokręcił głową, dając do zrozumienia, że też nie wie, o co może chodzić.

– Tak dobija się tylko policja, więc to jakaś pilna sprawa – westchnęła ciężko. – Bo nie sądzę, żeby wujek wysłał kogoś po Jakuba. W końcu wie, gdzie jest.

Łomotanie się powtórzyło, tym razem jakby bardziej nagłące.

– Może nie mógł się doczekać? – zapytał Jeziński z nadzieją, choć sam w to nie wierzył.

– Idź i otwórz wreszcie, bo ten hałas pobudzi dzieci. I tak zaraz obu was gdzieś poniesie, bo pewnie znowu kogoś zabili. Inaczej nikt by się tak nie dobijał.

Agent już bez słowa wstał i poszedł otworzyć. Po chwili wrócił, spojrzawszy przepraszająco na żonę, a do Zaifa rzucił nagłaco:

– Chodź, Jakubie. Mamy kolejną ofiarę, jeszcze żywą, ale w każdej chwili może zemrzeć.

– Nie mam przy sobie torby lekarskiej...

– Jakoś sobie poradzimy. Nie ma chwili do stracenia.

Zaif zaczął się szybko ubierać.

– Nie czekaj na mnie, kochanie – zwrócił się agent do żony. Podeszedł do niej i przytulił ją, całując we włosy. – Nie wiem, kiedy wrócę.

- Ale uważaj na siebie.
- Zawsze uważam.
- Nieprawda.
- Odkąd jestem żonaty, to prawda.
- Skoro tak mówisz. No, idź już, idź.

Przed domem czekał na nich nieduży powóz agenta. Na koźle siedział jak zwykle Pietia, a obok niego Jasiek Poraj. Jezierski z doktorem szybko wsiedli, lecz już po chwili agent wychylił się przez okno i zawołał:

– Dokąd jedziesz, Pietia? Podobno ofiarę znaleziono przy ogrodzeniu parku?  
– Tak jest, proszę wielmożności – odpowiedział zamiast Pietii Poraj. – Aleśmy kazali przewieźć nieboraka do doktora Wilczewskiego, którego jak raz się napatoczył.

– Jak ty się wyrażasz, Jasiek! – przerwał mu zdęgotowany agent. – Jakbyś prosto z jakiejś mordowni wyszedł!

– Po trosze to i prawda – wyznał Jasiek, stając w pąsach. – Z kolegą wstąpiłem na kufelek do niezbyt aliganckiego szynku i tam właśnie wpadł jakowyś człek, co darł się niemiłosiernie, że kogoś zaciukali... znaczy zabili, przy parku właśnie. No to pobiegł i jak raz doktor Wilczewski się na...

– Nadszedł – poprawił go odruchowo agent.

– No – zgodził się ochoczo Jasiek, czym ostatecznie przekonał milczącego jak zwykle Zaifa, że wychylił więcej niż jeden kufelek i to niekoniecznie piwa. – Chciał, żeby go ratował, a on ino głową kręcił, że to już stracona sprawa. Ale go postraszył i...

Jezierski przerwał Jaśkowi, gdyż musiałby go złączyć za prawdopodobnie niezbyt grzeczne zachowanie podwładnego wobec lekarza, ale że sam go nie znosił, wolał nie drążyć tego tematu.

– A co doktor po nocy tam robił? – zapytał więc szybko. – Przecież park już zamknięty?

– Mówił, że do chorego go wezwali. Gdzieś w pobliżu, znaczy się.

– Mniejsza z tym. Jedźmy do doktora, skoro napadnięty tam leży. A wiadomo już, kto to jest?

– Francuz jakowyś, szefie.

Brwi agenta powędrowały w górę, tworząc niemal idealne łuki. Jezierski dawno nie był tak zdziwiony.

– Francuz? Skąd wiesz?

Tym razem zdumiał się Jasiek, co zwykle objawiało się u niego zabawnym rozdziawieniem ust i nieco baranim wzrokiem. Niezbyt spostrzegawczy obserwator łatwo mógł dać się zmylić i pomyśleć, że Jasiek nie należy do szczególnie bystrych osób. Tym razem wyraz zbarania był jakby bardziej wyrazisty.

– No jakże? Skoro gada po francusku i ma w papierach napisane jakieś...

Tu Poraj zajrzał do notatek i powoli odsylabizował nazwisko, wymawiając je fonetycznie, tak jak miał zapisane:

– Żan Lui Bernadotte. No to musi być z niego Francuz, co nie?

Zaif z tłumionym uśmiechem przyznał, że tok rozumowania Jaśka jest nader poprawny. Młody policjant pokraśniał z zadowolenia. Agent natomiast zaniechał dalszej indagacji nieco podchmielonego podwładnego i szorstkim tonem kazał Pietii jechać szybciej. Gdy powóz wreszcie się zatrzymał, wszyscy, poza stangretem, wysiedli.

W domu doktora Wilczewskiego, zamieszkałego przy Rynku, panowało spore zamieszanie. Służba biegła tam i z powrotem, jak kurczaki z odciętymi łbami, co tak zirytowało

Jezierskiego, że huknął na lokaja, by ten natychmiast odesłał wszystkich do kuchni i czekał na wezwanie. Rozhisteryzowaną pokojówkę obdarzył zaś takim spojrzeniem, że biedaczka rzewnie się rozpląkała i pochlipując wybiegła. Agent westchnął z rezygnacją i ruszył dalej, a za nim Zaif z następującym mu na pięty Porajem. Jezierski skierował się w stronę drzwi stanowiących najwyraźniej centrum zamieszania. Nie omylił się, gdyż w środku zobaczył doktora z zatroskaną miną badającego puls leżącego na łóżku człowieka.

– Dobry wieczór, doktorze – odezwał się agent, obrzucając pokój uważnym spojrzeniem.  
– Podobno przyjął pan do siebie ofiarę napadu? Bardzo się panu chwali tak chrześcijański uczynek.

Doktor Wilczewski, zażywny jegomość po pięćdziesiątce, obrócił się w jego stronę i skłonił. Dwa lata nie zmieniły go zbytnio. Może przytył trochę, ale nadal trzymał się krzepko. Mimo lekkiej tuszy był dość wysoki i z dumą nosił swoje starannie ufryzowane, białe jak śnieg włosy. Plotki głosiły, że doktor farbował szpakowatą czuprynę i faworyty, by wyglądać bardziej dostojnie. Mimo dość późnej pory był elegancko ubrany. Teraz skierował się do agenta z wyciągniętą ręką.

– Zaszczyt to dla mnie wielki gościec panów w moich skromnych progach – powiedział z emfazą, choć Zaifowi nie umknęło niechętnie spojrzenie, które doktor rzucił mu spod przymkniętych powiek. No i „progi” nijak nie wyglądały na skromne. – Agent do specjalnych poruczeń w randze radcy stanu! To niemal tak, jakby sam gubernator zaszczycił mnie wizytą!

Na Zaifa nie spojrział już ani razu, tylko skinął mu nieznacznie głową, nie patrząc w oczy. Młody doktor wiedział, że jego starszy kolega po fachu nie mógł mu darować wiedzy, wykształcenia i majątku tylko dlatego, że był Żydem, a zdaniem Wilczewskiego żaden Żyd na to nie zasługiwał. No cóż, nie każdy mieszkaniec Kalisza hołdował chlubnym tradycjom tolerancji. A szkoda, bo to właśnie w Kaliszu Bolesław Pobożny wydał w 1264 roku „Statut Kaliski”, który miał zapobiegać zdarzającym się od czasu do czasu prześladowaniom Żydów. Wyjmował ich spod prawa miejskiego, poddawał pod sądownictwo książęce oraz zapewniał swobodę handlu i operacji kredytowych, jak również możliwość tworzenia samorządu gminnego, bezpieczeństwo osób i mienia oraz swobodę praktyk religijnych. Statut ten stał się wzorcem praw Żydów w całej Polsce aż do upadku jej niepodległości w osiemnastym wieku i przyczynił się do utworzenia obrazu tolerancji polskiej.

W rewanżu za chłodne przyjęcie Zaif skinął głową na powitanie równie powściągliwie, jak doktor Wilczewski. I gdy gospodarz wdał się w rozmowę z agentem, on w milczeniu przyjrzał się najpierw otoczeniu, a potem mężczyźnie leżącemu na wąskiej kanapie. Spoglądając na skąpe umeblowanie i niewielkie rozmiary pomieszczenia, doszedł do wniosku, że Wilczewski kazał umieścić rannego w najskromniejszym pokoju, jakim dysponował. Pewnie bał się, że popłami mu dywany, pomyślał Zaif nie bez złośliwości, ale widok rannego na wąskiej, niewygodnej kozetce, z której łatwo mógł spaść, oburzył go. Z trudem powstrzymał się od ostrego komentarza, żeby więc odwrócić uwagę od tego, na co nie miał na razie wpływu, spojrzął, co robi Poraj. Z zadowoleniem stwierdził, że chłopak przygotował się już do protokolowania. Zaif wrócił do obserwowania rannego.

Mężczyzna leżał na wznak, nieruchomo. Był dość młody, miał najwyżej trzydzieści lat. Wyglądał na sprawnego i wysportowanego. Choć teraz był blady, widać było zdrową opaleniznę, jaką daje długie przebywanie na świeżym powietrzu. Ciemne, lekko wijące się włosy były zadbane, ale trochę zbyt długie, jakby właściciel zaniedbał regularne wizyty u fryzjera, na przykład z powodu dalekiej podróży. Także ubranie nieznanego nie wskazywało na osobę ubogą, a tym bardziej na włóczęgę. Było nieco ubrudzone, ale znakomitej jakości i kroju.

Wyglądało na to, że mężczyźnie przydarzył się jakiś niebezpieczny wypadek.

Największy niepokój Zaifa wywołały obrażenia napadniętego. Oprócz niegroźnych siniaków i zadrapań, na obu rękach widoczne były rany. Jedna dłoń, prawa, została prawie oddzielona od ciała, tak głębokie było cięcie. Zauważył to, gdyż rana, choć niedawno opatrzona, została niedbale zeszyta. Zastanawiał się, jakim cudem człowiek ten nie zmarł z powodu szoku lub upływu krwi. Pochylił się nad leżącym i uważnie go obejrzał. Chętnie zbadałby go dokładnie, ale póki co był to pacjent Wilczewskiego, więc nie chciał na razie wtrącać się w jego leczenie.

Odwrócił głowę, bo podszedł do niego Poraj i rzekł konfidencjonalnym szeptem:

– Słyszałem przed chwilą, jak *doktor* Wilczewski – Jasiak specjalnie tak wymówił to słowo, żeby zaakcentować, że nie darzy Wilczewskiego sympatią, kiedy indziej bowiem mówił normalnie „doktor” – powiedział szefowi, że ten Francuz cosik dziwnie, ale to dziwnie gadał. Ale nie zrozumiał co, bo doktor po francusku to powiedział. Ciekawym, co też on takiego dziwnego gadał? Może to jakiś odmieniec? Znaczy na umyśle słaby?

– Tego nigdy nie można z góry wykluczyć, choć nic na to nie wskazuje. Wygląda na silnego, zdrowego mężczyznę pochodzącego co najmniej z klasy średniej. Choć osobiście uważam, że to ziemianin lub nawet arystokrata.

– To może bredził w gorączce.

– Może – zgodził się Zaif, ale nie dodał już, że gdy przed chwilą dotknął czoła rannego, było ono chłodne i suche. Widocznie Wilczewski podał mu jednak jakieś leki. Zamiast tego zapytał:

– Mówiłeś, że jak on się nazywa?

Jasiak przewrócił kilka kartek w swym nieco wyświechtanym notesie.

– Żan Lui Bernadotte – dukał.

– Sławne nazwisko. Ciekawe, czy to jakiś krewny króla Szwecji...

– Co też pan doktor, za przeproszeniem, wygaduje – zdumiał się Jasiak. – Francuz i krewny szwedzkiego króla?

– Ano, tak dziwnie się potoczyły kiedyś losy pewnego Francuza, w dodatku zwykłego mieszczanina, nie arystokraty. Nazywał się Jean Baptiste Bernadotte i urodził bodajże w 1763 roku<sup>53</sup>. Dzięki rewolucji francuskiej zrobił błyskawiczną karierę w wojsku, a potem, chyba w 1810 roku, dostał propozycję objęcia tronu Szwecji. Zgodził się i został najpierw adoptowany przez Karola XIII, a później ogłoszony następcą tronu. Zanim wstąpił na tron, odegrał dużą rolę w doprowadzeniu do zawarcia sojuszu między Szwecją a Rosją. W 1813 roku dowodził Armią Północną antynapoleońskich wojsk na terenie Niemiec. Tron objął w 1818 roku jako król Karol XIV Jan i król Norwegii Karol XIII. Co ciekawe, mimo swoich konserwatywnych poglądów oraz tego, że nigdy nie nauczył się ani szwedzkiego, ani norweskiego, był niezwykle popularny. Pewnie dlatego, że jego rządy były czasem pokoju i dobrobytu.

– Bardzo ciekawa historia – rozmarzył się Jasiak. – Szkoda, że u nas nie tak łatwo taką karierę zrobić. Nie miałbym nic przeciwko, żeby se zostać jakim królem, choćby i nieznacznym.

– Nie narzekaj, przecież twój szef cię awansował. Już nie jesteś stójkowym, tylko policmajstrem.

– No fakt. Ale jakbym był królem...

Zaif nie zdążył się dowiedzieć, co by zrobił Jasiak, gdyby został królem, ponieważ podszedł do nich Jezierski. Za nim, lekko się ociągając, szedł Wilczewski.

– Doktor mówi, że ten Francuz, jak mu tam...

– ...Jean Louis Bernadotte – podpowiedział Zaif.

– Właśnie, że ten Bernadotte został napadnięty i ranny w czasie walki z jakimś uzbrojonym w tasak czy inny rzeźnicki nóż bandytą. Lub bandytami. Co ty na to?

Zaif tylko wzruszył ramionami.

– Trudno mi coś powiedzieć, bo nie badałem rannego – odparł. – Obejrzałem tylko te obrażenia, które widać gołym okiem. Nie wiem, czy pod ubraniem nie ma jakichś innych ran.

– Doktorze? – agent zwrócił się do Wilczewskiego. – Dokładnie zbadał pan tego Francuza?

Wilczewski zmieszał się.

– Oczywiście, oczywiście – plątał się nieporadnie, używając swojego ulubionego słówka. – Tak jakby... To jest w pośpiechu opatrzyłem mu widoczne rany na rękach... I tego...

Zamierzałem... Ale rozumie pan, właśnie nadjechaliście...

– Znaczący nie zdążył pan jeszcze dokładnie zbadać pacjenta? – skonstatował spokojnie agent, który od dawna miał wyrobione zdanie o Wilczewskim.

Po raz pierwszy zetknął się z nim dwa lata temu przy okazji znalezienia zwłok zamożnej wdowy, która została otruta. Nie lubił go, uważał za bufona i pozera, marnego, a przy tym chciwego i leniwego lekarza. Poza tym nigdy nie zapomniał, że tamten próbował upokorzyć Zaifa, a nawet oskarżył go w sądzie o nielegalną praktykę lekarską, bo nie wierzył, by Żyd mógł mieć prawdziwy dyplom lekarski. Uważał jednak, że jego prywatne zdanie nie ma nic do rzeczy podczas śledztwa, więc nigdy bez powodu nie zniechęcał do siebie ludzi, którzy mogli mu w tym śledztwie pomóc. Tym razem także nie dał po sobie poznać, co naprawdę sądzi o starszym medyku, i zwrócił się doń z uprzejmym uśmiechem.

– Czy nie będzie dla pana wielkim kłopotem poczęstować mnie jakąś herbatą, podczas gdy doktor Zaif zbadałby tego mężczyznę? My tymczasem pogwarzylibyśmy sobie w jakimś spokojniejszym miejscu. Co pan na to? Tak? No to świetnie. Jasiek, ty pomożesz doktorowi Zaifowi.

Zachwycony takim obrotem sprawy Wilczewski niemal z pieśnią na ustach poprowadził szacownego gościa do reprezentacyjnego salonu pełnego pretensjonalnych mebli i bibelotów, których nie powstydziliby się niejedna miłośniczka porcelanowych pasterek i pasterzy. Uwagę zwracała również ogromna liczba ręcznie robionych serwetek. Jezierski miał tylko nadzieję, że pan domu sam tych serwetek nie dzierga, wiedział bowiem, że na widok starszego mężczyzny z szydełkiem w ręku nie zdołałby powstrzymać gromkiego wybuchu śmiechu.

Na szczęście Wilczewski zajął się zaopatrzeniem ich w napoje zarówno gorące, jak i zimne. Na stole w błyskawicznym tempie pojawiły się filiżanki w towarzystwie parującego dzbanka mocnej herbaty, butelka czerwonego i białego wina, a także koniak. Oprócz tego służąca przyniosła wielką tacę kanapek, dżem, miód i ciasteczka.

Jezierski rozsiadł się wygodnie i zaczął pałaszować, mając nadzieję, że przez ten czas Jakub, mając wolną rękę, dokładnie zbada rannego i dojdzie do jakichś odkrywczych wniosków. Agent bardzo potrzebował jakiegoś postępu, bo jak dotąd ani jeden z tych dziwnych zgonów nie został wyjaśniony, a trup jak padał, tak padał. I to gęsto. No i te dziwne rany, które nasuwały myśl o brutalności lub sadyzmie sprawcy, a może i torturach... Jezierski nie łudził się, że bez pomocy przyjaciela uda mu się szybko rozwikłać to pasmo zagadek. Ale Zaif, choć nieprzeciętnie inteligentny, cudotwórcą nie był, więc agent nie liczył zbytnio na to, by jeszcze dziś dowiedział się czegoś, co pomoże mu pchnąć śledztwo w konkretnym kierunku, zamiast obecnego błędzenia na oślep.

Chciał jednak zrobić wszystko, by ułatwić przyjacielowi badanie. Żywy świadek, niedoszła ofiara zbrodni, może wszak coś powiedzieć, wskazać lub choćby opisać sprawcę.

Wiedziony takim założeniem agent szykował się, by przetrwać zapowiadające się na niezdolnie nudne pół godziny w towarzystwie starego doktora.

Zaif tymczasem robił to, co do niego należało. Rozpiął ubranie rannego, żeby sprawdzić, czy na jego ciele nie ma innych obrażeń, ale nie znalazł niczego, poza siniakami i dość głębokimi zadrapaniami. One też zaniepokoiły doktora, lecz nie były groźne dla życia, więc na razie przestał się nimi zajmować.

Nagle mężczyzna otworzył oczy. Jego spojrzenie było przytomne i kiedy napotkał wzrok Zaifa, poruszył się lekko.

– *C'est une maison terrible, affrayante* – wyszeptał po francusku. – *Lá, chacun est manacé par la mort. Il faut faire attention á chaque pas.*

Potem lekko uniesiona głowa mężczyzny opadła i równie nagle, jak się ocknął, ranny stracił przytomność. Zakłopotany Jasek dotknął ramienia zamyślnego Zaifa.

– Cóż tam, Jaśku?

– Za przeproszeniem pana doktora, czy zrozumiał pan może, co ten człek zaszwargotał? Bo ja ani w żąb, alem się nigdy francuszczyzny nie uczył. Umiem jeno po naszemu i po rosyjsku, no i trochę po niemiecku, ale niezbyt wiele.

– Zrozumiałem.

– Mógłby pan doktor przetłumaczyć? Bo nie wiem, co mam zapisać.

Tym razem to Zaif wydawał się zakłopotany.

– Hm, oczywiście, ale to było naprawdę dziwne. Francuz powiedział: „To straszny, przerażający dom. Tam każdemu grozi śmierć. Trzeba uważać na każdym kroku”.

Jasek pobladł lekko i wyszeptał ze zgrozą:

– Jezusie, znaczy się dom śmierci...

Kiedy kilka dni później Zaif odwiedził agenta w jego gabinecie, ten po raz kolejny ślezczał nad aktami zabójstw, mając nadzieję, że znajdzie coś, co wszyscy przeoczyli, jakiś drobiazg, pozwalający ruszyć śledztwu. Tymczasem doktor chciał dowiedzieć się czegoś w sprawie zdarzenia, którym ostatnio żyło miasto.

– Nie zabawię długo, Walery, bo mam dwa poważne przypadki w szpitalu i zaraz muszę wracać. Konieczne będzie przeprowadzenie operacji. Mam nadzieję, że uda mi się to zrobić jeszcze dziś po południu. Staś czeka na miejscu i ma przygotować salę, jak tylko się zwolni.

– Nie przyszedłeś jednak bez powodu, inaczej też byś czekał w szpitalu – stwierdził agent. – Co cię zatem gnębi?

– Mój ojciec mnie gnębi. Prosił, żebym wybadał, czy nie znasz jakichś szczegółów w pewnej sprawie. Jest ogromnie ciekaw. Słyszałeś coś o pojedynku panów A.N. i Z.W.?

Jeziński uśmiechnął się pod wąsem.

– A jakże, sam podsunąłem tę sprawę gazetom, żeby odwrócić uwagę żurnalistów od zabójstw. Przyznam jednak, że nie zagłębiałem się w szczegóły i całą sprawę znam jedynie bardzo pobieżnie.

Doktor odwzajemnił uśmiech i żartobliwie pogroził palcem.

– Prawdziwy z ciebie lis, Walery Konstantynowiczu – powiedział.

– Ja? Przecież wiesz, że nie pochwalam pojedynków, pomijając już fakt, że są one zakazane.

– Ale ostatecznie nikomu krzywda się nie stała.

– Dlatego udaję, że o niczym nie wiem, choć sprawa stanęła w końcu na wokandzie.

Nawet gazet ostatnio nie czytam, odsyłam je Sokołowowi nierozpieczętowane, zasłaniając się brakiem czasu.

Zaif zrozumiał, że agent musiał oficjalnie udawać niewiedzę.

– Z początku gazety niezbyt się kwapiły do pisania na ten temat, gdyż upublicznianie informacji o zakazanych pojedynkach także grozi konsekwencjami prawnymi. Tym razem dałem im jednak cichą zgodę.

– No i teraz prześcigają się w relacjach.

Nic dziwnego, że Kalisz tak się emocjonował pojedynkiem i tym, co z niego potem wynikło. Niewielu zdawało sobie sprawę, że w mieście grasuje zabójca, bo dzięki Jezierskiemu prasa sądziła, że to nieszczęśliwe wypadki. Dlatego rozprawa z bronią w ręku zaprzętała umysły ludzi. Rzeczą nie była zwyczajna, głównie z powodu jej bohaterów, do wyższych sfer należących, jako też dla samego jej przedmiotu. Pojedynkowicze zostali ukryci w gazetowych relacjach pod inicjałami: A.N. i Z.W. Do wiadomości publicznej podano tylko nazwisko obrońcy – Anatola Paszkiewicza, jednego z najznamienitszych prawników. „Wyższe sfery” oznaczały co najmniej ziemiaństwo, kaliszanie skłonni więc byli przeważnie podejrzewać kogoś z Wyganowskich, dziedziców Warszówki, albo Weissów, a może jeszcze kogoś innego. Nikt jednak nie wiedział na pewno.

Gdy przyjaciele tak sobie gwarzyli o pojedynku, do gabinetu wpadł jak bomba zadyszany Poraj, nie zawracając sobie głowy pukaniem.

– Szeffie – wydusił z trudem. – Dziecko porwali! – wydyszał, doszedłszy nieco do siebie.

– Czyś ty szaleju się najadł?! – zawołał Jezierski ostro. – Kto by porywał dziecko?

– Ale to najświętsza prawda! – Jasiek z całej siły walnął się w pierś. – Przysięgam, że takie otrzymałem zgłoszenie! A wszystko to z powodu tego piekielnego zaćmienia! – Tu spojrzął na Zaifa z niemym wyrzutem. – Pan doktor mówił, że to normalne zjawisko, ale sam słyszałem, jak pewien człek na placu wykrzykiwał, że zaćmienie Słońca oznacza rozlew krwi i że wielu zginie! No i wszystko się sprawdza.

– Jasiek, zabójstwa mamy już od trzech miesięcy. Dwa lata temu też mieliśmy, nie pamiętasz?

– Pamiętam – niechętnie przyznał Poraj.

– Wtedy jakoś do głowy ci nie przyszło gadać o znakach na niebie, które oznaczają rozlew krwi.

– Bo wtedy nie było zaćmienia.

Agent tylko westchnął w obliczu tej chłopskiej logiki.

– Chodzi mi o to – tłumaczył jednak spokojnie – że zabójstwa zdarzają się i będą zdarzać bez względu na to, czy przez niebo przeleci kometa, ukaże się zorza polarna czy też nastąpi zaćmienie Słońca. Chociaż z tą zorzą chyba przesadziłem. Kalisz nie leży pod biegunem.

– Ależ zorzę polarną już mieliśmy – zaprotestował z uśmiechem Zaif. – Pierwszego lutego 1870 roku o godzinie wpół do siódmej wieczorem. Pewnie nie pamiętasz, ale wspominałem o tym dwa lata temu na przyjęciu u mojego ojca. Wtedy, gdy poznałeś Deborę.

– Możliwe. Ale wówczas byłem tak przejęty, że niewiele z tego wieczoru pamiętam. Zresztą nie czas teraz na pogawędki o anomaliiach pogodowych. Jasiek, rozumiesz, co do ciebie mówię?

Poraj pokiwał smętnie spuszczoną głową.

– I żebyś mi więcej nie wyskakiwał z jakimiś prorocत्वami czy innymi zabobonami, bo ci się do skóry dobiore. Masz się zachowywać jak na policjanta przystało i nie kalać munduru jakimiś, tfu, urokami. Jasne?

Jasiek stuknął obcasami.

– Czyje dziecko porwano?



- Rajcy Bukowskiego.
- Jezierski zwrócił się do doktora.
- No cóż, pojedę chyba najpierw zobaczyć, o co chodzi z tym porwaniem.
- Jedź koniecznie, nie zwlekając. Ja też mam co robić.
- Do zobaczenia.
- Do zobaczenia.

Dzięki staraniom Stasia, który świetnie się sprawiał w roli kuriera, Zaif niebawem wiedział, że dziecko zostało uprowadzone w dniu zaćmienia Słońca z placu niedaleko ulicy Babinej. Tam właśnie mieszkał rajca Teodor Bukowski wraz z piękną, ale niezwykle apodyktyczną małżonką Barbarą, która twardą ręką trzymała nie tylko rządy w domu, ale i domową kasę. *Notabene*, kasę tę obficie zasilila olbrzymim posagiem w kwocie czterdziestu tysięcy rubli.

Tamtego feralnego dnia mała Zuzia Bukowska wyszła pod opieką niańki na spacer po kaliskich plantach. Los sprawił, że w tym czasie nastąpiło zaćmienie Słońca i zafascynowana niańka tak się zagapiła na niecodzienne widowisko, że wcale nie zauważyła, iż ktoś uprowadził dziecko. Zorientowała się dopiero, gdy wszystko się skończyło, a ona przestała wymieniać pełne podniecenia uwagi ze stojącymi obok ludźmi. Wówczas postanowiła kontynuować spacer, ale dziewczynka zniknęła. Przerazona, zaczęła nawoływać, pomagali jej przechodnie, ale dziecko się nie znalazło. Nikt nie zauważył, co się stało.

Opiekunka, słusznie obawiając się gniewu swojej chlebodawczyni, od razu pobiegła do cyrkułu i błagała o zamknięcie w areszcie, byle tylko nie dopuszczać do niej pani Bukowskiej. Niestety, nikt nie mógł spełnić tej niecodziennej prośby, więc nieszczęsna kobieta schroniła się u krewnych w Opatówku, osadzie miejskiej, w której była fabryka sukna, zatrudniająca mnóstwo osób. Łatwo jej było zniknąć w tłumie tam zatrudnionych.

Jezierski, wściekły, że rodzice zawiadomili go o porwaniu dopiero po kilku dniach, od razu kazał Kaminskiemu, gubernialnemu sekretarzowi znanemu z pedanterii, zasięgnąć informacji o tej miejscowości i rodzinie panny (dość już leciwej) Wandy Kowalskiej, teź niańki. W końcu nie mógł mieć żadnej pewności, że nie jest ona zamieszana w porwanie dziecka. Skrupulatny, lecz całkowicie pozbawiony wyobraźni urzędnik przekazał swemu przełożonemu zdumiewającą notatkę. Jezierski wyczytał z niej, jakby go to coś obchodziło, że Opatówek był kiedyś zwykłą wsią, lecz na początku dziewiętnastego wieku nastąpił jego szybki rozwój. W 1807 roku wieś stała się własnością generała Zajączka, a ten trzy lata później przebudował dawny Pałac Prymasowski na styl renesansowy oraz odnowił otaczający go park, co agenta obeszło jeszcze mniej. Miejscowość zyskała przywileje, którymi przyciągnęła mieszczan, kupców i przemysłowców. Położono bruk i zbudowano nowe kamienice. W 1824 roku powstała tam fabryka sukna. Dalej już było tylko gorzej.

Przecierając ze zdumienia oczy, agent czytał, że Opatówek znalazł się nawet na kartach pamiętnika Juliana Ursyna Niemcewicza. Ten nieżyjący już od niemal półwiecza poeta, dramaturg i wolnomularz (znów wolnomularz!) ciepło pisał: *z miejsca, położonego w piaszczystej i nieprzyjemnej krainie, uczynili dzisiejsi właściciele okolicę najprzyjemniejszą. (...) nie wieś, jak przedtem, lecz porządne miasteczko, z rzemieślniczych domów złożone, wskazują wszędy ruch czynny i życie, miłym Opatówek czynią pobyt<sup>54</sup>*. W roku 1869 Opatówek, liczący wówczas 1623 mieszkańców, utracił prawa miejskie, stając się osadą miejską. W 1878 roku spłonęło archiwum akt dawnych, uratowano jedynie jeden przywilej namiestnika oraz pięć ksiąg grodzkich z siedemnastego i osiemnastego stulecia. O rodzinie panny Kowalskiej nie napisał nic, bo zwyczajnie o niej zapomniał.

Ostatnie informacje, a szczególnie cytat, tak zaskoczyły Jezierskiego, że wezwał przed swoje oblicze Kaminskiego, by sprawdzić, czy ten nie zachorował. Kazał mu się wytłumaczyć i odkrył ze zdumieniem, że jego podwładny zakochał się w jakiejś mieszczce pochodzącej z Opatówka właśnie! Niestety, bez wzajemności. Pozostało mu jedynie rozpamiętywanie wspomnień o ukochanej i wszystkim, co się z nią wiązało. Jezierski, choć w duchu się uśmieł, na zewnątrz pozostał niewzruszony i surowo nakazał poprawienie notatki oraz uzupełnienie jej o dane członków rodziny panny Kowalskiej, ich kontakty, a przede wszystkim, czy nie mieli zatargów z prawem lub podejrzanych znajomości.

Cały incydent agent opisał krótko, acz dowcipnie w jednej z wiadomości dla Zaifa, nie mógł się bowiem powstrzymać, by nie podzielić się z przyjacielem tak zaskakującą nowiną.

Zaif zignorował sercowe perypetie Kaminskiego i skupił się na dalszej części wiadomości. Otóż dość szybko okazało się, iż dziewczynkę porwano dla okupu, gdyż następnego dnia państwo Bukowscy otrzymali anonimowy list z żądaniem zawrotnej kwoty dwudziestu tysięcy rubli.

Suma całkowicie astronomiczna dla przeciętnego człowieka. Zwykły robotnik w Warszawie zarabiał dziennie około 55 kopiejek, a stolarz 160. Korzec<sup>55</sup> mąki pszennej kosztował od 2 do 5 rubli, garniec<sup>56</sup> wódki jakieś 6 rubli. Za mięso baranie zapłacić trzeba było około 12 kopiejek, za cielęcę 11–15 kopiejek, za wieprzowe 10–16 kopiejek, a za słoninę 14–17 kopiejek. Masło kosztowało od 35 do 45 kopiejek, garniec mleka około 30 kopiejek. Cena pary butów wynosiła zwykle półtora rubla, a surduta 3 ruble srebrem. Weterynarz zarabiał rocznie około 360 rubli, dentysta 150. Natomiast dom w dobrym stanie, z zabudowaniami gospodarskimi i 14 morgami gruntu w jednym kawałku, kosztował około tysiąca<sup>57</sup>. Toteż kwota dwudziestu tysięcy niewątpliwie urządziłaby każdego do końca życia.

Na razie nic jednak nie wskazywało na kogoś konkretnego, kto mógłby się tego dopuścić. Zaif dodatkowo martwił się także tym, czy dziewczynka jeszcze żyje. Wszak osobnik dopuszczający się tak haniebnego czynu równie dobrze mógł pozbawić ją życia. Zatem przy najbliższej okazji doktor udał się do przyjaciela, by dowiedzieć się, czy coś już wiadomo w sprawie dziecka. Obawa o jego życie tak dręczyła doktora, że postanowił odłożyć na bok wszystkie mniej pilne zajęcia.

Jezierski akurat wydawał polecenia w sprawie jakiejś depeszy od Hurki, więc po gabinecie kręciło się kilka osób z administracji. Dopiero gdy wyszły, Zaif zapytał go o postępy w sprawie porwania córki rajcy Bukowskiego. Agent westchnął tylko i odparł, że nic nowego się nie zdarzyło, poza tym że porywacz przysłał drugi list, w którym wyznaczył termin złożenia okupu.

– Listy wysyłał pocztą? – zapytał Zaif.

– Tak, wszystkie z Kalisza. Bukowscy mają mu przekazać okup za dwa dni. Mam nadzieję, że wcześniej pójdziesz tam ze mną? Tak? Świetnie. Ale nie napisał, gdzie ten okup dostarczyć.

– W takim razie jutro pewnie przyjdzie kolejna wiadomość wskazująca miejsce złożenia pieniędzy. Ciekawe.

– Dlaczego?

– Bo to oznacza, że będzie musiał sam lub przez kogoś dostarczyć tę wiadomość. Pocztą tak szybko nie działa.

– Zatem mamy szansę go schwytać! – ucieszył się agent.

– Jego albo nic niewiedzącego posłańca – sprowadził go na ziemię doktor.

– Zawsze coś nam powie. Na przykład, jak wygląda porywacz.

– Jeśli się z nim widział. Porywacz mógł przecież to zrobić przez kogoś innego lub się przebrać, zmienić wygląd. Ja bym tak zrobił.

– Ale on nie musi być taki sprytny – zirytował się agent. – Ciągłe tylko piętrzysz trudności.

– Jedyne przewiduję.

– Tak czy inaczej, czegoś się dowiemy.

– Jeśli go schwytasz.

– Och, dajże spokój!

– W takim razie opowiedz mi, jaka jest rodzina państwa Bukowskich.

Agent spojrział na zegarek.

– Słuchaj, właściwie skoro już tu jesteś, chodź ze mną do państwa Bukowskich. Będziesz mógł sam ocenić, jacy są.

Zaif skinął głową.

– W takim razie chodźmy natychmiast.

Wyszli, nie zwlekając. Doktor zastanawiał się po drodze:

– Może oni coś wiedzą? Albo tylko jedno z nich?

– Na pewno by powiedzieli.

– Mogą nie zdawać sobie sprawy z wagi posiadanych informacji. Powiedz mi coś o nich, to nic, że zaraz ich poznam. Jestem ciekaw, jakie wrażenie zrobili na tobie.

– No cóż, rajca Bukowski, nawet jeśli ma coś do powiedzenia na sesjach rady miasta, to w domu jest typowym pantoflarzem. Nadskakuje i dogadza żonie, która w ogóle o to nie dba. *Notabene*, jego żona jest naprawdę piękną kobietą. Błyszczące kasztanowe loki, wielkie niebieskie oczy, wcięta i wypukła tam, gdzie należy. Mówię ci, palce lizać. Ale cóż z tego! Twarz anioła, ale charakter iście piekielny. Złośnica, despotka, pierze męża po pysku przy obcych, wyzywa go od najgorszych. „Niedojda” to było najłagodniejsze określenie, jakiego przy mnie użyła.

– A co on na to?

– On? Nazywa ją „duszką”, „gołąbeczką”, „najdroższą Basieńką” i potulnie spełnia każdy rozkaz.

– Ale jak znosi to, że żona publicznie go policzkuje?

– Hm... Przez moment zdawało mi się, że widziałem w jego wzroku coś jakby wrogość, ale trwało to tak krótko... Poza tym jednym razem nic takiego już nie dostrzegłem, a i tego nie jestem wcale taki pewien. Bukowski w ogóle nie daje po sobie nic poznać, biernie czeka, aż złość jej przejdzie, łagodzi jej ataki gniewu, przynosi koniaczek na uspokojenie. Pada do stópek i je całuje, nawet jeśli małżonka pantofelkiem kopie go w nos. Tfu! Na stare lata będzie z niej prawdziwa sekutnica!

– Jeśli i uroda przeminie...

– Przeminie, przeminie. Zawsze przemija.

– Nie bądź taki pewien. Niektóre kobiety potrafią jednak bardzo długo wyglądać pięknie i młodo. Swego czasu Kalisz i okolice aż huczały od plotek na temat generałowej Zajączkowej. A co dopiero musiało się dziać w Warszawie...

– Żona generała Zajączka? Tego, który kupił Opatówek? – zdziwił się agent, wciąż mając w pamięci nieprofesjonalną notatkę zwykle pedantycznego Kaminskiego.

– Tego samego! – roześmiał się Zaif. – Jej historia jest mi dobrze znana, w końcu bywała w tych stronach i stanowiła wówczas nie lada atrakcję. Podobno dość dobrze znał ją mój dziadek, a on lubił na starość opowiadać. Z tego, co mówił, wszystkie kobiety jej zazdrościły

i oczywiście chętnie ją obgadywały. Ale ona nic sobie z tego nie robiła, była zajęta głównie flirtowaniem z co przystojniejszymi młodzieńcami. Jako siedemdziesięciolatka pozwoliła sobie na chyba najgłośniejszy romans w Europie, bo z młodszym od niej o czterdzieści lat przystojnym referendarzem stanu, Grzymałą. Ten związek wywołał głośny skandal w ówczesnej Warszawie, lecz nie trwał długo, bo tym razem to generałowa została porzucona. Grzymała zakochał się w George Sand. Zdrowa i piękna dokonała żywota 13 lutego 1845 roku.

– Ile miała lat?

– Dziewięćdziesiąt jeden. Choć niektórzy mówią, że w chwili śmierci miała dziewięćdziesiąt osiem lat. Nie wnikając w te szczegóły, nie mów, że uroda zawsze przemija.

#### **Rozdział 4**

Gdy przyjaciele zjawili się w domu rajcy Bukowskiego, panował tam totalny chaos. Przestraszona służba biegła tam i z powrotem, pani domu leżała w salonie na otomanie z kompresem na czole, jęcząc rozdzierająco i skarżąc się na swój los, a pan domu bezradnie miotał się między małżonką a drzwiami, przez które usiłował wydawać służbie polecenia lub odbierać od niej a to sole trzeźwiące, a to kieliszek wina, a to walerianę.

W ten rozgardiasz wbił się jak taran Jezierski i kilkoma wypowiedzianymi ostrym tonem rozkazami opanował sytuację. Nikt nie śmiał mu się sprzeciwić, może po części dlatego, że agent jakby mimochodem bawił się jednym ze swych nowych rewolwerów, które dostał od Zaifa. Młody doktor w tym czasie przybrał bardzo skupiony wyraz twarzy, usiłował bowiem naprędce wykonać w pamięci skomplikowane działania matematyczne, byle tylko odwrócić uwagę od tego, co widzi, inaczej mógłby nie pohamować śmiechu. Gdy już zdołał się opanować, podążył za agentem do salonu, rozglądając się z ciekawością.

Mieszkanie rajcy było obszerne, zajmowało całe piętro kamienicy przy ulicy Babinej. Wszędzie widać było zbytek, ale i nieład, jakby nic nigdy nie stało zbyt długo w jednym miejscu. Kosztowne, inkrustowane meble nie zawsze tworzyły komplet, dywany były nie do pary, wazony, kryształ, świeczniki i kwiaty wydawały się rozrzucone bez ładu i składu, podobnie jak obrazy na ścianach. Zupełnie jakby dziecko ustawiało sobie coś z klocków, a potem burzyło, by zacząć budować coś innego. Estetyka zdecydowanie przez to kulała, podobnie jak porządek, choć na każdym kroku widać było zamożność właścicieli.

Nie mogło być inaczej, zważywszy że nie każdy mógł zostać rajcą. Aby ubiegać się o tę zaszczytną funkcję, należało posiadać w mieście nieruchomość, czyli być „obywatelem” zapisanym w księdze miejskiej oraz znakomicie władać językiem rosyjskim. Ostatnim etapem osiągnięcia zaszczytu tego była nominacja od władz państwowych. Do roku 1866 kaliski magistrat składał się z prezydenta i dwóch, rzadziej trzech rajców. Gdy miasto znów stało się stolicą guberni, rajców było już piętnastu<sup>58</sup>. Wyboru kandydatów dokonywali... oni sami. Na szczęście w porozumieniu ze znamienitymi obywatelami, czyli właścicielami nieruchomości, kupcami i fabrykantami, jak na przykład Emil Repphan, który przez lata był właściwie stałym „wyborcą” w Kaliszu<sup>59</sup>.

Rozglądający się po domu rajcy Zaif był pewien, że w tak chaotycznie prowadzonym gospodarstwie służba okrada swoich chlebobawców na niebotyczne kwoty. Nikt dobrze nie wiedział, gdzie stoi dany mebel i czy jeszcze stoi, bo państwo mogli go już wymienić na inny. Na pewno nagminnie ginęła masa cennych drobiazgów, które dało się wynieść za pazuchą, drobna biżuteria, srebra stołowe, żywność, a może nawet i części garderoby, pomyślał Zaif, spoglądając na drogi kaszmirowy szal wciśnięty za siedzenie jednego z mijanych krzeseł i walające się po podłodze pod stolikiem do robótek, którego zapewne nikt w życiu nie używał,

rękawiczki wyszywane perełkami oraz samotny złoty kolczyk.

Salon, w którym spoczywała pani Barbara Bukowska, był w nieco lepszym stanie, widocznie bywała w nim na tyle często, że służba nie ryzykowała tu kradzieży. Meble, jak i reszta ozdób pasowały do siebie, gorzej było z drobiazgami zgromadzonymi wokół pani domu. Nieliczne książki mieszały się tu z kolorowymi magazynami, kieliszkami, flakonami perfum i różnorodnymi słodyczami, najczęściej czekoladkami. Tutaj centrum chaosu stanowiła sama pani Bukowska, robiąca wokół siebie tak wiele zamieszania, że Zaif ze swą spokojną, uporządkowaną naturą cierpiał prawdziwe katusze, stojąc obok i patrząc na to wszystko.

Zniechęcony, po powitaniach i prezentacjach, nie zważając już na zasady, usiadł sobie w kącie jak najdalej od gospodyni i obserwował rozgrywające się przed jego oczami widowisko.

„Najdroższa Basieńka” miała piękną, jasną karnację i nieco przesłodzoną urodę. Teraz na wpół leżała we wdzięcznej pozie, przechylona lekko do tyłu, z biustem triumfalnie wycelowanym w sufit. Była ubrana w strojną, mocno wydekoltowaną suknię, odkrywającą całkiem sporo. Gorset ścisnął ją w pasie, uwydatniając górne i dolne wypukłości, nieco zbyt bujne jak na gust Zaifa.

Poza tym jego bystre oko bezlitośnie szybko wytropiło najpierw ledwo widoczne odrosty, świadczące o tym, że niewiasta jest z natury ruda jak marchewka i tylko farbuje się na kasztanowo, a potem, że za uchem kryje się spora brodawka porośnięta kilkoma włoskami. Zwykle skrywały ją loki, które teraz, z powodu odchyłonej głowy, opadły do tyłu. Młody doktor zauważył też, iż pani Basieńka rzuca mu spod rzęs pełne złości spojrzenia, bo nie może znieść, by jakiś mężczyzna trzymał się od niej z daleka, zamiast jak reszta trwać przy niej w gotowości do spełniania wszelkich kaprysów.

Obejrzawszy sobie gospodynię, Zaif skierował uwagę na jej męża. Rajca był średniego wzrostu, szczupłej budowy ciała, o brązowych włosach, wąsach i oczach. Apatyczny, wszystko robił niemrawo, bez cienia energii czy radości.

Nie było w nim nic przykuwającego uwagę, nie rzucał się w oczy, mimo dość regularnych rysów. Jedyną chyba rzeczą, która go odróżniała, było niewielkie, brązowe znamię na grzbiecie prawej dłoni, u nasady kciuka. Poza tym z trudem można by przypomnieć sobie, jak wyglądał, taki był niepozorny. Doktor zastanawiał się, dlaczego i doszedł do wniosku, że brało się to z braku charakteru i woli, które wyostrzyłyby jego rysy, tchnęły w nie życie.

Nijaki, stwierdził Zaif, i skierował uwagę na to, co działo się w salonie. Było to o wiele ciekawsze. Jezierski właśnie rzucił na rajcę pełne zdumienia spojrzenie, które niemal natychmiast zmieniło się w grymas wściekłości. Rajca skulił się nieco pod wzrokiem agenta, ale dzielnie wytrzymał na miejscu, gdy ten niemal na niego krzyczał:

– Przecież umówiliśmy się! Miał pan nic nie ruszać! I natychmiast zawiadomić policję! Po cholere wystawiłem tu dziesięciu ludzi w cywilu? Żeby pan nie musiał pędzić do cyrkułu, tylko miał wszystko pod ręką!

– Ależ drogi panie! Zapewniam, że chciałem uczynić tak, jak pan nam doradzałeś, ale nie nie poszło zgodnie z przypuszczeniami. Zapewniam!

– Czyli co poszło nie tak?

– Przede wszystkim tyle osób dziś do nas zaglądało, że nie sposób było stwierdzić, kto przyniósł list. Pańscy ludzie z pewnością to potwierdzą. Cała masa dostawców z towarami, niektórych to nawet nie zamawialiśmy... Dalej... Co to ja chciałem rzec? A, tak. Dostawcy, znajomi, petenci. Zupełnie, jakby się zmówili. Posłałem po pana, ale moja żona, nieszczęśliwa matka, nie mogła wytrzymać i otworzyła list, zanim ją zdołałem powstrzymać... Rozumie pan, miłość matki, niepokój... No, rozumie pan?

– Nie! – ryknął wyprowadzony z równowagi Jezierski. – Gdyby moje dziecko było w niebezpieczeństwie, to zrobiłbym wszystko, żeby nie zacierać śladów przestępcy, utrudniając tym samym jego pochwylenie. Zupełnie was nie rozumiem. I jeśli dziecku coś się stanie, zamierzam was oboje postawić przed sądem razem z porywaczem! Kto was tam zresztą wie, może samiście upozorowali to porwanie?

– Pan jest bez serca! – zakrzyknęła na to pani Bukowska, odrzucając kompres i zrywając się z otomany. – Czy pan nie widzi, jak ja cierpię? Jak pan może nas podejrzewać, że... I niby po co mielibyśmy to robić?!

Zerkała przy tym ze złością na młodego medyka, który nadal nie brał udziału w rozmowie i wydawał się w ogóle niezainteresowany tym, co dzieje się w salonie. Tymczasem jego uwadze nie uchodził najmniejszy drobiazg, jednak nikt nie wyczytałby tego z jego twarzy bez wyrazu.

– No właśnie, po co? – przyłączył się jej mąż. – Przecież nic na tym nie zyskamy, że sami będziemy sobie płacić!

Agent już zdążył się opanować.

– Nie wiem, co na tym zyskacie – odparł nieco bezradnie. – Ale zachowujecie się tak, jakbyście wcale nie chcieli tego dziecka odzyskać.

– Ależ ja bym życie za nie oddała!

– Krwi własnej bym nie poskąpił!

– To musi być jakiś potwór!

– Tu się z wami zgadzam, ale teraz, gdy zniszczyliście wszystkie jego ślady, nie wiem, jak zdołamy go odnaleźć. Gdzie i o której ma nastąpić wymiana?

– Dziś o wpół do dziesiątej wieczorem w parku – wyszeptał rajca i zerknął na żonę.

Pani Bukowska opadła z powrotem na otomanę.

– Ja tego nie przeżyję! – wybuchnęła i zamknęła oczy.

– Zemdlą! Medyka! – zakwilił małżonek i truchtem ruszył do drzwi. – Niech ktoś wezwie medyka!

Jezierski położył mu ciężką dłoń na ramieniu. To go natychmiast zatrzymało.

– Spokojnie, doktor Zaif zaraz jej pomoże.

Zaif podszedł do pani Bukowskiej i chwycił jej nadgarstek.

– Proszę przestać udawać – powiedział spokojnie.

– Ależ panie, moja żona na pewno nie udaje! Ona po tym nieszczęściu mdleje kilka razy dziennie!

– Tym razem na pewno nie. Liczę do trzech i jeśli pani nie przestanie, wyleję pani na gors wodę z flakonu – chwycił stojący na pobliskim stoliku kryształowy wazon pełen przywiedłych lilii. – Ale uprzedzam: wygląda na to, że wasza niedbała służba dawno jej nie wymieniała. Raz... Dwa... No proszę!

Pani Bukowska otworzyła ciskające teraz błyskawice oczy i wbiła je z nienawiścią w Zaifa.

– Cóż z pana za lekarz? – prychnęła jadowicie. – Jakiś konował!

– Najlepszy na świecie – przerwał jej agent. – Lepszego nie mógłbym sobie życzyć.

– W ogóle się pan nie przejmuje ludzkim cierpieniem? – trwała przy swoim pani

Basińska.

– Tyle jest prawdziwego bólu i cierpienia, że naprawdę szkoda mi czasu na pani fochy – odparł sucho Zaif.

– Doktor Wilczewski nigdy by tak nie postąpił! – wyrwało się rajcy.

– O, nie wątpię – zaśmiał się agent. – A potem wystawiłby państwu piękny rachunek na okrągłą sumkę.

– I co z tego? Stać mnie na to. Na zdrowiu żony nie będę oszczędzał!

– Ależ pańska żona jest zdrowa jak ryba, więc płaci mu pan właściwie za nic.

– Nieważne. A pan doktor nie potrzebuje pieniędzy? – uśmiechnął się drwiąco.

– Nie – odparł spokojnie Zaif i wrócił na swój fotel w kącie.

Bukowski oniemiał, jego żona także. Służba z ciekawością, choć dyskretnie, popatrywała na młodego medyka. Ciszę przerwał Jezierski.

– Proszę natychmiast pokazać mi list – rzucił szorstko.

Rajca widać był nawykły do spełniania rozkazów, gdyż rzucił się ku niemu z papierem, który pochwycił ze stoliczka stojącego obok otomany. Agent rozpostarł niczym niewyróżniający się nieduży arkusz wyjęty z pospolitej koperty bez żadnego znaczka. Widniało na niej napisane ręcznie, drukowanymi literami, nazwisko oraz adres Bukowskich.

– *Pieniądze w kwocie dwudziestu tysięcy rubli – zaczął czytać na głos agent – włóżcie do worka, takiego samego, w jakim dostarczają wam ziemniaki. Zwiążcie worek długim, mocnym sznurem. Potem złożcie go nie wcześniej niż o godzinie pół do dziesiątej w nocy pod figurą Amora, który stoi w parku pod wzgórzem z ruinami zamku<sup>60</sup>. Jeśli zobaczę jakiegoś policyjnego szpicla, to nigdy już nie ujrzycie dziewczynki. Wysyłam także dowód, że dziecko jest w mojej mocy. Liberator.*

Jezierski odwrócił kartkę, ale druga strona była pusta, list kończył się na dole pierwszej. Zajrzał do koperty, nawet ją wytrząsnął, ale i tam nic nie było. Spojrzał groźnie na małżonków.

– Gdzie ten dowód? – spytał głosem niewróżącym nic dobrego.

– Mam go tu, na piersi – wyzywająco oznajmiła pani Bukowska, przykładając dłoń do obfitego biustu.

Ciekawym gdzie, pomyślał agent, bo ten dekolt ledwie co zakrywa, ale nie powiedział tego na głos, tylko wyciągnął rękę. Pani Basieńka z oporem wyjęła z za dekoltu strzęp materiału. Z dalszych wyjaśnień wynikało, że był to skrawek sukienki, w jaką ubrane było dziecko, oddarty od dołu spódnicy. Nawet służba potwierdziła, że to kawałek odzienia panienki.

– Później sobie porozmawiamy na temat ukrywania dowodów przed policją – stwierdził agent. – Teraz chcę wiedzieć, kogo mieliście zamiar wysłać z okupem do parku?

– Mój mąż lub ja...

– Wykluczone – przerwał krótko agent. – Pójdzie któryś z moich ludzi, oczywiście nie w mundurze.

– Ale w liście wyraźnie napisano, że jeśli porywacz zobaczy kogoś z policji, to nie odda nam dziecka! – krzyknęła pani Bukowska z przerażeniem.

– A skąd będzie wiedział, że to ktoś z policji?

– N...nnie wiem – wyjąkała, nieledwie szcękając zębami ze strachu. – Ale nie możemy ryzykować.

– Bzdura.

Pani Basieńka, zmienna jak wiosenna burza, niemal natychmiast przeszła od przerażenia do gniewu.

– To nie pańskie dziecko, więc niech mi się tu pan nie wymądrza! – zawołała hardo.

– Jak porwą wasze dziecko, to sobie wyznaczajcie jakiegoś policjanta i narażajcie życie dziecka. Ja się nigdy na to nie zgodzę! Pójdę do samego gubernatora! Rozumie pan? A jak to nie wystarczy, to na dwór do Petersburga pojedę!

Agent milczał, ale widać było, że się waha. Zerknął na Zaifa, lecz ten był za daleko, żeby

móc wymienić z nim jakąś poufną uwagę.

– No dobrze – zgodził się Jezierski z ociąganiem. – Tym razem nie będę wam niczego narzucał. Choć nadal uważam, że powinien iść policjant. Może chociaż wyślecie tam kogoś ze służby...

Bukowska tylko prychnęła gniewnie.

– Żeby ukraść pieniądze i uciekł? Też ma pan pomysły!

– Nie macie nikogo zaufanego? – zdziwił się agent. – No cóż, widocznie źle traktujecie służbę, ale to już nie moja sprawa. Ja muszę zapewnić bezpieczeństwo temu, kto tam pójdzie.

– Właśnie, to nie pańska sprawa – syknęła obrażona gospodyni. – Do parku pójdzie mój mąż. Pan niech się nawet do niego nie zbliża.

– Nie zamierzam. Swoich ludzi rozstawię w oddali, obstawią wejścia i będą obserwować wchodzących i wychodzących. Na pewno chce pan iść? – zapytał Bukowskiego.

Ten zdawał się w ogóle nie przejmować potencjalnym niebezpieczeństwem. Wydawał się wręcz zadowolony. Zrobił kilka tanecznych niemal kroków w stronę okna, ale zaraz się opanował i przystanął.

– Oczywiście! – stwierdził, wpatrując się w widok za oknem. W tej chwili reszta widziała tylko jego plecy. – Chętnie dam sobie krwi utoczyć, żeby ratować moją najdroższą kruszynę!

Gdy się odwrócił, miał melancholijną minę bohatera idącego do walki z legionem wroga. Zerknął na Basieńkę, czy to widzi, i nieco teatralnym gestem wyjął chusteczkę. Otarł oba kąciki oczu, jakby właśnie uronił łzę nad swoim ciężkim losem.

– Może nie będzie aż tak źle – mruknął agent, a w duchu pomyślał: Błazen! – W razie czego jednak nie będę mógł panu natychmiast pomóc i jeśli porywacz podejdzie blisko, to może panu coś zrobić. Zaryzykuje pan?

– To przecież oczywiste – władczo ucięła dyskusję pani Basieńka, nie zwracając najmniejszej uwagi na popisy męża. – I nie wracaj mi bez dziecka. On ma dostać pieniądze, ty dziecko. Więc nie daj się oszwabić, gamoniu!

– Ależ duszko!

– Nie przerywaj, kiedy do ciebie mówię!

– Przepraszam, skarbie.

– Chwileczkę – wtrącił się agent. – Czy zgromadzili państwo całą sumę?

Małżonkowie spojrzeli po sobie, a potem oboje wbili wzrok w podłogę. Pani Basieńka nagle jakby straciła głos. Jezierski czekał w milczeniu, patrząc na nich surowo. W końcu odezwał się Bukowski.

– No cóż... Tak jakby... To znaczy nie do końca.

– Ile macie? – spytał krótko agent.

– Ponad połowę... Czternaście tysięcy.

– Ale szybko zgromadzimy resztę! – wykrzyknęła Basieńka. – Za dwa dni będziemy mieć całość! Trzeba tylko sprzedać więcej papierów wartościowych, a to trwa, niestety.

– Sądzi pani, że porywacz poczeka?

– A dlaczego by nie? – odparła zaczepnie, odrzucając w tył włosy. – To dużo pieniędzy, więc chyba mu się opłaci?

– A jeśli coś zrobi dziecku?

– Wtedy nie dostanie reszty – pani Bukowska zacisnęła zęby, aż zazgrzytały.

– Ale już będzie miał czternaście tysięcy. To też niemało. Wręcz bardzo dużo.

– Może więc od razu odda nam dziecko!

– Nie sądzę. Ze złości i rozczarowania może zrobić małej krzywdę...



– Niech się pan nie waży tak mówić! – pani Bukowska zerwała się na równe nogi i skoczyła na agenta z pięściami. – Wydrapię panu oczy, jeśli pan natychmiast nie przestanie! – krzyczała.

Jeziński cofnął się odruchowo i złapał ręce napastniczki. Kobieta zaczęła się szarpać, a jej krzyki przerodziły się w dzikie wycie. Zaskoczony agent, nie namyślając się wiele, chwycił dłonie kobiety jedną ręką, a drugą sięgnął po flakon z kwiatami i chlusnął zawartością prosto w jej twarz. Natychmiast zamilkła i tylko stała, ciężko dysząc. Jej oczy wyglądały jak dwie puste dziury. Zaif podszedł szybko i zmierzył jej puls. Był zły na siebie, że nie zdążył podejść, gdy pani Basieńka nagle dostała ataku hysterii. Zrozumiał, że pod tą całą pozą hardości tłumila w sobie strach o los dziecka.

Posadził ją na najbliższym krześle i otworzył torbę. Wyjął jakiś flakonik z ciemną cieczą.

– To krople uspokajające – zwrócił się do rajcy. – Teraz zaaplikuję pańskiej żonie dziesięć kropel, a pan za cztery godziny poda jej następną porcję.

Na stoliku obok szezlonga stała filiżanka niedopitej herbaty. Doktor wziął łyżeczkę ze spodka i odmierzył dawkę. Potem delikatnie wlał zawartość do ust pani Bukowskiej. Nie protestowała, cały czas siedziała nieruchomo. Machinalnie wypila także zimną herbatę, którą podał jej do popicia.

– Mój Boże – mruknął do siebie agent.

Służba wybałuszała oczy, chłonąc w zachłannym, choć szczęśliwie niemym podziwiewie całą scenę.

– Mam nadzieję, że twoje lekarstwo pomoże – powiedział sceptycznie agent.

Środek Zaifa działał jednak szybko, gdyż nie upłynęła minuta, jak pani Bukowska ocknęła się z letargu.

– To wszystko – powiedziała cicho, ale stanowczo do męża, jakby kończyła z nim rozmowę. – Możesz odejść.

Zaraz jednak dodała, wskazując na Jezińskiego i Zaifa:

– I zabierz resztę tej hałastry.

„Hałastra” zabrała się do wyjścia sama, niepoganiana przez pana domu, który z zakłopotanym obliczem próbował wyszukaną grzecznością pokryć nadmierną bezpośredniość małżonki. Na szczęście goście okazali wyrozumiałość.

Przed drzwiami wciąż beczynn timer stała służba, zbity w ciasną gromadkę. Błyszczące ciekawością oczy wlepiali to w panią domu, to w odprowadzającego gości rajcę.

Jeziński spojrział na nich ponuro i huknął:

– A wy co się tak gapicie?! Nie macie nic do roboty? Jazda mi stąd! Ale już!

Służba rozpierzchła się jak stadko kurcząt, co wydatnie poprawiło agentowi humor.

Dopiero po wyjściu z kamienicy Jeziński dał upust swoim uczuciom. Na klatce schodowej mijali zbyt dużo osób, by móc swobodnie rozmawiać. Wszędzie kręcili się tajni agenci w cywilu, ciekawscy sąsiedzi dyskutowali na podwórzu i schodach, zerkając co i raz na drzwi państwa Bukowskich.

– No, teraz sam widzisz, co to za ludzie! – wybuchnął agent, gdy odeszli kilka kroków od kamienicy. Po chwili jednak zachichotał. – Twarda z niej sztuka. Bez kija nie podchodź!

Młody doktor nie podzielał jednak wesołości przyjaciela.

– W istocie, ich zachowanie pozostawia wiele do życzenia – przyznał bez uśmiechu.

– Ale nie to mnie martwi. Jeszcze nie wiem co, ale coś mi tu wydaje się... Hm, sam nie wiem. Jest w tym wszystkim coś dziwnego, lecz nie potrafię tego na razie rozgryźć. Przepraszam cię, Walery, ale tym razem sam nie wiem dokładnie, o co mi chodzi. Wyczuwam tylko, że coś mi

umknęło, coś ważnego, a niepasującego do tego, co widziałem i słyszałem.

– Czy to znaczy, że coś cię niepokoi?

– Właśnie.

– Zatem teraz ty niepokoisz mnie – westchnął agent. – Czy wyczuwasz... jakieś niebezpieczeństwo?

– Właściwie to nie – rzekł z wahaniem medyk. – Moim zdaniem transakcja powinna przebiec sprawnie, choć porywacz, czy też ktoś przez niego przysłany, będzie zamaskowany lub przebrany. Mam nieodparte wrażenie, że to ktoś, kto ich zna. Może nawet blisko. Ale oczywiście wszystko może się potoczyć zupełnie inaczej, dużo groźniej, i ktoś może ucierpieć.

– Miejmy nadzieję, że nie dziecko. Cóż, póki co nic na to nie poradzimy. Powiedz mi, Jakubie, czy dobrze zrobiłem, zgadzając się, by to mąż zaniósł okup?

– Nie miałeś wyjścia. Oni mieli prawo upierać się przy swoim. Tu przecież naprawdę chodzi o ich dziecko.

– Ale jeśli coś mu się stanie? Przecież mogą dać mu w łeb, zabrać pieniądze, a dziecka nie oddać. I co wtedy?

– Nie wiem, choć tak też może się zdarzyć. Tylko po co by mieli przetrzymywać dziecko?

– Mogą je zabić, żeby ich nie zdemaskowało. Mogą je też zatrzymać, bo na przykład żona tego porywacza nie może mieć własnych dzieci. Mogą je również sprzedać. Tak, tak, nie wiedziałeś, że dzieci to całkiem cenny towar? Jeśli nie ma rodziny chętnej do zapłaty za pozyskanie dziecka, którego nie mogą sami począć, porywacze wysyłają dzieciaka do pracy. Je mało, robi, co mu się każe, nikt się nim nie przejmuje.

– To potworne!

– Wiem, ale tak bywa. Fabryki i kopalnie pełne są dzieci. Nie trzeba im płacić tyle, co dorosłym. Tania siła robocza. Wiele z nich nie przeżywa, lecz na ich miejsce jest wiele następnych. Taki już los sieroty czy porzuconego dziecka. Czasem także i porwanego.

Zaif wciąż był wstrząśnięty.

– Walery! Nie możemy do tego dopuścić!

Jezierski skinął głową.

– Wiem. Dlatego tak mnie złością ci Bukowscy. Zachowują się, jakby im nie zależało na odzyskaniu małej.

– Ależ nie. Zachowują się tak, bo się po prostu boją i nie chcą najmniejszego ryzyka. Jeśli porywacz pisze „żadnej policji”, to nie chcą policji. Wolą nie ryzykować.

– Ale jaką mają pewność, że porywacz dotrzyma słowa?

– Żadnej. Muszą liczyć na jego dobrą wolę. Bo skoro oni dotrzymali słowa, to dlaczego on nie miałby zrobić tego samego?

– Z różnych przyczyn. Kilka wymieniłem przed chwilą.

– Popatrz na to z innej strony. Jeśli oni nie dotrzymają słowa i wezwą policję, rośnie prawdopodobieństwo, że porywacz się zdenerwuje i także zmieni sposób postępowania, prawda?

– Niby masz rację, ale ich postawa ośmiela takie szumowiny, żeby częściej porywać cudze dzieci dla okupu. Łatwy zarobek, żadnych komplikacji, bo policję się informuje na końcu, albo i wcale. Chcesz, żebyśmy tu mieli plagę porwań?

– Naturalnie, że nie możemy do tego dopuścić. Musisz też jakoś ochraniać tego osła, Bukowskiego. O! – wykrzyknął nagle, przystając. – Przypomniało mi się, co mnie zaniepokoiło u Bukowskich! Wygląda, jakby ta wyprawa do parku cieszyła Bukowskiego. Ciekawe dlaczego?

Jezierski machnął lekceważąco ręką.

– Mam wrażenie, że chce zaimponować żonie. Liczy na to, że jak się dobrze sprawi, to ona przestanie nazywać go gamoniem. A może nawet otworzy przed nim drzwi sypialni i nasz rajca doczeka się męskiego potomka?

– To oni nie...?

– Ano nie. Tajemnica poliszynela. Cała służba o tym plotkuje i nie krępuje się opowiadać o tym także poza domem.

– Ale ta kobieta nie wygląda mi na oziębłą.

– Bo też i nie jest. Ale jak to powiadają, w morzu jest wiele ryb. Nie brakuje jej chętnych, sam widziałeś, że jest na czym oko zawiesić.

Zaif wydawał się lekko wstrząśnięty.

– Chcesz powiedzieć, że ona go zdradza?

– Nie wiem, czemu tak cię to dziwi. Ani ona pierwsza, ani ostatnia.

– Ale żona rajcy...

– Kobieta to kobieta. Nie mów, że nic nie słyszałeś. Całe miasto wie.

– Naprawdę nic nie słyszałem. I nie wmawiaj mi tu, że zdrada to domena kobiet.

– Skądże znowu! Przeciwnie. Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli ktoś chce zdradzić, to nie ma znaczenia, czy jest żoną rajcy...

– ...czy rajcą – dokończył Zaif.

– Mężczyźni na stanowisku bardziej się maskują. Zachowują pozory. Kobiety dużo łatwiej ulegają emocjom, więc nie są w stanie długo ich ukrywać.

– Chyba się z tobą nie zgadzam. Ale odeszliśmy od tematu. Dlaczego był taki zadowolony, że ma zanieść pieniądze porywaczowi?

– Jesteś przeczulony. Mówię ci, że jegomość po prostu cieszy się, mogąc przed żoną odgrywać bohatera.

– Nadal się z tobą nie zgadzam. Mam nieodparte wrażenie, że coś tu się nie zgadza.

– Ale co?

– Przecież mówię ci, że nie wiem!

– Dopóki nie wiesz, nic nie da się z tym zrobić – uznał filozoficznie Jezierski. – A uparty jesteś jak osioł!

– A ty to niby nie? – uśmiechnął się mimo woli Zaif. Sytuacja robiła się zabawna, choć w tle wciąż pozostawał niejasny los porwanego dziecka.

– Ja jestem wytrwały, a to różnica – odparł z godnością agent.

– Co w takim razie robimy?

– Jest jeszcze przedpołudnie, mamy sporo czasu do przekazania okupu. Wiem, że musisz wracać do szpitala, ale chodźmy na godzinkę do mojego gabinetu. Wydam tylko odpowiednie polecenia ludziom, żeby przygotowali się do akcji w parku, i porozmawiamy sobie o tych wszystkich dziwnych przestępstwach, które niczym szarańcza nawiedziły Kalisz. Co ty na to?

– Chodźmy.

W gabinecie Jezierskiego Zaif czuł się jak w domu, choć czasem wracały bolesne wspomnienia. Wszak Anna nigdy już nie wejdzie tu lekkim krokiem w zwiewnej sukni, nie usiądzie obok i nie porozmawia z nim o odciskach palców lub postępach w śledztwie. Nie uśmiechnie się tym cudownym, promiennym uśmiechem rozjaśniającym piękne oczy...

Dosyć, skarcił się w duchu. Przestań o tym myśleć, bo zwariujesz. Przypomnij sobie, ile osób straciło niedawno życie. Jesteś im potrzebny, by mogły spocząć w spokoju, ich rodzinom, Jezierskiemu.

O właśnie, o wilku mowa. Jezierski wszedł, a za nim wierny Jacenty, uginający się pod

ciężarem suto zastawionej tacy.

– Pomyślałem sobie, że przy okazji coś przekąsimy – Walery z zadowoleniem zatarł ręce, przyglądając się smakołykom rozstawionym na stole. – Nie ma jeszcze południa, ale przyda nam się wcześniejszy obiad. Obu nas jeszcze czeka dzisiaj dużo pracy. Chcesz cygaro?

– Przecież wiesz, że nie palę.

– Kiedyś nie paliłeś, ale teraz? Skąd mogę wiedzieć, co porabiałeś przez te lata. Może nauczyłeś się palić?

– Tej umiejętności akurat nie posiadam.

– W takim razie pozwolisz, że ja zapalę?

– Oczywiście, choć jako lekarz odradzałbym ci palenie przed posiłkiem. Z dwojga złego lepiej po.

– Niech cię kule biją! – roześmiał się agent serdecznie. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że nareszcie wróciłeś!

Po samym posiłku panowie przenieśli się na wygodne fotele i Jezierski zapalił cygaro, doktor natomiast uległ namowom przyjaciela i przyjął skromną lampkę koniaku. Przez kilka minut panowała niczym niezmacona cisza. Jacenty już wyszedł, zabierając tacę z naczyniami. W końcu Jezierski westchnął i wrócił do tematu zbrodni.

– I jak tam, miałeś trochę czasu, żeby zapoznać się z dokumentacją tych zabójstw?

Zaif skinął głową.

– I jak znajdujesz protokoły z miejsc znalezienia ciał oraz z sekcji zwłok?

– Myślałem, że będzie gorzej.

– Naprawdę? – zdziwił się agent. – A ja byłem niemal pewny, że strasznie je skrytykujesz. Przecież chyba niewiele jest wypełnionych poprawnie, a przede wszystkim w całości.

– Żaden – odparł lakonicznie doktor.

– Żaden? Nawet ten od naszego pedanta Kaminskiego?

– Nawet.

– A może byś raczył coś więcej na ten temat powiedzieć? Gdy odpowiadasz jednym słowem, niewiele można się dowiedzieć.

– Co konkretnie chciałbyś wiedzieć?

– Najpierw dlaczego odpowiadasz półsłówkami.

– Całymi słowami.

– Nieważne, wiesz, o co mi chodzi.

– Powód jest banalny. Objadłem się.

– Chyba żartujesz? Przecież skubałeś jak wróbelek, ledwo co zjadłeś.

– Ty dla odmiany obżerałeś się niczym hipopotam. Nie chcę być złośliwy, ale jeśli dalej będziesz tak jadł, to wyglądem również zaczniesz przypominać tego ssaka.

Jezierski machnął tylko lekceważąco ręką.

– Nie martw się. Całe jedzenie spalam w czasie pracy. A teraz powiedz, co sądzisz o tych zabójstwach. Doszedłeś do jakichś wniosków?

Doktor skinął głową.

– Coś tam mi przyszło na myśl, ale nie licz na to, że ci powiem, kto zabija i dlaczego.

– Rozumiem. Niemniej przydałby nam się punkt zaczepienia.

– Nie wiem, czy moje wnioski w czymś ci pomogą. To wyjątkowo trudna sprawa.

– Tu się zgadzamy.

– Przede wszystkim dlatego, że nie wiemy, co kieruje zabójcą.

– Też tak sądzę. Zawsze łatwiej szukać psubrata, gdy się wie, dlaczego robi to, co robi.  
– Otóż to.  
– Coś jednak zauważyłeś, mam nadzieję? Wiesz, że nie będę ci zazdrościł, jeśli znów się okaże, iż jesteś bystrzejszy lub bardziej spostrzegawczy niż ja.  
– Hm, powiedziałaś „znów”? – uśmiechnął się mimo woli Zaif.  
– Zwykle wyjęzyczenie.  
– Przejęzyczenie – poprawił odruchowo doktor.  
– Niech będzie. I tak trudno to wymówić obcokrajowcowi.  
– Dla ciebie nie ma już taryfy ulgowej. Jesteś w połowie Polakiem i mieszkasz tu kilka lat.  
– Wedle twojego rozumowania powinienem też już płynnie mówić po hebrajsku.  
W końcu od dwóch lat jestem żonaty z Żydówką, czyż nie?  
Zaif się roześmiał.  
– *Touché!* Jeśli masz jakieś kompleksy, że jesteś mniej bystry, powinienes się ich natychmiast wyzbyc! Po prostu nie dysponujesz taką wiedzą medyczną jak ja.  
– Dziękuję, przyjacielu – Jezierski z uśmiechem skinął głową. – Gdybyś jednak przeszedł do sedna sprawy...  
– Oczywiście. Zacznę od tych dziwnych przypadków śmierci rzemieślników budowlanych, czy też raczej związanych z budową, gdyż stolarz nie musi...  
– Tak, tak – niecierpliwie przerwał agent – to już chyba ustaliliśmy. Co z nimi?  
Zaif zasępił się nieco.  
– Jakby to powiedzieć... Rany, z powodu których ponieśli śmierć, są bardzo nietypowe.  
– Coś tam wspominałeś, ale przyznaję, że nie pamiętam, co. Brutalne, o to ci chodzi? Te odcięte części ciała...  
– Nie to mam na myśli – przerwał doktor. – Widzisz, trudno mi to krótko wyjaśnić.  
– To mów dłużej, bylebym wreszcie zrozumiał, o co ci chodzi.  
Zaif wyciągnął notes, gdzie zapisywał swoje uwagi oraz ewentualne pytania.  
– Spróbuję. Na fotografiach i rysunkach widziałem, że mężczyźni ci odnieśli różne obrażenia. Niektórzy mieli głębokie rany cięte, powodujące nawet odcięcie jakiejś kończyny. Jeden stracił głowę wraz z częścią tułowia! Nigdy nie widziałem tak dziwnej dekapitacji! W dodatku naprawdę trudno tego dokonać. Co innego odciąć samą głowę, wszak szyja jest dość cienka, ale odcinać na wysokości obojczyka? I tak równo? Nigdy wcześniej niczego podobnego nie widziałem.  
Doktor spojrział w swe notatki.  
– W miarę normalnie wyglądało tylko uduszenie, gdyby nie to, że mężczyzna zadławił się piaskiem, jeśli dobrze zrozumiałem z protokołu. To prawda?  
– Tak – potwierdził agent. – Faktycznie wyglądało dziwnie, ale nie było co do tego wątpliwości. Piasek znaleziono nie tylko w gardle, ale i w żołądku ofiary.  
– Tak właśnie było napisane w protokole.  
– No i co z tego wynika?  
– Znasz jakieś miejsce, gdzie jest tak dużo piasku, że można w nim praktycznie utonąć?  
– Pustynia – bez namysłu wypalił Jezierski.  
– Tyle że w Kaliszu i okolicach klimat jakoś nie sprzyjał do tej pory i nie mamy tu żadnej pustyni – z przekąsem zauważył doktor.  
– No to piaskownica.  
Zaif westchnął.

– Już lepiej, ale ktoś by musiał siłą go tam zakopać i przytrzymywać. Dorosły mężczyzna walczy, wrywa się.

– Mogli mu dać w łeb, stracił przytomność i go zakopali.

– Tak, ale nie miał żadnych urazów na głowie, nie dostał więc w łeb.

– Może lekarz je przeoczył?

– Wszystko jest możliwe, choć musiałby to być wyjątkowo leniwy lekarz, któremu nie chciało się dokładnie obejrzeć denata. Ten tu nie był leniwy, bo wykonał pełną sekcję zwłok. Zresztą na zdjęciach też nie było widocznych urazów głowy.

– To może jeden go przytrzymywał, a drugi wsypywał mu piasek do ust?

– Tak już lepiej, lecz powinien mieć wtedy jakieś ślady walki...

– Związali go!

– ...lub ślady więzów – dokończył Zaif. – A nic takiego nie znaleziono.

– No to jak to się stało?

– Otóż to, sam się zastanawiam.

– I co?

– I na razie nic – westchnął młody doktor. – Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że niektórzy są mocno pokaleczeni, inni mają tylko jeden uraz, jak ten z odciętą głową na wysokości obojczyka, a jeszcze inny został uduszony piaskiem i nie ma żadnych innych urazów! Także ten, którego sam znalazłem w dniu powrotu, miał dziwne obrażenia.

– Jakie?

– Najkrócej mówiąc, był podziurawiony. I to regularnie.

Jezierski spojrzał zdumiony na przyjaciela.

– Nie bardzo rozumiem. Jak to „podziurawiony” i do tego „regularnie”? Co masz na myśli?

– Rany wyglądały tak, jakby ktoś postanowił jakimś ostrym, długim narzędziem zrobić na ofierze wzorek. Narzędziem musiała być jakaś dzida lub pręt, okrągły, z gładkimi krawędziami, o dość dużym przekroju. Może nawet jakaś cienka rura... Bo ja wiem?

– A co to znaczy „regularnie”?

– Nie znasz znaczenia tego słowa? – zdziwił się Zaif.

– Nie umiem sobie tego wyobrazić w kontekście ran ofiary.

– Rany są w tych samych odległościach od siebie i tej samej wielkości. Tworzą coś na kształt wzoru.

– Czy ten wzór coś oznacza? Jakąś literę albo znak? – zainteresował się Jezierski.

– Nie wiem, ale nie przypuszczam. Nie wyglądało mi to na nic tak skomplikowanego.

– Ale jesteś pewien, że ktoś go zadźgał?

– Tak, lecz również jestem pewien, że nie był to nóż. Tylko coś o okrągłym kształcie.

– Jak dzida, pika, spisa?

– Właśnie. Albo włócznia, lanca, kopia.

– Hm, na mój rozum mogło to być każde z tych narzędzi – zasępił się agent.

– Myślę, że można wykluczyć dzidę, bo nie ma żadnego grotu na końcu. Bez tego broń jest mniej skuteczna. Dzidą trudno przebić ciało tak, by zostawić równej wielkości otwory i gładkie rany.

– I tak zostaje aż za wiele możliwości. A jeśli ktoś kolekcjonuje taką broń, to może mieć nawet wszystkie jej rodzaje.

– Wiesz – ożywił się doktor – teraz powiedziałeś coś sensownego. Taka broń jest trudno odstępna. Chyba że ktoś ją kolekcjonuje lub... – urwał i zamyślił się na chwilę.

– Lub co?  
– Pomyśl. Gdzie jeszcze można by dostać taką broń?  
– Kazać zrobić?  
– Znów mnie zaskakujesz – uśmiechnął się doktor z uznaniem. – O tym akurat nie pomyślałem.  
– A o czym?  
– O muzeum. Albo jakiejś objazdowej wystawie.  
Jezierski potarł podbródek w charakterystycznym dla siebie geście zamyślenia.  
– Taak. To wielce prawdopodobne. Zaraz każę sprawdzić, czy nie ma czegoś takiego w okolicy.  
– Sądzę, że lepiej będzie, gdy każesz sprawdzić, czy jakiegoś muzeum lub wystawy nie okradziono. Ktoś to mógł zrobić nawet w Petersburgu, a potem przywieźć tu broń, choć trudno ukryć długie drzewce. Da się to jednak zrobić.  
– Masz rację, jak zwykle zresztą. W czym byś ukrył takie coś?  
– Choćby w ładunku ściętego drzewa.  
– No tak. Pod latarnią najciemniej.  
– Właśnie. Każ też sprawdzić, czy ktoś nie zamawiał wykonania takiej broni lub jej repliki. Tu bym się ograniczył do samego Kalisza i najbliższej okolicy, bo sprawdzenie wszystkich rzemieślników w kraju jest po prostu niemożliwe. Muzeów jest jednak mniej.  
Jezierski nie miał szczęśliwej miny.  
– To prawda – westchnął ciężko. – Ale ile to roboty będzie z takim sprawdzaniem. Skąd ja ludzi do tego wezmę?  
– No cóż, każ napisać, a potem powielić list, który następnie wyślesz pocztą do muzeów, wystawców i znanych rzemieślników. Znalazienie adresów potrwa krócej niż podróż. A do miejscowych rzemieślników możesz kogoś wysłać, przy okazji niech twój człowiek pyta, co się między nimi mówi o tych tajemniczych zgonach. Czy ktoś tych ludzi wynajmował do pracy, a jak tak, to gdzie.  
Jezierski rozjaśnił się, ale po chwili westchnął jeszcze ciężiej.  
– Wiem, i tak miałem rozesłać ludzi, żeby popytali nie tylko rodziny zabitych, ale w ogóle okolicznych rzemieślników, czy czegoś podejrzanego nie zauważyli.  
– Jeśli mogę coś doradzić – rzekł Zaif po krótkim namyśle – to niech pytają o coś, co się da potem porównać. Na przykład, u kogo ostatnio pracowali albo kto w ogóle o nich rozpytywał. Jeśli będziemy mieć szczęście, może stwierdzimy, że jakaś osoba lub miejsce się powtarza.  
– Tylko że to o niczym jeszcze nie świadczy – powiedział Jezierski z goryczą. – Gdybym budował dom, też najmowałbym różnych rzemieślników. Murarza, cieślę, stolarza.  
– Wiem, że to żaden dowód, ale można taką osobę śledzić, przyjrzeć się jej dokładniej. Może coś z tego wyjdzie. W każdym razie zawsze to jakiś trop.  
– Niby tak – brak entuzjazmu agenta był wręcz namacalny.  
– Nie narzekaj. Masz lepszy pomysł?  
– Niby nie. Jednak wiesz, ile to roboty? I ile czasu potrwa?  
Doktor wzruszył ramionami.  
– Cudów nie ma. Zawsze trzeba ciężko pracować, żeby były jakieś efekty.  
– Ale przy tylu nieboszczykach musiałbym mieć armię ludzi, a nie tych kilku policjantów i żandarmów.  
– Zawsze możesz nająć kogoś dodatkowego tylko na czas śledztwa. Albo tylko do przepytывania rzemieślników.

– A wiesz, że to dobra myśl? – ożywił się Jezierski. – Muszę tylko przekonać jego eksceleńcę gubernatora do dodatkowych wydatków. Tylko że gdyby okazało się, iż w kasie guberni jest za mało pieniędzy, to trzeba by prosić Hurkę... Ech, to na nic.

– Oj, Walery, Walery. Jesteś prawdziwym pesymistą. Najpierw zapytaj, bo może potem nie będziesz się musiał wcale martwić. Możesz też, jak wspominałeś, dogadać się z ochroną, skoro oni mają niemal nieograniczone fundusze.

– Bez „niemal”. Po prostu nieograniczone. Tylko trzeba ich najpierw przekonać, żeby rozwiązali sakiewkę. Najlepiej wykazać, że istnieje ryzyko jakiegoś spisku albo innej politycznej afery. Ale skąd ja wezmę taki spisek? Jeśli nawet jakiś jest, to oni na pewno już go zwietrzyli.

– Tak czy inaczej, pogadaj też z nimi.

– Zrobię to, ale w ostateczności. Zadawanie się z nimi nigdy nie jest bezpieczne.

– Przecież jesteś Rosjaninem? – zdziwił się doktor.

– Lecz jak sam niedawno raczyłeś zauważyć, tylko w połowie. Matka była Polką. Dla wielu to wystarczy, żebym był podejrzany. Poza tym nikomu nie radziłbym kontaktów z ochroną. To są fanatycy, nadgorliwcy, którzy wszędzie węszą spisek. Wsadziliby każdego, żeby tylko się wykazać.

– A właściwie jakie jest twoje miejsce w systemie policyjnym? – zainteresował się Jakub. Jezierski uśmiechnął się szelmowsko i mrugnął porozumiewawczo.

– Umówmy się, że nieoficjalne – powiedział. – Jestem agentem do specjalnych poruczeń, moje stanowisko utworzył gubernator niejako na własny użytek, w innych guberniach go nie ma. A przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Mój nadzór nad policją i żandarmerią jest także nieoficjalny. Ale wróćmy do zajmujących nas kłopotów. Kazałem sporządzić listę naszych „cechowych” nieboszczyków. Oraz zamordowanych kobiet. Oto ona.

Zaif spojrzął na kartkę podaną mu przez agenta. Widniały na niej następujące informacje:

*Zamułka Stanisław – stolarz, zm. ok. 25 marca, odcięcie głowy wraz z częścią tułowia*

*Łabędź Ambroży – murarz, zm. ok. 10 kwietnia, uduszenie (piasek!)*

*Kłocki Franciszek – ślusarz, zm. ?, znaleziony 20 maja, rozplatanie ciała wzdłuż. Ciało w stanie rozkładu, choć trzymane w lodzie. Prawdopodobnie zginął dużo wcześniej*

*Trzeciak Wawrzyn – cieśla, zm. 17 czerwca, wielokrotne przebicie ostrym narzędziem*

Poniżej, w pewnym odstępie, zanotowano nazwiska kobiet zamordowanych podczas zaćmienia Słońca:

*Sokołowska Joanna – była nauczycielka na pensji dla dziewcząt, zm. 19 czerwca, podejrzenie gardła*

*Chwiałkowska Melania – działaczka Towarzystwa Dobroczynności, zm. 19 czerwca, podejrzenie gardła*

– Czy wiemy o nich coś więcej? – zapytał doktor.

Jezierski nerwowo postukał końcówką cygara o popielniczkę, strząsając popiół.

– O kobietach już ci mówiłem, ale poza tym prawie nic. Naprawdę mam zbyt mało ludzi. Jak wiesz, w Kaliszu zazwyczaj nie ma wielu poważnych przestępstw, niemniej odnotowaliśmy sporo kradzieży, bójek, wypadków, samobójstw. Do każdego zdarzenia muszę kogoś wysłać, żeby sporządził protokół, nałożył grzywnę, czy nawet zamknął na dzień lub dwa w kozie zbyt krewkiego amatora mocnych trunków i bijatyk.

– Walery, musiałeś jednak wysłać ludzi, by przesłuchali rodzinę i znajomych tych zabitych!

– Oczywiście, ale wierz mi, naprawdę niewiele to dało.

– No i czego się dowiedziałeś?



– Już mówiłem, niczego przydatnego, zapewniam cię. Są żonaci, dzieciaci i pracowali w swoich zawodach. Nieźle im się nawet wiodło, mieli sporo zamówień, najwięcej od prywatnych osób, bo w Kaliszu i okolicach wciąż ktoś się buduje, rozbudowuje albo remontuje. Jesteśmy przy granicy, więc ludzie i miasto bogacą się, głównie na handlu.

– Zwłaszcza fabrykanci – mruknął Zaif.

Jezierski roześmiał się.

– A co, zazdrościsz Repphanom?

– Skądże! – oburzył się młody doktor. – Zresztą nieźle im dopiekli dziennikarze, gdy się wydało, że zatrudniali dzieci, które zmuszali do pracy ponad siły...

Zaif zamilkł nagle i obaj spojrzeli na siebie, tknięci jednym przecuciem. Dzieci!

A wszak dopiero co porwano dziecko...

– Może na razie nie zakładajmy z góry, że ktoś od Repphanów porwał dziecko Bukowskim – powiedział słabym głosem agent, a Zaif tylko skinął głową. – Oczywiście, trzeba to będzie sprawdzić, lecz zwykle do pracy zatrudnia się przecież trochę większe dzieci, no i głównie chłopców. Powiedz jednak, ta afera z wyzyskiem nieletnich miała chyba miejsce dawno temu? Bo ja nic nie słyszałem.

– No dawno, z piętnaście lat temu. Ale się wtedy działo!

– Wybuchł skandal?

Zaif, zapalony „calisianista”, od razu rzucił się na temat.

– Prawdziwa bomba! – wykrzyknął. – Wybuchła, kiedy fabrykę zwiedził korespondent czasopisma „Niwa”, Jan Jeleński. Był przerażony tym, że w przedsiębiorstwie w nieludzkich warunkach pracują nie tylko dorośli, ale również ośmioletnie dzieci. Wszyscy dostawali za pracę grosze. Jeleński opisał to na łamach gazety i fabryka Repphanów znalazła się w centrum uwagi jako siedlisko wyzysku i łamania prawa. Dziennikarz pytał retorycznie między innymi, dlaczego robotnicy pracują w fabryce 14 godzin, mimo że Rada Administracyjna skróciła ten czas. Do redaktora „Niwy” przyłączył się niezwykle wpływowy Bolesław Prus, sięgając po swoją niezawodną broń – satyrę. Tyle że w Kaliszu nikt nie ośmielił się zadrzeć z potężną rodziną, zatem echa skandalu nie dotarły do miejscowej gazety. Ale wystarczyła poczta pantoflowa. Szczególnie że kaliszanie pamiętali jeszcze zachowanie dziadka Emila – Beniamina, który w 1831 roku wystąpił przeciw zrywowi niepodległościowemu i za to marnie skończył życie w powstańczym areszcie.

– Chyba jednak nie sądzisz, że porwane dziecko znajdziemy u niego w fabryce sukna?

– Nie, myślę, że młody Repphan wyciągnął naukę z tamtego skandalu. Odbudował i zmodernizował fabrykę, sprowadził nawet nowoczesną maszynę parową o mocy 48 koni mechanicznych.

– Tym cię na pewno ujął – zaśmiał się agent. – Znam twoje zamiłowanie do nauki i wynalazków!

– Bez przesady – zaproponował doktor, ale jakoś bez większego przekonania. – Poza tym sądzę, że gdyby dziecko zabrano do fabryki, toby się szybko wydało.

– Raczej tak.

– A na korzyść Repphanów muszę jeszcze dodać, że nigdy nie afiszowali się z bogactwem. Nawet nie wybudowali żadnej willi ani pałacu. Wciąż mieszkają w kamienicy postawionej przez przodków.

– No tak, to ich definitywnie eliminuje z listy podejrzanych – podsumował ironicznie agent.

– Nawet o tym nie pomyślałem! Skoro jednak poruszasz ten temat, to nie widzę żadnego

powodu, dla którego ktoś z Repphanów miałby zabijać rzemieślników.

– A nie pomyślałeś, że w ich fabryce mogą się zdarzać wypadki przy pracy, które na pewno chcieliby zatuszować?

Zaif ze smutkiem spojrział na przyjaciela.

– Niestety. Niby w to nie wierzę, ale jednak w duchu obawiam się, że możesz mieć rację, Walery.

Jezierski ponuro pokiwał głową.

– Przyszło mi to już raz do głowy, ale potem o tym zapomniałem – przyznał. – Dopiero przed chwilą, gdym czytał tę listę nieboszczyków, znów mi się przypomniało. Ty, jako wielbiciel nauki i postępu, znasz się na tym lepiej. Powiedz, czy to jest możliwe, żeby jakaś maszyna tak kogoś pokieroszowała?

Młody doktor się zafrasował.

– Jak najbardziej. Jak to jednak sprawdzimy? Nie możemy wyskoczyć z podejrzeniami jak Filip z konopi, jeśli nie mamy żadnych dowodów! Dopiero byłby skandal! Tylko że tym razem to my byśmy byli w jego centrum, bo Repphanowie nie darowaliby takiej zniewagi!

– Sądzę, że nie.

– Na pewno nie, skoro potrafili się nawet z miastem sądzić!

– Jak to? – zdumiał się agent.

– Nic nie słyszałeś? Jego ekscelencja powinien to pamiętać, bo wydarzyło się to wkrótce po objęciu przez niego kaliskiej guberni. To był głośny proces... Czekaj... siedem lat temu, bodaj w 1883 roku. Akurat zdarzyła się kolejna powódź, jakich wiele nawiedza Kalisz, i Repphan był zmuszony naprawić zniszczone tamy i obwałowania na Prośnie, żeby jego fabryka mogła funkcjonować. Doszedł przy tym do wniosku, że wyręcza w tym obowiązku miasto, i zażądał zwrotu kosztów. Adwokaci miasta argumentowali absurdalnie, że rzeka nie jest własnością miasta, więc opieka nad nią nie należy do kompetencji jego władz. Obie strony powoływały się na przeróżne dokumenty, nawet średniowieczne i staropolskie! Wyobrazasz sobie, jaki to był cyrk? W końcu sąd przyznał rację Repphanowi i orzekł, że Kalisz jest właścicielem rzeki i jako taki powinien zwrócić przedsiębiorcy poniesione koszty. Wtedy Emil okazał gest i zrezygnował z jednej trzeciej zasądzonej sumy.

– Hm, z tego, co mówisz, wynika, że nasza sprawa przedstawia się beznadziejnie – zmarkotniał agent.

– Nie popadaj w taki pesymizm. Wymyślimy jakiś pretekst. Zawsze możemy iść po prostu zwiedzić fabrykę. Może przekonasz jego ekscelencję, żeby odznaczył Emila? Zaniesiemy mu tę dobrą nowinę i poprosimy, by nas oprowadził. Powiadają, że jest łasy na łaski władzy<sup>61</sup>.

– To by się zgadzało. Jego ekscelencja niemal od początku zauważył, że Repphanowie są mu przychylni, nawet wtedy, gdy jako świeżo upieczony gubernator jeszcze nie zyskał uznania w oczach mieszkańców. Był nowy, toteż i traktowali go bardziej niż oziębłe. To w końcu się zmieniło, ale przecież człowiek pamięta początki swojej pracy.

– Na pewno – przyznał Zaif, przypominając sobie, ile nerwów kosztowały go początki praktyki lekarskiej i niechętnie komentarze starszych kolegów po fachu. Nie raz i nie dwa odchorowywał krytykę z usta pana Rymarkiewicza czy Prusinowskiego, którzy byli przecież jego przyjaciółmi i wcale nie życzyli mu źle. – W takim razie tym łatwiej będzie zaaranżować naszą wizytę w fabryce.

Jezierski jednak nadal nie był przekonany.

– Sądzisz, że ktoś dobrowolnie pokaże ci dzieci przy pracy albo maszynę, która powoduje śmiertelne wypadki?

– Skądże. Wcale nie liczę na to, że zobaczymy wyzyskiwane dzieci, ale maszynami raczej będą się chwalić. Wystarczy poznać zasadę ich działania, by stwierdzić, czy mogła ona spowodować obrażenia kogoś z naszych nieboszczyków.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. I albo wykluczmy fabrykę, albo nie.

– Jeśli po obejrzeniu maszyn będziesz mógł to zrobić, to chyba warto spróbować.

– W takim razie zostawiam tobie zorganizowanie naszej tam wyprawy.

Rozległo się pukanie i w drzwiach ukazała się głowa Jaśka Poraja.

– Melduję, że w parku wszystko już gotowe.

– Świetnie – ucieszył się agent. – Pozostaje nam tylko czekać.

Doktor spojrzął na zegarek.

– Nie będę wam przy tym potrzebny, a muszę wracać do szpitala. Tyle tam czeka do zrobienia. Mam do ciebie jeszcze drobną prośbę.

Jeziński przyjrzał mu się uważnie.

– Hm, no nie wiem. Te drobiazgi, o które prosisz na koniec rozmowy, często okazują się kluczowe dla śledztwa. O co chodzi tym razem?

– Sprawdź co jakiś czas, jak się czuje ranny Francuz. Nie ufam doktorowi Wilczewskiemu. On na pewno nie zrobi dla tego biedaka nic ponad to, co musi, bo nikt mu za to nie płaci. A ja chciałbym wiedzieć, jak się czuje oraz co mówi, nawet jeśli nie odzyskał jeszcze przytomności.

– Myślisz, że on coś wie?

– Z pewnością.

– No to dobrze się składa, bo trzymam rękę na pulsie. Najkrócej mówiąc: stan bez zmian. Z tego, co mówi Wilczewski, Francuz wciąż leży nieprzytomny. Czasem coś mówi przez sen, ale nic składnego, choć najczęściej gada o jakimś domu. Tylko nie wiadomo, o jaki dom chodzi ani w ogóle nic poza tym. W kółko tylko dom i śmierć, i jakieś niezrozumiałe okrzyki.

– Jesteś pewien, że u doktora Wilczewskiego służba zna francuski?

Jeziński podrapał się z zakłopotaniem w głowę.

– No cóż... Prawdę mówiąc, nie wiem. Tu mnie masz. Wyślę kogoś, kto zna francuski. Ale kogo?

– Może pannę Skotnicką, tę sekretarkę z magistratu? Znasz ją przecie chyba, w końcu często bywasz w magistracie.

– Znam, a jakże, bo to jedyna pracowita osoba wśród siedzących tam urzędniczek. Inne pracują źle i niedbale, mizdrzą się, jakby ich głównym zajęciem było złapanie męża. A ty skąd ją znasz?

Zaif wzruszył ramionami.

– W Kaliszu prawie wszyscy się znają. Jeśli nie osobiście, to choćby ze słyszenia. A panna Skotnicka pochodzi z dobrej, lecz mocno zubożałej rodziny. Jej ojciec pomagał powstańcom i Prusacy skonfiskowali jego majątek.

– Prusacy?

– Tak, bo jej rodzina pochodzi z jakiejś miejscowości na zachód od Kalisza, nie pamiętam dokładnie skąd, tylko że to niezbyt daleko. Teraz jednak już za granicą kaliskiej guberni. Walery, zrozum, to był kiedyś jeden kraj. Podział Polski między trzy różne mocarstwa spowodował, że niejednokrotnie rozdzielone zostały rodziny. Mimo to ludzie się przecie znają, odwiedzają krewnych, no, starają się żyć w miarę normalnie...

– Rozumiem, rozumiem.

Jakub odetchnął. Nie lubił rozmawiać z przyjacielem na tematy wiążące się z polityką.  
– Skotniccy mają w Kaliszu krewnych, którzy zajęli się kobietami. Po śmierci pana Skotnickiego wielu naprawdę współczuło wdowie i sierocie po nim.

– Ale nie na tyle, by się ożenić z niezamożną panną, co? – zauważył złośliwie agent. Zaif oburzył się.

– Czy ty sugerujesz, że ja powinienem był to zrobić?

– Uchowaj Boże!

– Byłem wtedy za granicą...

– W mieście jest wielu innych kawalerów – przerwał mu Jezierski, nie ukrywając uciechy. – Wcale nie miałem na myśli ciebie.

– To i dobrze, bo nie znam bliżej panny Skotnickiej i wiem o niej tylko tyle, ile się mówiło swego czasu w mieście.

Jezierski podniósł dłonie.

– Dobrze, już dobrze, wróćmy do tematu.

Zaif skinął głową.

– Teraz lato, rajcowie nie mają za dużo do roboty, więc ona też nie. Niech idzie z nią Jasiek Poraj i wyciągnie z niej coś przy okazji na temat Bukowskiego. Może powie nam coś interesującego o tej rodzinie. Jakies plotki, pogłoski, a może sama coś widziała? Coś, co naprowadzi nas na ślad porywacza.

– Zaraz się tym zajmę. Warto spróbować. Zobaczymy się jutro?

– Zajrzyj do mnie do szpitala. Może dostaniesz nawet pisemny raport z sekcji zwłok zabitych kobiet. Wypełnienie tych wszystkich formularzy strasznie długo trwa. Ale sam sobie zgotowałem ten los. I koniecznie uważaj wieczorem na Bukowskiego. Coś z nim jest nie tak.

– Podejrzewasz go? – zdumiał się agent. – Taką ofertę? Ale o co? O te zabójstwa rzemieślników? A może o porwanie własnej córki?

– Skądże znowu! Jestem przekonany, że nie byłby zdolny do zadawania śmierci w tak wymyślny sposób. Dziecko chyba też kocha, przynajmniej tak mówi służba. Chodzi mi o to, że z nim coś się dzieje. Jest w stanie ciągłego napięcia nerwowego.

– Dziwisz się? Przy takiej żonie? No i to porwanie...

– No właśnie. Przy takim nagromadzeniu traumatycznych zdarzeń osoba w stanie ciągłego napięcia może stać się nieprzewidywalna. Nie wiadomo, co zrobi ani jak zareaguje. A on idzie przekazać okup, może być narażony na atak porywacza. W trudnej sytuacji taki człowiek może stać się zagrożeniem dla siebie i innych, zatem uważaj na niego i... na siebie.

Agent wyszczerzył zęby.

– Dobrze. I obiecuję ciepło się ubrać. W takim razie do jutra... mamusiu.

## Rozdział 5

Czerwiec to cudowna pora roku. Lecz roku Pańskiego 1890 czerwiec przyniósł Kaliszowi kolejne brutalne zabójstwa, jakby zagniewany czymś Bóg żądał krwawych ofiar.

Jednakże nie sposób było nie spostrzec, że w czerwcu kaliski park prezentował się szczególnie pięknie, kipiąc bujną zielenią i barwami kwiecica. Wieczorami mniej widać było kolory i roślinność, za to pełno tam było zmysłowych woni, które niejedną parę przywiodły do grzechu. Tego późnego wieczora, gdy miał zostać złożony okup za porwane dziecko, park był przesycony zapachami kwitnącego jaśminu, dzikiego bzu i wilgotnej od wieczornej rosy trawy. Mimo że trwały właśnie najdłuższe dni w roku, około godziny dwudziestej pierwszej w parku zaczynało już zmierzchać, głównie z powodu wielu rozłożystych drzew, których gęste listowie

nie przepuszczało resztek światła dnia. W cienistych zakątkach i alejkach, nad którymi rozciągały się konary potężnych buków, lip czy kasztanowców, było już niemal całkiem ciemno.

Teodor Bukowski wyszedł już z domu, kierując się w stronę parku. Idąc, rozglądał się dyskretnie, ale nigdzie nie dostrzegł policjantów, nawet stójkowego. Wpatrywał się w twarze przechodniów, próbując odgadnąć, czy któryś z nich nie jest policjantem w przebraniu, ale nawet jeśli tak było, rajca nie potrafił żadnego rozpoznać. Trochę rozczarowany i zaniepokojony brakiem stróżów prawa szedł jednak dalej, niosąc w neseserku ciasno upakowany worek z pieniędzmi. Nie wypadało przecież, aby rajca chodził po mieście z workiem po ziemniakach!

Mijając kościół Wniebowzięcia NMP, spozjrzał niespokojnie na tarczę zegara połyskującą z wieży. Kwadrans po dwudziestej pierwszej. Przyspieszył nieco kroku i wkrótce znalazł się przy bramie wejściowej od ulicy Łaziennej. Zawahał się nieco i rozejrzał, ale nadal nie spostrzegł nikogo przypominającego policjanta. Sami niewinnie wyglądający przechodnie, nawet kilkoro znajomych, którym się machinalnie odklonił, choć gdyby ktoś go zapytał, kogo spotkał, nie potrafili by sobie tego za nic przypomnieć!

Wszedł do parku, zwracając na siebie trochę zdumionych spojrzeń, jako że wszyscy z niego wychodzili. Od wielu lat park był zamykany na noc – już w 1840 roku musiano wprowadzić regularny dyżur policyjny w godzinach od dziesiątej wieczorem do piątej rano i rozpoczęto zamykać na noc bramę wejściową od strony ulicy Łaziennej. Drugą, przy moście „Parkowym”, zamykał właściciel znajdującej się tam cukierni. Takie zabezpieczenia podjęto dlatego, że choć przedtem dozorca cyrkułowy codziennie usuwał z parku mnóstwo żebraków, włóczęgów i kobiety lekkich obyczajów, park był wciąż dewastowany i zanieczyszczany.

Nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia Bukowski skierował kroki w tę stronę parku, gdzie stała rzeźba Amora, zgodnie ze wskazówkami porywacza. Wokół było prawie pusto, w oddali kręciło się jedynie kilka osób, lecz i one powoli zmierzały do wyjścia. Doszedłszy do miejsca, z którego widział już figurę, przystanął na skraju alejki i dłuższą chwilę wpatrywał się w okoliczne krzewy, nikogo jednak nie zobaczył, zresztą było już dość ciemno. Postawił neseser na ławce i z lekkim trudem wydobył z niego worek z pieniędzmi w paczkach po tysiąc rubli, które – mocno ściśnięte – powyginały się i pomięły, wypychając nieregularnie opakowanie. Rajca próbował je nieco wyprostować, ale szybko dał spokój. Zerknął na zegarek i podniósł worek. Było już kilka minut po wpół do dziesiątej, czym prędzej więc zaniósł worek w pobliże rzeźby, gdzie trawa rosła bujnie i była na tyle wysoka, że rzucony weń pakunek natychmiast zniknął z pola widzenia.

Wpatrujący się z ukrycia w poczynania rajcy Jeziński trochę się zdziwił, gdy zobaczył, jak Bukowski, zamiast zaraz odejść, przykuca i wpatruje się w trawę. Nie może się rozstać z pieniędzmi, pomyślał nieco złośliwie agent, i nie dziwota. Jednakowoż rajca już po chwili wstał i trochę niepewnym krokiem ruszył na przełaj trawnika, niktą co chwila za ozdobnymi krzewami. Gdy minął potężnych rozmiarów kasztanowiec, na sekundę przystanął. Jeziński pomyślał, że wygląda, jakby się ocknął z letargu. Co też pieniądze robią z ludźmi, przemknęło mu przez głowę. Tymczasem rajca rozejrzał się podejrzliwie wokół i skierował już prosto w stronę pobliskiej alejki. Może jednak źle go osądzam, myślał dalej agent. Może biedak po prostu się boi, żeby przypadkiem ktoś inny nie zabrał pieniędzy. Porywacz mógłby wówczas pomyśleć, że nie złożono okupu i zabić dziecko.

W tym czasie nieświadomy obecności Jezińskiego i jego ludzi, którzy szli za nim od momentu, gdy wyszedł z domu, Bukowski powoli się oddalał, idąc ze zwieszoną głową i wpatrując w ziemię. Agent do specjalnych poruczeń odjął od oka lornetkę i spojrział na rzeźbę Amora. Nic. Ani śladu człowieka. Zanosilo się na długie czekanie.

Następnego dnia Jezierski około południa odwiedził Zaifa w szpitalu.

– Czemu, u licha nie wstawisz tu jakichś wygodnych foteli? – westchnął agent, siadając na jednym z dwóch krzeseł w małym gabinecie Zaifa w szpitalu. – Pieniądzy ci nie brak, skąpy nie jesteś, więc o co chodzi?

Zaif uśmiechnął się. Dobrze znał zamiłowanie swojego przyjaciela do wygod, choć gdyby trzeba było, leżałby na mokrej ziemi, śledząc jakiegoś przestępcę i ani by okiem nie mrugnął.

– Gdybym miał tu wygodne fotele, to obaj ze Staśkiem pewnie więcej byśmy tu spali niż pracowali.

– A wiesz, że to ma sens?

Powinno się wprowadzić takie niewygodne siedzenia w każdym miejscu, gdzie ludzie się objijają, a zwłaszcza tracą czas na próżne gadanie. Te wszystkie zebrania rozmaitych towarzystw, przemowy rajców, sądy... Brr! Ale nie o tym chciałem mówić.

Teraz jednak mniejsza z tym, powiedz lepiej, co tam z Bukowskimi? Odzyskali córeczkę?

Jezierski zaszepczał i westchnął.

– Chyba złożyli okup? – zaniepokoił się Zaif.

– Niby tak.

– Ale dziecka nie odzyskali?

– Nie.

– Dostali jakąś wiadomość w tej sprawie? Może jak dopłacą resztę?

– Na razie nic nie przyszło.

– A pieniądze?

– Nie ma.

– Ktoś wziął?

– Na to wygląda.

– Nie widzieliście nikogo?

– Nikt nie widział. Normalnie bym się wściekał, że to niemożliwe, ale...

– Ale?

– Też tam byłem i też nic nie widziałem.

– To co się tam właściwie stało?

– Nie mam pojęcia! – wybuchnął agent, zaciskając bezsilnie pięści. – Było już prawie ciemno, ale wszyscy widzieliśmy, jak ten gamoń Bukowski podszedł do Amora w parku i położył na ziemi worek z pieniędzmi. Worka nie było widać, po prostu zniknął w trawie, ale staliśmy tam jeszcze długo. Ja zostałem do północy, później moi ludzie zmieniali się co dwie godziny. Strażnik parku został wtajemniczony, nie do końca, rzecz jasna. Powiedzieliśmy mu, że może się tu kręcić przestępca, a my na niego czatujemy. No i popatrz, tylu ludzi wokół i nikt nic nie widział! A jak się rozwidniło, moi ludzie podeszli do tego przekłętego Amora i co? Po forsie ani śladu! Po prostu znikła, rozplynęła się w powietrzu!

– Było ciemno, może ktoś się jednak przekradł.

– Niemożliwe! Było ciemno, ale człowieka byśmy zauważyli.

– Nawet gdyby siedł na czworakach?

– Nawet gdyby się czołgał. Robiłby wtedy trochę hałasu, no i widać by było jakiś ruch.

To się da zauważyć po ciemku.

Zaif nadal wydawał się nieprzekonany.

– No, nie wiem... Byliście jednak dość daleko, a nie przy samej figurze.

– Uwierz mi, przecież nie raz i nie dwa zaczynałem się na różne ciemne typki! Moi ludzie także, wybrałem samych doświadczonych. Mieli nawet lornetki.

– Lornetki! – prychnął doktor. – Widzisz przez nie tylko kawałek terenu, a gdy odejmiesz ją od oczu, musisz się przyzwyczaić do patrzenia normalnie, odnaleźć wzrokiem miejsce, które obserwujesz. To zawsze chwilę trwa. Wtedy łatwo jest coś przeoczyć.

– Nieprawda – zaproponował agent, ale już z mniejszą pewnością siebie.

– A Bukowski? Jak się zachowywał?

Jezierski wzruszył ramionami.

– Normalnie. Przyszedł, położył worek i poszedł sobie.

– Nie stał tam chwilę? Nie kuczał? Może zakopał worek?

– Za kogo ty mnie masz? – oburzył się agent. – Przecież bym zauważył takie machinacje!

– Dziwne... Na pewno nie stał tam chwilę dłużej niż to potrzebne?

– Bo ja wiem – zastanowił się agent. – Stał chwilę, ale to było kilka sekund. W końcu każdemu byłoby trochę żal rozstać się z taką furą pieniędzy. Ale zaraz potem odszedł.

– Tą samą drogą?

– No a jak... Chwileczkę! Odszedł, ale najpierw w bok, dopiero po kilkunastu metrach zawrócił do głównej ścieżki.

– To bardzo ciekawe! – ucieszył się niespodziewanie Zaif. – Muszę koniecznie obejrzeć to miejsce, jeśli jeszcze nie zdeptano wszystkiego. Chociaż po tylu godzinach mam małe szanse coś dostrzec.

Jezierski wpatrywał się w przyjaciela z osłupieniem.

– Chcesz powiedzieć, że wiesz, co się stało z pieniędzmi?

– To za dużo powiedziane, ale chyba się domyślam.

– No to mów!

– Muszę najpierw coś sprawdzić. Widzisz, to są tylko przypuszczenia. Nie chciałbym nikogo oskarżać, bo mogę się przecież mylić. Poza tym nie mam dowodów, nawet poszlak.

– Na czym więc opierasz te swoje przypuszczenia?

– To tylko pewna hipoteza, ale gdyby okazała się prawdziwa, wyjaśniałaby wszystkie elementy w tej sprawie.

– Jakie elementy? O czym ty mówisz? Przecież wszystko jest jasne.

– Dla mnie nie.

– Czego nie rozumiesz?

– Po pierwsze, dziecko dało się uprowadzić bez żadnych protestów, czyli musiało znać porywacza.

– Albo porywaczkę.

– Albo porywaczkę – zgodził się doktor. – Poza tym list z żądaniem okupu jakoś dziwnie się urywa. Jakby ktoś odciął końcówkę.

– Przesadzasz. Kończy się normalnie, tyle że miejsca na dole zostało niewiele. Nawet jest podpisany, o ile to można nazwać podpisem. Liberator. Też coś! Kogo on wyzwala, pytam się?

– Może nie kogo, a od czego – podsunął Zaif.

– Tym bardziej nie rozumiem. Masz dziwny zwyczaj gmatwania spraw.

– Nieprawda. Powiedziałem tylko, że może ów Liberator wyzwala od czegoś.

– Na przykład?

– Od pieniędzy.

Jezierski chwilę wpatrywał się nierozumiejącym wzrokiem w przyjaciela, aż wreszcie wybuchnął gromkim śmiechem.

– A to dobre! – klepnął się po udach rozbawiony. – Trzeba przyznać, że stara się, prawdziwy tytan pracy. Już „wyzwolił” sakiewkę Bukowskich od niezłej sumki!

Jeziński śmiał się jeszcze chwilę, po czym spytał:

– Czy jest coś jeszcze, co cię niepokoi?

– Ten list nie daje mi spokoju. Mówię ci, on się dziwnie urywa na samym dole strony.

– No to co? Przecież list zwykle kończy się na dole strony.

– Ten był dość krótki.

– Ale kartka nieduża.

– Właśnie. Czemu ktoś napisał na takiej małej kartce, zamiast na normalnej, z papeterii lub z kajetu?

– Może po prostu wiedział, co chce napisać i że nie będzie tego dużo.

– Oczywiście, to możliwe. Jednak nawet jeśli ktoś zamierza napisać krótki list, wybiera normalną kartkę albo skreśla kilka słów na bileciku.

Jeziński przewrócił oczami.

– Czepiasz się. Coś jeszcze ci się nie podoba?

– Tak. Nie mogę zrozumieć zachowania Bukowskiego.

– W domu czy w parku?

– I tu, i tu.

– Ale przypuszczasz, że wiesz, co się stało? – zapytał ostrożnie agent.

– Tak, lecz nie mam pewności. Może w parku na coś natrafię.

Agent potrząsnął głową z irytacją, ale zaraz podjął decyzję.

– Zatem jedźmy. Natychmiast.

– A raporty? Zostały mi do wypełnienia jeszcze dwa, po sekcji tych nieszczęsnych kobiet.

– Trudno. Raporty czekają. Jeszcze tylko chwila.

Pamiętasz, jak ci mówiłem, że objeżdżiłem sporo miejsc, gdzie trwają jakieś prace budowlane? Co prawda nie znalazłem na razie żadnego śladu, który by mógł prowadzić do zabójcy, ale nie można tracić nadziei. I tak mi się właśnie teraz skojarzyło, że gdy byłem w Majkowie, gdzie też trwa budowa, a właściwie rozbudowa, to nie zastałem właściciela i będę musiał wybrać się jeszcze raz.

– Co rozbudowują w Majkowie? – zainteresował się Zaif.

– Całkiem przyjemny dwór. Myślałem, że wiesz?

– Wiem, że jest tam dwór, ale nie wiedziałem, że go Karśniccy rozbudowują.

– Karśniccy? – zdziwił się agent. – Myślałem, że właściciel nazywa się Vogel?

Teraz zdziwił się doktor.

– Musiałeś się pomylić, właścicielami Majkowa są od lat Karśniccy. Znam ich dobrze, choć obecnie nie ma ich w kraju, wyjechali na dłuższy czas za granicę. Majków to stara wieś szlachecka, istniała już w trzynastym wieku<sup>62</sup> i ma skomplikowaną historię własności. Majątek kupowano, przekazywano, dziedziczono i sprzedawano. Jednym słowem przechodził z rąk do rąk. Słyszałem też, że Karśniccy chcieli go przebudować. Piotr pisał mi jakiś czas temu, że chce zmienić lokalizację schodów wewnętrznych na poddasze i powiększyć budynek o parterowe skrzydła boczne...

– W taki razie ruszajmy. Stasiu!

W drzwiach gabinetu ukazała się głowa młodzieńca.

– Muszę na jakiś czas wyjechać z agentem Jezińskim. Nie będzie mnie jakąś godzinę. W tym czasie może uda ci się skończyć raporty z sekcji zwłok. Nie zostało już wiele.



– Według wzoru?

– A jakże.

Staś westchnął.

– Nie wiem, czy sam potrafię.

– Wypełnij tylko te punkty, które potrafisz. Każdy na osobnej kartce. Gdy wrócę, skończymy resztę, poukładamy w odpowiedniej kolejności i zepniemy razem.

– Każdy na osobnej kartce? – zdumiał się Staś. – La Boga! Tyle papieru się zmarnuje!

– Nie mędrkuj, chłopcze – zgromił go agent. – I tak nie ty zań płacisz.

– To prawda, wasza wielmożność, ale nie chcę mojemu panu przysparzać wydatków.

– Bardzo ci się to chwali, ale nie zawsze taniej znaczy lepiej. A teraz bierz się do roboty.

– Tak jest! – Stasiak omal nie zasalutował i czym prędzej umknął sprzed surowych oczu agenta.

Jazda do parku nie zajęła im wiele czasu, gdyż na ulicach panował niewielki ruch. Wszak było już dobrze po 22 czerwca, rozpoczął się okres kanikuły i wielu zamożniejszych obywateli miasta udało się wraz z rodzinami i służbą do letnich rezydencji lub do krewnych na wieś. Niektórzy pojechali nad morze, za granicę lub do wód. Wyjazd do wód oznaczał „zdrojowiska, uzdrowiska, zakłady lecznicze, latowiska, miejscowości klimatyczne oraz miejscowości posiadające źródła mineralne, wreszcie stacje turystyczne”<sup>63</sup>, kiedy to naturalne zbiorniki i ciekłe wodne pozwalały połączyć przyjemność kąpieli z degustacją wód mineralnych oraz napawaniem się pięknem otaczającej przyrody. W Polsce stały się one popularne od osiemnastego wieku, głównie wśród lepiej sytuowanych warstw społecznych.

Jechali ulicą Wrocławską, która bardzo się zmieniła na przestrzeni lat. Mimo mniejszej latem liczby furmanek, dorożek i innych środków transportu, nadal tętniła życiem. Trotuary pełne były przechodniów oraz sklepikarzy, którzy – nie mając w danym momencie klientów – wylegli na słońce, by zamienić kilka słów z sąsiadem, zakurzyć fajeczkę i pogapić się na ludzi.

– Chciałbym wieść tak beztrudne życie – mruknął Jezierski, spoglądając ponuro na wygrzewających się w słońcu handlarzy i idących niespiesznie przechodniów.

– Nieprawda. Po dwóch dniach narzekałbyś, że umierasz z nudów.

– Jakoś nie mogę w to uwierzyć – westchnął agent. – Teraz chętnie zabrałbym Deborę z dziećmi na piknik za miastem. Albo nawet i wyjechał z nimi na jakiś miesiąc z miasta.

– Cóż, piknik to niezła myśl, zawsze uda się wygospodarować trochę czasu. Poza tym możesz przecież wysłać rodzinę gdzieś na wywczas? Niech jadą bez ciebie i wypoczną.

– Widzisz, kiedy ich nie ma, okrutnie za nimi tęsknię.

– Nie bądź samolubny, Walery. Niech dzieci jadą z Deborą nad morze albo na wieś, wyhasają się, nawdychają czystego powietrza. Tam też będą bezpieczniejsze niżli tu, gdzie grasuje zabójca kobiet, wariat mordujący rzemieślników i porywacz dzieci.

– Gdy tak to przedstawiasz, to jestem skłonny wyeksponować ich jeszcze dzisiaj!

– Im szybciej, tym lepiej.

– Gdy wrócę do domu, natychmiast omówię to z Deborą. Masz rację, samolubstwem byłoby zwlekać i narażać ich na niebezpieczeństwo.

Tak rozmawiając ani się obejrżeli, gdy byli już na miejscu. Jezierski poprowadził przyjaciela pod posąg Amora, gdzie w nocy rajca Bukowski złożył okup. Zaif długo i uważnie wpatrywał się w teren okalający figurę. Obszedł ją wokół, oglądając wszystko z pewnej odległości, a potem z bliska.

– W którą stronę udał się Bukowski, gdy już położył worek z pieniędzmi? – zapytał.

– W tamtą – pokazał agent, wskazując na prawo od Amora. – Ruszył w stronę tamtego

drzewa, minął je i w końcu zawrócił w stronę głównej alejki i wejścia, którym przyszedł.

– To po co szedł w stronę tamtego drzewa?

– Nie mam pojęcia. Szedł, jakby był zamyślony. Po kilku krokach się ocknął i zawrócił. Tak to właśnie wyglądało. Co niby miałem podejrzewać według ciebie?

– Nie wiem. Jeszcze.

– A tam, próżne gadanie – obruszył się agent. – Nic tu nie znajdziesz. Ale ty, oczywiście, musisz się sam przekonać.

Zaif pokiwał głową na znak, że w tym akurat punkcie zgadza się z przyjacielem. Jezierski uśmiechnął się zadowolony i kontynuował pogawędkę.

– Wiesz, udało mi się zorganizować wejście do fabryki Repphanów. Jesteśmy tam oczekiwani za dwa dni. Jego ekscelencja zdradził mi w zaufaniu, że w przyszłym tygodniu Emil Repphan ma imieniny. Bodajże 30 czerwca, w kalendarzu to razem z Emilią. Jest zaproszony i podobno my też.

– Jak to? – zdumiał się Zaif, który dotąd nie dostąpił tego zaszczytu, co też jednak nigdy mu nie doskwierało. Jego ojciec również nie był tam zapraszany, mimo swego bogactwa i stosunków.

– A tak to. Gdy Emil Repphan przyszedł do jego ekscelencji zaprosić go na swoje imieniny, rozmowa zesłała na ostatnie wydarzenia, jeszcze niewyjaśnione, i siłą rzeczy na zabójstwa sprzed dwóch lat. Jego ekscelencja tak barwnie opisał nasze zasługi, że pan Repphan wręcz błagał, by nas przyprowadził. Znał trochę tę dawną sprawę, ale nie wiedział, że wykrycie zabójcy to nasza zasługa. Stwierdził, że jego rodzina, a już szczególnie panie, bardzo się ucieszą i chętnie nas poznają. Jego ekscelencja łaskawie się zgodził i podsunął panu Emilowi pomysł, by nas wcześniej poznał. Powiedział, że chętnie obejrzymy jego fabrykę, wszak słynie ona z nowoczesnych maszyn, a my wprost pasjonujemy się wynalazkami i rozwojem przemysłu.

Tu agent odchrząknął wymownie, na co doktor się roześmiał.

– Wiem, że ciebie to niezbyt interesuje, ale dla mnie to naprawdę będzie przyjemność.

– Ech, sam chętnie obejrzę kilka maszyn. Będę miał co opowiadać Deborze. Tak więc za dwa dni idziemy do fabryki, o punkt dwunastej w południe. Imieniny natomiast wyprawiają w przyszłą niedzielę, bo trzydziesty wypada w poniedziałek. Szykuj zatem frak, przyjacielu, i miej się na baczności, bo jako jeden z nielicznych bogatych, inteligentnych i sławnych kawalerów w tym mieście na pewno będziesz szturmowany.

Zaif oderwał się od wpatrywania w trawę i wyprostował szczupłą sylwetkę.

– Mówisz tak, jakby kawalerowie byli w Kaliszu na wymarcu.

– Niewiele się mylisz, mój drogi. Mało to narzekań, że pełno tu zatwardziałych w swym uporze kawalerów, którzy ani myślą się żenić? Na każdym balu, co tam!, na każdej byle potańcówce słyszę takie jeremiady matek, które mają córki na wydaniu, że aż uszy puchną! Nawet „Kaliszanin” ich gromi, proponując, żeby płacili gruby podatek, co roku wyższy!

– Ależ często tak się dzieje z bardzo prostej przyczyny – zaoponował Zaif. – Żenią się ci, którzy mają pieniądze. Natomiast biedni urzędnicy, skrybowie lub początkujący palestranci nie mają wystarczających dochodów, by utrzymać rodzinę. Z czymże więc mają wystąpić, skoro na obowiązkowe pytanie ojca o dochód roczny wymienią tak nędzną kwotę, że ten natychmiast da im odkosza, nie pytając nawet córki o zdanie. Mało która by się zgodziła wieść mizerny żywot tylko po to, by nie zostać starą panną.

– No cóż, niektórzy mają pieniądze i mimo to się nie żenią – odciął się Jezierski.

– Ach! Tak wiele przyczyn składa się na to, że... – doktor zamilkł raptownie, co zwróciło uwagę agenta. Spojrzał ze zdumieniem na przyjaciela, który jak urzeczony wpatrywał się w coś

w oddali.

– Cóż takiego tam zobaczył, że wpatrujesz się jak to czarne ptaszysko w gnat? Wrona to czy sroka? Nieważne. Co takiego...?

– Zobacz, Walery! To takie proste! Już wiem, jak zniknęły pieniądze!

Jezierski stanął u boku przyjaciela i usiłował patrzeć tam, gdzie on. Nie zobaczył jednak niczego godnego uwagi. Park wyglądał tak samo jak zawsze. Kipiący zielenią starannie dobranych ozdobnych, nierzadko egzotycznych drzew i krzewów. Szpalery klonów i kasztanowców, wyrastające z trawiastych łąk kępy rzadkich drzewek i krzewów. Różnobarwne kwiatowe kobierce nęcące motyle, brzęczące miło pszczoły i inne owady oraz drobne ptactwo. Kaliski park miał szczęście do wspaniałych ogrodników. Znany był Nestribke<sup>64</sup>, właściciel starej firmy ogrodniczej w Kaliszu, słynnej głównie z hodowli gdul – fiołków alpejskich, ale jeszcze większą sławą cieszyli się sprowadzony z Warszawy Edmund Jankowski<sup>65</sup>, a później Franciszek Szanior<sup>66</sup>. Pośród wspaniałych kwietników pięknie prezentowały się różnorakie rzeźby terakotowe sprowadzone z Charlottenburga<sup>67</sup>, w tym Amor, pod którym złożono okup za uprowadzoną córeczkę państwa Bukowskich. W tej chwili, mimo niewątpliwej urody parku, Jezierski nie potrafił dostrzec w nim niczego interesującego.

– Nic nie widzę – rzekł, dając za wygraną.

– Przyjrzyj się uważnie trawie. Patrz w stronę tamtego kasztanowca!

Agent spojrział we wskazanym kierunku, gdzie rosło drzewo o grubym pniu i szeroko rozgałęzionych konarach, ale nadal nic nie zobaczył. Razem z nim w trawę wpatrywało się dwóch stójkowych od rana przepytujących ludzi i przeczesujących teren parku w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu osoby, która zabrała pieniądze. Nikt nic nie widział.

– Jakubie, nie dworuj sobie. Nic nie ma w tej trawie.

– Ślad jest nikły, ale jeszcze go widać – zaoponował doktor i ostrożnie przeszedł kilka kroków. – Zobacz – schylił się i dotknął ręką murawy. – Tędy ciągnie się pas trawy, która jeszcze nie całkiem się podniosła. Jakby ktoś przeciągał tędy dość ciężki przedmiot. Stąd – wskazał ręką trawę pod figurą Amora – w stronę tamtego kasztanowca. Widzisz?

Jezierski przyglądał się uważnie, a wraz z nim, z wielkim napięciem na twarzy, w trawę wpatrywali się jego ludzie. Wyglądało to wystarczająco komicznie, by Zaif z trudem stłumił śmiech.

– Wiesz, gdy mi pokazałeś konkretne miejsce, to teraz chyba coś dostrzegam. – Hm... Faktycznie wygląda to tak, jakby coś tędy ciągnięto. Ale to mogło być cokolwiek.

– W liście do Bukowskich była mowa o tym, by worek z pieniędzmi związać długim sznurem, pamiętasz?

– Oczywiście! Sądzisz, że ten długi sznurek był po to, żeby... – spojrział pytająco na Zaifa.

– Tak, tak. Żeby przeciągnąć worek z pieniędzmi pod tamto drzewo. Odległość jest na tyle duża, że ktoś ukryty za pnem mógł je spokojnie zabrać i czmychnąć w ciemnościach. Wszystkie oczy były skierowane na figurę Amora i jej najbliższe otoczenie. Ludzie wypatrywali osoby, więc patrzyli na wysokości człowieka, a nie nisko w trawę. Dlatego ruch przeciąganego worka, zwłaszcza jeśli ktoś robił to ostrożnie i powoli, nie został dostrzeżony. Chodźmy pod drzewo, może tam coś znajdziemy.

Przemaszerowali pod rozłożysty kasztanowiec, w którego cieniu trawa była o wiele rzadsza, za to ziemia w miarę wilgotna. Tam ślad przeciągania był znacznie wyraźniejszy.

– To dlatego Bukowski przeszedł kilka kroków w stronę drzewa – gwizdnął z uznaniem agent. – A ja głupi myślałem, że się zamyślił, biedak. – On tymczasem niepostrzeżenie ciągnął

sznurek.

– Na pewno w liście porywacz nakazał coś takiego – wtrącił Zaif z za grubego pnia, gdzie z zainteresowaniem badał grunt. – Później tę informację kazał odciąć od kartki, która zrobiła się przez to jakby za mała, a list źle rozplanowany. Od razu rzuciło mi się to w oczy.

– A mnie nie – ponuro stwierdził agent. – Znalazłeś tam coś? Myszkujeś za tym pniem niczym wiewiórka.

– Sam zobacz. Są tu chyba ślady stóp. Niezbyt wyraźne, ale można określić rozmiar. Nie wiem, czy podeszwy dałoby się rozpoznać. A może by tak...

Zamyślił się, wpatrzony w kilka niewyraźnych odcisków obuwia. Tylko jeden, tuż przy samym pniu od strony północnej, gdzie ziemia była bardziej wilgotna, odcisnął się niemal idealnie.

– Może by co? – zainteresował się agent.

– Myślę o amonitach.

– Amonitach? Cóż to znowu za dziwo?

– Wymarłe głowonogi o symetrycznej, płaskospiralnej skorupie. Przypominają trochę dużego ślimaka.

– Jaki to ma związek z naszą sprawą?

– Szczątki amonitów odnaleziono w skałach. Są to skamieniałości, które powstają w wyniku zastąpienia pierwotnej substancji budującej części twarde organizmu innymi związkami mineralnymi. Naukowcy znajdują co jakiś czas takie skamieniałe organizmy. Znacznie łatwiej można znaleźć inną ich odmianę, a mianowicie odciski jakiegoś stworzenia.

– No dobrze, ale nadal nie wiem, jaki to ma związek z naszą sprawą.

– Może dałoby się jakoś utrwalić ten odcisk.

– Po co?

– Żeby móc go później porównać z czymś obuwem. Pomyśl, gdy będziemy już mieli jakiegoś podejrzanego, będziemy mogli porównać jego obuwie z odciskiem i w ten sposób zyskamy pewność, że to on był wtedy w parku i zabrał pieniądze.

– Ale ten podejrzany może nosić buty ze sklepu, a nie robione na zamówienie. Wtedy buty będą tuzinkowe. I na co nam wtedy taki ślad?

– To prawda, ale ludzie różnią się między sobą. Są odmiennej budowy, wagi, postury. Inaczej stawiają nogi, chodzą dużo lub mało, w dodatku w różne miejsca, więc ich podeszwy ścierają się inaczej. Są kulawi lub mają odciski, zatem inaczej stawiają stopy. Dlatego uważam, że każdy but inaczej się zużywa i zostawia inne ślady. A zresztą, co ci szkodzi spróbować?

– Faktycznie nic, poza tym, że nie mam pojęcia, jak ten odcisk utrwalić.

– Trzeba zrobić odlew z gipsu.

– Skąd wezmę gips?

– Poślesz kogoś do szpitala. Staś na pewno potrafi zdobyć trochę gipsu, którego używa się do unieruchomienia złamanych kończyn.

– A ty zrobisz odcisk?

– Odlew. Tak. Ale będę potrzebował jakiegoś naczynia do rozrobienia gipsu i wody.

– Słyszałeś? – agent zwrócił się do jednego z policjantów, podczas gdy Zaif pisał krótki liścik do swojego pomocnika. – Leć w te pędy do szpitala św. Trójcy i znajdź laboratorium doktora Zaifa. Tam będzie młody chłopak, Staś Małyszko. On da ci wszystko, co potrzeba. Masz tu kartkę od doktora, bo inaczej pewnie połowa rzeczy wywietrzeje ci z głowy, zanim tam dotrzesz. I wracaj mi tu migiem! A my, Jakubie, siądźmy sobie na jakiejś ławce w pobliżu. Wczoraj nastałem się za wszystkie czasy, dziś już mi się nie chce tak sterczeć. Zapalę sobie

cygaro.

– Zrobiłeś się wielkim amatorem cygar.

– Ot, tak jakoś wyszło. Spokój był, człowiek często w domu siedział, a żona dobrze karmiła... Tak, tak, ognisko domowe to wspaniała rzecz. Sam kiedyś się przekonasz.

– Pewnie. Walery, poczekasz potem, aż gips stwardnieje i zabierzesz odlew?

Ja wróciłbym do szpitala, jak tylko wyleję gips.

– Oczywiście.

– W takim razie pewnie spotkamy się dopiero pojutrze? W samo południe przed fabryką?

– Znakomity pomysł.

Posiedzieli jeszcze kilkanaście minut w cieniu miłorzębu, czekając na wysłanego po gips policjanta. Nie rozmawiali już o zbrodniach, lecz leniwie gwarzyli o drobnych, codziennych błahostkach. Jezierski opowiadał głównie o dzieciach, które wydawały mu się, jak każdemu kochającemu rodzicowi, niezwykle wprost uzdolnione. Synek zaczął stawiać pierwsze kroki i już ściągnął obrus ze stołu. Razem z talerzami. Czyż to nie wspaniały urwis? A jedna z dziewczuszek powiedziała „tata da”. Kiedy, zdaniem Jakuba, powinno się zacząć uczyć dzieci jeździć konno?

Zanim Zaif zdążył się zastanowić nad odpowiedzią, wrócił wysłannik z gipsem. Doktor uwinął się z wykonaniem odlewu i po niespełna półgodzinie wracał już dorożką do szpitala. Jezierski natomiast udał się do domu Bukowskich, by rozmówić się z nimi na temat zatajonych informacji z listu porywacza.

Był tak wściekły, że wszedł do środka niemal tratując lokaja i nie zdejmując nawet nakrycia głowy. Pani Bukowska leżała na szezlongu, a jej mąż siedział na krześle tuż obok. Właśnie podawał jej jakąś miksturę, być może tę pozostawioną przez Zaifa.

Marsowa mina agenta nie wróżyła dobrze, nic dziwnego zatem, że na jego widok pani Basieńka mocno przybladła, a jej mąż jakby skurczył się w sobie.

– Słucham – powiedział wrogo i bez żadnych wstępów.

Małżonkowie spojrzeli na siebie spłoszonym wzrokiem.

– Co mają państwo do powiedzenia na temat konszachtów z porywaczem? – warknął Jezierski, gdy nikt mu nie odpowiedział.

– Ależ drogi panie! – zawołał słabym głosem rajca. – To nie żadne konszachty!

– Taaak? A co? – spytał agent jadowicie. – Odcina pan kawałek listu i nie informuje mnie o tym, mimo iż wyraźnie dałem do zrozumienia, że o dalszych kłamstwach nie może być mowy! Wasze samowolne działania mogą doprowadzić do śmierci dziecka! Waszego dziecka!

Pani Bukowska zerwała się z szezlonga i wyprostowała się hardo. Jej oczy ciskały niemal błyskawice gniewu, lecz na agencie nie zrobiło to, niestety, żadnego wrażenia.

– Jak pan śmie! – krzyknęła, tupiąc nogą. – Pan nie ma prawa tak do nas mówić! My tylko staramy się dokładnie wypełnić polecenia porywacza, żeby oddał nam córeczkę całą i zdrową!

Nagle zachwiała się i opadła z powrotem na szezlong. To wystąpienie widać wyczerpało jej siły, bo leżała nieruchomo, tylko oddychała szybciej i jakby ciężko.

Jezierski, wbrew sobie, poczuł litość do tej kobiety, choć nadal miał o niej mało pochlebne zdanie.

– Nie myślcie państwo, że was nie rozumiem – powiedział znacznie łagodniejszym tonem. Podniósł jedno z krzeseł i przysunąwszy je sobie w pobliże małżonków, usiadł. – Ale to, że zgadzacie się ślepo wykonywać polecenia porywacza, nie zagwarantuje wam odzyskania dziecka. Ten zwyrodnialec może żądać od was coraz to nowych sum pieniędzy, a i tak nie zyskacie pewności, iż w końcu odda córkę.

– Cóż zatem mamy robić? – zaszlochała pani Basieńka.

– Musicie współpracować z policją. Zauważcie państwo, że w naszej guberni nie było dotąd podobnego wypadku. Nie zdarzyło się, żeby ktoś porwał dziecko i to dla okupu. Porywano kobiety, lecz głównie po to, by je poślubić wbrew woli ich rodziny, takiego jednak przypadku, jak ten, nie było.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał ostrożnie rajca.

– Tylko tyle, że sprawca na pewno jest amatorem, a nie zawodowym przestępcą, który w życiu nie skalał się uczciwą pracą. A policja ma o wiele większe środki i możliwości do jego schwytania, nie mówiąc już o doświadczeniu w obcowaniu z takimi typami. O wiele lepiej wiemy, jak z nimi postępować, no i przede wszystkim, jak ich łapać. Państwo nie macie o tym najmniejszego pojęcia! Zamiast więc nam utrudniać pracę, powinniście współpracować.

Bukowscy znów spojrzeli po sobie. Po chwili pani Basieńka skinęła głową.

– Dobrze, od tej pory niczego już przed panem nie zataimy. Obiecuję. Prawda, Teodorze? Rajca skinął głową w oszołomieniu, po raz pierwszy bowiem od wielu lat żona odezwała się do niego po imieniu, i to w obecności innej osoby!

– Proszę zatem powiedzieć, co tam było dopisane. Albo jeszcze lepiej, pokazać mi ten skrawek listu.

– Niestety – westchnął Bukowski. – Spaliliśmy ten odcięty fragment, bo tak nakazał porywacz. – Ale mogę panu dokładnie powiedzieć, co w nim było.

– Słucham.

– Nakazano nam związać worek z pieniędzmi bardzo długim sznurem. Po zanieśieniu worka na miejsce miałem ten sznur rozwinąć i jego koniec niepostrzeżenie przeciągnąć do najbliższego drzewa. W pobliżu był tylko kasztanowiec, do niego więc dociągnąłem sznur, choć zapewniam pana, że zrobienie tego tak, by nikt nie zauważył, nie było łatwe!

– Ale udało się panu – sucho stwierdził agent, w którym ta informacja na nowo rozpalila gniew. Opanował się jednak i spytał:

– Czy porywacz napisał coś jeszcze?

– Właściwie nic – odparła Bukowska. – Kazał tylko czekać na następny list, w którym, jeśli zrobimy wszystko tak jak trzeba, poda nam miejsce, gdzie znajduje się nasze dziecko.

– Ale państwo nie daliście mu przecież całej sumy!

– Wiem – wyszeptała kobieta. – Jednak włożyliśmy do środka kartkę, że resztę pieniędzy dostarczymy natychmiast, gdy tylko uda nam się sprzedać papiery wartościowe – otarła łzę i dodała rozdzierającym tonem: – Błagałam w tym liście, żeby nie robił dziecku krzywdy, że zapłacilibyśmy całą sumę od razu, ale nie mieliśmy dość czasu!

– Czy sądzi pan, że porywacz to zrozumie? – zapytał rajca, nerwowo kręcąc się na krześle.

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą Jezierski. – Oby Bóg wam sprzyjał i czuwał nad niewinnym dziećciem.

Pani Basieńka wzniosła oczy do sufitu, jakby szukając tam jakiegoś znaku od Boga, jej mąż natomiast opuścił głowę na piersi i westchnął.

– Nie będę już państwu przeszkadzał – rzekł agent, wstając. – Ale proszę nas natychmiast zawiadomić, gdy porywacz się odezwie. Nawet gdyby zrobił to w inny sposób, nie w liście. Zrozumieli państwo?

Oboje Bukowscy skinęli głowami.

– Proszę mnie nie odprowadzać – agent zwrócił się do rajcy, widząc, że ten też wstaje. Nagle, jakby sobie coś przypomniał, dodał: – Chociaż, skoro pan już wstał...

Wyszli obaj.

– Może pan wstąpi do mojego gabinetu na kieliszeczek czegoś mocniejszego? – zaproponował rajca, co zaskoczyło nieco Jezierskiego, gdyż Bukowski dotąd nie wykazywał najmniejszej chęci zacieśnienia z nim kontaktów, choć był, bądź co bądź, agentem do specjalnych poruczeń w randze radcy stanu.

– Na służbie nie piję alkoholu, ale filiżanki kawy nie odmówię – odparł Jezierski, któremu rozmowa w cztery oczy z panem domu bardzo odpowiadała. Miał do niego jedno pytanie, a poza tym istniało prawdopodobieństwo, że bez obecności żony rajca powie coś więcej.  
– Chętnie zapaliłbym też cygaro, jeśli dym nie będzie panu przeszkadzał.

– Ależ proszę bardzo – Bukowski gościnnie otworzył drzwi do swego małego sanktuarium, które, choć nieduże, było, o dziwo, całkiem wygodnie i ze smakiem urządzone.

– Niech się pan rozgości w którymś z foteli – zapraszał gospodarz, który w gabinecie nabrał jakby nieco więcej pewności siebie. – Nie są zbyt duże, ale bardzo wygodne.

– Dziękuję – odparł agent, z przyjemnością wyciągając cygaro. Gdy Bukowski wydał już dyspozycje służbie co do napojów, a Jezierski odprawił swój rytuał z obcinaniem końcówki cygara i zapalaniem, agent zapytał leniwie, starając się, by ton głosu był jak najbardziej przyjacielski i niezobowiązujący:

– Czy kupiliście coś państwo niedawno w Ostrowie Wielkopolskim? Mieszkanie, jakiś dom lub inną nieruchomość?

Bukowski spał się na moment, by po chwili zaśmiać się lekko. Jezierski nie był pewien, ale wydało mu się, że w jego głosie dzwięczała jakaś fałszywa, nerwowa nutka.

– Prawdę mówiąc, przymierzaliśmy się. Byłem nawet raz czy dwa w Ostrowie, żeby obejrzeć proponowane nieruchomości, ale jeszcze się nie zdecydowaliśmy. A teraz, sam pan rozumie, wszystko stało się nieważne. Zresztą po zapłaceniu okupu kupowanie domu za granicą byłoby już czystym szaleństwem.

– To absolutnie nie moja sprawa, ale pozwoli pan, że zapytam. Po co państwu dom za granicą? Mało to u nas pięknych miejsc?

– Ach, to tylko dlatego, że mam tam dalszą rodzinę.

– Ale czemu nie na wsi? – indagował agent, wydmuchując z lubością dym. – Dla dziecka to chyba byłoby lepiej?

– Wieś rozważaliśmy najpierw, ale cóż, kiedy żona nie znosi wsi. A Ostrów wspaniale się rozwija, towary tam tańsze, no i połączenie kolejowe też ważna rzecz, jeśli człowiek prowadzi interesy lub chciałby podróżować, a my zamierzaliśmy.

– Ale ostatecznie nic państwo nie kupiliście?

– Niestety – westchnął melancholijnie rajca.

– Pozwoli pan, że zapytam jeszcze o coś. Czy w parku nikogo podejrzanego pan nie widział? Może ktoś rzucił się panu w oczy? Zaczepił pana? – To ostatnie pytanie agent zadał tylko dla zmyłki, bo doskonale wiedział, że nikt Bukowskiego nie zatrzymał ani na chwilę. Nie chciał jednak, by ten domyślił się, że był, a co ważniejsze, nadal jest przez cały czas śledzony.

– Niestety, drogi panie. Nikt mnie nie zaczepił, nawet żebrak. Nie widziałem też nikogo, kto wzbudzałby jakieś podejrzenia. Bardzo mi przykro.

– Nic nie szkodzi – agent nie wydawał się rozczarowany. – Gdyby jednak coś się panu przypomniało...

– Tak, tak, oczywiście.

Dalsza rozmowa dotyczyła już błahych spraw związanych z miastem.

Dwa dni później Zaif stanął przed fabryką Repphanów. Fabrykanci owi stanowili niejako

symbol przemysłu włókienniczego w Kaliszu. Przybyli tu pod koniec 1815 roku z Międzychodu, nazywającego się wówczas Birnbaum. Jan i Beniamin – dwaj bracia, niezamożni ludzie. W tych czasach rząd Królestwa Polskiego dawał korzystne kredyty osadnikom i Repphanowie, ludzie bardzo pracowici i w życiu codziennym niezwykle skromni, skorzystali z tego. Rok później, dzięki protekcji rządu, otrzymali w wieczystą dzierżawę nie tylko nieruchomości rządowe na Przedmieściu Stawiszyńskim<sup>68</sup>, ale także spore wsparcie finansowe, co pozwoliło im założyć manufakturę sukienniczą. Mieściła się ona w budynkach byłego klasztoru kaliskich Bernardynek, które bracia zaadaptowali na potrzeby fabryki. Wkrótce potem postawili szereg nowych zabudowań fabrycznych, nie tylko na Przedmieściu Warszawskim, ale w różnych punktach miasta. Były to najczęściej pojedyncze warsztaty produkcyjne, pracujące w systemie nakładczym. Wykorzystali także dawny młyn miejski, położony nad kanałem Proсны, urządzając w nim folusz wodny.

Tak dumającego zastał go Jeziński.

– Chodźmy do środka zobaczyć przedstawiciela znamienitej kaliskiej rodziny – zaproponował. – Na pewno będziesz miał z nim mnóstwo wspólnych tematów do rozmowy. Byle tylko nie był zamieszany w te dziwne zgony.

– Tak, trzeba mieć nadzieję, że nasze przypuszczenia są prawdziwe i nie były to wypadki przy pracy.

Wizyta w fabryce okazała się fascynującym przeżyciem. Niestety, doktor nie wykluczył możliwości, że któraś z maszyn mogła spowodować takie obrażenia, jakie widniały na ciałach tajemniczo zabitych mężczyzn.

– Walery – rzekł ze smutkiem Zaif, gdy już wyszli. – Tam było wiele maszyn, które mogły spowodować podobne rany, jak u tych biednych rzemieślników, choć nie mam oczywiście pewności. Nie wiem, czy rozmiary ran się zgadzają z rozmiarami pewnych elementów maszyn. Na przykład prętów, na których kręciły się te wielkie szpule, pamiętasz?

Jeziński skinął ponuro głową. Sam widział, że niektóre części maszyn mogły spowodować obrażenia, jakie widział u nieboszczyków. Jeśli nie takie same, to na tyle podobne, by mieć wątpliwości.

– Albo igieł z mechanicznej draparki do tkanin. A taka postrzygarka mechaniczna mogłaby z łatwością odciąć dłoń! W dodatku na jednej z maszyn znalazłem ślady czegoś zaschniętego, co przypominało krew!

– Jesteś pewien, że to krew?

– Przecież właśnie mówię, że nie. To mogła być farba lub dawno rozlana kawa.

– No to nie mamy nic.

– Zeskrobałem trochę tego czegoś na chusteczkę, gdy gawędziłeś akurat z majstrem.

W laboratorium sprawdzę, czy to krew.

– Jak?

– Najprościej jest zrobić to organoleptycznie...

– Czyli jak? – spytał podejrzliwie agent.

– Próbując smak...

– Okropność! – wzdrygnął się Jeziński.

– Ale obejrzę też pod mikroskopem – dorzucił pospiesznie doktor. – W końcu krew musi wyglądać inaczej niż zaschnięta kawa. Wyszuszę jedno i drugie, a potem porównam. Może coś uda się ustalić.

– Próbuj, ale czarno to widzę.

Na szczęście nie znaleźli ani śladu pracujących dzieci, co trochę ich pocieszyło. Niemniej



agent zmartwił się, że nie może skreślić ze swojej listy podejrzanych tak znamienitego mieszkańca miasta, a i Zaif nie był zadowolony. Wiedział, jak trudno będzie im udawać, że bawią się i rozmawiają swobodnie na przyjęciu z okazji imienin Emila Repphana, podejrzewając solenizanta o udział w tak poważnych zbrodniach.

Jeziński myślał w tej chwili dokładnie o tym samym. Martwił się, czy zdoła zachować beztronski wyraz twarzy i nie okazać podejrzliwości. Naraz przyszła mu do głowy pocieszająca myśl, że może Repphan nic nie wiedział o wypadkach czy też zabójstwach w fabryce. W końcu nie siedział tam bez przerwy, miał od tego majstrów i tego jakiegoś zarządzającego... Tfu, do licha! Co też mu do głowy przychodzi? Na razie nie ma żadnych dowodów, że te zbrodnie mają coś wspólnego z fabryką Repphanów! Tak musi myśleć cały czas i koniec!

## Rozdział 6

Minęło kilka dni i żadne ze śledztw nie posunęło się naprzód. Przeciągającą się stagnację urozmaiciło dopiero przyjęcie imieninowe Emila Repphana, na które zaproszono samą śmietankę towarzyską Kalisza, i to mocno precedzoną. Pozostali goście pochodzili z zagranicy. Jedynym wyjątkiem miała być obecność Jezińskiego i Zaifa. Obaj nie łudzili się co do swej pozycji i zdawali sobie sprawę z tego, że mieli stanowić coś w rodzaju atrakcji wieczoru, jak kiedyś kuglarze bądź cyrkowcy pokazujący sztuczki ku uciesze państwa. Niemniej obaj byli ciekawi tej mało znanej, bo trzymającej się na uboczu rodziny, o której krążyło wiele plotek, więc chętnie się tam wybrali. Dla nich też stanowiło to swoistą atrakcję, więc jakoś się to wyrównywało: oni byli atrakcją dla gości, a goście i gospodarze dla nich.

Na przyjęcie u Repphanów szykowali się także państwo Bukowscy. Co prawda nie mieli ochoty na wizyty i ustąpili dopiero wobec serdecznej prośby Emila Repphana, który osobiście wstąpił, by ich zaprosić. Fabrykant delikatnie zasugerował, że jego prośba wynika z chęci, by zrozpaczeni rodzice mogli choć na chwilę oderwać się od bolesnych rozmyślań o losie utraconego dziecka. Zazaczył też, że nie będzie żadnych tańców, więc mogą bez obaw przyjść, nie obawiając się niestosownych w tak trudnych dla nich chwilach rozrywek.

Dlatego teraz pani Basieńka kończyła przegląd swojej najnowszej toalety, która choć czarna, prosta w kroju i bez dekolty, mocno obciążyla i tak nieźle już odchudzoną kasę rodzinną. Krytycznym okiem spoglądała na swoje odbicie w lustrach, żeby widzieć zarówno przód, jak i tył skromnej, ale eleganckiej sukni, w której, o dziwo, wyglądała jeszcze bardziej ponętnie niż zwykle. Sprawdzała fryzurę i biżuterię. Gdy uznała, że wszystko w porządku, przypomniało jej się, że ma na sobie delikatne pończoszki i zaniepokoiła się, czy któraś nie doznała uszczerbku. Luksusowe damskie pończochy wyrabiano bowiem z naturalnego jedwabiu, surowca szlachetnego i trwałego, lecz zarazem bardzo kosztownego. Mięciutki w dotyku, niezwykle delikatne i opalizujące w delikatnych barwach tęczy, były też, niestety, bardzo podatne na zaciągnięcia, ponieważ utkano je z kilku splecionych nici.

Modne były głównie pończochy w kolorze białym, ale urozmaicano je na wiele sposobów. Panie nosiły więc wyroby ażurowe, haftowane, koronkowe, wzorzyste, szczególnie pod koniec dziewiętnastego wieku, gdy spódnice i trzewiki stały się na tyle „krótkie”, że kobiety mogły bez przeszkód pokazywać kostki nóg. W tym czasie pończochy zdobiły przepięknej urody hafty lub koronki umieszczane na podbiciu, kostce albo łydce<sup>69</sup>.

Pani Bukowska nosiła zwykle pończochy ażurowe, lecz w obecnej sytuacji nie miała ochoty stroić się tak jak zwykle. Tego dnia założyła więc „codzienne”, czyli gładkie białe, lecz mimo to nie chciała obrazić innych gości niechlujnym wyglądem uszkodzonej pończochy. Nie namyślając się wiele, uniosła wysoko skraj sukni. Na to wszedł jej mąż, także już przebrany, we

fraku. Widząc jego zdumione, a jednocześnie pełne tęsknoty spojrzenie, zaśmiała się krótko i jakby z goryczą. Była dumna, że niemal zawsze potrafiła zrobić takie wrażenie na mężczyznach. Nawet jej mąż, którego, jako że nim gardziła, trzymała krótko i z rzadka wpuszczała do sypialni, był na każde jej skinienie. Żeby nie wiadomo jak źle go traktowała, wystarczyło jej, tak jak teraz, unieść brzeg sukni, a on już leżał przed nią plackiem. Proszę, już klęczy u jej stóp. Wysunęła jedną nogę do przodu.

– Sprawdź, czy moja pończocha nigdzie nie ma dziurki – nakazała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Bukowski gorliwie zastosował się do rozkazu i po chwili jego ręka pięła się coraz wyżej. Poczł pot na czole i zawirowało mu w oczach. Dotarł właśnie do miejsca, gdzie pończocha się kończy, i dotknął fragmentu gołego ciała. W jednej chwili usta i gardło wyschły mu tak, że nie mógł wydobyć z siebie słowa. Stracił zupełnie panowanie i resztką sił dotknął ustami tej cudownie jedwabistej skóry, gdy nagle poczuł bolesny kopniak w splot słoneczny, wymierzony mu przez żonę pantofelkiem. Padł na dywan jak rażony gromem.

– Zabieraj łapy – warknęła, ale zaraz wybuchnęła szyderczym śmiechem. – Wyglądasz żałośnie – powiedziała z drwiną. – Jak zwykle zresztą.

– Barbaro! – zawołał, zrywając się na równe nogi, choć ból jeszcze całkiem nie ustał i nadal szumiało mu w uszach. Próbował ratować resztki własnej godności, którą ona tak często raniła. – Jesteś moją żoną!

– I co z tego?! – parsknęła jak kotka i zaczęła poprawiać sobie suknię przy staniku, zerkając przy tym złośliwie na męża. Zauważyła, jak przesunął językiem po wyschniętych wargach, ale nie ruszył się z miejsca. Kopniak zrobił swoje – trzymał się na dystans.

– Mam do ciebie prawo – powiedział wreszcie, lecz bez przekonania.

– A cóż to ja jestem, jakiś przedmiot? – oburzyła się natychmiast. – Kupiłeś mnie czy co? To prędej ja ciebie, bo gdyby nie mój posag...

– Przestań!

– Co przestań? Najpierw się awanturujesz, a potem to ja mam przestać?!

– Opanuj się, służba usłyszy...

– Służba doskonale wie, co się tu dzieje. I kto tu rządzi. Tylko taki niedojda jak ty mógł tego nie zauważyć.

Bukowski z rezygnacją odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Będę czekał na dole w powozie – rzekł głucho i wyszedł, nie spojrzawszy na swą krnąbrną żonę. – Bądź łaskawa się pospieszyć, bo się spóźnimy, a wiesz, jak Repphanowie tego nie lubią. Są wyjątkowo akuratni.

– Wiem, wiem. Idź już. Zaraz zejde.

Bukowski wyszedł, czując jak wrze w nim potężna mieszanina uczuć. Coraz częściej ogarniał go gniew na żonę, która przysparzała mu tylu trosk. Czym on zawinił, że trafił na tak piękną, ponętną, a jednocześnie złośliwą i zdradliwą istotę? Owszem, na początku znajomości całkowicie zaślepiła go jej uroda. Gotów był ją wziąć za żonę, jak to się mówi, w jednej koszuli, choć na szczęście nie było takiej potrzeby. Basieńka pochodziła z zacnej, bogatej rodziny. Rodzice z trudem ukrywali radość, że pozbywają się córki z domu, gdyż jej charakterek znany był w całej okolicy i bynajmniej nie jedna sympatii ani w rodzinie, ani wśród sąsiadów. Fakt, że ogromnie podobała się mężczyznom w wieku od lat dziesięciu do stu, wcale nie poprawiał sytuacji, bo dziewczyna miała gorący temperament i nie stroniła od kontaktów z płcią przeciwną. Rodzina włożyła zaiste mnóstwo wysiłków w to, by upilnować jej wianek do dnia ślubu, a potem z ulgą złożyła cały kłopot na barki niczego nieświadomego męża.

Otrzeźwienie przyszło dość szybko, bo po trzech miesiącach Bukowski nie miał już żadnych złudzeń co do żony. Charakter miała paskudny, lubiła być złośliwa, drwiła i naigrywała się ze wszystkiego, nie było dla niej rzeczy świętych. Niczego się nie bała, więc nie można jej było zagrozić ani skandalem, ani zszarganiem opinii, bo nic sobie z tego nie robiła. Była samowolna, uparta, arogancka, a często wręcz niegrzeczna. Waliła prawdę prosto z mostu jak mężczyzna... Co tam, niejednego mężczyzna by się nie odważył tak lekceważyć form towarzyskich, o dobrym wychowaniu nie wspominając! I wszystko uchodziło jej płazem! Bukowski wiedział, że to przez jej urodę i jakiś czar, jaki umiała roztaczać wokół siebie tak, że nie sposób było się na nią gniewać. Nawet on nie wyzwolił się całkiem spod jego wpływu, choć nie był już ani odrobinę zaślepiiony.

Tak, to bardzo przykre, myślał, gdy kobieta, którą wybrałeś na żonę, jawnie tobą gardzi. Czy ją jeszcze kocha? Nie wiedział. Na pewno pożąda, zresztą jak wszyscy inni mężczyźni. Ona była jak samica w rui, wydzielala jakieś takie fluidy, że człowiek tracił głowę... A jednocześnie tak jej nienawdził, że nieraz, gryząc palce ze złości, chciałby ją zabić, rozdeptać, zgnieść, patrzeć, jak krew z niej wypływa... Wbijając w nią sztylet raz po raz, ach, cóż to byłaby za rozkosz! Lub walić laską po głowie... Z przyjemnością słuchałby jej jęków, szmeru wypływającej krwi, trzasku pękającej czaszki...

Dobry Boże! Co go opętało?! Rajca Bukowski rozejrzył się niespokojnie, czy nikt go nie widzi, i ukradkiem się przeżegnał. Był przerażony. Coraz częściej nawiedzały go takie myśli w miejsce beznadziejnej rozpacz i wstydu, jakie odczuwał poprzednio, gdy go odtrącała. W końcu na swój sposób przyzwyczał się do tego, że był podnóżkiem, zwykłym pantoflarzem i że wie o tym całe miasto. Było to przykre, ale budziło współczucie u wielu kobiet. Jako rajca, osoba publiczna i na stanowisku, nie mógł sobie pozwolić na kontakty z hm... córami Koryntu. Wnet by się o tym zwiędziała prasa, a mieszkańcy nie byli skłonni pobłażać w takich sprawach swoim przedstawicielom. Fakt, że w bezpośrednim wyborze głos miało tylko kilkanaście osób, niczego nie ułatwiał. Byli to bowiem ludzie wpływowi, a najbardziej Repphanowie, którzy słynęli z pobożnego i surowo moralnego trybu życia. U nich nikt w domu nie próżnował, choć mieli mnóstwo pieniędzy. Mogli sobie wybudować pałac, jak fabrykanci w Łodzi, ale woleli mieszkać w kamienicy wystawionej przez ich dziada nieopodal zakładu. Praca, pobożność, oszczędność, to były ich cnoty główne. Jedynym wyjątkiem, na jaki sobie pozwolili w tym względzie, była kaplica na cmentarzu, w której chowali swych zmarłych. Ludzie żartowali, że panował w niej większy zbytek niżli w domu. Przesadzali oczywiście, ale było w tym coś na rzeczy.

Ale i młody Repphan, wnuk założyciela firmy, nie oparł się wdziękowi jego żony. Sam był świadkiem, jak kiedyś wodził za nią zamglonym wzrokiem. Byli wtedy w parku, w cukierni Wehnera, który prowadził przez wiele lat hotel w Turku i dobrze wiedział, jak powinien wyglądać lokal, by chętnie go odwiedzali liczni goście. Od razu po nabyciu kaliskiej cukierni dokonał w niej wielu ulepszeń: plac przed nią powiększył i podwyższył, urządził ozdobny skwerek z fontanną i rzeźbami. Zbudował też estradę.

Siedzieli wtedy przy stoliku na świeżym powietrzu, a Basieńka, nie mogąc zbyt długo wytrzymać w jednym miejscu, spacerowała sobie po skwerku pośród rzeźb i bawiła się wodą z fontanny. Emil Repphan nie mógł wówczas oderwać od niej oczu. Nie on jeden zresztą...

A teraz? Rajca był pogardzanym i zdradzonym mężem, co do tego nie miał złudzeń. Początkowo cierpiał jak potępieniec i pewnie w końcu by wybuchł, ale żona zawsze umiała w odpowiedniej chwili go uspokoić, pozwalając objąć się i ucałować, a w ostateczności uchylając na krótką chwilę drzwi do sypialni. Cóż, ostatnimi czasy nawet i tego mu odmawiała,

żadnego pocałunku, uścisku ręki, nic...

A w nim narastał bunt podsycany goryczą, mieszaniną miłości i nienawiści tak wielkiej, że aż sam się bał, co może z tego wyniknąć. Przestraszony, próbował znaleźć ukojenie w ramionach kobiet sprzedajnych, ale cóż, skoro mógł sobie na to pozwolić tylko w innych miastach, a jeszcze lepiej za granicą. A że wyjeżdżał najczęściej z żoną... Żył zatem w ciągłym napięciu, szarpany namiętnościami, wstydem, rozpaczą i innymi sprzecznymi uczuciami. Nerwy miał w strzępach. Ratunkiem okazała się Aniela. Ona, niczym prawdziwy anioł, okazała się balsamem na jego roztrzęsione nerwy. Nie była ani w połowie tak piękna i powabna jak Basieńka, lecz w jego oczach stanowiło to bardziej zaletę niż wadę. Nie była wcale brzydka, wręcz przeciwnie, ale brakowało jej tego wabiku i wyzywającej urody jego żony. Za to była cała dla niego, gotowa nieść mu pocieszenie zawsze, kiedy tego potrzebował. Potrafiła słuchać, a przy tym była małomówna, uporządkowana, obowiązkowa, zaradna i solidna, a jednocześnie czuła, oddana i wierna. Nigdy nie robiła zamieszania wokół swej osoby ani – co tu mówić – nikogo innego.

Bukowski westchnął. Czemuż los postawił na jego drodze olśniewającą Basieńkę zamiast tego bladego motyla, jakim była Aniela? Czuł całą duszą, że właśnie ona byłaby dla niego wymarzoną towarzyszką życia. Mógłby przy niej żyć szczęśliwy, spełniony, w ciepłe domowego ogniska, otoczony dziećmi i nielicznymi, lecz wypróbowanymi przyjaciółmi, a potem wnukami...

Tymczasem szkoda gadać. Po pierwsze, codziennie widywał żonę i nie mógł całkiem wyzwolić się spod jej czaru. Inaczej dawno już by się z nią rozwiódł, nie bacząc na konsekwencje natury materialnej, a zwłaszcza towarzyskiej. Zwłaszcza że Basieńka nie pragnęła dzieci, ani słyszeć o nich nie chciała. Lecz gdy jednak przypadkowo zaszła w ciążę, to trzeba przyznać, zacisnęła zęby i zachowała się jak trzeba. Nie była też złą matką, córeczkę niewątpliwie kochała, choć niewiele czasu miała dla niej. No cóż, prowadziła wszak bujne życie towarzyskie – i intymne – z którego niemal całkowicie wykluczyła męża. Nigdy się nie dowiedział, dlaczego tak się stało. Pytał ją o to nieraz, ale odpowiadała mu ogólnikami, że jest gamoniem, nieudacznikiem albo że ją nudzi. Czyż to mogło być przyczyną? Nie wyobrażał sobie, by tak błahе powody były źródłem jego nieustannych cierpień.

Znów westchnął. Ostatnio rzadko kiedy pozwalał sobie na takie rozważania, gdyż nieuchronnie prowadziły go albo do rozpacz, albo do gniewu. Bał się tego gniewu, bo taki był... destrukcyjny. Niszczył mu duszę, a on sam, ulegając temu uczuciu, też mógłby coś zniszczyć. Lub kogoś. A ukojenie trwało tak krótko. Ostatnio nawet Aniela nie była w stanie tego dokonać. Widziała, że coś się z nim dzieje i nie dalej jak wczoraj znów błagała go, żeby odszedł od żony, nie bacząc na skandal, żeby wyjechali gdzieś i zaczęli nowe życie. Zastanawiał się nad tym od czasu do czasu. Może Aniela ma rację, ale porzucić tak wszystko? Pozycję, rodzinę, która pewnie by się go wyrzekła, znajomych, a zapewne i pieniądze, wszak fundusze trzymała twardą ręką Basieńka. No i samą Basieńkę w końcu... Czasem czerpał drobną, masochistyczną radość z samego faktu, że prawnie jest mu ona przypisana, jest jego żoną. Skrył twarz w dłoniach i omal się nie rozplakał nad swoją niedolą.

Tymczasem pani Basieńka bez pośpiechu oglądała przed lustrem drugą pończochę. Potem poprawiła jakiś niesforny lok i sprawdziła, czy piękna ametystowa brosza jest równo przypięta do czarnej sukni. Zadowolona z efektu, zawołała służącą, żeby przyniosła jej pod drzwi wyjściowe rękawiczki oraz okrycie, a sama sięgnęła po stojący na podręcznym stoliczku kieliszek wina i upiła łyk. Dziś było jej potrzebne takie wzmocnienie. Nie chciała teraz, co tam, nie mogła już myśleć o swoim biednym maleństwie, bo to niosło tylko nieziemski ból i rozpacz.

A nie mogła znów płakać, gdyż wtedy nie byłaby już w stanie wyjść z domu. Dlatego postanowiła myśleć tylko o nadchodzącej wizycie.

Trochę się jej obawiała. Wszak w każdej chwili mogła popaść w bezdenną rozpacz i rozpłakać się na oczach gości, a tego by nie zniosła. Nie ona, dumna i zawsze harda Basieńka. Lepiej myśleć o gospodarzach. Emil Repphan. I jego żona. Od jakiegoś czasu nie układało się im, choć starannie to ukrywali. No cóż, zobaczymy, pomyślała, może być ciekawie. Zamyślona odstawiła kieliszek i skierowała się w stronę wyjścia.

Kamienica, w której mieszkali Repphanowie, była z zewnątrz skromna lecz okazała, jako że mieszkała w niej początkowo cała liczna rodzina obu braci „założycieli”. Oczywiście z biegiem lat dzieci dorastały, zakładały własne rodziny i część się wyprowadziła – głównie córki, które powychodziły za mąż. Jednak z małymi wyjątkami rodzina trzymała się razem.

Na przyjęciu imieninowym Emila zgromadziła się zatem tak jak zwykle cała jego żyjąca familia, a także grono przyjaciół i powinowatych z Berlina. Kaliskimi gośćmi byli gubernator Daragan z małżonką, agent do specjalnych poruczeń Jezierski i doktor Zaif. Ci dwaj ostatni właśnie weszli, rozglądając się ciekawie i nieco podejrzliwie po wnętrzu. Ich czujność dodatkowo wzbudziły prace remontowe na parterze budynku, gdyż obecnie wszystkie remonty i budowy kojarzyły im się przede wszystkim z dziwnymi zgonami rzemieślników. Do tego te fabryczne maszyny, które mogły być przyczyną śmierci ofiar. Podejrzana sprawa. Kto wie, może tu był ów tajemniczy „dom śmierci”, o którym majaczył ranny Francuz?

Jezierski, który już wcześniej zdążył zrelacjonować przyjacielowi przebieg rozmowy z Bukowskimi na temat zatajenia fragmentu listu, szepnął teraz doktorowi, że obecnie to potentat przemysłowy wysunął się na czoło listy podejrzanych. Przynajmniej dopóki coś się nie wyjaśni i nie oczyści go z podejrzeń. Doktor poradził mu, by się tak nie ekscytował, bo póki co nie ma żadnych dowodów ani za, ani przeciw. Lepiej zachować bezstronność.

Ledwie skończyli mówić, gdy wprowadzono ich do obszernego holu. Tam oddali lokajowi kapelusze i zostali zaprowadzeni do salonu. Zaraz za progiem powitała ich pani domu, Wenanta Anna Repphan z domu Schussler. Miała ciemne włosy, szare oczy i nietkniętą środkami upiększającymi twarz. Ubrana była skromnie, lecz z chłodną elegancją. Jej sukni nikt nie nazwałby wyzywającą czy przyciągającą wzrok, tym bardziej że była koloru grafitowego, niemal czarnego. Ale uszyto ją z pierwszorzędnego jedwabiu oraz koronek i miała mistrzowski krój.

Choć kobieta nie była urodziwa, a rysy miała nieco zbyt ostre, emanowała z niej jakaś spokojna nieustępliwość. Z oczu wyzierała szczerłość. Poza tym wydawała się skryta. Zaifowi nawet się spodobała, nie robiła bowiem wrażenia trzpiotki czy władczego babochłopa, choć jej postaci wyraźnie brakowało wdzięku i powabu. Wydawała się jednak osobą poważnie myślącą.

Zagadnęła ich po niemiecku, z wahaniem, jakby nie była pewna, czy znają jej język. Na szczęście obaj nim władali, Jezierski bardzo dobrze, a studiujący między innymi w Niemczech Zaif znakomicie. Pani Repphan nieznacznie odetchnęła, zadowolona, że obejdzie się bez kłopotów z tłumaczeniem.

– Panowie wybaczą, że witam ich sama, mąż jednak musiał zająć się gośćmi. A gdzie żony panów?

– Doktor Zaif jest jeszcze kawalerem, a moja małżonka wyjechała z dziećmi nad morze – wyjaśnił uprzejmie agent.

– Od razu zaznaczę też panom, że przyjęcie odbędzie się bez tańców – oznajmiła trochę stropiona, nie znając ich bowiem dotąd wcale, nie wiedziała, czego ci ludzie mogli spodziewać się po przyjęciu u Repphanów, bądź co bądź znamienitej i wpływowej rodziny.

– Żaden kłopot, doprawdy – zapewnił natychmiast Jezierski.  
– Nie chcieliśmy robić przykrości państwu Bukowskiemu w tak trudnej dla nich chwili – wyjaśniała dalej – ale i tak nie planowaliśmy tańców, gdyż ojciec męża zmarł przed ponad pół rokiem i mamy jeszcze żałobę. Mąż uznał, że może już przyjmować i składać wizyty, jednak za wcześnie jeszcze, by oddawać się płochym rozrywkom.

– Śmierć świętej pamięci Augusta Repphana była wielką stratą dla nas wszystkich – oświadczył z poważną miną agent, który znakomicie potrafił znaleźć się w takich sytuacjach.  
– Proszę przyjąć nasze najszczerze kondolencje. Pogrzeb był wspaniały.

– Dziękuję – odparła mile ujęta oglądając nieznaną goci, następnie ruszyła przodem. Podprowadziła ich do państwa Daraganów, którzy się z nimi serdecznie przywitali, a następnie przedstawiła ich rodzinie męża: braciom i ich żonom oraz Ludwikowi Scholtzowi, którego matka pochodziła z Repphanów. Żona Ludwika, Malwina z Rogozińskich, była córką znanego warszawskiego adwokata, jednak nazwiska Szolców i Rogozińskich prawdziwie rozślawił ich syn, Stefan Szolc-Rogoziński, znany podróżnik i badacz Kamerunu<sup>70</sup>.

Po uprzejmej wymianie powitań i grzeczności pani Repphan podeszła ze swymi gośćmi do rajcy Bukowskiego z żoną. Wyculony na ludzkie emocje Zaif od razu zauważył, że jakkolwiek do rajcy miała stosunek obojętny, może nawet lekko współczujący, to ewidentnie nie lubiła jego żony. Oczywiście nie afiszowała się z tym, jej uśmiech był jednak wymuszony, czysto oficjalny, rzec by można.

– Państwa Bukowskich zapewne znacie? – zapytała tonem, jakim pewnie zwykła mówić o pospółstwie. Jezierski także więc się domyślił, że nie lubiła Basieński. Może jej mąż miał z nią romans?

Obaj skinęli głowami i przywitali się z rajcą i jego żoną, która chłodno im się odkloniła. Jej mąż przeciwnie, był ucieleśnieniem grzeczności. Widać starał się jak mógł zatrzeć nie mile wrażenie, jakie mogła zostawić małżonka. Rozbawiło to agenta, Zaif natomiast całkiem zignorował humory pani Basieński i natychmiast po powitaniu przestał zwracać na nią uwagę, jakby nie istniała. Oczywiście ją to rozzłościło, za to doktor zyskał znacznie w oczach pani domu, która dotąd obecność nieznanego osobnika żydowskiego pochodzenia przyjmowała z lekką rezerwą.

Lecz całkowicie zmieniła stosunek do niego, gdy podeszli do grupy trzech mężczyzn zawzięcie dyskutujących po niemiecku i francusku w pobliżu okna. Widać było, że pani Repphan darzy ich szacunkiem.

– Panowie pozwolą – przerwała im gospodyni z przepraszającym uśmiechem. – Oto nasi nowi goście: herr Jezierski i herr Zaif. A to graf Ludwig Yorck von Wartenburg – z dumą przedstawiła wysokiego, szczupłego mężczyznę o ascetycznych rysach twarzy i z lekka przerzedzonych włosach. – Hrabia jest wnukiem Johanna Ludwiga, pruskiego feldmarszałka z okresu wojen napoleońskich, który w 1814 roku uzyskał dziedziczny tytuł hrabiego, nadany przez Fryderyka Wilhelma III, króla Prus.

Mężczyźni przerwali dyskusję i przez moment przyglądali się badawczo nowo przybyłym. Zaraz potem hrabia skłonił się krótko i nieco sztywno. Pani Repphan najwyraźniej jednak nie uważała prezentacji za skończoną, chociaż jej przemowa bardziej dotyczyła szlachetnego przodka niż obecnego tu hrabiego.

– Dziad pana hrabiego odegrał wybitną rolę w zerwaniu przez Królestwo Pruskie sojuszu z Cesarstwem Francuskim i zawiązaniu przymierza z Imperium Rosyjskim podczas wojny z Napoleonem – mówiła dalej, a w jej monotonnym dotąd głosie pojawiły się nutki entuzjazmu. – Stał się założycielem niemieckiego rodu hrabiowskiego Yorck von Wartenburg,

a Ludwig van Beethoven skomponował na jego cześć utwór...

Spojrzała bezradnie na hrabiego, nie mogąc sobie przypomnieć tytułu.

– „Yorckscher Marsch” – dokończył za nią uprzejmie Zaif.

– Tak – powiedziała zdumiona. – Skąd pan wie?

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, odezwał się hrabia, przyglądający się dotąd Zaifowi dyskretnie, acz uważnie.

– Czy jest pan może tym doktorem Zaifem, który przebywał do niedawna w Stanach Zjednoczonych?

Pani domu raczej nic nie mogła na ten temat powiedzieć, więc młody doktor skinął głową.

– Zawarł pan tam wiele cennych znajomości – ciągnął dziwnie ostrożnie hrabia, jakby poruszał śliski temat, co natychmiast wzbudziło czujność doktora. – Poznał pan tam podobno dwóch prezydentów tego kraju?

– Tak – przyznał Zaif, równie teraz zdziwiony, jak przed chwilą pani domu, której usta nieco komicznie zastygły w kształcie litery „o”. – Najpierw Stephena Grovera Clevelanda, który skończył kadencję w 1889 roku, a potem jego następcę, Benjamina Harrisona.

Zagraniczni goście wymienili między sobą znaczące spojrzenia i uśmiechnęli się z zadowoleniem. Jezierski, nie bardzo wiedząc, o co chodzi, a widząc po minie i zachowaniu przyjaciela, że ten stał się ostrożny, nadstawił ucha.

Tymczasem mężczyźni jakby się odprężyli i stali niemal wylewni.

– Dobry stary Grover – uśmiechnął się jowialnie hrabia. – Wiedział pan, że zrobił błyskotliwą karierę w Buffalo, gdzie pełnił urząd szeryfa i nawet osobiście wykonywał wyroki śmierci? W wieku czterdziestu czterech lat zainteresował się polityką i w ciągu trzech lat został prezydentem kraju. Cudowna kariera!

Zaif znów skinął głową i powiedział:

– Przedtem wybrano go burmistrzem Buffalo, a następnie gubernatorem stanu Nowy Jork. Był twardy i nie faworyzował nikogo. Nakazał na przykład rozpoczęcie śledztwa dla zbadania niejasnych okoliczności przekazania przez rząd federalny ziemi pod budowę linii kolejowych, czym wywołał wściekłość branży kolejowej. A to silne lobby.

– I niebezpieczni przeciwnicy – dorzucił stojący po lewej stronie hrabiego siwowłosy mężczyzna. Był niski i pulchny, przez co wyglądał niczym Święty Mikołaj bez kostiumu, ale w oczach miał stalowe błyski świadczące o silnym i zdecydowanym charakterze. – Jestem margrabia Daan van Dyke, Holender z urodzenia, kosmopolita z wyboru. Interesuje pana kolej?

– Amerykańska tak. Mam w niej trochę udziałów i zamierzam je zwiększyć.

– Ciekawe, bardzo ciekawe – pulchny Holender pogładził faworyty.

– A jak się panu podoba nowy prezydent? – zapytał zniecierpliwiony z mężczyźni, dotąd milczący. Wysoki i bardzo chudy, sprawiał wrażenie, jakby składał się głównie z patykowatych rąk i nóg. Na głowie miał za to istną szopę ciemnoblonde włosów, które zdawały się żyć własnym życiem. Sterczały na wszystkie strony, mimo że właściciel od czasu do czasu starał się je ujarzmić ręką lub kieszonkowym grzebykiem. Wyglądało to już na odruch bezwarunkowy. Mimo niesfornej czupryny, mężczyzna był ubrany nieskazitelnie, w znakomicie skrojony frak.

– Pan pozwoli, że się przedstawię: Jonatan Weston, amerykański przedsiębiorca.

– Miło mi – odparł doktor. – Jest pan znanym przedsiębiorcą, a jednocześnie podróżnikiem i archeologiem amatorem.

– Doprawdy nie spodziewałem się, że ktoś o tym wie. – Weston lekceważąco wzruszył ramionami, lecz widać było, że wiedza rozmówcy sprawiła mu przyjemność. – Lubię jednak

wspierać naukowców, szczególnie archeologów.

– Na pewno są panu wdzięczni.

– Zapewne. Zna pan podobno obecnego prezydenta? – nie dawał za wygraną Amerykanin.

Jezierski ziewnął dyskretnie, bo rozmowa stawała się coraz bardziej dziwaczna i nudna zarazem. Co tak, do licha, uczepili się tych prezydentów?

– Benjamin Harrisona? Trudno powiedzieć, żebym go znał. Dopiero niedawno rozpoczął kadencję. Poznałem go i rozmawiałem z nim kilkukrotnie, to wszystko. Poza tym wiem tylko, że jest prawnikiem, a będąc członkiem Senatu, bronił w nim praw Indian i weteranów wojny secesyjnej. To akurat poczytuję mu za zaletę.

– Zapewne, ale od prezydenta wymaga się troski o dobro całego kraju, czyż nie?

Zaif wzruszył ramionami.

– Oczywiście, lecz, jak już powiedziałem, nie wiem nic bliższego o nowym prezydencie, zatem trudno mi orzekać, czy jego polityka będzie korzystna dla kraju, czy też nie.

– Zna pan podobno również Williama McKinleya? – zagadnął nagle hrabia Yorck von Wartenburg.

Jezierski, który obserwował rozmowę i wciąż tłumił ziewanie, teraz zdziwił się, że zwykle, niewinne pytanie może wywołać aż taką reakcję. Zaif bowiem wyraźnie spiął się i zanim odpowiedział, obrzucił swoich interlokutorów, a właściwie ich ubiory, długim, badawczym spojrzeniem. Wtedy dostrzegł, że na złotych spinkach do mankietów hrabia miał wysadzany rubinami wizerunek cyrkla i węgielnicy, okalających dużą literę G, także wykonaną z rubinów.

Były to masońskie symbole. Cyrkiel oznaczał mądrość, wiedzę, rozum, twórcze i aktywne siły Boga i człowieka. Łącząc w sobie okrąg, czyli nieskończoność, i punkt – początek, symbolizował Absolut. Obok oznaczającej równowagę i szczerotę węgielnicy oraz Biblii jest jednym z tak zwanych Wielkich Świateł loży masońskiej. Z kolei literę G, często umieszczaną w centrum płonącej pięcio- bądź sześcioramiennej gwiazdy, interpretuje się najczęściej jako odniesienie do wyrazów „grande”, „grand” znaczących tyle co „wielki”, albo nawiązanie do geometrii lub też greckiego „gnosis”, czyli wiedzy. Tylko bardziej wtajemniczeni wiedzieli, że może również oznaczać „generację” – siłę kolejnych pokoleń, „gravitację” – siłę rządzącą ruchem ciał i materii, także siłę przyciągającą braterstwo serc wolnomularzy, „geometrię” – fundament nauk ścisłych, bez których ludzie są skazani na próżne spekulacje, lub wreszcie „geniusz” – inteligencję umożliwiającą odkrywanie sprawiedliwości i prawdy.

Weston z kolei nic nie miał na spinkach, za to na szyi nosił złoty masoński krzyżyk, który po złożeniu ruchomych części zamieniał się w kulę, natomiast van Dyke nosił sygnet z literą G wpisaną w środek pięcioramiennej gwiazdy. Wszyscy trzej mieli przy dewizkach od zegarka małe, nierzucające się w oczy złote breloczki z inkrustacją przedstawiającą Świetlisty Trójkąt, inaczej deltę, symbol nauki. Umieszczone w jego środku Oko oznaczało świadomość, mądrość, a w tradycjonalistycznej masonerii po prostu Wielkiego Architekta<sup>71</sup>.

Po dokonaniu tego przeglądu ozdób swych rozmówców doktor jakby odetchnął i odprężył się. Zrozumiał również sens dość dziwacznych pytań trójki mężczyzn i wyraźnie poweselał.

Jezierski tymczasem zdążył już porządnie znudzić się rozmową o Ameryce. Poza tym wciąż się pilnował, by najmniejszym słowem czy gestem nie okazać, że ma gospodarza na swej liście podejrzanych, i to na czołowej pozycji, więc humor niespecjalnie mu dopisywał. Tym chętniej skierował swe niezadowolenie w stronę cudzoziemców. Nic z tego nie uszło uwadze doktora, który czym prędzej odpowiedział:



– Znam, ale może porozmawiamy o tym później. Nie przywitaliśmy się jeszcze z panem domu, a nie chcielibyśmy uchybić zasadom grzeczności...

Mężczyźni spojrzeli po sobie z pewnym wahaniem, ale zaraz hrabia zgodził się z doktorem:

– Naturalnie! – zawołał jowialnie i ujął pod ramię panią Repphan, która jakby ocknęła się z transu. Przez cały czas rozmowy trwała nieruchomo, zaskoczona, że jej najznamienitsi zagraniczni goście z takim szacunkiem rozmawiają z nikomu nieznanym doktorem. To znaczy niezupełnie nieznanym, bo oni najwyraźniej go znali, choć tylko ze słyszenia. Kim zatem jest ów doktor? Dziwna sprawa.

– Moja droga, wybacz, że tak egoistycznie zatrzymaliśmy twoich gości, choć jeszcze nie zdążyłaś ich wszystkim przedstawić, ale gdy tylko usłyszałem nazwisko pana doktora, natychmiast zapragnąłem go poznać.

– Och, nie zabraknie panom czasu na rozmowy. Wszak nie będzie tańców, bo mamy jeszcze żałobę...

– Ależ oczywiście! Nieodżałowany August, świeć Panie nad jego duszą! Nie wiem, czy panowie wiedzą, że największą przyjemnością nieboszczyka było polowanie? Dawniej gonił jeszcze z chartami, później poprzestał na strzelbie. Przepyszne też były polowania w Petrykach i Zbiersku!

– Tak, tak – przytaknął grafowi van Dyke. – Lecz na stare lata w lasach zbierskich August tylko dwa razy do roku wyprawiał świetne łowy. Trzeba przyznać, że ich efektem był obfity pokot.

– Jeszcze raz błagamy o wybaczenie, zechciej też w naszym imieniu przeprosić Emila, że tak długo kazaliśmy mu czekać na powitanie znakomitych gości – dorzucił hrabia, lekkim ukłonem wskazując Zaifa i Jezierskiego.

Pani Repphan uśmiechnęła się niepewnie i poprowadziła obu w stronę męża, który stał w otoczeniu czterech kobiet. Trzy z nich, o dość pospolitej urodzie, za to w krzykliwe błyszczących kreacjach, śmiały się beztrzesko i zalotnie. Pan domu rozmawiał właśnie z czwartą z nich, niewiastą o niezwykle interesującej twarzy. Nie była może piękna w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale jej twarz i sylwetka przyciągały oczy, budziły zaciekawienie i jakiś nieokreślony niepokój. Zaif zauważył, że spojrzenia wszystkich niemal mężczyzn w salonie lgnęły do tej kobiety, mimo że jej towarzyszki zachowywały się o wiele bardziej ostentacyjnie. Była w niej jakaś siła, głębia, żywotność.

Zauważył również coś, co sprawiło, że na moment niemal stanął jak wryty. Jezierski, który szedł tuż za nim i omal nie wpadł na jego plecy, nie przeoczył dziwnej reakcji przyjaciela. Zaif zresztą natychmiast ruszył dalej, więc agent przyspieszył kroku, by zobaczyć, co spowodowało nagłe zatrzymanie przyjaciela. Spojrzał na niego i spostrzegł zdumienie podbarwione czymś w rodzaju fascynacji. Rozejrzał się, ale nie zobaczył niczego godnego uwagi. Podążył więc wzrokiem ku punktowi, w który wpatrywał się Zaif i omal się nie zakrztusił z wrażenia.

Oto na ramionach kobiety o nietypowej urodzie, którą Emil Repphan zabawiał rozmową, spoczywał szal identyczny ze znalezionymi przy ciałach dwóch zamordowanych kobiet. Nic dziwnego, że obaj zwolnili nieco kroku i wpatrywali się bezwiednie w tkaninę, co postronny obserwator mógł zinterpretować jako silne wrażenie, jakie zrobiła na nich kobieta.

Tymczasem prowadząca ich w stronę męża pani Repphan w ogóle nie zauważyła konsternacji obu mężczyzn, nie zwróciła też większej uwagi na rozbawione kobietki obok małżonka. Podeszła bezpośrednio do niego oraz jego towarzyszki, którą najwyraźniej dobrze

znała i lubiła.

– Emilu, Hildo – rzekła z uśmiechem – pozwólcie, że przedstawię wam agenta do specjalnych poruczeń, Walerego Jezierskiego, oraz doktora Jakuba Zaifa. Okazuje się, że doktor Zaif jest szeroko znany za granicą. Hrabia Yorck von Wartenburg bardzo chciał go poznać i...

– Dziękuję, moja droga – przerwał jej szorstko mąż i zwrócił się do przybyłych: – Bardzo miło mi gościć panów w moim skromnym domu. Oto ozdoba każdego przyjęcia jak Europa długa i szeroka, baronowa Hilda von Treskow...

– Nie tylko Europa – sprostowała żartobliwie baronowa z uśmiechem tak ciepłym i serdecznym, że Zaif był pewien, iż zmiękczała serca nawet zagorzałych wrogów. – Ostatnio bawiłam w Argentynie, Meksyku i Stanach Zjednoczonych. A z panem, panie Zaif, skoro jest pan tak znany za granicą, chętnie pogawędzę. Na pewno znajdziemy wspólnych znajomych, ale teraz, błagam, siądźmy już do stołu, bo jestem strasznie głodna!

– Oczywiście – uśmiechnął się pan domu. – Pozwól wszelako, by panowie zostali przedstawieni pani Elzie Schmidt, kuzynce grafa, oraz jej przyjaciółkom Iwone Bruner i Anne Miller. Panowie wzięli je pod opiekę na czas podróży po Europie.

Nastąpiła prezentacja, obie strony skłoniły się sobie grzecznie, przy czym niepoprawne kokietki od razu zaczęły rzucać powłóczyście spojrzenia na jedynych w tym gronie mężczyzn pozbawionych towarzyszek.

Repphan całkowicie zignorował ich zachowanie, widocznie był już przyzwyczajony, lecz niewątpliwie nie sprawiało to zadowolenia jego dość posępnej i purytańskiej naturze. Zamiast tego zwrócił się do żony, jak zwykle chłodno, nieomal szorstko, jakby go nic z tą kobietą nie łączyło. Jezierskiemu nie spodobało się to ani trochę. Znow był skłonny podejrzewać go o najgorsze, przemknęło mu nawet przez myśl, czy to nie fabrykant poderżnął gardła tym dwóm biedaczkom. Skoro tak nie lubi kobiet... Ech, co też mu po głowie chodzi. Może tylko nie lubi swojej żony, w końcu do baronowej odnosił się nadzwyczaj życzliwie, wręcz z kurtuazją.

– Wenanto, czy wszystko gotowe? – zapytał surowo pan domu żonę. Ta tylko kiwała lub kręciła głową, omal nie kłaniając się własnemu mężowi jak panna służebna. – Goście w komplecie? – indagował dalej mąż. – Bądź więc łaskawa dopilnować służby. A państwa zapraszam do stołu.

Wziął pod rękę baronową i nie oglądając się na żonę, poprowadził gości do jadalni.

Jako że przy każdym nakryciu figurowała wizytówka z imieniem i nazwiskiem zaproszonego gościa, uniknięto zamętu przy zajmowaniu miejsc. Służba bezszelestnie usługiwała, podając potrawy. Część z nich była naprawdę wykwintna, inne z kolei proste, lecz świeże i smaczne. Najwyraźniej jadłospis stanowił kompromis między jedzeniem „światowym”, jakiego goście mieli prawo oczekiwać u ludzi bogatych i bywałych w odpowiednich kręgach towarzyskich, a osobistymi, skromnymi upodobaniami gospodarzy.

Poznawszy gospodarzy przyjęcia, zarówno Zaif, jak i Jezierski obawiali się, że przy stole będzie wiało nudą. Lecz jakby na przekór surowemu charakterowi rodziny Repphanów, atmosfera okazała się całkiem przyjemna, a rozmowa toczyła się wartko i lekko, zahaczając o coraz to nowe tematy. Najwięcej do powiedzenia mieli oczywiście goście, przede wszystkim ci spoza rodziny, ale najwyraźniej nikt z Repphanów nie miał im za złe, że wzięli na siebie ciężar prowadzenia i podtrzymywania konwersacji. Podjął się tego także gubernator, a i jego małżonka od czasu do czasu wtrącała jakieś słówko. Widać było, że państwo Daraganowie byli tu nie pierwszy raz.

Jezierski słuchał wszystkiego, lecz jakby jednym uchem, gdyż większość czasu dzielił między rozkosze podniebienia a popatrywanie na innych uczestników obiadu, ze szczególnym

uwzględnieniem pani von Treskow i rajcy Bukowskiego, który z trudem zmuszał się, by czasem oderwać wzrok od pięknej baronowej. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że rajca patrzył na nią wzrokiem nie pełnym zachwytu czy uwielbienia, ale ponurym i nieżyczliwym. Takie spojrzenie Jezierski rozumiałby u jego żony czy innych zazdrosnych kobiet, jednak u mężczyzny? Cóż mu takiego niešťczęsna baronowa zrobiła? O ile dobrze wywnioskował z różnych żartobliwych wypowiedzi gości, była ona wdową, która po przepisowym okresie żałoby po drogim, ale podobno starym już i zużytym mężu, rzuciła się w wir życia i wkrótce stała się mistrzynią w jego używaniu. Przy tym, jako osoba rozumna, potrafiła ustrzec się pułapki powtórnego zamążpójścia oraz, co jeszcze dziwniejsze, skandali, a nawet drastyczniejszych plotek. Cieszyła się nie tylko bogactwem zostawionym przez męża, ale i nieskrępowaną wolnością. Kochanków z pewnością miewała, ale to ona ich sobie wybierała, a nie oni ją, poza tym w tej materii była tak dyskretna, że nikt nie wiedział niczego na pewno. Nawet służba, co już było nie lada mistrzostwem, zatem po początkowych, zresztą pobłażliwych plotkach, szybko dano jej spokój. Towarzystwo pogodziło się z faktem, że baronowa jest po prostu ekscentryczką i jej zachowanie zawsze będzie nieco odstawać od reszty. Miała przy tym tyle taktu, słodyczy i wrodzonego wdzięku, że chętnie wybaczano jej ekstrawagancje. Godzili się na to bez oporu i obrazy także odrzuceni konkurenci, czy to do ręki, czy tylko łoża.

Rajca musiał o tym wiedzieć, więc odpałał tu, zdaniem agenta, powód, że wdówka odmówiła mu swych wdzięków. Nie mógłby mieć o to pretensji, bo godniejsi od niego dostawali od niej kosza. Zresztą – jakie miałby szanse? Nie był ani wyjątkowo przystojny, ani bogaty, ani też nie przejawiał geniuszu w żadnej dziedzinie. Był za to żonaty, raczej nudny, nerwowy i zakompleksiony. Czemuż więc gapi się tak spode łba na Bogu ducha winną baronową? Może przeszkadza mu, że ściąga na siebie więcej uwagi mężczyzn niż jego kapryśna i w tej chwili naburmuszona z jakiegoś nieznanego powodu Basieńka? Tak, to możliwe, ale w końcu trudny charakter żony też był mu od lat znany, jej wygląd również. I choć Basieńka była bezsprzecznie pociągająca, ba, nawet ładniejsza, jeśli pod uwagę brało się tylko rysy twarzy, to i tak przy baronowej bladła niczym świeczka przy latarni. Nie miała ani jej klasy, ani rozumu czy dziwnego czaru, jaki emanował z tamtej kobiety. Baronowa mogła mówić największe banały, ale w jej ustach nabierały one mocy prawdy objawionej i prawie każdy mężczyzna gotów był natychmiast klękać, żebrząc o przywilej wielbienia jej choćby z daleka. Z radością usychały z tęsknoty, rzucając wybrance do stóp swój majątek, obsypany płatkami róż.

Z Basieńką było inaczej. Ona wzbudzała w mężczyznach nie romantyczne uwielbienie czy gotowość do poświęceń, tylko prymitywne, dzikie żądze, którym trudno było się oprzeć, ale... tylko na początku. Po zaspokojeniu żądze owe dość szybko ulegały wyciszeniu, szukali więc kolejnej, nowej podniety. Baronowa natomiast nie nudziła nigdy. Z niesłychanym wdziękiem opowiadała właśnie o jakiejś przyjaciółce, której mąż miał przykry zwyczaj wspomniania dawno zmarłej pierwszej żony, ilekroć znalazł się nieopodal ulubionej przez nią rzeźby z alabastru przedstawiającej pasterkę lub inny banał, a zdobiącej jeden z licznych stolików w pałacu. Za życia pierwsza żona podobno mogła podziwiać ją godzinami, co niepomiernie denerwowało jej małżonka. Gdy zmarła, wdowiec szybko postanowił się pocieszyć i pojął za żonę właśnie przyjaciółkę baronowej. Przez lata wszystko było dobrze, aż tu od jakiegoś czasu, nie wiadomo dlaczego, zdarzało mu się przy alabastrowej pasterce wspominać nieboszczkę. Im ów pan stawał się starszy, tym częściej. Nowa żona najpierw się śmiała, potem prychała z niezadowolenia, aż w końcu zgrzytała zębami ze złości. Rozeźlona nie na żarty kobieta jednak i na to znalazła sposób.

– Co takiego zrobiła? – zaciekała się jedna z kobiet towarzyszących kompanii hrabiego

Yorck von Wartenburg.

Baronowa zaśmiała się perliście i wszyscy automatycznie także się uśmiechnęli. Nawet rajcostwo Bukowscy.

– Ukradła tę przek... O, przepraszam – zmięła się, z wdziękiem zakrywając usta dłonią. Przy tym niechcący poplamiała sobie szal odrobiną deseru, gdyż w drugiej ręce trzymała akurat łyżeczkę. Zsunęła zatem szal z ramion i podała lokajowi, który już usłużnie stał za nią z wyciągniętą ręką i z szacunkiem odłożył go na kanapę.

– ...tę rzeźbę – dokończyła tymczasem baronowa. – A dokładniej, kazała najętemu człowiekowi ukraść ją i rozbić na drobne kawałeczki. Zrobiła to, rozumiecie państwo, żeby uniknąć podejrzeń. Człek ten miał upozorować włamanie, żeby mąż nie miał do nikogo, nawet do siebie, pretensji.

– Cóż na to mąż? – zainteresował się gospodarz z uśmiechem. Widać było, że niezmiernie lubi baronową i mimo surowych zasad gotów jest jej wybaczyć nawet nieparlamentarne słownictwo, szczególnie gdy winowajczyni okaże odrobinę skruchy. Rajca także uniósł głowę z zainteresowaniem.

– Wyobraźcie sobie państwo, że przeszło mu jak ręką odjął!

I znów jej perlisy śmiech rozbrzmiał wśród ścian jadalni.

Jezierski uśmiechnął się i wrócił do swojej porcji wyjątkowo lekkiego i smacznego sufletu pomarańczowego. Gdy po chwili uniósł głowę, ze zdumieniem odkrył, że z niewiadomych przyczyn humor rajcy odmienił się radykalnie. Jak przedtem był ponury i jakiś rozdrażniony, tak teraz promieniał zadowoleniem i radością oraz, co ciekawe, przestał wpatrywać się w baronową.

Taka nagła zmiana zaintrygowała agenta, więc znów zaczął uważnie przyglądać się rajcy, ale niczego ciekawego nie odkrył. Zamyślił się więc nad zmiennością natury ludzkiej, o którą do tej pory posądzał nieco szowinistycznie kobiety. Mężczyźnie, jego zdaniem, nie przystało być jak chorągiewka na wietrze i zdanie mógł zmienić dopiero pod wpływem ważnych przyczyn.

Jezierski zastanawiał się też, skąd trzej przybysze z zagranicy tyle wiedzieli o Zaifie. To było na tyle dziwne, że przyrzekł sobie natychmiast po powrocie do pracy sprawdzić całą trójkę. Jeśli zajdzie potrzeba, skorzysta z pomocy ochrony, bo ci trzej zachowywali się, jakby byli agentami wywiadowczymi obcych państw. Nawet on sam nie znał tylu szczegółów z życia Zaifa, a przecież był jego przyjacielem! Bez wątpienia coś tu jest nie w porządku. Co prawda Jakub na początku także był do tych mężczyzn nastawiony nieufnie, dopiero potem jakoś mu przeszło. Coś zatem musiało się stać, że doktor zmienił zdanie. Tylko co?, zachodził w głowę Jezierski.

Z takich rozważań wyrwało Jezierskiego jakieś rzucone przy stole zdanie, a w nim znajome nazwisko, a właściwie przydomek. Na wszelki wypadek baczniej nastawił ucha i tak, nie omylił się! Towarzystwo rozprawiało o Kubie Rozpruwaczu! A prym wiódł oczywiście ten antypatyczny Holender.

– Ile w takim razie osób zabił ten Rozpruwacz? – pisnęła właśnie panna Schmidt.

– Powszechnie za ofiary Rozpruwacza uznaje się Mary Ann Nichols, Annie Chapman, Elizabeth Stride, Catharine Eddowes i Mary Jane Kelly – stwierdził krótko doktor.

– Ostatnią osobą, która widziała Mary Ann Nichols żywą, była jej przyjaciółka Emily Holland – perorował w najlepsze van Dyke. – Spotkała ją w piątek, 31 sierpnia 1888, około wpół do trzeciej rano na skrzyżowaniu Osborn Street i Whitechapel Road. Według zeznań kobiety, Nichols odmówiła wspólnego powrotu do domu, twierdząc, że musi znaleźć klienta, wydała bowiem wszystkie zarobione tej nocy pieniądze. Była pijana. Jeszcze ciepłe zwłoki Nichols

odnalazł przechodzący około trzeciej czterdzieści nad ranem na ulicy Buck's Row woźnica Charles Cross. Mniej więcej pół godziny wcześniej tę okolicę patrolował policjant, niejaki John Thain, jednak nie zauważył niczego podejrzanego. Tymczasem ktoś dwukrotnie przeciął gardło Nichols, a na jej brzuchu znaleziono długą i głęboką ranę ciętą o nierównych krawędziach oraz kilka płytszych nacięć. Natomiast ciało Annie Chapman odnalazł około szóstej rano tragarz John Davis na podwórku domu przy ulicy Hanbury 29. Było to w sobotę 8 września 1888 roku.

Jezierski mimowolnie się wzdrygnął, bo rok ów przypominał mu to, co dwa lata temu działo się w Kaliszu.

– Morderca dwukrotnie przeciął kobiecie gardło, rozplątał brzuch, wyjął i ułożył obok ciała jelita, wyciął i zabrał ze sobą macicę, górną część pochwy oraz dwie trzecie przedniej ścianki pęcherza moczowego.

Rozległ się słaby okrzyk którejś z kobiet.

– Och, to jeszcze nic wielkiego – stwierdził flegmatycznie van Dyke. – To samo spotkało Catharine Eddowes. Jej zwłoki odnalazł na Mitre Square policjant Edward Watkins. Morderca przeciął gardło kobiety, pociął twarz, rozciął brzuch, wyjął jelita i usunął sporą część macicy oraz lewą nerkę. Gorzej było z Mary Jane Kelly. Jej mocno okaleczone zwłoki zauważył gospodarz domu, który przyszedł po zaległy czynsz. Ofierze przecięto gardło, usunięto skórę i mięśnie z przedniej części tułowia i ud, zaś wyjęte z ciała organy rozmieszczono wokół niego. Serca nie udało się odnaleźć, możliwe, że zabójca zabrał je ze sobą...

Holender nagle przerwał, bowiem panna Miller osunęła się nagle ze swego krzesła i upadła na dywan.

– Zemdlą! – wykrzyknęła panna Schmidt i zerwała się z miejsca.

W sali natychmiast zapanował rwetes. Zaif spojrzał na przyjaciela i wstał, by pomóc w cuceniu młodej kobiety. Jezierski natomiast uśmiechnął się pod wąsem i rozparł wygodnie na krześle. Z zainteresowaniem śledził panujące zamieszanie, gdy przysiadł się do niego van Dyke. Uśmiechał się z zadowoleniem.

– I po cóż było opowiadać takie makabryczne rzeczy? – spytał go z lekkim wyrzutem Jezierski. – Teraz damy będą niezadowolone.

– Niech pan w to nie wierzy, drogi panie – Holender uśmiechnął się jeszcze szerzej. – One uwielbiają takie historie, tylko muszą udawać, że jest inaczej. To znakomity sposób na podbój. Nie tak dawno temu opowiadałem tę historię mojej kuzynce i jej przyjaciółce. Nikogo innego nie było w pobliżu. I wie pan co? Żadna nie zemdlą, za to zasypywały mnie pytaniami o szczegóły. Potem przyjaciółka kuzynki... Hm, rozumie pan, została u mnie na noc.

Jakby na potwierdzenie jego słów tuż przy nich pojawiła się panna Schmidt. Osunęła się wdzięcznie na krzesło obok Holendra i zapytała konspiracyjnym szeptem:

– Było więcej takich zbrodni?

Holender natychmiast zwrócił się w jej stronę.

– Ależ oczywiście. Wie pani, co to jest „morderstwo z ulicy Pinchin”?

Panna Schmidt pokręciła głową. Z zapartym tchem i wypiekami na twarzy czekała na dalszy ciąg.

– Otóż 10 września zeszłego roku pod łukiem kolejowym na ulicy Pinchin znaleziono tułów niezidentyfikowanej kobiety. Był pozbawiony głowy i kończyn, będący już w stanie zaawansowanego rozkładu. Stwierdzono, że brzuch ofiary morderstwa został poważnie okaleczony w sposób niemal identyczny, jak u „kanonicznych” ofiar Rozpruwacza, ponadto morderca usunął jej macicę.

Panna Schmidt westchnęła, a na jej twarzy malowała się mieszanina wstrętu i niezdrowej

ciekawości. Przymknęła oczy z zachwytu, natomiast znudzony Jezierski odszedł od stołu, by poszukać przyjaciela. Po co miał słuchać o zbrodniach Kuby Rozpruwacza, gdy sam ma na karku nie mniej makabryczne zabójstwa w Kaliszu. Widok kobiety z poderżniętym gardłem także nie sprawiał miłego wrażenia, choć może nie był aż tak szokujący, jak zwłoki zmasakrowane przez Kubę Rozpruwacza. Ale już rzemieślnicy podziurawieni jak sito lub z odrąbanym karkiem? Do tego porwanie dziecka. Poza tym bardzo chciało mu się palić, a nigdzie nie widział nawet śladu popielniczki. Gdzie tu się, u licha, pali?

Nie znalazłszy żadnego miejsca, które mogłoby pełnić rolę palarni, Jezierski poszedł do alkowy przy salonie, dokąd przeniesiono zemdloną kobietę, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wydawało się, że tak. Leżała na kanapie i wachała sole trzeźwiące. Wokół stała gromadka gości, gotowa do niesienia pomocy i rozgadana jak sroki, ale Zaifa pomiędzy nimi nie było. Agent uznał, że nic tu po nim i wrócił do salonu. Sprawna służba już wносиła tam kawę, koniaki i wina. Na ten widok Jezierski poczuł jeszcze większą chęć na cygaro. Rozejrzał się wokół i dostrzegł, że trzech mężczyzn, którzy rozmawiali przedtem z Zaifem o jakichś politykach z Ameryki, znikają wraz z doktorem w gabinecie pana domu. Już ruszał za nimi w nadziei, że tam właśnie będzie mógł zapalić, gdy drogę zastąpiła mu nagle baronowa von Treskow.

– Nie widział pan mojego szala? – zapytała wyraźnie zmartwiona. – Gdzieś mi się zapodział i nie mogę go znaleźć.

– Ciekawe – stwierdził agent, nagle bardzo zainteresowany. Nie chciał jednak zdradzać baronowej, dlaczego. – Wszak trudno w tym domu spodziewać się kradzieży.

– Właśnie. Chyba nic takiego jeszcze tu się nie zdarzyło. Ale jeśli powiem to Wenancie, ona na pewno każe przeszukać pokoje służby. A ja nie wierzę, żeby to była sprawka służącej.

– Dlaczego?

– Na co komuś takiemu drogi szal? Od razu rzuca się w oczy. Służąca nie mogłaby go nosić bez zwrócenia uwagi.

– Ale mogłaby sprzedać. Ona lub on.

– Nikt w tym domu nigdy niczego nie ukradł – upierała się nieprzekonana baronowa.

– Dlaczego nagle miałyby się to zmienić?

– Może wśród służby jest ktoś nowy?

Baronowa potrząsnęła głową.

– Wątpię. Na pewno nie na pokojach. Znam ich od lat.

– Podejrzewa pani kogoś z gości?

– Wiem, że to też wydaje się nieprawdopodobne, ale tak. Bogatym ludziom łatwiej coś sobie przywłaszczyć. Często bez powodu, tylko dla dreszczyku emocji.

– To bardzo piękny szal – stwierdził agent.

– Tak, w dodatku rzadki. Nie można go kupić byle gdzie.

– A gdzie pani zdołała go nabyć?

– W małej, ale bardzo drogiej i ekskluzywnej firmie krawieckiej we Francji, gdzie się zazwyczaj ubieram.

– Czy chodzi może o „Blanche Toile”?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie. Ubieram się w „Beau Monde”<sup>72</sup>?

Agent potrafił ukryć rozczarowanie. No cóż, kolejna firma do sprawdzenia. Chyba jednak będzie musiał pojechać do Francji.

– Wkrótce wybieram się do Paryża, więc chętnie przywiozę pani drugi taki szal, jeśli ten się nie znajdzie – rzekł z galanterią. – Niemniej, jeśli pani sobie życzy, jego ekscelencja nakaże

przeszukanie wszystkich gości.

– Ach, nie! Cóż to byłby za skandal!

– Zaiste.

– Ten szal, choć rzadki i drogi, nie jest tego wart. Wolę go stracić, niż narazić przyjaciół na nieprzyjemności.

– Pozwolę sobie stwierdzić, że to bardzo mądre z pani strony. Moim zdaniem szal istotnie nie jest tego wart. Kto wie, może nawet dobrze się stało.

– Co pan ma na myśli? – zaciekawiała się natychmiast baronowa.

– Nic, zupełnie nic – powiedział wymijająco. – Przypomniałem sobie po prostu takie powiedzenie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, czy jakoś tak.

– Hm – pokręciła głową nie w pełni przekonana baronowa. – Wydaje mi się, że miał pan na myśli coś zupełnie innego.

– Ależ skąd! Czy nie wie pani, gdzie mógłbym zapalić cygaro?

– Zmienia pan temat!

– Skądże znowu. Wyznam pani, że gdy raczyła mnie pani zatrzymać, szedłem właśnie do gabinetu pana Repphana, mając nadzieję, że może tam zdołam zgrzeszyć tytoniowym dymkiem. Baronowa roześmiała się.

– Poddaję się. I nie musi mi pan przywozić drugiego szala. Sama to zrobię. Ale odprowadzę pana do gabinetu. Rzeczywiście można w nim zapalić, a w dodatku Emil trzyma tam cygara, i to wcale nie najgorsze.

– Czyżby pani próbowała?

Trzepnęła go lekko w ramię wachlarzem.

– Ależ drogi panie! Za kogo pan mnie bierze? Za George Sand?

Gdy weszli do gabinetu, znajdujący się tam mężczyźni natychmiast zaczęli mówić o jakimś McKinleyu. Jezierski był niemal pewny, że przedtem rozmawiali o czymś zupełnie innym, co nie było przeznaczone dla obcych uszu, dlatego specjalnie zmienili temat. Zaifa jednak dopuścili do tajemnicy. Ciekawe...

– Zobaczy pan – grzmiał z zapalem amerykański przemysłowiec, zwracając się głównie do doktora. – Za kilka lat William McKinley zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych!<sup>73</sup>

– Być może – odparł lakonicznie Zaif.

– Może pan być pewien, że zostanie prezydentem – upierał się Amerykanin.

– A wy w kółko o tych amerykańskich politykach – jęknęła baronowa. – To doprawdy robi się już nudne! Przyprowadziłam pana Jezierskiego, który marzy o cygarze. Zostało jeszcze jakieś? – spytała. – Bo sądząc po ilości dymu, jaka wypełnia to pomieszczenie, mam co do tego obawy.

– Droga baronowo – hrabia z galanterią ucałował jej dłoń. – Zostało całe mnóstwo. Wybacz pani, że mężczyźni raz na jakiś czas opuszczają szlachetne towarzystwo dam, ale my, niskie stworzenia, lubimy od czasu do czasu zamknąć się w jaskini, by móc oddać się swoim nałogom...

– A jak już zbierze się kilku samców, to o niczym innym nie potrafią rozprawiać, tylko o polityce, polowaniach i znów o polityce – zaśmiała się baronowa, marszcząc zabawnie zgrabny nosek. – Jak możecie wytrzymać w tym dymie? – spytała, uchylając okno.

– Wędzone dłużej się trzyma – stwierdził z powagą Holender. – My tylko dbamy o zakonserwowanie naszych... – przerwał na chwilę, szukając właściwego słowa.

– Cia! – podpowiedział Amerykanin.

– Ależ to brzmi okropnie! – wzdrygnęła się baronowa. – Jak żart rodem z domu

pogrzebowego. Opuszczam panów. Idę szukać mego szala. Zresztą – dodała z ręką na kłamec – zostali jeszcze inni mężczyźni. Oni nie muszą oddalać się, by folgować swym nałogom.

Pomachała im wdzięcznie na pożegnanie i wyszła.

– O czym to mówiliśmy? – zapytał retorycznie van Dyke, podsuwając Jezierskiemu ogień. – A tak, już wiem, o McKinleyu.

Wypuścił kilka kółek z dymu i zwrócił się bezpośrednio do Zaifa i agenta.

– Wiecie panowie, że gdy McKinley był jeszcze dzieckiem, jego rodzina przeniosła się do Poland niedaleko Youngstown w Ohio. Tam uczył się w Poland Academy. A Poland to przecież Polska, nieprawdaż?

– Tak – przyznał Zaif. Jako jedyny w tym towarzystwie nie palił. Zamiast tego trzymał kieliszek porto, z którego od czasu do czasu nieco upijał.

– Już w 1888 roku pojawiły się naciski, aby ubiegał się o nominację prezydencką z ramienia Partii Republikańskiej. Niestety, McKinley poparł wtedy Johna Shermana i nie zgodził się na wysunięcie swojej kandydatury – wtrącił Amerykanin.

– Powinien się wam podobać taki prezydent, który mieszkał w Poland – Holender z uporem wraca do swojego wątku.

– Drogi panie – odezwał się wreszcie setnie znudzony Jezierski. – Nam tutaj jest zupełnie obojętne, kto rządzi w Ameryce. To jest inny kontynent, w dodatku leży tak daleko, że nie mamy z nim żadnych wspólnych interesów.

– Ale przecież handel międzynarodowy... – zaczął van Dyke.

– W Europie jest dość krajów, z którymi można handlować – uciał Jezierski. – Nie trzeba wyprawiać się aż do Ameryki. Oni mają swoje sukcesy i kłopoty, my swoje.

Odłożył do kryształowej popielnicy prawie wypalone cygaro i spojrzał surowo na Holendra.

– Pozwolą panowie, że zabiorę przyjaciela do dam. Powinien rzucić okiem na pannę Miller. W końcu nieboga zemdlą po tych pańskich opowieściach.

– Och, na pewno chce pan pomóc baronowej w szukaniu szala – odciął się z ironią van Dyke. – Tylko nie chce się pan przyznać. Znamy to, znamy! Niejeden z nas próbował szukać z nią tego czy owego...

Mężczyźni zaśmiali się rubasznie.

– Myli się pan, drogi panie – odparł niezmiyszany agent. Przysunął się tak blisko Holendra, jakby go chciał staranować, co było całkiem prawdopodobne przy różnicy ich wzrostu i postury. Spojrzał na niego z góry. – Nie zwykłem zasłaniać się pretekstami, gdy chcę coś zrobić.

Holender stracił na chwilę rezon, reszta mężczyzn zamilkła. Zapanowała pełna niezręczności chwila. Przerwał ją Zaif, biorąc agenta pod ramię i kierując w stronę drzwi.

– Faktycznie powinienem sprawdzić, jak się panna Miller miewa – oznajmił. – Zresztą nie wypada zostawiać pań tak długo samych.

– No cóż, słyszał pan – rzekł hrabia, z flegmą wydmuchując kłęb dymu w sufit. – Są przecież jeszcze inni mężczyźni.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i atmosfera się rozluźniła. Jezierski machnął ręką na dziwnych obcokrajowców i pozwolił się wyprowadzić. Niedługo potem obaj opuścili przyjęcie, zostawiając resztę towarzystwa przy kawie, trunkach i z włączonym, mimo widocznego niezadowolenia pani domu, fonografem<sup>74</sup>. Pewnie gdyby ktoś inny zaproponował włączenie muzyki, Repphan by odmówił. Cóż, kiedy to akurat baronowa von Trescow chciała posłuchać muzyki, a gospodarz najwyraźniej nie potrafił jej odmówić. Oczywiście nie tańczono, choć



wymagało to wielkich wyrzeczeń ze strony niektórych gości. Nastrój był jednak znakomity, humory dopisywały, żarty sypały się obficie, a śmiech wciąż rozbrzmiewał salwami.

Szał baronowej się nie odnalazł. Ani tego wieczoru, ani później. Nikt nawet nie przypuszczał, że złodziej niedługo powróci do domu Repphanów, by ukraść jeszcze coś, co przypadkiem pomoże naprowadzić na trop zabójcy rzemieślników.

## Rozdział 7

Po przyjęciu u Repphanów obaj przyjaciele tylko raz zdołali spotkać się i porozmawiać. Zaif był zajęty w szpitalu, odwiedzał również rannego Francuza, by choć na chwilę zwolnić pannę Skotnicką, która z polecenia agenta dyżurowała całymi dniami przy chorym. Na ten czas oddelegowano ją z magistratu, w którym i tak nie było wiele pracy. Otrzymywała za to osobne, wcale niezłe wynagrodzenie i, prawdę mówiąc, była więcej niż zadowolona. Mimo to Zaif cieszył się, gdy mógł wysłać ją na godzinę do miasta na kawę czy śniadanie, wiedział bowiem, iż od doktora Wilczewskiego panna nie dostanie nawet szklanki wody. Chyba że zapłaci...

To samo dotyczyło Francuza, zatem Zaif, nie informując o tym nawet przyjaciela, potajemnie wziął na siebie ciężar utrzymywania biedaka. Nawet stary doktor nie wiedział, kto przysłał do jego domu kosze z żywnością dla Francuza. Zaif martwił się o rannego, któremu u skąpego Wilczewskiego groziła niemal śmierć z niedożywienia. Osłabiało ono organizm, nie pozwalając zwalczyć gorączki. Do znacznej utraty krwi po dziwnych ranach, jakich mężczyzna doznał, doszło zakażenie, więc Francuz cały czas był w malignie. Z rzadka tylko jego stan poprawiał się na tyle, że można go było określić jako na wpół przytomny. Na razie nie można było go więc przesłuchać, wciąż bowiem istniało ryzyko, że zemrze.

Dwa dni po imieninach przemysłowca Jezierski odwiedził doktora w jego mieszkaniu, chciał się bowiem dowiedzieć czegoś o trzech cudzoziemcach, którzy tak się Zaifem zainteresowali. Szczególnie intrygował go van Dyke, gdyż powziął względem niego uczucie żywiołowej, niczym konkretnym nieuzasadnionej antypatii i chętnie widziałby w nim jakiegoś przestępcę.

– Nie zmartwiłbym się, gdyby to on okazał się zabójcą rzemieślników albo kobiet – powiedział, wieszając kapelusz i letni płaszcz na wieszaku.

– Muszę cię w takim razie zmartwić, bo cała trójka przybyła do Kalisza bardzo niedawno, zaledwie dzień czy dwa przed przyjęciem u Repphana.

– Szkoda. Ale może kłamią i byli tu już wcześniej incognito?

– Będziesz rozczarowany, Walery, ale wiem, po co tu przybyli. Także szukają przestępcy, choć nie mordercy, a złodzieja.

– O? To ciekawe. Opowiedz.

– Tylko zaparzę herbatę.

– Zostaw ten samowar, zrobię to lepiej.

– To prawda – zgodził się potulnie Zaif. – Robiłem właśnie kanapki. Zaraz dokończę i coś zjemy.

– Z chęcią. Odkąd Debora wyjechała, umarłbym z głodu, gdyby nie Jacenty i kuchnia gubernatora. W domu nie mam już nic poza cygarami i herbatą.

– To mnie nie dziwi. Słuchasz?

– Cały czas słucham. Mam podzielną uwagę.

Zaif uśmiechnął się pod nosem. Jezierski, jakby to wyczuł, dodał:

– Przynajmniej podczas parzenia herbaty.

– Przecież nic nie mówiłem.

- Ale pewnie uśmiechałeś się złośliwie.
- Wcale nie złośliwie!
- Ha! Złapałem cię!
- Chcesz wiedzieć, po co tamci przyjechali, czy nie?
- Mów, mów.
- W takim razie słuchaj. Otóż wszyscy ci panowie to masoni...
- Wiedziałem!
- Przestań przerywać, bo nigdy nie skończę. Proszę, kanapki gotowe.

Jeziński wziął jedną i zaczął jeść, dając gestem do zrozumienia, żeby Zaif mówił dalej.

– Do jednego z braci wyższego rangą zgłosił się rok temu w Berlinie pewien mężczyzna. Nazywał się Schmitt. Poprosił o rekomendację do tamtejszej loży masońskiej i po okresie próbnym został przyjęty. Nie będę ci opowiadał, na czym to wszystko polega, bo i tak nie ma nic do rzeczy.

Jeziński nie protestował, bo zapchał się drugą kanapką.

– No i? – spytał tylko niewyraźnie.

– Ten Schmitt był przedsiębiorcą budowlanym specjalizującym się w remontach. Tak pięknie i tanio odnowił hrabiemu G. pałacyk, że ten z zapałem polecał go innym, nie tylko masonom. I tak dość szybko nieznanemu dotąd nikomu w wyższych sferach pan Schmitt stał się bywalcem salonów. Zapewne pomógł mu w tym także fakt, iż miał piękną, młodą żonę, ale był o nią niebywale zazdrosny, więc szybko przestał zabierać ją do domów nowych przyjaciół, ku wielkiemu ich rozczarowaniu zresztą. Ale mniejsza o to. W loży sprawował się bardzo dobrze, sumiennie wypełniał obowiązki, często wyręczał starszych wiekiem braci. Po pół roku został nieoficjalnie skarbnikiem, zbierał i księgował składki, wyręczając wiekowego już... No, mniejsza o nazwisko.

– A później zapewne ulotnił się z pieniędzmi?

– Nie do końca, ale faktycznie, ulotnił się. Razem z bardzo cennym skarbem. Wspaniałą czaszką wyrzeźbioną z ogromnego rubinu wielkości dziecięcej głowy...

– Dość makabryczny skarb – uznał zgryźliwie agent, manipulując ostrożnie przy gorącym samowarze.

– Czaszkę wykonali na zlecenie braci południowoamerykańscy Indianie. Jest po prostu bezcenna!

– Ale dlaczego czaszka? Nie mogli wyrzeźbić czegoś przyjemniejszego?

– No cóż, Majowie, Aztekowie i inne ludy Ameryki Południowej często posługiwali się motywem czaszki w sztuce. Było to związane z wierzeniami dotyczącymi śmierci i powtórnych narodzin. Na zamieszkałych przez nich terenach często znajdowano rysunki i rzeźby przedstawiające kościotrupy, a także same czaszki wykonane z kości, muszli, gliny, drewna czy kwarcu.

– Ohyda. Podaj jakieś naczynia, bo nie mam w co nalać herbaty.

Zaif posłusznie przyniósł filiżanki.

– Nie słyszałeś nigdy o kryształowych czaszkach Azteków? – zapytał.

– Nigdy – odparł zgodnie z prawdą Jeziński.

– Tamte były stare, powstały nie wiadomo kiedy. Podobno jedną znaleziono w świątyni.

Istnieją różne teorie: że miały jakieś zastosowanie religijne albo że służyły do przekazywania wiedzy.

– Niby jak?

– Stary, a więc mądry Indianin kładł się w piramidzie obok młodego. Między sobą na

wysokości głów kładli taką czaszkę, przez którą dokonywała się transmisja wiedzy między nimi. Tak przynajmniej sądzi pewien badacz i podróżnik. Ponadto czaszki takie mogły spowodować śmierć lub wyleczyć z choroby. Indianie mówili także o przepowiadaniu za ich pomocą przyszłości.

– I co, ta wasza rubinowa czaszka też była taka nadzwyczajna?

– Skądże znowu! To był zwykły rubin, o ile rubin może być zwykły, pięknie wyrzeźbiony, ale...

– No, wykrztuś wreszcie.

– Wewnątrz czaszki, po zdjęciu zuchwy i właściwym podświetleniu... Nieważne.

Mówiąc ogólnie, w środku wyryto wskazówki dotyczące lokalizacji jednego z tajnych skarbców masonów. Nie korzysta się z niego, tylko gromadzi kolejne... okazy. Niektóre pochodzą sprzed kilku wieków i są dziedzictwem po templariuszach. Głównie klejnoty należące do koronowanych głów, ale też pomniejsze dzieła użytkowej sztuki jubilerskiej – różne naczynia, kielichy, talerze, kandelabry i inne.

– Takie buty! Całkiem pomysłowo. I ten wspaniały Schmitt ukradł czaszkę ze wskazówkami, gdzie to wszystko ukryto?

– Otóż to.

– Zdążył już ogołocić skarbiec?

– Z tego, co wiem, jeszcze nie. Zresztą miejsce jest pilnie strzeżone, jak się domyślasz.

Ale sprytny człowiek zawsze sobie jakoś poradzi. A Schmittowi sprytu nie brakuje.

– No to w czym problem? Przenieście skarb gdzieś indziej.

– To nie takie proste, gdyż miejsce jest znakomite, trudno o lepsze. Szkoda rezygnować z tak dobrej kryjówki. Lepiej odzyskać czaszkę.

– Skoro on ma czaszkę, to zapewne zna już tę kryjówkę.

– Otóż niekoniecznie. Wiele wskazuje na to, że z jakichś przyczyn jeszcze nie zdołał dobrać się do wskazówek co do miejsca ukrycia skarbu.

– Jak to możliwe?

– Czaszkę trzeba rozłożyć w bardzo umiejętny i precyzyjny sposób. Inaczej rozsypie się na kawałki, a wyryte w niej informacje ulegną zniszczeniu. Bracia specjalnie zamówili wykonanie czaszki u Azteków, gdyż tylko oni władają tą sztuką, lecz oczywiście nie zdradzają swych tajników.

– To zbyt skomplikowane jak na mój prosty rozum – zniecierpliwił się agent. – Przejdź łaskawie dalej. Na razie stanęliśmy na tym, że gagatek ma czaszkę, ale jeszcze nie poznał jej tajemnicy.

– Bardzo dobrze to ująłeś. Niestety, Schmitt zrobił też coś więcej. Po jakimś czasie okazało się, iż w odnawianych apartamentach, pałacykach i domach ktoś podmienił szlachetne kamienie z cennej, rodowej często biżuterii na zwykłe szkiełka. Zniknęło też sporo obrazów zastąpionych kiepskimi kopiami...

– Wolne żarty? – Jeziński nie krył sceptycyzmu. – Właściciel nie zauważył, że zamiast dzieła sztuki ma jakiś bohomasz?

– Ile razy dziennie przyglądasz się obrazowi, który wisi na twojej ścianie od zawsze albo choćby od wielu lat?

– No tak, tu muszę się z tobą zgodzić.

– Gdy zaczęły wychodzić na jaw te wszystkie ciemne sprawy, Schmitt któregoś dnia przepadł jak kamień w wodę. A wraz z nim rubinowa czaszka i kosztowności wielu osób. Co do czaszki łoża ma pewność, ale jeśli chodzi o kradzieże i podmiany w odnawianych domach, nie

ma jednoznacznych dowodów, że zrobił to Schmitt.

– Dlatego, że właściciele za późno się zorientowali?

– Otóż to.

– To dlatego szukają go sami, nie zawiadamiając policji? Bo chyba tego nie zrobili, jak mniemam?

– Słusznie rozumujesz.

– I właśnie ten problem przywiódł tych trzech fircyków do Kalisza?

– Schmitta szuka wielu ludzi po całej Europie. Akurat tych trzech pewien trop doprowadził tutaj, ale nie wiem dokładnie, jaki. Na przyjęciu nie było okazji zbyt długo rozmawiać, co chwilę ktoś się kręcił w pobliżu.

– Rozumiem. Znaleźli gagatka?

– Nie, inaczej by mnie zawiadomili. A wiem, że wkrótce wyjeżdżają i na pewno będą szukać go dalej.

– Powiedz mi jeszcze, dlaczego u Repphana tak cię maglowali ze znajomości amerykańskich polityków? A to, czy znasz prezydenta, a to kogoś innego, który dopiero ma zostać prezydentem. Nijak nie mogłem zrozumieć, w czym rzecz. O co im chodziło?

– Ech, to tylko polityka. Wolnomularze, nie tylko amerykańscy, ale oni przede wszystkim chcą, żeby prezydentem został mason. Dowiedzieli się, że mam sporo przydatnych znajomości w kręgach wpływowych osób, gdyż wielu z nich jest żydowskiego pochodzenia...

– Ach, i chcieli cię namówić, żebyś im pomógł! Pogadał, z kim trzeba, tak?

– Mniej więcej. Ich kandydatem jest McKinley i chociaż następne wybory będą za kilka lat, już teraz organizują poparcie dla niego.

– Teraz wszystko jasne. Chodź, herbata gotowa. O, nie ma już kanapek?

– Zaraz zrobię następne.

– Słusznie, skoro zjadłeś, to rób.

– Walery!

– Insynuujesz, że niby to ja wszystko spałaszowałem? Niemożliwe!

– Hm...

Po tej rozmowie dla przyjaciół znów nastał czas wytężonej pracy. Doktora pochłonęły zajęcia w szpitalu i na prywatnej praktyce. W przeważającej części były to wizyty niepłatne, bo u biedoty, od której Zaif nigdy grosza nie brał. Wielu chorych w tych dniach błogosławiło powrót tego małomównego, skromnego człowieka.

Jezierski natomiast po raz kolejny wpadł w wir przesłuchań oraz przygotowań do podróży. Przed wyjazdem chciał mieć jednak jasny obraz sytuacji, jeśli chodzi o trzy równoległe sprawy, które zajmowały go teraz najbardziej, czyli zabójstwa rzemieślników, kobiet i porwanie córki Bukowskich.

Poganiał swoich ludzi bez litości, tak jak i tych z ochrony oraz niezależnych informatorów, którzy rozbiegli się po mieście i bliskich jego okolicach, wypyując rodziny, przyjaciół i znajomych ofiar oraz każdego, kto tylko przejawiał chęć zamienienia kilku słów na ten temat. Mimo tego rozmachu wyniki rozczarowały Jezierskiego, gdyż z tego potopu zeznań niewiele można było wyłowić informacji wnoszących coś do śledztwa. Niemniej pojawił się pewien schemat. W niemal wszystkich rozmowach o niezujących rzemieślnikach wpływały informacje, że zaproponowano im jakąś niebywałą fuchę. Szybkie i w miarę łatwe pieniądze za jakies prace. Niektórzy nawet, ci bardziej przedsiębiorczy, otrzymali pokaźne zaliczki. Niestety, nikt nie był w stanie powiedzieć, kto proponował im pracę ani gdzie. Żaden z nieboszczyków nie wygadał się za życia. Ani żonie, ani kochance, ani kompanowi od kielicha. Napomykali

oczywiście, że wkrótce zgarną niezłą sumkę, że nawet im pomocników nie potrzeba, zadanie niezbyt trudne, no i ktoś się spieszy z wykończeniem... I tu pojawiał się kolejny problem, bo nawet jeśli który zapędził się w zwierzeniach tak daleko, zwykle w tym miejscu przerywał, potrząsał głową i kończył ogólnikowym słowem „roboty”.

Chodziło zatem o wykończenie jakiejś pracy. Tyle to nawet najgłupszy stójkowy potrafił wywnioskować. Jezierski bez trudu to zauważył, ale poza tym nie było żadnych konkretów. Pytani o domysły co do rodzaju roboty, rozmówcy snuli najdziwniejsze i przy tym skrajnie różne domysły. Jeden gadał, że chyba trzeba było zrobić schody, ale nie miał pojęcia, gdzie – w domu czy sklepie. Inny prawił, że chodziło pewnie o rozprucie jakiejś kasy pancernej, jeszcze inny mówił o postawieniu muru albo ogrodzenia z żelaznych prętów. Kolejny domyślał się, że mogło chodzić o wykonanie drzwi albo jakiegoś skomplikowanego mebla, na przykład rzeźbionego kredensu lub szafy w gdańskim stylu. Wszystko w zależności od fachu nieboszczyka. Na nic się zdały prośby i groźby. Ludzie wprawdzie chętnie gadali, ale cóż, skoro nikt nie miał niczego konkretnego do powiedzenia. Same domysły.

W sprawie kobiet informacji było jeszcze mniej. Mieli co prawda dokładne życiorysy ofiar, tak jak w przypadku rzemieślników, ale nic nie wskazywało na przyczynę, dla której ktoś chciał wyprawić niewiasty na tamten świat, a tym bardziej na sprawcę. Jedynym tropem był szal z kaszmiru i fakt, że obie ofiary były w podobnym wieku i podobnego typu urody. Nikt jednak z ich bliskich nie potrafił wyjaśnić, skąd kobiety takie szale wzięły. Czy kupiły gdzieś, czy może dostały?

Także w sprawie porwania córeczki Bukowskich nie pojawiło się nic nowego. Jakby martwa cisza zapadła. Porywacz nie odzywał się, dziecka nie odnaleziono, zupełnie jakby wyparowało. Najgorsza była niepewność, czy dziewczynka jeszcze żyje. Porywacz nie dawał znaku życia, mógł już dawno zniknąć w sieni dali z zainkasowanymi pieniędzmi, pochowawszy uprzednio małe ciało w jakiejś piwnicy lub zapuszczonym ogrodzie. Albo utopił jak kocię, obciążył kamieniami i zanurzył na wieki w rwącej Prośnie. Miejsc nie brakowało, możliwości mnożyły się tak, iż nie sposób było je sprawdzić.

Przygnębiony Jezierski gryzł wąsy z bezsilności, burczał na swoich ludzi i chodził z kąta w kąt, nie mogąc sobie znaleźć miejsca ani usiedzieć w spokoju. Chodził i rozmyślał, analizował wszystkie informacje, jakie posiadał, nie czuł się jednak bliżej rozwiązania ani o krok. Ba, nawet o centymetr!

W końcu z początkiem lipca wybrał się do Francji, mając nadzieję, że osobista wizyta skłoni kogoś w firmach, których nazwy uzyskał, do udostępnienia wglądu w nazwiska kupców. A nuż był tam ktoś jakoś łączący się z Kaliszem albo z Polską chociaż? Jakieś znajome nazwisko, cokolwiek, co pozwoliłoby mu ruszyć z miejsca. Czas bowiem płynął, a nie wiadomo było nic. Może chociaż wyjazd do Francji coś przyniesie.

Samą podróż Jezierski wspominał z niechęcią. Nie mógł później pojąć, dlaczego nie wybrał się pociągiem z Ostrowa, który miał dobre połączenie z Poznaniem, ten z resztą Prus, a te z kolei z Francją. Sam to przecież niedawno oglądał na własne oczy, gdy towarzyszył gubernatorowi do Ostrowa. Pewnie dlatego, że nie miał wówczas ochoty na tę wyprawę i nieświadomie odczuwał niechęć do całej kolei w ogóle. To był konik Daragana, nie jego.

Przez to teraz wytrząsał się niemożliwie w dyliżansach i karetkach pocztowych. Jadał byle co w przydrożnych zajazdach i niezbyt wytwornych hotelikach, gdzie rzadko miał do dyspozycji osobny pokój. A jak już trafiła mu się taka gratka, to zwykle okazywało się, że noc spędzał w towarzystwie skrobiących pod łóżkiem myszy, szczurów, pcheł i Bóg wie czego jeszcze. Podłe jadlo, zatęchłe i zapadłe materace, wypchane dawno niezmienną słomą,

męczący upał oraz nuda i samotność – nie było nic przyjemnego w tej podróży, nic, co by mu przypadło do gustu.

Lecz gdy już jednak dotarł do celu, Paryż zachwyił go tak, że zapomniał o trudach wojażu. Przede wszystkim wspaniałe jedzenie! Te croissants z wyborną kawą, *baba au rhum*, *crème brûlée*, cieniutkie naleśniki z owocami albo ze szpinakiem, owe muślinowe *crêpes*, poemat rozplywający się w ustach! A te bagietki z masłem czosnkowym! Tosty! Omlety! Suflety! No i oczywiście sery, owoce oraz wina, wina i jeszcze raz wina! A kobiety? Jakież eleganckie, zadbane, ubrane! Uczta dla oczu! Wreszcie sklepy, budynki, ulice, parki, galerie, wieża Eiffla! Mój Boże, cóż to za widok na tego żelaznego kolosa...

Po niewygodach i trudach podróży olśniony tym wszystkim Jezierski omal nie zapomniał o właściwym celu eskapady. Dopiero na drugi dzień, wypoczęty i odświeżony, a przede wszystkim najedzony, oprzytomniał na tyle, żeby wypytać recepcjonistę w hotelu, jak trafić do firmy, której szukał. Zamierzał też oczywiście sprawdzić „Beau Monde”. Najpierw jednak kazał się fiakrowi wieźć do owej wielce znaczącej na rynku mody firmy „Blanche Toile”, która sprowadzała kaszmir z Indii i być może szła z niego między innymi owe piękne szale.

W firmie spędził kilka godzin. Rozmawiał z wieloma osobami, dość kulawo ze względu na jego niezbyt płynną francuszczyznę. Z początku nijak nie mógł zrozumieć trajkoczących jak katarynki pracowników. Mówili za szybko i przemieszczali się za szybko. Jakby żyli w wiecznym pośpiechu. Żadnej godności i namaszczenia, tak typowych dla niemal każdego rosyjskiego urzędnika. Gdy już się z tym nieco oswoił, okazało się, że chętni skądinąd do współpracy Francuzi mają jakieś dziwne opory w udostępnieniu mu listy klientów. Nie mogli chyba wyzbyc się podejrzeń, że jest podstawionym i nieudolnie przebranym za Rosjanina pracownikiem konkurencji.

Kiedy zniechęcony Jezierski już wychodził, zaczepił go portier, człek starszy już, z sumiastym wąsem i siwymi, starannie przystrzyżonymi włosami. Trzymał się jednak prosto, jakby kij połknął, pewnie były wojak. Zagadał o pogodzie, zapytał o wrażenia z Paryża, doradził, gdzie warto iść zobaczyć kankana i zjeść coś niedrogo a smacznie. Na koniec, przechodząc do sedna, wskazał obszerną kieszeń swego nieco za luźnego surduta i bąknął, że jakby mu tam coś niecoś wpadło, to może następnego dnia byłby w stanie przekazać szanownemu gościowi listę klientów firmy.

– Może pan to zrobić? – zapytał zdumiony agent, nie kryjąc powątpiewania.

– Syn mojego szwagra, *monsieur*, pracuje jako pomocnik głównego kancelisty i do jego obowiązków należy kopiowanie różnych dokumentów – wyjaśnił niezrażony starszy pan.  
– Przepisuje bez końca różne papiery. Teraz to już mu się nawet ich czytać nie chce, ale czasem wpadnie mu coś w oko. Pamięta więc, że niedawno sporządzał taką listę na spotkanie wspólników firmy z jakimś ważnym kontrahentem. Ma jeszcze brudnopis. Jeśli więc *monsieur* sobie życzy...

*Monsieur* życzył sobie, i to bardzo. Rozejrzał się, czy nikt ich nie obserwuje, i ulokował we wskazanej kieszeni sporą garść franków. Staruszek poklepał się po niej z zadowoleniem i kazał mu się stawić jutro przed egipskim obeliskiem na Place de la Concorde, czyli na placu Zgody.

Pełen nadziei Jezierski stawił się sporo przed czasem. Rozejrzał się po placu w poszukiwaniu jakiejś ławki, na której mógłby usiąść i zapalić cygaro. W tej chwili dostrzegł jednak wyprostowaną sylwetkę nadchodzącego dozorca. Wyszedł mu więc naprzeciw, mając cichą nadzieję, że staruszek sam zechce gdzieś przysiąść. Tu jednak zawiódł się srodze. Starszy pan, zapytawszy pro forma, czy jego rozmówca obejrzał już plac, oznajmił, że zabiera go do

przemilej kawiarenki, gdzie w cieniu parasola będą mogli wysączyć szklaneczkę wina i zjeść po croissancie maczanym w wybornej kawie lub czekoladzie, wedle uznania. Kawiarenka miała być tuż-tuż, niemal za rogiem. Okazało się jednak, że upiornie żwawy staruszek przegnał go przez pół miasta, zanim dotarł w swoje ulubione miejsce. Było tam rzeczywiście przytulnie, bez tłoku i hord krzykliwych turystów, a i staruszka znano tu dobrze.

Jeziński padł na poduszkę wiklinowego, obszernego fotela, niezwykle wygodnego, i z westchnieniem ulgi pozwolił swemu przewodnikowi zamówić dla nich obu, co sobie życzy. Trochę bolały go nogi, więc dopiero po chwili przypomniał sobie o liście, a wszak tylko po to przyszedł. Jednak chytry staruszek obawiał się chyba, że dostawszy, co chce, Jeziński od razu odejdzie i może nawet zapomni zapłacić za nich obu. Pokręcił więc odmownie głową i rzekł:

– Najpierw coś zjedzmy, wypijmy, odpocznie *monsieur* chwilkę, a potem przejdziemy do interesów.

Nieco zmęczony agent zgodził się na wszystko, podejrzewając przy tym słusznie, że stary zechce go naciągnąć nie tylko na późne śniadanie, ale i na parę dodatkowych sou<sup>75</sup>. Był jednak spragniony i bardzo głodny, mimo posiłku, który zjadł w hotelu. Było to jednak dobre trzy godziny wcześniej, a szybki marsz, do jakiego zmusił go krzepki portier, ożywił apetyt agenta. Wreszcie, po obfitym posiłku i pożegnaniu ze swym informatorem, zdołał pozostać sam na sam z listą, którą natychmiast zaczął studiować, zamówiwszy sobie uprzednio jeszcze jedną wyborną kawę i szklaneczkę wina. Pykając niespiesznie cygareto, z uwagą czytał nazwisko po nazwisku, mając przy tym nadzieję, że coś mu wreszcie zaświta. Niestety, mimo że lista była długa, nie znalazł nikogo znajomego. Nie tracił jednak nadziei, bo może ktoś w Kaliszu znajdzie jakieś powiązanie. Resztę dnia spędził na zwiedzaniu Luwru i innych atrakcji. Kupił też trochę pamiętek i kart pocztowych. Udało mu się nawet kupić kilka fotografii stereoskopowych, których wielbicielem był nie tylko Staś Małyszko, ale i jego wierny Jasiek Poraj. On sam zresztą też chętnie je oglądał.

Nazajutrz udał się do firmy krawieckiej i sklepu „Beau Monde”, bardziej z poczucia obowiązku niż w nadziei, że coś znajdzie. Ekspedientka, zdziwiona widokiem samotnego mężczyzny, który nie przyszedł po odbiór „obstalunku” dla swej *madame*, szybko się opanowała. Dalsza rozmowa z tym mężczyzną przebiegała bowiem w sposób bardziej dla niej zrozumiały. Ten *monsieur* po prostu przyszedł szukać nazwisk osób, które kupiły rzadki rodzaj szala. Bardzo drogiego i ekskluzywnego. Może ktoś kupił taki prezent jego ukochanej czy też żonie, a ona nie chciała zdradzić, kto to... Ekspedientka na chwilę rozmarzyła się w obliczu takiej namiętności, która kazała temu mężczyźnie przemierzyć pół Europy, by dowiedzieć się, kto emabluje jego ukochaną. Na pewno kogoś podejrzewał, może nawet dojdzie do pojedynku...

Jeziński, rzecz jasna, nie przyznał się, że jest z carskiej policji i nie zamierzał tego robić, chyba że w ostateczności. W skłonnej do romantyzmu młodziutkiej ekspedientce o imieniu Giselle czytał jak w otwartej księdze, uznał więc, że udając zakochanego na zabój zazdrosnego amanta więcej tu zyska. I nie przeliczył się. W sklepie nie było jeszcze *madame Christelle*, właścicielki, zatem ekspedientka z własnej woli przyniosła mu listy odbiorców z ostatnich dziesięciu miesięcy, bo tylko takie znalazła. Wdzięczny agent wziął się za przepisywanie, w czym usłużna panna także mu pomagała, co w praktyce oznaczało, że sama przepisała większą część nazwisk. W sklepie na szczęście nie było jeszcze ruchu, bo przewidujący Jeziński przyszedł tuż po jego otwarciu.

Gdy została do przepisania tylko jedna lista, którą ofiarnie zajęła się Giselle, przypomniał sobie o żonie i poczuł wyrzuty sumienia. Od kilku miesięcy, pochłonięty pracą, zaniedbywał ją w sposób absolutnie niedopuszczalny, bo przecież kochał ją ogromnie. A ona nawet słowem się

nie poskarżyła. Cóż za cudowna kobieta! Poprosił więc o najmodniejszy model kapelusza, kazał dobrać do tego szal i rękawiczki. Zapłacił, nie mrugnawszy nawet okiem, choć cena była słona. Przy okazji przysłużył się ekspedientce, bo w drzwiach stanęła właśnie właścicielka. Od razu to pojął, widząc spłoszony wzrok Giselle. Podziękował więc grzecznie za pomoc w zakupach, zapłacił, dorzucając hojny napiwek, mrugnął porozumiewawczo okiem i nie wspominając ani słowem o listach klientów, wyszedł z „Beau Monde” obładowany pakunkami.

Na ulicy wziął fiakra i kazał się wieźć do hotelu, bo nieporęczne paczki bardzo mu przeszkadzały. Zamówił kawę do pokoju i zajął się studiowaniem nazwisk klientów, ponieważ dotąd widział tylko te, które sam przepisywał, czyli mniej niż połowę. Gdy została mu ostatnia kartka, zniechęcony odłożył ją na chwilę i zapalił cygaro. Dopił przestygłą, ale wciąż smaczną kawę i przysunął sobie popielniczkę. Czuł się zmęczony. Zaciągnawszy się kilkakrotnie, postanowił dokończyć lekturę. Sięgnął po kartkę i mniej więcej w połowie listy coś go tknęło. Wrócił do przeczytanych już nazwisk i... nic. Znajome nazwisko nie pojawiło się, jakby znikło. Zmęczone oczy najwyraźniej płatały mu figla. Zaczął jeszcze raz i raptem znalazł! Teraz trzeba to sprawdzić. Wystarczy jeden telegram do Poraja lub Sokołowa i będzie miał potwierdzenie. Ale... No właśnie. Cóż, prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie podejrzewałby tej osoby.

Nagle wrzasnął i wypuścił kartkę z ręki. Zamyślony, nie zwracał uwagi na cygaro, więc tymczasem żar dotarł do jego palców. Podskoczył – dosłownie – jak oparzony, cisnął niedopałek do popielniczki i pobiegł do stojącej w rogu umywalni z pięknie malowaną misą i dzbankiem. Woda w nim już dawno ostygła, zatem z ulgą polał nią oparzoną dłoń. Potem pospieszył do recepcji, gdzie kazał nadać wiadomość telegraficzną. A tak był pewien wyniku, że powróciwszy do pokoju zaczął się pakować.

Gdy wreszcie do drzwi zapukał przysłany przez recepcjonistę pikolak z odpowiedzią na wysłaną przez agenta wiadomość, Jezierski był już gotów do drogi. Rzucił okiem na blankiet i kazał wezwać fiakra, by go zawiózł na dworzec kolejowy. Tym razem zamierzał chociaż część drogi przebyć w nieco wygodniejszych warunkach. Uregulował należność za hotel, porozdawał napiwki i żegnany niskimi ukłonami zadowolonej służby niosącej mu bagaże, wyszedł na zewnątrz. Dorożka właśnie zajeżdżała. Jak na skrzydłach zbiegł po kilku schodkach do powozu i po chwili już zmierzał w stronę dworca.

– Jakubie, wracam z tarczą – szepnął do siebie z dumą.

Tym razem podróż minęła mu szybko, co jest częstym zjawiskiem obserwowanym od wieków przez podróżujących: podróż do celu bywa zazwyczaj długa i męcząca, natomiast droga powrotna mija jak z bicia trzasł. W Kaliszu Jezierski odświeżył się, przebrał i z przyjemnością poszedł do pracy, dopingowany zdobytym za granicą tropem. Pomyślał, że warto byłoby spotkać się choć na chwilę z Jakubem i omówić zarówno stare, jak i nowe wieści, gdy rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi, nieledwie łomot, i do gabinetu wpadł zdyszany Jasioł Poraj.

Jezierski stłumił uśmiech, który mimo woli wypłynął mu na usta, i spojrzał surowo.

– Wasza wielmożność wybaczy! – wydyszał Jasioł, wyprężając się służbiście. – Ale właśnie przed chwilą przybiegł służący od pana Repphana z wiadomością, że ktoś się do nich włamał! I prosi waszą wielmożność o jak najszybsze przybycie.

– Gdzie się włamało? Do domu czy do fabryki?

Jasioł niepewnie podrapał się w tył głowy, zsuwając przy tym czapkę na czoło. Młodość i zdrowie aż tryskały z jego zaczerwienionych wysiłkiem policzków, bo z pewnością do gabinetu szefa biegł jak wariat. Wyglądał teraz jak urwis usiłujący ukryć jakąś psotę.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, szefie – wyznał ze skruchą. – Ale on tu jeszcze czeka przy bramie, bo mu kazałem.



– No dobrze, chodźmy więc. Chociaż wolałbym, żeby doktor był z nami...  
– Mogę posłać jakiego dorożkarza, jeżeli szef wyłoży rubelka! Jeśli będzie w swoim mieszkaniu lub szpitalu, migiem go przywiezie.  
– A jeśli go tam nie ma?  
– No to go nie przywiezie, rzecz jasna!  
– Wzrusza mnie twoja niezachwiana logika – mruknął Jezierski, ale wyjął z pugilaresu rubla. – Przy okazji każ Pietii zaprzęgać...  
– Już kazałem, pewno czeka przed bramą.  
– Skąd wiedziałeś, obwiesiu, że pojedą? – zdumiał się agent.  
– No jakże? – teraz zdumiał się Jasiak. – Do pana Repphana by szef nie pojechał?

Przecież to taka ważna figura!

– No to co? Może miałbym inne, pilniejsze zajęcia?

– E tam, wasza wielmożność raczej żartować. Przecież chwilowo nic się nie dzieje.

To znaczy dzisiaj.

– Skąd ty, trutniu jeden, możesz wiedzieć, jakie ja mam sprawy na głowie, hę? – rozeźlił się agent. – W ucho chcesz oberwać za niesubordynację?

– Gdzieżbym śmiał, wasza wielmożność! Mówię ino, że policmajster musi wiedzieć, co się dzieje na mieście, a w tej chwili nie dzieje się nic...

– Jak taki mądry jesteś i wiesz o wszystkim, co się tu dzieje, to czemu jeszcze nie mam nazwiska zabójcy i porywacza? I co ty na to?

– Wasza miłość to od razu z grubej rury – Jasiak nie dawał się łatwo zbić z tropu. – To są rzeczy, które już się działy, czyli były wcześniej, nie teraz. A ja duchem świętym nie jestem i wiem tylko...

– Dobrze już, dobrze, nie mędrkuj tyle, tylko bierz się do pracy! – uciął Jezierski.

– Tak jest! – zawołał Jasiak i już go nie było.

W domu Repphanów czekano na niego z niecierpliwością. Emil Repphan przechadzał się nerwowo po salonie, a jego żona siedziała na kanapie, mnąc nerwowo chusteczkę. Na widok wchodzącego agenta gospodarz żywo do niego przyskoczył.

– Nareszcie! – wykrzyknął z ulgą. – Jak to dobrze, że zdążył pan radca akurat wrócić!

– Zapewniam pana, że nawet podczas mojej nieobecności policja sprawiłaby się tak samo dobrze – odparł sucho agent.

– Zapewne, zapewne, jednak rozumie pan...

– Właśnie nie bardzo. Będę wdzięczny, jeśli mi pan powie, co się właściwie zdarzyło.

– Otóż rzecz w tym, że nie wiem, co się zdarzyło! W nocy ktoś wyłamał zamki w drzwiach do mieszkania i splądrował gabinet oraz buduar. Wszystko przewrócone do góry nogami, bałagan wielki! Ale niczego nie słyszałem ani ja, ani żona. Z tym że nasza sypialnia leży dość daleko, więc...

– A służba nic nie słyszała?

– Na tym piętrze jest tylko nasze mieszkanie, nikt inny tu nie nocuje. Pokoje służby są na samej górze, na dole zaś kuchnia, pralnia, spiżarnia i inne pomieszczenia gospodarcze.

– Czy coś zginęło?

– Nie jestem do końca pewien, ale na pewno zginęły klucze do fabryki i do piwnicy.

– Klejnoty jakieś państwo macie w mieszkaniu? Pieniądze? – indagował agent.

– Pieniądzy nie ruszył, bo były w sejfie, a sejf nietknięty.

– Ciekawe. A co z klejnotami?

– Także w sejfie!

– Nie wszystkie – szepnęła cichutko pani Repphan.  
– Jak to nie wszystkie? – zdziwił się jej mąż.  
– Nie ma wisiorka ze szmaragdem na złotym łańcuszku, pierścionka i broszki, także ze szmaragdami...  
– A gdzie są?  
– Były w szufladzie mojego nocnego stolika przy łóżku...  
Emil Repphan osłupiał i na moment stracił mowę. Spojrzał bezradnie na agenta, który natychmiast przejął inicjatywę.  
– Czy zawsze trzyma tam pani klejnoty? – spytał łagodniej, bo kobieta wyglądała na mocno przestraszona. Pewnie boi się gniewu męża, uznał agent.  
– Nie, skądże... Tylko... – wyszeptala i nagle rzewnie się rozplakała.  
– Nie rozumiem, co ci przyszło do głowy... – zaczął jej mąż, ale Jezierski go powstrzymał.  
– Pozwoli pan, że sam rozmówię się z szanowną małżonką. Jest zdenerwowana i pańskie wyrzuty w niczym tu nie pomogą. Proszę zatem iść do gabinetu i tam na mnie poczekać. Zaraz będę mógł panu służyć.  
Repphan wyszedł niechętnie, ale już bez protestów.  
– Przygotuję panu wykaz kluczy, które ukradziono – rzekł na odchodnym.  
Jezierski zadzwonił na służbę i kazał przynieść dla pani domu jakiś gorący napój i kieliszek koniaku.  
– A teraz proszę mi powiedzieć wszystko – znów zwrócił się do niej łagodnie.  
– Zapewniam panią, że nic, co pani powie, nie wyjdzie dalej, chyba że będzie to istotne dla śledztwa.  
Wenanta Repphan mocno splotła dłonie i przez dłuższą chwilę milczała. Agent widział, że zbiera się w sobie, zatem jej nie poganiał. Po dłuższej chwili zaczęła mówić.  
– To są moje klejnoty – szepnęła, z trudem dobierając słowa i robiąc częste przerwy, jakby chciała złapać oddech. – Dostałam je od matki... Nie od męża... I kiedyś trzymałam je w sejfie z innymi klejnotami... ale...  
Zamilkła na tak długą chwilę, że agent uznał za stosowne nieco ją ponaglić.  
– Tak? – spytał zachęcająco.  
– Ja nie wiem, jak mam to powiedzieć! – wybuchnęła niespodziewanie kobieta i niemal od razu wpadła w histerię. – Nie wiem, słyszy pan?! – krzyknęła.  
Nieco przestraszony agent zerwał się z miejsca, ale akurat weszła służąca z tacą.  
– Proszę natychmiast podać pani koniak! – nakazał. – I nalać herbaty, czy co też tam zaparzyliście.  
– Kucharka zaparzyła – burknęła niezbyt grzecznie pokojówka, stawiając tacę na stoliku obok, ale agent spojrzawszy na nią tak, że natychmiast dygnęła i wybiegła.  
– Proszę to wypić – agent przystawił kobiecie kieliszek do ust. – A teraz spokojnie i powoli. Nie ma się czego bać ani wstydzić. W małżeństwie różnie bywa. Raz gorzej, raz lepiej. Czasem całkiem się nie udaje i nie zawsze ktoś jest temu winien. Czasem tak się po prostu zdarza...  
– Tak – szepnęła znów Wenanta, na nowo mnąc chusteczkę.  
– Dlaczego zatem trzymała pani biżuterię przy łóżku?  
– Między nami ostatnio się nie układa... ja... Myślałam o odejściu! – wyrzuciła z siebie.  
– Nic w tym niezwykłego, tak się czasem zdarza, jak mówiłem – uspokoił ją agent.  
– Nie mam własnych pieniędzy... To znaczy mąż mi zawsze daje, gdy go poproszę,

ale...

– Pyta na co, tak? Albo każe się szczegółowo rozliczać?

– I to, i to.

– Rozumiem. Nie mogła pani wymyślić jakiegoś pilnego sprawunku? Przecież po pani odejściu nie mógłby już pani rozliczyć.

– Nie umiem kłamać – wyszeptła pani Repphan. – Od razu by poznał, że nie mówię prawdy.

– No cóż, to pani klejnoty, więc pani jest rzeczą, co z nimi robi. Porozmawiam z mężem i wytłumaczę, żeby nie poruszał już z panią tego tematu.

– On pana nie posłucha... A jak wpadnie w gniew, to może nawet szpicrutą...

Jeziński najpierw oniemiał, a potem targnął nim gniew.

– Biję panią?!

– Nie, nie... Ale teraz mógłby... On tylko uderza obok...

– Nieważne! Zapewniam panią, że po rozmowie ze mną odechce mu się nawet straszenia szpicrutą!

– Proszę mu nic nie mówić, ja sobie poradzę...

– Gdyby odważył się podnieść na panią rękę, proszę opuścić tego... – zmełł w ustach przekleństwo – i przyść do mnie. Pomogę pani wyjechać i zacząć nowe życie.

– Dziękuję panu – wyszeptła z wdzięcznością i chyba po raz pierwszy podniosła na niego oczy.

– Skoro to mamy już za sobą, to dziwi mnie inna rzecz – wyznał Jeziński. – Jak włamywacz wszedł do waszej sypialni i wyjął klejnoty, nie budząc was? Dziwne, nieprawdaż?

Pani Repphan skinęła głową, znów patrząc w podłogę.

– Na pewno nic pani nie słyszała?

– Nic a nic – odrzekła jakby nieco śmieiej. Najwyraźniej powoli się uspokajała.

– Nie wiem, co o tym sądzić – zafrasował się agent. – Nic dziwnego nie zdarzyło się wieczorem albo gdy się pani obudziła?

– Po przebudzeniu mocno bolała mnie głowa. Emila też, a jego bardzo rzadko coś boli.

– Myśli pani, że to ma coś wspólnego z włamaniem?

– Nie wiem, ale tylko to było dziwne.

– Jakże chciałbym, żeby doktor Zaif był tu z nami.

Jak na zawołanie do salonu wkroczył Jakub.

– O wilku mowa! – ucieszył się agent. – Wyobraź sobie, że u państwa było włamanie. Jakieś dziwne, bo sejf nie rozpruto, ale jeszcze dziwniejsze jest to, że z szafki nocnej pani Repphan wyjęto w nocy klejnoty, a ona ani mąż nic nie słyszeli! Tylko rano bolała ich głowa. Co o tym sądzisz?

– Zapewne w sypialni złodziej rozpylił silny środek nasenny lub jakiś narkotyk – odparł spokojnie doktor. – Zasnęli tak twardo, że strzał z armaty by ich nie obudził. A wtedy można z domu wynieść wszystko, nawet właścicieli.

Pani Repphan z podziwem popatrzyła na młodego doktora.

– Wiedziałem, że znajdziesz jakieś sensowne wyjaśnienie! – ucieszył się agent.

– W takim razie zawołajmy teraz pana domu i obejrzymy resztę mieszkania. Może zostały jakieś ślady? Masz swój zestaw? – zapytał cicho.

Zaif w milczeniu poklepał swą obszerną torbę lekarską.

– No to chodźmy. Potem porozmawiamy.

W czasie poprzedniej bytności przyjaciele widzieli tylko część mieszkania, i to raczej

pobieżnie. Teraz spojrzeli na nie z innego punktu widzenia. Zaczęli od wejścia, gdzie doktor chciał przyjrzeć się śladom włamania.

Do mieszkania Emila Repphana wiódł reprezentacyjny hol, będący wejściem z głównej klatki schodowej, i prowadził do salonu, centralnego punktu mieszkania, połączonego rozsuwanymi drzwiami z pokojem przyległym. Pozostałe pomieszczenia były ułożone w amfiladzie.

Salon mieszczański w siedzibach rodzin o wysokim statusie społecznym stanowił najbardziej reprezentacyjne pomieszczenie, pełniące w razie potrzeby funkcję sali balowej i reprezentacyjnego salonu pałacowego. Ten wydawał się skromniejszy, choćby dlatego, że brakowało w nim półkolistego wykusza w narożu będącego świadectwem „wytworności”. W jednym z rogów stała za to wielka żardiniera z kwiatami doniczkowymi, stanowiąca twórcze przekształcenie francuskiej odmiany tego mebla przez niemieckich ebenistów<sup>76</sup>, droga i wyraźnie sporządzona na zamówienie do konkretnego wnętrza. Resztę mebli, zgodnie z obowiązującą modą, rozstawiono pod ścianami. Dzięki temu środek pozostawał pusty, dając gościom dużo wolnej przestrzeni. Między oknami zawieszono sporych rozmiarów lustro, pod którym ustawiono serwantkę z dekoracyjną porcelaną.

Już poprzednim razem zaskoczeniem dla obu przyjaciół był ustawiony na stoliku pod oknem fonograf oraz nieduży fortepian. Był to widomy znak, że w salonie odbywały się czasem tańczące wieczorki, a może nawet bale przy muzyce, choć znając purytański styl życia rodziny, takie imprezy nie mogły zdarzać się często.

Poza tym w kącie stał mały, neorenesansowy, kobiecy sekretarzyk, przy którym najczęściej pisywało się bileciki, a na przykrytym kobiercem stole rozłożono albumy z rodzinnymi fotografiami. Na ścianach wisiało trochę obrazów, głównie portretów.

Drugim pomieszczeniem w tej gościnnej części mieszkania był buduar, gdzie w czasie przyjęcia czy balu można było odpocząć, wypić kawę lub zjeść poobiedni deser. Wyposażono ją w neoempiryczny garnitur mebli, żakardowe tapiserie oraz obrazy – tym razem były to martwe natury i pejzaże.

Bezpośrednio za oficjalną częścią mieszkania znajdowała się jadalnia, do której wchodziło się przez dwuskrzydłowe drzwi. Urządzona została tradycyjnie, garniturem neomanierystycznych, wytwornych mebli. Najważniejszym był duży, owalny, rozsuwany stół, przy którym w razie potrzeby mogły zasiąść nawet dwa tuziny osób.

Kolejnym zwracającym uwagę meblem pokoju stołowego był okazały kredens, który wraz z towarzyszącym mu długim bufetem nie tylko stanowił dekorację, ale spełniał bardzo praktyczną funkcję: przechowywano w nim porcelanowe zastawy, srebra, obrusy i serwety.

Przeciwległą część pokoju zdominowała ustawiona w sąsiedztwie wspaniałego pieca kafłowego neorenesansowa cassapanca<sup>77</sup> o bogatej stylistyce epoki kajzerowskiej. Na ścianach wisiały oczywiście obrazy, głównie martwe natury, ale także pejzaże oraz nieliczne portrety.

Do pokoju stołowego przylegał męski gabinet, królestwo pana domu. Ten umeblowany został tradycyjnie, czyli przede wszystkim było tam rozłożyste biurko z wygodnym fotelem oraz szafy biblioteczne pełne ksiąg. Na biurku umieszczono komplet przyborów do pisania, teczkę na dokumenty i korespondencję oraz nowinkę techniczną – maszynę do pisania. W rogu stała solidna kasa pancerna.

Znajdowały się tam również rodzinne fotografie. Umeblowania gabinetu dopełniała wygodna, skórzana kanapa z fotelami i okrągłym stołem oraz tak zwany karciak, czyli stolik do gry w karty.

Za gabinetem pana domu usytuowano pokój przeznaczony dla małych dzieci,

przylegający do małżeńskiej sypialni. Był odizolowany od reszty mieszkania i nie miał bezpośredniego wejścia z przedpokoju. Stały w nim meble dostosowane do potrzeb maluchów – jak drewniane łóżeczko z drabinkami, szafka z półkami na zabawki, krzeselko oraz stolik z ławeczką, a także umywalka z porcelanowym kompletem toaletowym oraz domowa ławka drewniana, przy której dziecko mogłoby się uczyć. Ten pokój cały czas stał pusty, gdyż, co było ironią losu, pochodzący z licznej rodziny Emil Repphan nie miał dzieci. Była to jego wielka osobista tragedia.

Ostatnim pokojem była sypialnia małżeńska. Usytuowana została w tylnej części mieszkania – od podwórza – obok pokoju dzieciennego, a także łazienki. Centralne miejsce zajmowały dwa łóżka, niezłączone w łożo małżeńskie. Ustawiono je wezłowiami do ściany i zasłano ażurowymi kapami na różowym podkładzie, a w wezłowiu dekoracyjnymi poduszkami. Po bokach ustawiono nocne szafki, a na nich nocne lampki i inne drobiazgi, w zależności od upodobań właściciela, jak zegarek, książeczka do nabożeństwa czy fotografia małżonków oraz dzwonki na służbę. Na podłodze przy łóżkach leżały małe dywaniki, a na ścianie u wezłowia zawieszony został duży dywan. Na nim umieszczono sporych rozmiarów krucyfiks.

Oprócz tego w pobliżu okna stała damska toaletka z dużym lustrem i kosztownymi przyborami toaletowymi: platerową szczotką do włosów z ręcznym zwierciadłem, kryształowym flakonem na perfumy, były także pojemniki na puder, puszki czy róż. Pod oknem ustawiono nakryty do śniadania stolik z dwoma krzesłami, gdyż małżonkowie kiedyś często wspólnie spożywali ranny posiłek w sypialni. Obecnie rzadko to czynili, ale stolik stał zawsze nakryty, w razie gdyby nasza ich kiedyś ochota na wspólne śniadanie.

W sypialni nie brakowało również szezlonga – mebla, na którym w dzień można było wygodnie wyciągnąć się i odpocząć na chwilę, nie naruszając paradnie zasłanego łóżka. Całości dopełniała sąsiadująca z sypialnią łazienka. Stała w niej umywalka z lustrem i marmurowym blatem oraz porcelanowym kompletem toaletowym: misą z dzbanem, mydelniczką i wiadrem na wodę. Był tam też bidet, puf z naczyniem nocnym, a także trójskrzydłowy parawan, osłaniający męża lub żonę podczas intymnej toalety.

Przyjaciele skrupulatnie obejrzeni całe mieszkanie w towarzystwie gospodarzy, którzy mogliby wskazać zmiany lub braki w wyposażeniu. Niestety, niczego nie odkryto. Niemniej Zaif starannie zebrał odciski palców z miejsc, które wydawały mu się tego warte, czyli w które mógł zaglądać włamywacz. Pobrał też dla porównania i eliminacji odciski właścicieli i służby. Największe nadzieje wiązał jednak z drzwiami wejściowymi, szafką nocną pani Repphan oraz z kasą pancerną.

Po obejrzeniu mieszkania panowie wrócili do gabinetu.

– Dlaczego złodziej nie włamał się do kasy pancernej? – głowił się Jeziński.

– Jak pan widzi, jest naprawdę solidna i trudno dostać się do jej wnętrza bez klucza i znajomości szyfru.

– To jakaś nowość?

– Ta kasa jest najnowszym wyrobem niemieckiej firmy!

– No a ten zamek szyfrowy? Jakaś nowinka techniczna?

– Niezupełnie. Pierwszy taki zamek powstał w trzynastym wieku – wtrącił odruchowo Zaif, miłośnik nauki, oglądając w skupieniu jedną z szaf bibliotecznych. Różniła się od pozostałych wielkością i liczbą półek. – Skonstruowali go Arabowie. Jest bardzo prosty w użyciu, zazwyczaj stosuje się w nim ciąg liczb lub symboli, które, ustawione we właściwej kolejności, odblokowują zapadki.

Jeziński spojrział na właściciela.

– Tak to działa u pana?

– Mniej więcej – odparł z roztargnieniem Repphan.

Wpatrywał się w Zaifa z osobliwym wyrazem twarzy, co zdziwiło agenta.

– Ale złodziejowi nic by nie przyszło z włamania do tej kasy, prawda? – zapytał doktor, nie odwracając się od szafy. Badał właśnie przez kieszonkową lupę krawędzie mebla.

Emil Repphan wciągnął powietrze. Jeziński miał już tego dość. Nie znoślił niezrozumiałych dla siebie sytuacji.

– O co tu chodzi? – zapytał ostro. – Może ktoś mi łaskawie wyjaśni, he?

Doktor i Repphan odwrócili się do niego jednocześnie, spojrzeli po sobie, ale obaj nadal milczeli.

– Słucham pana, panie Repphan!

– No cóż – bąknął niepewnie gospodarz. – Zupełnie nie wiem, jak doktor się tego domyślił...

– Tak? – ponaglił agent.

– Pokażę panu.

Repphan podszedł do kasy pancерnej, z której Zaif pobrał już odciski palców, i włożył wyjęty z kieszeni klucz do zamka. Potem kręcił pokręteł, wybierając w ten sposób jakąś kombinację liczbową, i na koniec przekręcił klucz w zamku. Kasa stanęła otworem.

– Ależ tu jest mnóstwo pieniędzy! – wykrzyknął agent, zaglądając do środka.

– Spodziewałem się zobaczyć puste półki, a tu proszę! – z trudem wyszarpnął z wnętrza grubą obanderolowaną paczkę banknotów. W kasie ledwie się mieściły.

– Proszę się uważnie przyjrzeć – polecił gospodarz.

Jeziński obejrzał plik. Z obu stron widniały sturublowe banknoty. Potem wyjął paczkę z innej półki. Były tam niemieckie banknoty stumarkowe. Spojrzął podejrzliwie na Repphana, niepewny, czy ten chce z niego zakpić, czy mówi poważnie. Opuścił wzrok na trzymany w dłoni plik i tknięty przecuciem przekartkował go.

– O, do licha! – wykrzyknął zdumiony. – Tu nic nie ma!

– Właśnie – przytaknął Repphan. – Czysty papier. Tylko z wierzchu obłożony banknotami.

– No, no – mruknął z mimowolnym podziwem Jeziński. – Jeśli złodziej nie przyjrzy się dokładnie, tylko zgarnie wszystko do worka, to później srodze się zawiedzie!

– O to mi chodziło.

– Gdzie w takim razie trzyma pan pieniądze i kosztowności?

Repphan uśmiechnął się trochę krzywo.

– Może pan doktor wie?

Zaif bez słowa nacisnął ozdobny rant oglądanej przed chwilą szafy. Ku zdumieniu agenta fragment wsunął się do środka, choć na pierwszy rzut oka niczym się nie różnił od reszty drewnianej ozdoby. Rozległ się suchy trzask zwalnianego gdzieś zatrasku i po chwili cała środkowa część odchyliła się na zawiasach, jak okno. Za nią ukazał się wmurowany w ścianę sejf.

– Sądzę, że tutaj.

– Jak pan odgadł, doktorze? – spytał zdławionym głosem Repphan. – Myślałem, że nikt o tym nie wie. Nawet żonie nie pokazałem! Nikomu, oprócz brata... Czy on...?

– Skądże znowu! – zaprotestował Zaif. – Po prostu odgadłem.

– Ale jak? Jak? Myślałem, że to bezpieczna kryjówka! Skoro pan odgadł, to każdy

może...

– Niech pan się o to nie martwi – uspokoił go pogodnie agent, zadowolony, że może odegrać się nieco na gospodarzu za jego niedomówienia. – Doktor Zaif ma wybitny umysł, przeciętny człowiek mu nie dorówna.

– Niech pan powie, jak pan do tego doszedł! – Repphan już niemal błagał, nie zwracając uwagi na słowa agenta.

– Doprawdy nie wiem – odparł zakłopotany doktor. – Jakoś odruchowo. Moją uwagę zwrócił chyba fakt, że ta jedna szafa jest nieco inna od pozostałych. W pana domu nigdzie indziej nie ma takich różnic, umeblowanie jest jednolite. Przyjrzałem się jej więc uważniej, bo przecież zamówił pan nieco inną szafę z jakiegoś konkretnego powodu. Inaczej by pana denerwowała... O, przepraszam! Nie chciałem pana urazić!

– Nic się nie stało – uśmiechnął się słabo Repphan. – Wszyscy wiedzą, że w pewnych sprawach jestem pedantem i tradycjonalistą. A jak pan znalazł przycisk?

– Dopiero przez lupę. Gołym okiem nic nie widać, może się pan nie obawiać.

Repphan nieznacznie odetchnął.

– Cóż, pozostaje mi mieć nadzieję, że nikt inny nie okaże się tak przenikliwy jak pan.

– O, to raczej panu nie grozi – uśmiechnął się nieco sarkastycznie agent. – Moim zdaniem może pan spać spokojnie.

Repphan też próbował się uśmiechnąć, ale zaraz dał za wygraną.

– Spróbuję – rzekł smętnie i zwiesił głowę.

– Sprawdził pan zawartość?

Gospodarz skinął głową.

– Tak, dwukrotnie i bardzo dokładnie. Nic nie zginęło.

– Muszę spytać, czy trzyma pan w sejfie coś oprócz pieniędzy i biżuterii? Jakies klucze, dokumenty?

– Tylko pieniądze i biżuterię. Dokumenty, łącznie z moim testamentem, ma rodzinny prawnik. Klucze do sejfu zawsze noszę przy sobie. Inne, do różnych pomieszczeń w domu i do fabryki, mają odpowiednie osoby: moja żona, ochmistrzyni, majster i tak dalej. Zapasowe trzymam w szufladzie biurka. Stamtąd ukradziono klucze do fabryki i do piwnicy.

– Zginęło coś z piwnicy? – zainteresował się agent. – Jeszcze tam nie byliśmy. Może zajrzemy?

– Oczywiście, jeśli pan chce, ale chyba nie ma potrzeby. Sprawdziłem z żoną i ochmistrzynią, nic nie zginęło. Zresztą trzymamy tam głównie przetwory, zimą warzywa i węgiel, oraz trochę starych gratów, ale naprawdę niewiele. Nie lubię trzymać niepotrzebnych przedmiotów. Jeśli nie dają się naprawić lub z innych przyczyn nie chcemy ich używać, każę je wyrzucać, rąbać na opał lub oddawać potrzebującym.

– Dziwny ten złodziej – Jezierski potarł podbródek. – Po co mu były te klucze, skoro w piwnicy nic cennego nie ma?

– Może zwyczajnie tego nie wiedział? – podsunął Zaif.

– Masz rację – agent się rozpogodził. – Zwykle najprostsze rozwiązanie jest tym właściwym.

Repphan chrząknął.

– Zapomniałem dodać, że na kółku z kluczami do piwnicy był też klucz do kaplicy rodzinnej na cmentarzu.

Brwi Jezierskiego uniosły się do góry.

– A czy tam coś zginęło?

Repphan wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Jeszcze tam nie byłem, a poza tym nie mam zapasowego klucza. Drugi ma mój brat Paweł. Jednak nie wiem doprawdy, co można by tam ukraść. Prędzej zniszczyć, zdewastować... Ale ukraść?

– Na wszelki wypadek trzeba będzie sprawdzić. Może pan się jakoś skontaktować z bratem?

– Tak, oczywiście, ale nawet jeśli dziś wyślę umyślnego z wiadomością, to pewnie brat przyjedzie dopiero jutro.

– Niech będzie jutro. Proszę mnie zawiadomić, chciałbym przy tym być, jeśli to panu nie przeszkadza.

– Skądże znowu – zgodził się lekko zdziwiony gospodarz.

– Może uda mi się dostrzec coś, co pańskie niewycwiczone oko by przeoczyło – tłumaczył nieco protekcyjnie Jezierski. – Nie zna pan sposobów działania przestępców, a skoro ten złodziej ma klucz, na pierwszy rzut oka nie będzie nic widać.

– Tak, oczywiście. Teraz rozumiem.

– W takim razie do jutra. Około której mogę się spodziewać wiadomości od pana?

– Myślę, że nie wcześniej niż w południe. Brat jest ziemianinem, rano ma sporo obowiązków...

– W porządku. Do widzenia zatem.

– Do widzenia.

Jeszcze na schodach Jezierski spytał przyjaciela, czy wstąpi do niego przed powrotem do pracy. Zaif chętnie zgodził się zjeść z nim obiad, bo od powrotu agenta z Francji jeszcze nie mieli okazji porozmawiać.

W pałacu gubernatora, gdzie Jezierski miał swój gabinet i centralę telefoniczną, czekał już na nich Jacenty z pytaniem, czy podać obiad, który będzie gotowy za dziesięć minut.

– Jacenty! Jesteś prawdziwym skarbem! – ucieszył się agent. – Nawet nie trzeba ci wydawać poleceń, bo uprzedzasz każde niemal życzenie.

– Staram się, wasza wielmożność – odparł skromnie Jacenty z ukłonem. Mimo że na pozór nie stracił nic ze swego zwykłego opanowania, jak na doskonałego sługę przystało, widać było, że słowa agenta sprawiły mu przyjemność. – Ośmielę się twierdzić, że znam odrobinę upodobania rodziny jego ekscelencji i waszej wielmożności.

– Jak zwykle nie doceniasz się, mój drogi – zaprotestował serdecznie agent. – Przynies nam na razie trochę herbaty.

– Dobrze, opowiem ci wszystko pokrótce, nim usiądziemy do jedzenia – zwrócił się do przyjaciela.

I streścił mu, co zdołał ustalić w Paryżu.

Zaif wyraźnie się zmartwił, a to z kolei zmartwiło agenta. Nie podobało mu się, że mają odmienne zdania. Może dlatego, iż ufał wiedzy oraz intuicji Jakuba, a to by oznaczało, że on sam nie ma racji. Ale przecież wszystko pasowało.

– Może to jakaś pomyłka? Zbieżność nazwisk? – pytał z troską doktor. – To nieprawdopodobne, by ta osoba była sprawcą!

– Pomyłka jest mało prawdopodobna, ale trzeba to oczywiście sprawdzić – zgodził się Jezierski ostrożnie. – Mnie jednak wszystko pasuje.

– Przecież to kobieta!

– Kobiety też popełniają zbrodnie.

– Tak, ale chyba nie tak krwawe. Trucizna, nawet kula, ale podejrzenie gardła? Mało



prawdopodobne. Ofiara może się wrywać, trzeba mieć siłę!

– Może to silna kobieta.

– Przecież widziałeś ją! Sprawiała na tobie wrażenie siłaczki?

– Może tylko z pozoru jest taka anemiczna.

– Bzdury opowiadasz – obruszył się Zaif. – A gdyby tak jakaś inna kobieta pojechała do Paryża i przedstawiła się jako panna Skotnicka, to wiedziałbyś o tym? Pytałeś o rysopis?

Jeziński zmieszał się. O rysopisie zapomniał, choć teraz wydało mu się to oczywiste.

– Nie pytałem – przyznał się mężnie. – O nic już nie pytałem, taki byłem zadowolony, że znalazłem znajome nazwisko.

– W takim razie nawet mężczyzna mógł kupić szale, podszywając się pod nią – stwierdził stanowczo Zaif. – Wcześniej zamówił listownie, a przecież nie widać, czy list pisze mężczyzna czy kobieta. Potem odebrał, mówiąc że panna Skotnicka nie mogła przyjechać. Najważniejsze, że zapłacił. Sklepu nie obchodzi reszta.

– Niby masz rację, ale po co komplikować sprawę? Nie może być tak, że panna Skotnicka naprawdę kupiła szale i potem zabiła te kobiety?

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – Zaif aż uderzył pięścią w stół, ale niezbyt mocno, gdyż nie był człowiekiem porywczym. – Nic tu nie pasuje! Gdzieś musi być błąd, coś przeoczyliśmy albo...

Przerwał i zamyślił się głęboko. Agent nie odzywał się słowem, żeby go nie zdekoncentrować.

– Chyba że... – odezwał się w końcu doktor i znów zamilkł na chwilę.

– Że co? – nie wytrzymał agent.

– Że sprawca zrobił to specjalnie, żeby nas zmylić.

– Co masz na myśli?

W tej jednak chwili wszedł Jacenty z lokajem niosącym tacę. Jeziński zrezygnował na razie z dociekań i zajęli się posiłkiem.

Gdy wreszcie doszli do kawy i odrobiny koniaku, a Jeziński zapalił cygaro, wrócili do rozmowy.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że sprawca nas oszukał?

– Właśnie to.

– Stanowczo jesteś zbyt małowówny. A może by tak szerzej? W jaki sposób nas oszukał?

– Wydaje mi się, że podał nazwisko tej osoby, żeby skierować na nią podejrzenia, a odwrócić je od siebie.

– Ale... – bąknął zdumiony agent. – Przecież myśmy nikogo dotąd nie podejrzewali?

– Mów za siebie.

– Jak to? I nic nie powiedziałeś?! – oburzył się Jeziński. – Taki z ciebie przyjaciel?

– Walery, nie denerwuj się – rzekł łagodnie Zaif. – Wiesz, jak nie lubię rzucać bezpodstawnych oskarżeń. Nie miałem i nadal nie mam żadnych dowodów! Poza tym mógłbym ci w ten sposób coś zasugerować, a przecież mogę się mylić!

Jeziński wciąż chmurnie wydmuchiwał dym, patrząc ostentacyjnie w sufit.

– Obiecuję ci, że jak tylko zdobędę pewność, choćby bez mocnych dowodów, natychmiast ci powiem.

Jeziński spojrzął na niego z ukosa. I znów wrócił do kontemplacji sufitu.

– Walery? – głos Zaifa brzmiał prosząco.

– No dobrze – westchnął z rezygnacją agent.

Zaif nieznacznie odetchnął z ulgą.

– I obiecujesz, że na razie nie poczynisz żadnych kroków przeciw pannie Skotnickiej? Agent westchnął jeszcze ciężiej, bo zamierzał ostro zabrać się za tę kobietę, poczynając od twardego przesłuchania i nie wykluczając aresztu.

– Dobrze, ale będę miał ją na oku.

Doktor uśmiechnął się ujmująco.

– Są jakieś postępy w sprawie rzemieślników? – zapytał, i to nie tylko po to, by skierować uwagę przyjaciela na coś innego, gdyż zwyczajnie chciał wiedzieć.

– Nie za bardzo. Kazałem przesłuchać na nowo rodziny, przyjaciół i kolegów z pracy tych nieboraków, ale nic nowego nie wypłynęło. Na wszelki wypadek postanowiłem sam przesłuchać właścicieli remontowanych i budowanych domów. Mam nadzieję, że ten Francuz poranił się właśnie tam, gdzie reszta zginęła. Powiedział „dom śmierci”. To by znakomicie pasowało.

– Dużo jest takich domów?

Jeziński wyraźnie się ożywił.

– Otóż wyobraź sobie, że nie. Jeśli wykluczyć budynki użyteczności publicznej, sklepy, małe firmy i tak dalej, to domów mieszkalnych jest raptem sześć. Większość w Kaliszu, tylko dwa za miastem, ale w bliskiej okolicy.

Rozległo się natarczywe i głośne pukanie.

– To pewnie Jasiek – westchnął agent. – Służba nigdy nie wali tak w drzwi.

Faktycznie, w drzwiach ukazał się Poraj. Wpadł jak bomba, nie czekając na słowo „proszę”.

– Znow ktoś zabił kobietę! – wykrzyknął rozemocjonowany. – Poderżnął jej gardło!

– Chodź, Jakubie – rzekł Jeziński, wstając. – Dobrze, że zdążyliśmy zjeść obiad.

Rozmowę jednak musimy na razie odłożyć. A ty, Jasiek, idź do pana Repphana i powiedz, żeby sam jechał jutro na cmentarz. On będzie wiedział, o co chodzi. My nie damy rady z kolejnym zabójstwem na karku.

## Rozdział 8

Emil Repphan wysiadł z powozu w pobliżu cmentarza w towarzystwie brata i służącego, którego od razu wysłał na poszukiwanie dozorcę pilnującego nekropolii. Sam stanął przy powozie, czekając aż jego brat Paweł wypali cygaro i wpatrując się w schody prowadzące do bramy wejściowej.

Cmentarz ewangelicki, na którym znajdowała się kaplica Repphanów, został rozplanowany na wzniesieniu na planie litery „L”. Od strony zachodniej stykał się z cmentarzem katolickim. Poprzecinany był alejami o regularnym układzie, otoczony otynkowanym murem i porośnięty lipami, kasztanowcami, jesionami, wiązami, klonami, dębami i akacjami. Został założony około połowy siedemnastego wieku, a w 1689 roku wzmiankowano go jako „Luterańską Górkę”. Był miejscem pochówku luteran, kalwinów, braci czeskich oraz członków innych wyznań protestanckich. W 1791 roku teren cmentarza ogrodzono drewnianym parkanem, który w początkach dziewiętnastego wieku zastąpiono murem.

Kaplica grobowa Repphanów znajdowała się w środkowej części cmentarza, u zbiegu dwóch głównych alei. Pierwotnie był to tylko rodzinny grobowiec; kaplica pochodziła z lat trzydziestych lub czterdziestych, Emil nie pamiętał dokładnej daty. Na pewno było to po śmierci dziadka Beniamina, który zmarł w 1831 roku.

Z zamyślenia wyrwał go głos brata.

– Możemy iść – powiedział Paweł, odrzucając niedbałym ruchem niedopałek.

Emil skinął głową i wszedł pierwszy na schody. Był trochę niespokojny, czy złodziej, który zabrał między innymi klucz do kaplicy, nie narobił tam jakichś szkód. Szedł zatem szybko i odetchnął z ulgą, gdy ujrzał budynek. Wciąż urzekał go swoim pełnym prostoty, a jednocześnie dostojnością pięknem.

Miejsce spoczynku doczesnych szczątków rodziny Repphanów przebudowano w 1880 roku. Teren przed kaplicą otoczono metalową balustradą z prętów na niskiej, otynkowanej podmurówce. Tylna, południowo-zachodnia ściana przylegała do muru cmentarnego. Emil wiedział, że fundamenty budynku i podziemnej krypty, w której chowano zmarłych, wykonano z pełnej cegły ceramicznej. Mimo że nie było tego widać, wciąż napawało go to dumą. W życiu codziennym Repphanowie oszczędzali na wielu rzeczach, ale miejsce spoczynku zmarłych musiało być wzniesione porządnie, bez względu na koszty. Kaplicę zbudowano na planie kwadratu o boku 629 centymetrów. Bryła była zwarta i jednolita. Ściany wymurowano z takiej samej pełnej cegły, co kryptę, cokol zaś z piaskowca. Elewację otynkowano, pomalowano na kolor beżowy i ozdobiono nakładkami w kształcie waz, wstęg i wieńców. Na kalenicy dwuspadowego dachu o niewielkim nachyleniu wznosił się metalowy krzyż.

Nigdzie nie było widać śladów zniszczeń. Uspokojony wynikiem zewnętrznych oględzin Emil kazał wreszcie bratu otworzyć kaplicę, przedtem obejrzawszy z bliska zamek. Nie zauważył jednak żadnych śladów włamania. Już miał głośno wyrazić swe zadowolenie, gdy przypomniał sobie, że złodziej zabrał przecież jego klucz. Miał ochotę pałać się w czoło, ale pohamował się przez wzgląd na miejsce. Tym bardziej że akurat nadszedł służący wraz z dozorcą.

– Witam łaskawego pana – odezwał się po niemiecku dozorca, z szacunkiem ściągając czapkę i zginając się w ukłonie. Dobrze znał rodzinę Repphanów, oczywiście tylko z cmentarza. Bardzo porządni, pobożni ludzie, nie żalowali grosza na swoich zmarłych, więc i jemu często skapywały piękne napiwki za drobne prace i dbałość o otoczenie kaplicy.

– Czy w ostatnich dniach albo może w nocy nie kręcili się tu jacyś obcy? – zapytał Emil. Stróż podrapał się w głowę, ale nic nie wymyślił.

– Nikogo nie widziałem, wielmożny panie. Ale od czasu do czasu jakiś ciekawski lub żądny mocnych wrażeń przelizie przez mur.

Repphan skinął głową na znak, że przyjął informację do wiadomości, i jeszcze raz baczny wzrokiem obrzucił kaplicę. Do jej wnętrza prowadziły kamienne schody wykonane z piaskowca. Drzwi były prostokątne, zwieńczone u góry półkolistym łukiem. Wreszcie Emil wszedł do środka, ku uldze towarzyszy, którym już znudziło się beczynne stanie. Nikt jednak nie odważył się głośno skrytykować postępowania obecnej głowy rodziny, nawet rodzony brat. Wewnątrz wszyscy stanęli na środku i rozejrzeli się wokół. Bracia uważniej, z powodu skradzionego klucza. Emil spojrzał odruchowo w górę, a potem w dół. Ujrzał gęsto żebrowany, płaski strop, a pod stopami kamienną posadzkę z wielkoformatowych, prostokątnych płyt piaskowca. Na razie nie widać było żadnych zmian, więc nieznacznie odetchnął z ulgą.

Samo wnętrze było przestronne. Na bocznych ścianach widniały pary zdwojonych pilastrów o zróżnicowanej wysokości. Między nimi regularnie rozmieszczono okna. Na wprost wejścia znajdowała się mensa ołtarzowa. Wewnętrzną ścianę frontową zakrywały tablice nagrobne. Zbliżyli się do nich i uklękli, by zmówić krótką modlitwę za zmarłych.

Wstali dopiero, gdy Emil uniósł się z kolan.

– No i co? – zapytał Paweł. – Zadowolony jesteś?

Emil już miał przytaknąć, ale pociągnął nosem i poczuł jakąś niezbyt silną, ale nieprzyjemną woń. Omiótł jeszcze raz wzrokiem wnętrze kaplicy i dopiero teraz zauważył

drobiny wykruszonego tynku w miejscu, gdzie znajdował się otwór wejściowy do podziemnej krypty.

– Nie podoba mi się to – wskazał palcem grudki zaprawy. – I ten zapach. Przedtem nigdy tu czegoś takiego nie zauważyłem. Czujecie?

Pozostali także wciągnęli powietrze przez nos.

– No, cosik jakby śmierdzi – powiedział dozorca. – Jakby stara padlina. Może jakieś zwierzę gdzieś tu utkło i zdechło?

– Wątpię – stwierdził Emil. – Tutaj nic nie leży. I w jaki sposób zwierzę mogłoby się dostać do krypty?

Dozorca miał trzymaną w rękach czapkę.

– No, czasem zdarza się – powiedział. – Kiedy drzwiczki mocno nie trzymają...

– I co? Zwierzę samo je za sobą zamknęło? Co też za bzdury wygadujecie, człowieku!

Stróż zmieszał się i zamilkł.

– Przynieście no lepiej jakieś narzędzia i latarkę, zajrzemy do środka. Może ten złodziej coś tu schował...

Dozorca natychmiast odzyskał rezon.

– Złodziej? – zdumiał się. – Jaki złodziej, jaśnie panie! Toć co tu kraść?

– Nie mędrkujcie – osadził go Emil krótko głosem nieznośnym sprzeciwu. – Tylko zróbcie to, o co proszę.

Mężczyzna skłonił się i wyszedł. Nie było go jakieś dziesięć minut. Gdy wrócił, od razu znowo zabrał się do pracy, bo sam był ciekaw, co też można by tutaj schować lub ukraść.

Po niedługiej chwili drzwi do krypty stały otworem. Emil wziął do ręki latarkę, by oświetlić wnętrze, i odskoczył nagle jak oparzony. Był blady jak płótno.

– *Mein Gott* – wyszeptał równie pobladły Paweł, gdy ujrzał to, co przed chwilą jego brat.

Zżerany ciekawością stróż także bardzo chciał zajrzeć do środka, ale nie ośmielił się podejść bez pozwolenia. Tymczasem obaj Repphanowie najwyraźniej nie zdradzali ochoty, by mu go udzielić. Tylko służący zachował całkowitą obojętność.

Po chwili milczenia Emil zwrócił się właśnie do niego.

– Andreas, bierz powóz i pędź galopem po agenta Jezierskiego, wiesz którego?

Andreas przytaknął w milczeniu.

– Powiedz mu, że w naszej kaplicy znajdują się obce zwłoki i przywieź go natychmiast. My tu z bratem poczekamy.

Andreas wyszedł, a dozorca z zachwyty nad niecodziennym wydarzeniem, jakie od dawna nie gościło w jego życiu, aż przymknął oczy. Już widział kolejne kufelki pianistego piwa stawiane w knajpie, żeby tylko opowiedział tę historię! Co tam kufelki! Całą beczkę piwa!

Na ziemię sprowadził go szorstki głos Emila.

– A wy lepiej zróbcie rachunek sumienia, bo coś mi się widzi, że niezbyt sumiennie wywiązujecie się ze stróżowania, skoro do zamkniętej kaplicy, kaplicy mojej rodziny, ktoś podrzuca zwłoki! I to nie jedne!

Dozorca najpierw poważnie się zląkł, bo przecież mógł stracić pracę, ale obawę osłabił sens ostatniego zdania Repphana. Niejedne zwłoki! A więc ile? Ha! To dopiero dubeltowa sensacja! Miotany sprzecznymi uczuciami stróż nie wiedział, co robić. Rzucił się więc na wszelki wypadek do kolan Repphana, błagając o wybaczenie i bełkocząc o tym, że nikogo naprawdę nie widział. Ale przecież mieszka obok cmentarza, a nie na nim i chociaż często robi obchód, ktoś mógł wyczekać, aż odejdzie i wtedy coś zmajstrować.

Opanowany już Emil kazał mu wstać i czekać przy bramie cmentarza na policję.

– Mogło tak być i pewnie faktycznie tak było – powiedział Paweł, gdy dozorca wyszedł.  
– W końcu nikt się nie będzie afiszował z takim... świętokradztwem!

Emil skinął głową na znak zgody.

– Ale kto to mógł być? – zapytał, choć nie spodziewał się odpowiedzi. – I dlaczego w naszej kaplicy?

Paweł wzruszył ramionami.

– Skąd mam wiedzieć – odparł lekko obronnym tonem. – Ja już nawet w Kaliszu nie mieszkam. To ty siedzisz na miejscu.

– Głupi jesteś – odparł brat pobłaźliwie, bo choć Paweł był trzy lata od niego starszy, to on został po śmierci ojca głową rodziny, przynajmniej tutaj, na miejscu. Trzeci brat, August, był współnikiem ojca w zakładach przemysłowych w Warszawie, a po jego śmierci jedynym właścicielem. Nie widywali go zbyt często. – Ale swoją drogą to ciekawe... Chodź, wyjdziemy na dwór, bo pewnie trochę czasu zejdzie, zanim przyjedzie policja.

Paweł chętnie przystał na propozycję, bo miał wielką ochotę zapalić. Emil pewnie też, ale za nic by się do tego nie przyznał. Poza tym ani w kaplicy, ani na cmentarzu nie wypadało, więc Paweł od razu skierował się w stronę bramy. Czekali dobre pół godziny, zanim powrócił Andreas w towarzystwie nieznanymi im dwóch policjantów.

– Oberpolicmajster Piotr Sokołow – przedstawił im się krótko w łamanej niemczyźnie ten, który szedł pierwszy. Jego pewności siebie wystarczyłoby na czterech. – A to stójkowy Wasil Ławrow. Agent do specjalnych poruczeń kazał przekazać, że mają na mieście świeże zwłoki, więc te będą musiały poczekać. Dlatego przysłał nas, żebyśmy przypilnowali tego miejsca. Panowie mogą wracać do domu.

Emil Repphan zaniemówił na taką arogancję, ale jego brat natychmiast skorzystał z okazji, by ulotnić się z tego nieprzyjemnego miejsca i wrócić na wieś, gdzie mógł poświęcić się swoim ulubionym zajęciom. Po wstrząsie z podrzucenymi zwłokami będzie musiał chyba zrobić sobie małe polowanie, żeby się odprężyć i pozbyć z głowy odrażających obrazów i... zapachów. Dlatego nie zwlekając uchylił kapelusza i wsiadł do powozu.

– Żegnam panów – powiedział z jego wnętrza. – Jedziesz, Emilu? Mnie się spieszy!

– A klucz? – zapytał Emil Repphan.

– Zatrzymaj go na razie. Zresztą lepiej zmienić zamki, skoro ktoś obcy też go ma.

– Ale jak policja zamknie kaplicę?

– Pan pozwoli, że klucz na razie zatrzymam ja – wtrącił się Sokołow. – Później panu oddamy. Chyba ufa pan carskiej policji?

I zmarszczył brwi tak groźnie, że Repphan poddał się bez oporu i także wsiadł do powozu. Westchnął przy tym z rezygnacją, bo jeśli Sokołow powiedział prawdę, a nie było powodu, by w to wątpić, i w mieście przydarzył się jakiś wypadek, to nie ma co liczyć na szybki przyjazd agenta. Trudno mieć nawet o to pretensje, więc skarżyć się także nie ma sensu. Morderstwo nawet nie przyszło mu do głowy. Nie znał języka polskiego, zatem nie czytał miejscowej prasy. Nie wiedział o serii zabójstw, jaka dotknęła Kalisz, poza jakimiś mglistymi plotkami, na które i tak nie zwracał najmniejszej uwagi.

Tymczasem agent z doktorem mieli pełne ręce roboty na ulicy Łaziennej, przed gmachem musztry nieistniejącego już korpusu kadetów, co nie przeszkadzało, by mieszkańcy wciąż używali jego nazwy. W jego salach mieściła się sala koncertowa Kaliskiego Towarzystwa Muzycznego. Tam właśnie udawała się pani Janina Stawiecka, członkini tegoż Towarzystwa, gdy została pozbawiona życia. Na ramionach miała charakterystyczny szal, taki sam, jaki znaleziono przy poprzednich dwóch ofiarach. Urodą i wiekiem także je przypominała: była

w wieku około trzydziestu lat, może trochę młodsza, ruda, w niezbyt ciekawym, marchewkowym odcieniu. Same włosy były jednak zadbane i bujne. Poza tym miała piękną figurę. Ubrana starannie, choć niezbyt wyszukanie i modnie. Jej odzież była dobrej jakości, ale zniszczona, często cerowana i wielokrotnie czyszczona. Zdaniem Zaifa należała do zubożałej inteligencji, która dysponuje jeszcze resztkami kapitału lub nie ma go już wcale i musi pracować na swe utrzymanie.

Samo zabójstwo zostało dokonane nieomal na progu gmachu, w pobliżu wejścia. A było to niemal po sąsiedzku z pałacem gubernatora i pod nosem rosyjskich wojskowych urzędujących w budynkach byłego korpusu kadetów. Sprawa stała się więc pilna i miała pierwszeństwo, zdarzenie bowiem nastroczało wątpliwości, czy nie jest zagrożone bezpieczeństwo gubernatora, a w jego osobie – całej carskiej Rosji.

Na ulicy w chwili mordu było sporo ludzi, bowiem w Towarzystwie Muzycznym odbywała się jakaś próba czy odczyt i sporo osób nań spieszyło. Między innymi Janina Stawiecka. Niestety, nikt nie widział zabójcy. Nikt nawet nie przyznał się, że widział sam moment, gdy ofierze poderżnięto gardło, gdyż mniej więcej w tej samej chwili wybuchła awantura między dorożkarzem a jego klientem, który przywieziony przed gmach, odmówił uiszczenia opłaty, jakiej żądał dorożkarz, uważając ją za zbyt wygórowaną.

Awantura tak skutecznie odwróciła uwagę przechodniów, że Jezierski podejrzewał celowe działanie. Po dokładnym zbadaniu sprawy okazało się jednak, że był to zupełny przypadek. Mimo to spisano zeznania wszystkich, którzy znajdowali się w pobliżu. A był tam niemal przekrój społeczny Kalisza: Andrzej Gałczyński, asesor sądowy, panny Ewelina Barańska i Elżbieta Pawelska, członkinie Towarzystwa Muzycznego, Bronisław Szczepankiewicz, księgarz i wieloletni prezes Towarzystwa, jego córka Felicja, robotnik murarski Józef Łapa, który zdradzał nadmierny zapał religijny. Ponadto majster cechu szewskiego Eugeniusz Skórzyński, Jacek Zalewski i Wiesiek Bednicki, dwóch uczniów gimnazjum na wagarach, dla których śmierć kobiety stanowiła niezmierną atrakcję, pani Genowefa Zajdler, wdowa po sklepikarzu, pani Aniela Kapka, jej sąsiadka, również wdowa, Jan Ulicki, subiekt sklepowy, Grzegorz Mykowski, jego kolega, obecnie bez stałego zajęcia, szalenie zainteresowany szczegółami zbrodni i rozżalony, że nikt nie chce mu ich zdradzić. Oprócz tego kilku rosyjskich wojskowych, kilku przejeżdżających dorożkarzy i panna służąca, Katarzyna Makieł.

Po zakończeniu formalności świadkom pozwolono wrócić do swych zajęć, ale poproszono ich też o nieopuszczanie miasta. Oczywiście, zajęcia w Towarzystwie Muzycznym całkowicie zmieniły charakter, przeradzając się niemal w wiec, na którym szczegółowo roztrząsano straszne wydarzenie.

Nie mając świadków, którzy wnieśliby coś konstruktywnego do śledztwa, bo żadnemu na razie policja nie zdołała zarzucić kłamstwa, Jezierski kazał zabrać ciało do szpitala św. Trójcy, gdzie doktor miał później przeprowadzić sekcję.

– Powiedz mi, Jakubie, dlaczego ona nie krzyczała? Przecież gdyby ktoś usłyszał krzyk, na pewno by spojrzął w tę stronę. Może nie uratowałoby to biedaczce życia, ale mielibyśmy jakiś opis sprawy.

– Sądzę, że zabójca od razu przeciął jej nożem struny głosowe. Takie obrażenia znalazłem również u poprzednich dwóch kobiet.

– Ten ktoś zna się na anatomii? Jak Kuba Rozpruwacz?

– Nie słuchałeś mnie, gdy mówiłem, że doktor Bond nie stwierdził u Rozpruwacza znajomości anatomii ani medycyny?

– Nie czepiaj się drobiazgów. Zna się na anatomii czy nie?

Zaif zamyślił się na chwilę.

– Nie sądzę. Mnie to wygląda na cięcie rzeźnickie. Podobnie szlachtuje się zwierzęta...

Jezierski bez słowa przeżegnał się i skierował do mieszkania ofiary, licząc w duchu, że tam natrafi wreszcie na jakiś trop.

Stawiecka mieszkała w dwóch małych pokoikach ze starą i schorowaną matką, która rzadko wychodziła z domu. Nie miały umywalni ani kuchni. Gotowały sobie na maszynie spirytusowej, a myły się za zasłonką w miednicy. Matka cierpiała na zaawansowany artretyzm, toteż trudno jej było się poruszać. Pozwoliła agentowi przeszukać mieszkanie, pod warunkiem że policjanci po sobie posprzątają. Sama siedziała w fotelu przy piecu, zrozpaczona tak, że agentowi serce się krajało.

– Czy ma pani jakąś rodzinę, która mogłaby się panią zaopiekować? – spytał współczująco.

– Mam drugą córkę, zamężną. Może mnie przygarnie.

Agent zapisał sobie adres i od razu wysłał człowieka, by zawiadomił panią Helenę Makowską, żonę nauczyciela, która sama udzielała prywatnych lekcji gry na fortepianie. Potem zostawił przy kobiecie Kaminskiego, by spisał wszystko, co matce było wiadomo o życiu córki. Sam z Zaifem wziął się za przeglądanie papierów, których nie było zbyt dużo. Trochę listów, większość sprzed kilku lat, kilka rachunków za skromne sprawunki, w tym dwa jeszcze niezapłacone, jakieś materiały z Towarzystwa Muzycznego, w którym grała na skrzypcach, wypożyczone z biblioteki Towarzystwa dwie książki, kilka ulotek reklamowych i trochę starych czasopism.

Jezierski wziął się za listy, zaczynając od tych, które wydały mu się najświeższe. I tam właśnie znalazł coś, co sprawiło, że serce zabiło mu żywiej, a nadzieja odżyła.

– Jakubie! – zawołał z przejęciem. – Chodź szybko! Masz, czytaj!

Wcisnął Zaifowi arkusik zwykłego papieru listowego, zapisanego schludnym pismem kancelisty. Zaif obejrzał go najpierw starannie, a następnie przeczytał:

*Droga Pani,*

*Ośmielam się przekazać Pani niezamówioną próbkę naszego nowego produktu z prośbą o używanie jej przynajmniej przez miesiąc i przekazanie nam uwag na jego temat. Próbka jest darmowa i po okresie sprawdzania może ją Pani zatrzymać. Jest to szal z najprawdziwszego kaszmiru, jeszcze nie występujący w sprzedaży. Produkt ów przeznaczony jest dla ekskluzywnych sklepów i nader wybrednej klienteli, wymaga zatem sprawdzenia, czy jego jakość ją zadowoli. Pani nazwisko, wraz z kilkoma innymi, wylosowano spośród kilku setek innych, w celu przeprowadzenia rzeczonyj próby.*

Poniżej następowała lista szczegółowych pytań, na które panna Stawiecka miała zapewne odpowiedzieć lub już odpowiedziała. Podpisano: *Jonathan Kleiber*.

– I co ty na to? – ekscytował się Jezierski. – Myślisz, że chodzi o nasz szal? Znasz jakiegoś Kleibera?

Zaif uśmiechnął się mimowolnie, widząc Jezierskiego tak uszczęśliwionego, ale zmitygował go łagodnie.

– Spokojnie, Walery. Nie znam żadnego Kleibera i choć może znajdziesz takowego, to ja osobiście sądzę, że nadawca podał fałszywe nazwisko. Albo je sobie przywłaszczył, albo wymyślił. Na twoim miejscu nie robiłbym sobie nadziei, przynajmniej jeśli chodzi o podpis. Przecież jeszcze niedawno podejrzewałeś pannę Skotnicką? A właściwie dlaczego nie zapytałeś jej wprost, czy to ona kupiła szale?

– No wiesz? Przecież i tak by skłamała.  
Zaif tylko westchnął, ale widząc zmartwioną minę przyjaciela, dorzucił spieszenie:  
– Są tu inne wskazówki, które pomogą nam odnaleźć sprawcę.  
– Jakże? Zdejmiesz odciski palców?  
– Mógłbym spróbować, ale za dużo osób trzymało ten list bez rękawiczek. Także my.  
Jeziński poczuł się jeszcze bardziej przygnębiony.  
– A toś mnie pocieszył.  
– Pomyśl, czego się już dowiedzieliśmy z samego faktu odnalezienia tego listu. Sprawca wysłał go pocztą, zatem musiał swe ofiary znać lub śledzić, żeby poznać ich adres.  
– Trzeba wypytać sąsiadów i rodzinę, czy ktoś się tu nie kręcił! – ożywił się agent. – Tak samo u innych ofiar. I porównać rysopisy, może któryś będzie się powtarzał.  
– Sam widzisz, zawsze są jakieś możliwości. Poza tym wiemy już, w jaki sposób nakłaniał kobiety do przyjęcia szala. To sprytnie posunięcie. Szal jest bardzo drogi i piękny, więc mało która kobieta, nawet zamożna, oparłaby się pokusie posiadania czegoś takiego. Cóż dopiero mówić o kobiecie ubogiej! Wszelkie skrupuły związane z przyjęciem drogiego prezentu, i to od kogoś nieznanego, sprawca pokonał pomysłowym podejściem, które za jednym zamachem rozwiewało również inne wątpliwości obdarowanych kobiet. Pod pozorem niewinnego badania jakości produktu dostawały na własność szal. Miały go tylko stale nosić. Przynajmniej przez miesiąc. W ciągu miesiąca na pewno znalazłaby się jakaś sposobność, by tak „oznakowaną” kobietę...

Tu Zaif przerwał tak nagle, że agent się zaniepokoił.  
– Co się stało, Jakubie? – zapytał w końcu, nie mogąc doczekać się jakiegóż reakcji przyjaciela, który znieruchomiał niczym posąg.  
– Do tej pory nie byłem pewien, a na początku myliłem się kompletnie – odezwał się Zaif niezbyt przytomnym głosem. – Teraz już wiem!  
– To może byś się podzielił tą wiedzą?  
– Słuchaj, Walery! Zabójców jest dwóch!  
– Oszalałeś?  
– Posłuchaj, nie przerywaj. Jeden wybiera i znakuje ofiary, a drugi je zabija. W ten sposób zleceniodawca zbrodni ma zawsze alibi i czyste ręce. Ten, co zabija, jest moim zdaniem tylko bezwolnym narzędziem w rękach bystrego, ale okrutnego człowieka.  
Jezińskiemu nie przypadła do gustu taka teoria.  
– Wydaje mi się, że komplikujesz sprawę. Ten człowiek zabija i już. Skąd wiesz, że nie on sam wybiera swoje ofiary?  
– Bo ani razu w pobliżu miejsca zbrodni nie było osoby, którą o to podejrzewam.  
– A kogo podejrzewasz?  
– Czy ofiary nie przypominają ci kogoś?  
Agent spojrział podejrzliwie, posądzając doktora o podstęp.  
– Noo – zaczął z ociąganiem. – Zauważyłem oczywiście, że ofiary są do siebie dość podobne. Nie jak bliźniaczki, ma się rozumieć, ale z daleka można by je wziąć za siostry.  
– Nawet z bliska. Ale czy kogoś ci przypominają?  
– Żywego? – agent wciąż wietrzył podstęp.  
– Jak najbardziej.  
– Tak sformułowałeś pytanie, bo chodzi ci o osobę, którą znam, tak? A przynajmniej widziałem?  
– Jak chwilę pomyślisz, to dochodzisz do odpowiednich wniosków.



- Rozczaruję cię. Nikogo znajomego mi nie przypominają.
- Zaif westchnął rozczarowany.
- Być może się myłę.
- Sądzę, że tym razem na pewno się mylisz. To dziwny pomysł z dwoma zabójcami.
- Widzę, że ci się nie podoba.
- Nie obraż się, Jakubie, mam wielki szacunek dla twojej inteligencji i wiedzy, ale naprawdę sądzą, że tym razem się mylisz. To niedorzeczne!
- Dlaczego?
- No... Nie wiem. Ale niedorzeczne i już.
- Zobaczmy. No, nic tu po nas. Możemy jechać na cmentarz ewangelicki.
- Chwileczkę! Nie powiedziałaś mi jeszcze, kogo podejrzewasz.
- I nie powiem. Skoro uważasz mój pomysł za niedorzeczny, poczekam do rozwiązania sprawy. Wtedy się przekonamy, kto miał rację.
- Bądź poważny, powiedz!

Zaif był jednak nieugięty. Pożegnał się z panią Stawiecką i wyszedł przed dom. Na cmentarz dotarli w milczeniu. Każdy z nich był pochłonięty swoimi myślami. Dopiero gdy znaleźli się na miejscu, Jezierskiemu wróciła energia. Zadał Sokołowowi szereg krótkich pytań i szybko ruszył po schodach prowadzących do bramy wejściowej. Obejrzał się i zobaczył, że Zaif stoi jeszcze u podnóża schodów i rozmawia o czymś z policmajstrem.

Począł, aż przyjaciel się z nim zrówna, i zapytał:

- Co chciałeś od Sokołowa?
- Pytałem, czy ktoś nie chciał wejść na cmentarz albo nie kręcił się w pobliżu.
- I co?
- Powiedział, że kręciło się kilku gapiów, ale trzymali się na dystans. Rozmawiał też z dozorcą, który ze trzy razy przychodził do niego pod bramę. Przyniósł mu nawet chleba ze słoniną i cebulą. Był bardzo ciekawski i sam dużo mówił. A, był również rajca Bukowski, który wysiadł tu z powozu, by dowiedzieć się, co się dzieje.
- A ten co tu robił? – zdziwił się Jezierski.
- Podobno jechał odwiedzić grób matki. Jest pochowana na cmentarzu obok.
- Też mu się akurat zebrało.

Zaif wzruszył ramionami.

– Było jeszcze kilku okolicznych mieszkańców, kompanów dozorczy od kufla. Przyszli z ciekawości, bo już wieść o znalezieniu ciała się rozniosła.

Jezierski zaklął pod nosem.

– W tym mieście kichniesz i już za godzinę ktoś przypadkowo spotkany spyta cię, czy się nie przeziębiłeś!

– Takie są uroki małego miasta. Założę się, że do tych plotek przyczynił się głównie dozorca.

– Już ja mu pokażę!

– Na twoim miejscu bym tego nie robił. Jeśli go obsztorcujesz, od razu umocnisz go w przekonaniu, że trafił na bardzo poważną sprawę, pewnie wagi państwowej, i jeszcze bardziej będzie węszył i plotkował.

– Mam to tak zostawić?

– Potraktuj go obojętnie. Powiedz znudzonym tonem, że nie wolno mu gadać o tym, co się tu działo, i najlepiej ziewnij przy tym. Od razu straci zapał, choć oczywiście gadać nie przestanie. Tu w pobliżu gnieźdzą się wszelkie męty, nędzarze i przestępcy. Owszem, będą

o tym gadać, ale dla tych typków pobicia, gwałty i zabójstwa to chleb powszedni, więc szybko się znudzą. Nie ma co podsycać ich ciekawości. Jeśli agent do specjalnych poruczeń potraktuje sprawę rutynowo, bez emocji, to oni też szybko tracą zainteresowanie.

– Uczynię, jak radzisz. Chodźmy. Jestem ciekawy, czyje zwłoki podrzuciono Repphanom.

Sokołow – zawołał – idziesz z nami. Mam za mało ludzi, posiłki dotrą za jakąś godzinę, a te zwłoki trzeba wydobyć i przewieźć do szpitala, żeby doktor Zaif mógł przeprowadzić sekcję.

Przed kaplicą czekał na nich stójkowy Ławrow.

– Czy ktoś się tu kręcił?

– Tylko dozorca.

– Czego chciał?

– Był ciekawy. Chciał sobie popatrzeć na trupy.

– Chyba nie pozwoliłeś mu wejść?

– Skądże!

– No to pilnuj dalej. Jak będziesz potrzebny, to cię zawołam. Aha, gdyby dozorca znów się pojawił, wyślij go po starego Maciąga. Trzeba przewieźć zwłoki do szpitala św. Trójcy.

– Tak jest, wasza wielmożność!

Jezierski wszedł do wnętrza kaplicy. Zaif już tam był i oglądał ciała przy świetle latarki.

– Niewiele widać – oznajmił na widok przyjaciela i podał mu latarkę.

Jezierski popatrzył i stwierdził:

– Teraz już wiemy, po co złodziejowi był klucz do kaplicy.

– Mylisz się. Te zwłoki leżą tu już od dawna. Są w stanie daleko posuniętego rozkładu.

– Może je w takim stanie przywiózł?

– Niemożliwe. Ciała są w całości, szkielety się nie rozpadły, co niechybnie miałyby miejsce, gdyby je przewoził w takim stanie.

Jezierski wstał i otrzepał spodnie.

– Nic nie rozumiem. Kto w takim razie podrzucił ciała?

– Nie wiem, ale na pewno nie nasz złodziej. Ktoś zrobił to dużo wcześniej.

– Ale podobno nie ma śladów włamania?

– Obejrzę drzwi i okna. Może coś znajdę.

– Pomogę ci. I tak na razie nie mam tu nic do roboty.

Zaif przyjrzał się dokładnie zamkowi w drzwiach przez szkło powiększające, opukał okna i stwierdził:

– Przy zamku w drzwiach jest kilka rys, co może sugerować włamanie. Widać je tylko przez lupę. Musiał to jednak zrobić jakiś fachowiec przy użyciu dobrego wytrycha. Rysy są stare, zdążyły już ściemnieć. Moim zdaniem miało to miejsce dość dawno temu. Co najmniej kilka miesięcy.

– Trzeba zapytać Repphana, kiedy on lub ktoś z rodziny był tu po raz ostatni.

– Pewnie na pogrzebie jego ojca. Zmarł w grudniu ubiegłego roku.

– Myślisz, że od tego czasu ani razu nikt tu nie zajrzał? Taka pobożna rodzina?

Zaif zawahał się.

– Nie wiem. Może masz rację.

– Trzeba zapytać.

– Tak czy inaczej, ktoś zrobił to bardzo zręcznie. Jeśli zagładano tu rzadko, rodzina mogła nic nie zauważyć. Ciała osiągnęły już taki stan rozkładu, że ich tak mocno nie czuć.

To cud, że Emil Repphan poczuł jakąś woń.

– Może ma wrażliwy węch.

– To możliwe.  
– Spróbujemy wyciągnąć te ciała czy czekamy na posiłki?  
– Tu jest dość ciasno. Więcej ludzi to większy tłok. Myślę, że damy radę z Sokołowem i stójkowym. Przydałby się teraz ten dozorca. On chyba ma doświadczenie w chowaniu zmarłych, więc może okazać się pomocny w ich wydobywaniu.  
– Ławrow! – zawołał agent, a gdy stójkowy wszedł, kazał mu sprowadzić stróża. Dozorca przybiegł nieomal w podskokach.  
– Jak się nazywacie? – spytał surowo agent.  
– Bonifacy Kalas, wasza wielmożność.  
– Możecie nam pomóc wydobyć te ciała z krypty?  
– Czemu ni – podrapał się w głowę stróż. – Ino nie bardzo wiem jak.  
– Przydałyby się deski albo stare drzwi i jakieś pasy z mocnego materiału.  
– Mam w szopie liny do opuszczania trumien.  
– Bardzo dobrze, przynieście je. Policmajster i stójkowy wam pomogą. I nie zapomnijcie o deskach.

Po dwudziestu minutach wrócili, taszcząc jakieś stare drzwi i liny.  
– Wyjęliśmy je z szopy, wasza wielmożność – zameldował Sokołow. – Potem się wstawił z powrotem.

– No, nie wiem – mruknął Zaif.  
– Czemu nie? – zapytał agent.  
– Obawiam się, że się ubrudzą.  
– Zmyje się je szlauchem, a jeśli nie, to każę wstawić nowe. Na koszt miasta.  
– Tak będzie najlepiej.

Wydobycie ciał utrudniał fakt, że Zaif kazał bardzo uważać.

– Są teraz kruche, łatwo je uszkodzić – tłumaczył.

Po wielu manewrach w końcu się udało. Doktor z uwagą przyglądał się zwłokom. Pozostali także, z mieszaniną ciekawości i wstrętu.

– Dlaczego one tak dziwnie wyglądają? – spytał agent. – Jakby ktoś posypał je wapnem.  
– To jest tak zwany воск trupi – wyjaśnił Zaif. – Po dłuższym czasie od chwili zgonu może dojść do takiego pośmiertnego przeobrażenia. Daje się ono zaobserwować po upływie dwóch-trzech miesięcy w środowisku wilgotnym i chłodnym, na przykład w piwnicy lub...

– Krypcie – dokończył agent.  
– Tak. Z ciała wydobywa się szarawobiała plastyczna masa, która na powierzchni łatwo wysycha i staje się krucha, co nadaje zwłokom wygląd jakby pokropionych gipsem lub wapnem. To głównie tłuszcz, który przeobraził się w воск.

– Zwłoki wyglądają na dobrze zachowane – zdziwił się agent. – To zaskakujące, skoro twierdzisz, że leżą tu od kilku miesięcy.

– Bo zaszedł tu jeszcze inny proces pośmiertny o charakterze utrwalającym, tak zwane strupieszczenie. Ma on miejsce w zwłokach pozostających w środowisku suchym i przewiewnym. Po prostu ciało szybko traci znaczne ilości wody z powłok skórnych i narządów wewnętrznych.

– Ale one wyglądają trochę jak... mumie!

Zaif uśmiechnął się nieznacznie.

– Masz sporo racji. Strupieszczenie jest też nazywane mumifikacją. Tu proces nie doszedł do końca, gdyż w krypcie jest nieco wilgotno, ale nie za bardzo. Zwykle mumifikacja zachodzi w powietrzu suchym, w miejscach przewiewnych. To mogą być krypty, piwnice, strychy, nawet

otwarta przestrzeń, ale na suchym, piaszczystym podłożu...

– Pustynia! – wyrwało się Sokołowowi.

– Bardzo dobrze – pochwalił Zaif. – Warunkiem jest możliwość wsiąkania lub szybkie wysychanie ociekliny trupiej oraz wysychanie zwłok. Wtedy przybierają taki właśnie wygląd. Zachowują kształt, skóra staje się twarda, zabarwiona na szarobrunatno, robią się lekkie, kruche i przez to podatne na niewielkie nawet urazy mechaniczne. Powszechnie znane są przykłady mumifikacji, które bywają niekiedy eksponowane jako obiekty wzbudzające żywe zainteresowanie. Niektórzy nazywają to cudem i domagają się beatyfikacji nieboszczyka. Moim zdaniem medycyna niedługo będzie potrafiła wyjaśnić wszystkie znane przypadki dobrze zachowanych ciał zmarłych, które wiele osób przypisuje działaniu nadprzyrodzonych mocy. Na przykład ciało świętego Andrzeja Boboli, zmarłego wszak w 1657 roku, zachowało się, bo wyschło.

– Wszystko to bardzo ciekawe, ale powiedz mi, mój drogi, czy jesteś w stanie rozpoznać, kto tu przed nami leży.

– Gdybym ich znał, to owszem. Sam powiedziałeś, że zwłoki są dobrze zachowane. Niestety, na pierwszy rzut oka mogę tylko stwierdzić, że jest to kobieta i mężczyzna i że ich nie znam.

– Ja też nie – powiedział Sokołow.

– Ani ja – dorzucił jak echo Ławrow.

– Pierwszy raz ich moje oczy widzą – zapewnił szybko stróż, który nie chciał być gorszy.

– Jak więc dowiemy się, kto to jest? – zmartwił się agent. – Przecież nie wystawimy ich na widok publiczny?

– Nie, absolutnie nie. Wtedy rozkład zaszedłby błyskawicznie.

– Nie o tym akurat myślałem.

– Wiem. Co w takim razie proponujesz?

Agent zamyślił się.

– Do głowy przychodzi mi tylko jedno. Sfotografować albo nając zdolnego rysownika, który odtworzy rysy twarzy, dodając im nieco ciała, że tak powiem.

– Świetnie! – ucieszył się Zaif. – Zrób jedno i drugie, a potem opublikuj w prasie! Ale tylko rysunek. Fotografia byłaby zbyt... makabryczna.

– Oczywiście. Ale moje archiwum zdjęć powiększy się o ciekawy eksponat. Szkoda, że ten cały sprzęt fotografa jest taki nieporęczny i taszczenie go w teren jest nadzwyczaj niewygodne i kłopotliwe. Częściej robilibyśmy zdjęcia na miejscu zbrodni. Ale więcej z tym kłopotów niż to warte. A ile czasu pochłania! Przystępców łatwiej sfotografować, bo sadza się ich w naszym pokoju do zdjęć, gdzie cały sprzęt jest na miejscu, i po kłopotach.

– Wierzę, że to tylko kwestia czasu. Nauka i postęp wkrótce ułatwią i tę pracę.

– Nie wiem, skąd u ciebie tyle optymizmu? – sarknął agent i wyjrzał na zewnątrz. – No i gdzie ci ludzie się włóczą? Powinni tu już dawno być.

Jakby na zawołanie w jego polu widzenia ukazało się kilku policjantów. Za nimi dostojnie człapał stary Maciąg.

– Nareszcie! – ucieszył się agent. – Wynieście ostrożnie ciała z cmentarza i załadujcie na wóz. Też ostrożnie. Witajcie, Maciąg. Jedźcie dziś wolno i ostrożnie, bo będziecie mieć kruchy ładunek. Zależy mi, żeby dojechał do kostnicy doktora Zaifa w całości.

– To pewnie wasza wielmożność coś dopłaci, nie?

Jeziński spojrział na sympatyczną, choć chytrą twarz starego i dał za wygraną.

– Wy, Maciąg, zawsze umiecie zadbać o własne korzyści.

– A kto inny chciałby to robić? – zdziwił się lekko stary.  
Na to agent nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Dwa dni później mieli już gotowy portret sporządzony przez młodego malarza. Artysta początkowo osłupiał, gdy mu przedstawiono propozycję odtworzenia rysów zmarłych na podstawie ich zwłok, ale opłata była tak sowita, że przesądziła o jego zgodzie. Rysunek opublikowano w prasie. Wydrukowano też kilkadziesiąt odbitek, by policjanci i inni przepytujący mieszkańców mogli je pokazywać. Póki co nie było żadnego odzewu. Nikt ich nie znał.

Zaif przy pomocy Małyszki w końcu uporał się z sekcjami zwłok, których wcale mu nie ubywało, przynajmniej takie miał wrażenie. Niestety, autopsje nie wniosły nic nowego do śledztwa. Stawiecka zginęła w identyczny sposób, jak dwie poprzednie kobiety. Poza tym, tak jak one, była zupełnie zdrowa. O ciałach znalezionych w krypcie niewiele dało się powiedzieć z powodu znacznego rozkładu. Jednak doktorowi udało się ustalić ważną rzecz. Otóż tylna część czaszki mężczyzny była strzaskana, a w lewej skroni znajdował się otwór po kuli z pistoletu. Samej kuli doktor nie znalazł, miał jednak pewność, że mężczyzna nie zginął śmiercią naturalną, lecz ktoś mu w tym dopomógł. Być może najpierw chciał go ogłuszyć, choć zdaniem Zaifa cios o takiej sile prawdopodobnie od razu pozbawił życia ofiarę. Strzał był niepotrzebny, ale może zabójca chciał mieć pewność.

Kobieta również zdaniem Zaifa została zamordowana. Świadczyły o tym ślady nacięć na żebrach znajdujące się w tych samych miejscach, co otwory w odzieży. Wszystkie w okolicy klatki piersiowej, niektóre aż po bokach. Zatem ktoś zaatakował ją nożem i musiał być naprawdę wściekły, bowiem doktor doliczył się dziewięciu śladów, które z całą pewnością pochodziły od noża. Co do kilku innych miał wątpliwości, więc ich na wszelki wypadek nie wliczył. Wszystkie te informacje, nawet te, których nie był całkowicie pewien, zawarł w protokołach dotyczących poszczególnych ofiar. Gdy już się z nimi uporał, mógł wreszcie towarzyszyć Jezierskiemu w powtórnych odwiedzinach na budowach i przesłuchaniach. W końcu zostały tylko dwie miejscowości pod Kaliszem.

Pojechali najpierw do Warszówki, gdzie rezydował Zygmunt Albin Wyganowski, który rozbudowywał rodzinny dwór. Dziedzic był jowialny, raźnie podkręcał węża i od czasu do czasu ocierał łysiejącą czaszkę chusteczką. Zażywny, choć dość wysoki, liczył sobie pięćdziesiąt sześć wiosen i wręcz tryskał energią. Jezierskiemu nijak nie pasował do pojedynku, o jakim niedawno trąbiło całe miasto, ale pomyślał sobie, że rodzina jest liczna, a dziedzic może mieć dorosłego już syna.

Pan Zygmunt bez żadnych ceregieli zabrał ich na obchód majątku, który właśnie miał rozpocząć. Wciąż pytał ich o opinie w przeróżnych kwestiach – od uprawy zbóż i hodowli prosiąt po detale architektoniczne – ale nie miał czasu wysłuchać odpowiedzi. Nie dopuszczał ich po prostu do głosu. Zaifowi to nie przeszkadzało, gdyż z natury był małomówny i nie kwapił się do udzielania odpowiedzi na pytania, które – słusznie zresztą – wydawały mu się czysto retoryczne. Jezierski po kilku nieudanych próbach też dał za wygraną i w niechętnym milczeniu wysłuchiwał potoku słów Wyganowskiego.

Gdy wrócili wreszcie do dworu, niemilknący ani na chwilę dziedzic ugościł ich podwieczorkiem. Znowu opowiadał o swych sukcesach w uprawie, a może hodowli... Jezierski nie słuchał już zbyt uważnie. Zastanawiał się za to, jakim cudem człowiek ten jeszcze żyje, skoro nie ma czasu nawet nabrać tchu, gdyż cały czas trąkocze!

– Wiecie, panowie, wiedza i doświadczenie przychodzą z wiekiem – oznajmił w pewnej chwili Wyganowski i nieoczekiwanie zamilkł na chwilę.

Nie spodziewający się niczego takiego Zaif mruknął pod nosem:

– Szkoda, że jest to najczęściej wieko od trumny... – i także zamilkł, gdyż jego ciche słowa w nagłej ciszy zabrzmiały niczym wystrzał armatni.

Wyganowski zamarł i wpatrzył się w młodego doktora świdrującym wzrokiem. Nagle otworzył usta i wybuchnął śmiechem tak gromkim, że wino w karafce zakołysało się, jakby kto stół potrącił. Śmiał się długo i serdecznie, klepiąc po udach.

– Przedni żart! – wołał co chwila, z trudem łapiąc oddech. – Zaiste przedni!

W końcu usiadł i jął ocierać zażawione śmiechem oczy rogiem serwety. Jezierski zwietrzył szansę i nie czekając, aż gospodarz całkiem wróci do formy, zadał wreszcie pytanie, które go tu przywiodło:

– Czy miał pan może jakieś kłopoty z rzemieślnikami? A może zdarzył się jaki wypadek podczas budowy?

Zdumiony Wyganowski spojrział na niego.

– Kłopoty z rzemieślnikami? Niby jakie? Chyba tylko takie, że co poniektóry strąbił się gorzałką i spóźnił do roboty, ale nigdy do wypadku nie doszło. Nikt się nawet nie zranił. Nie pozwalam ludziom pracować, gdy są pijani.

– A może jakiś robotnik zniknął? – wtrącił szybko Zaif. – Ulotnił się bez uprzedzenia?

Wyganowski zdziwił się jeszcze bardziej.

– Ale skąd! Znam ich wszystkich, bo zatrudniam tylko miejscowych ludzi. Spróbowałyby taki owaki zniknąć mi bez wieści! Już ja bym mu skórę wygarbował...

Przyjaciele z trudem dotrwali do końca wizyty, ale gospodarz był mimo wszystko bardzo serdeczny, więc nie wypadało go obrażać szybkim odjazdem. Po trzech czy czterech godzinach udało im się wyrwać i pojechali do Majkowa.

– Jeśli ten Vogel jest tak samo wylewny i gadatliwy, to ja zostaję w powozie – oświadczył kategorycznie Zaif po drodze.

– Ja też – odparł bez wahania Jezierski i obaj parsknęli śmiechem.

W Majkowie przywitano ich jednak chłodno. Vogel, chudy, małomówny, z bujną czupryną i zarostem na twarzy, stanowił przeciwieństwo gościnnego Wyganowskiego. Zaifowi nie spodobał się jego uciekający na boki wzrok i jakiś cień chytrkości w zarysie szczęki. Bez żadnej konkretnej przyczyny od razu poczuł do niego awersję. Jezierski miał chyba podobne odczucia, gdyż po obrzuceniu wzrokiem nieciekawej sylwetki rozmówcy, jego odstających uszu i nosa sporych rozmiarów, przedstawił siebie i Zaifa, po czym rozpoczął rozmowę urzędowym tonem.

– Poprzednim razem nie zastałem pana – oświadczył na wstępie nieco oskarżycielskim tonem.

Vogel natychmiast przyjął postawę obronną i zaczął się mętnie tłumaczyć.

– Czy pan jest właścicielem Majkowa? – przerwał mu agent.

– No cóż... Nie. Dzierżawię go, ale mam prawo pierwokupu.

– Nie słyszałem, żeby pan Karśnicki zamierzał sprzedać majątek – zdziwił się mimowolnie doktor.

– Trochę się wahał, ale przekonałem go – tu wykonał gest imitujący płacenie. – Jestem pewien, że po powrocie sprzeda dwór. Ma jednak sporo czasu do namysłu, dzierżawa jest dwuletnia, a zaczęła się kilka miesięcy temu. Osobiście chętnie odkupię dwór wraz z parkiem. To piękny obiekt, choć teraz tego nie widać. Prace jeszcze potrważą.

Jezierski rozejrzał się po otoczeniu i w duchu przyznał Voglowi rację. Widzieli teraz budynek od frontu, jadąc tu jednak mogli się przyjrzeć także jego tylnej części. Wszędzie pełno

było błota, desek, drabin, piachu, cegieł, tacek i Bóg wie czego jeszcze. Istny plac budowy. Sam dwór przedstawiał się jednak całkiem dobrze, widać najważniejsze prace już wykonano. Był to parterowy budynek z użytkowym poddaszem przykrytym mansardowym dachem. Od strony frontowej widniał czterokolumnowy portyk, natomiast od południowej trzykolumnowy ganek, a także facjata z barokowym szczytem.

– Mogę panów zaprosić tylko do gabinetu, gdyż reszta pomieszczeń jest jeszcze nieskończona – powiedział po chwili Vogel.

– Chętnie obejrzałbym sobie dworek z zewnątrz – odezwał się Zaif. – Jeśli oczywiście pan pozwoli. Potem do was dołączę. Obiecuję, że niczego nie będę dotykał – dodał, widząc że jego pomysł nie wzbudził w gospodarzu entuzjazmu.

– Naturalnie – zgodził się Vogel z krzywym uśmiechem. – Bałbym się jednak, że mógłby pan ulec jakowemuś nieszczęśliwemu wypadkowi, więc dam panu przewodnika. Michał! – krzyknął i po chwili jak spod ziemi pojawił się wysoki, barczysty osiłek. – To mój majster, trzyma w kupie wszystkich moich robotników i nadzoruje wynajętych.

Dał mi strażnika, pomyślał Zaif, ciekawe dlaczego. Na pewno coś ukrywa. Jakiś niesympatyczny typ. I ten zarost! Wygląda jakoś... teatralnie. Doktor nie zmartwił się przymusowym towarzystwem. Rzeczywiście nie zamierzał niczego dotykać, chciał tylko zobaczyć, jakie zmiany zaszły w dworze, i napisać o nich do Karśnickiego. A nuż ten dzierżawca pozwolił sobie na zbyt wiele podczas przebudowy?

Jezierskiego natomiast zaintrygowały słowa o możliwym wypadku.

– Zdarzył się tu może jakiś wypadek? – zapytał.

– Nie, skąd – natychmiast odpowiedział Vogel.

– Nawet mały? Na pewno? Podczas budowy często zdarzają się jakieś nieszczęścia.

– Moi ludzie dobrze pracują, a tych wynajętych do konkretnej roboty pilnuje Michał.

U mnie wypadki się nie zdarzają.

– A nie miał pan przypadkiem kłopotów z najętymi rzemieślnikami?

– Ach, panie, co ja tu mam za ambaras z nimi! – ożywił się Vogel. – Umawiam, się, panie, a oni w ogóle nie przychodzą, panie! W ogóle! – wysylabizował dla podkreślenia. – Miał tu przyjść jeden taki...

Dalszego ciągu Zaif już nie dosłyszał, ruszył bowiem na obchód dworku, podczas którego osiłek nie odstępował go na krok, przyglądając mu się przy tym podejrzliwie. Zaif nie zwracał na niego uwagi, gdyż właśnie układał sobie w myślach treść listu do Piotra Karśnickiego. Po półgodzinie zakończył oględziny i wrócił do gabinetu. Do samego progu towarzyszył mu milczący opiekun, który widać wziął sobie słowa chlebodawcy do serca i odprowadził go na miejsce.

Gabinet Vogla świadczył o tym, że dzierżawca rzeczywiście angażował się w prowadzone prace budowlane. Był zarzucony różnymi papierami, planami i różnymi przedmiotami. Wałały się tam jakieś puszki, przybory kreślarskie, narzędzia murarskie, w tym paca z zaschniętym tynkiem, sznurki, rozmaite klucze, resztki jedzenia i Bóg wie co jeszcze. W tym całym bałaganie razily piękne meble, pokryte teraz kurzem i zaniedbane. Przynajmniej na Zaifie zrobiły przykre wrażenie.

Gospodarzowi na widok wchodzącego doktora wyraźnie poprawił się humor, zrobił się dużo uprzejmiejszy, prawie sympatyczny.

– Proszę częstować się herbatą – gościnnie zachęcił Zaifa, wręczając mu naprawdę piękną filiżankę z dreźnieńskiej porcelany. – I wybaczyć polowe warunki, jakie tu panują. Przykro mi też, że nie mogę panów oprowadzić po domu, ale prace wewnątrz jeszcze się nie

skończyły. Jestem trochę jak artysta malarz. Nie lubię pokazywać dzieła przed jego ukończeniem.

– Nic nie szkodzi – pospieszył z zapewnieniem Jeziński, który wcale nie miał ochoty oglądać domu. Po tym, jak Wyganowski przegonił ich po całym swoim gospodarstwie, czuł ból w nogach i zdecydowanie wołał wygodnie posiedzieć.

Zaif rozejrzał się po pokoju i jedyny fotel, na którym nie leżały sterty gazet i innych papierów, znalazł w pobliżu okna. Przysunął sobie nieduży stoliczek stojący obok i postawił na nim filiżankę. Usiadł i rozpoczął bardziej szczegółowe oględziny pokoju, gdyż poza holem było to jedyne dostępne w tej chwili pomieszczenie. Chętnie obejrzałby sobie resztę pokoi, żeby także opisać je Karśnickiemu, ale obecny gospodarz wyraźnie dał do zrozumienia, że sobie tego nie życzy.

Tymczasem agent pod pozorem towarzyskiej pogawędki kontynuował indagowanie gospodarza. Pytał, jak mu się tu podoba, skąd pochodzi, jak sąsiedzi odnoszą się do zmian, które wprowadza we dworze. Tak naprawdę wcale nie był ciekaw odpowiedzi, gdyż już zdążył zadać wszystkie pytania, jakie chciał. Co prawda niezbyt wiele się dowiedział, bo Vogel najwyraźniej nie angażował się w życie mieszkańców Majkova i niewiele miał do powiedzenia. Do Kalisza też jeździł rzadko. Materiały budowlane sprowadzał spod Warszawy, gdyż miał podpisaną umowę z jednym z tamtejszych dostawców. Przy okazji robił więc inne zakupy w samej Warszawie, skoro i tak jechał tak daleko.

Jeziński przedłużał wizytę tylko ze względu na wygodny fotel, który dawał wielką ulgę jego obolałym stopom. Dopił herbatę, z wdzięcznością przyjął kolejną filiżankę i spojrzał na Zaifa z nadzieją, że ten pomoże w konwersacji, gdyż kończyły mu się już pomysły. Zaif jednak z uwagą wpatrywał się na przemian w okolice drzwi wejściowych oraz drugich, znajdujących się za plecami gospodarza. Nawet nie zauważył, że przyjaciel na niego zerka i mruga. Agent westchnął i odruchowo zadał jedno ze zwykłych kurtuazyjnych pytań towarzyskich.

– Jak zdrowie pańskiej małżonki? – zapytał. – Nie mieliśmy, co prawda, okazji się poznać, ale słyszałem, że to piękna kobieta. Może nudzi się na wsi? Z przyjemnością zapoznam ją z...

Nie dokończył, gdyż Vogel zerwał się zza biurka, próbując coś powiedzieć, ale najwyraźniej stracił oddech. Jego twarz przybrała purpurowy kolor, a ręce kurczowo zacisnęły się na nożu do papieru, który leżał przed nim wraz z kupką nieotwartych jeszcze listów.

Jeziński wystraszył się, że gospodarz dostanie za chwilę apopleksji, więc także zerwał się z miejsca, by go ratować.

– Jakubie! – wykrzyknął wstrząśnięty. – Pomóż mi!

Zaif podbiegł do niego i razem ułożyli duszącego się Vogla na zakurzonej kanapie, zrzucając z niej bez skrpułów leżące tam plany architektoniczne i liczne drobne przedmioty. Zaifowi mignęło wśród nich coś znajomego, ale teraz nie miał czasu tym się zająć. Zbadał puls biedaka i kazał Jezińskiemu przynieść torbę lekarską z powozu. Gdy już ją dostał, zaaplikował Voglowi lekarstwo i wychylił się przez okno, żeby zawołać kogoś, kto mógłby przynieść wino lub koniak. Nie zdążył jednak wypowiedzieć ani słowa, ponieważ gospodarz zerwał się nagle z kanapy i jak oszalały odepchnął go od okna. Doktor zatoczył się na stolik, przewracając go z hukiem. Piękna filiżanka z drezdeńskiej porcelany potłukła się w drobny mak.

– Przepraszam – wychrypiał, siadając w fotelu, na którym niedawno siedział Zaif. – Już nic mi nie jest. Może mi pan podać herbatę? – zapytał agenta, a ten natychmiast przyniósł mu filiżankę z biurka.

– Lepiej by panu zrobiło coś mocniejszego – stwierdził Zaif. – Doznał pan jakiegoś



ataku? Na co pan choruje?

Vogel lekceważąco machnął ręką.

– Nic poważnego, zapewniam pana. To tylko drobny atak dusznicy. Czasem łapie mnie zniecka. Na szczęście rzadko się to zdarza.

Zaif, nieprzekonany, pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

Vogel upił łyk herbaty i po chwili odezwał się już silniejszym głosem.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie – powiedział. – Ten atak był chyba ciut mocniejszy niż zazwyczaj. Przeze mnie stracił pan herbatę.

– To pan stracił piękną filiżankę.

Vogel machnął tylko ręką.

– Drobiazg. Takie rzeczy łatwo kupić.

– Gdy się ma pieniądze na zbyciu. Ta porcelana była naprawdę cenna. Teraz ma pan zdekompletowany serwis.

– Pieniądzy mam aż nadto, proszę się nie martwić.

Wstał i wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Jezierski też opadł na fotel, może nawet nieco zbyt gwałtownie, gdyż właśnie uświadomił sobie, że żona Vogla uciekła z architektem. Ze wstydu zaczerwienił się jak żak. Takie *faux pas*!

Vogel, jakby odgadł jego myśli, powiedział:

– Niestety, nie znam stanu zdrowia mojej żony, gdyż... opuściła mnie jakiś czas temu. Nie, nie, proszę nie przeproszać. Skąd mógł pan wiedzieć.

Widząc pełną smutku twarz gospodarza, Jezierski nie miał odwagi przyznać się, że wiedział o tym, tyle że zapomniał. Uznał, iż wyszłoby jeszcze gorzej.

– Proszę przyjąć wyrazy ubolewania – powiedział zamiast tego. – Życie nie szczędzi nam ciosów. Pozwoli pan teraz, że go opuścimy. Nie chcemy nadużywać gościnności, zwłaszcza że już i tak długo zajmujemy panu czas.

Wstał i wciąż jeszcze zażenowany, rozejrzał się za kapeluszem. Znalazł go wreszcie wraz z laską i skierował się do wyjścia, gestem ponagając przyjaciela. Ten jednak przy samych drzwiach dziwnym trafem potknął się o nieduży dywanik i prawie się przewrócił. By nie stracić całkiem równowagi, przyklęknął, opierając się o podłogę jedną ręką.

– Najmocniej przepraszam – wybąkał skonfundowany i wyszedł pospiesznie.

– Co ty wyprawiasz! – ofuknął go Jezierski w drodze do powozu. – Nie dość, że ja się skompromitowałem, to jeszcze ty niemal walisz nosem w podłogę! Chodzisz jak paralytyk! Jak nigdy dotąd!

– Tam w podłodze były jakieś otwory – wyjaśnił Zaif. – Chciałem je zobaczyć z bliska.

– Jakie znowu otwory? Zwariowałeś czy co?

– Nie zwariowałem – upierał się doktor. – W podłodze były otwory, umocnione metalowymi pierścieniami.

– Skaranie boskie z tobą! – utyskiwał agent. – No i co z tego, że są tam jakieś otwory?

Widać ten twój Karśnicki miał taką fantazję i sobie je wywiercił.

– Karśnicki na pewno tego nie zrobił! Przedtem ich nie było!

– No to Vogel miał taką fantazję.

– Ale ja chcę wiedzieć, po co je wywiercił. Zniszczył Piotrowi piękny parkiet.

– To już niech Karśnicki użera się z Voglem. Zawsze może zażądać odszkodowania. O!

A co ty tu robisz?

Obok powozu siedział Jasiak Poraj i wygrzewał się w słońcu niczym leniwy kocur.

– Wszędzie szefa szukałem – powiedział z wyrzutem Jasiak. – Czy ja muszę ciągle

ganiać po całym mieście niczym pies z wywieszonym jęzorem, żeby szefa znaleźć? A teraz to już musiałem wziąć dorożkę, więc dopraszam się, coby wasza wielmożność był tak łaskaw i zwrócił koszta, bo ja przecie służbowo...

- Zwróć, nie martw się. Mów, co za lichy cię tu przyniosło!
- Przyszedł list od porywacza...
- To czemu od razu nie mówisz?! – huknął agent. – Trzeba było wejść do dworu i nas wywołać, zamiast tu leniuchować! Może bym się tak nie zbłądził... Właż na kozioł, niecnoto! Jasiek podniósł się z godnością.
- Nie ma pośpiechu – powiedział. – Okup trzeba złożyć dopiero o dziewiątej wieczór.
- Gdzie?
- Na cmentarzu.
- Boże, czy to jakaś plaga, czy nowa moda? – jęknął agent. – Pół miasta biega teraz po cmentarzach, jakby innych miejsc nie było!
- Ale teraz chodzi o cmentarz katolicki – oznajmił Jasiek, gramoląc się na kozioł.
- Zawsze to jakaś odmiana.
- Odmiana, odmiana! – przedrzeźniał go agent. – Ciekawe, kiedy będę musiał iść na cmentarz prawosławny, wtedy zaliczyłbym już wszystkie, jakie mamy w mieście.
- Coś da się zrobić, jeśli szefowi zależy – wyszczerzył zęby Jasiek. – Ja dla szefa wszystko...
- Dobrze, że siedzisz wysoko, bobym ci uszu natarł, nicponiu! A teraz milcz, bo nadchodzą robotnicy Vogla. Nie muszą słyszeć, o czym mówimy. Opowiesz wszystko, gdy wrócimy do miasta.

## **Rozdział 9**

Kalisz od wieków znakomicie asymilował różne kultury, lecz tolerancja ta z niewiadomych przyczyn obejmowała tylko żywych. Do umarłych religijne równouprawnienie się nie stosowało, zatem przedstawiciele innych wyznań niż katolickie byli zmuszeni grzebać ciała swych bliskich poza murami miasta. Dlatego cmentarz ewangelicko-augsburski, o którym pierwsze wzmianki pochodzą z 1689 roku, i założony w 1786 roku cmentarz prawosławny powstały za rogatką miasta, na dwóch przeciwległych wzgórzach za kościołem Reformatorów. Gdy pod koniec osiemnastego stulecia ze względów higienicznych zakazano chować zmarłych przy świątyniach, do istniejących za rogatką nekropolii dołączył w 1807 roku katolicki cmentarz miejski i długo pozostawał jedynym miejscem pochówku kaliszzan wyznania katolickiego.

Bogaci zwykle stawiali swoim zmarłym kaplice, prawdziwie okazałe budowle, opatrzone nazwiskami kaliskich rodów. W ten sposób można było chować wszystkich członków rodziny w jednym miejscu. Mniej zamożni poprzestawali na pojedynczych nagrobkach, ozdabianych często prawdziwymi dziełami sztuki sepulkralnej. Oprócz tradycyjnych ozdób na grobach umieszczano i inne rzeczy. Na przykład polskie herby szlacheckie, gdy zapanowała moda na podkreślanie swego szlacheckiego pochodzenia. Były też inskrypcje i rzeźby, często o symbolicznym znaczeniu, jak wąż gryzący własny ogon (uroboros), czyli stary znak nieskończoności i przemiany. Lecz na najstarszym z pomników – obelisku majora Stanisława Broszkiewicza, który zmarł w 1827 roku – wyryto tajemniczą liczbę. Było to przypomnienie masońskiej działalności zmarłego.

Na cmentarzu tym spoczęło wiele ważnych – nie tylko dla miasta – osób. Miejsce pochówku znalazł tam między innymi Rafał Zajączek – brat słynnego generała Józefa Zajączka, Franciszek Ignacy Reinstein – bawarski architekt, twórca wielu wybitnych klasycystycznych

budowli kaliskich, Walenty Stańczukowski – lekarz, społecznik i przyjaciel rodziny Asnyków, Kazimierz Mystkowski, właściciel Fabryki Pierników i Biskoptów, a także ziemianie: Wyganowscy, Załuscy i wielu innych. W swoim czasie miejsce spoczynku znalazł tam również Adam Chodyński – twórca „Kaliszanina”, historyk i publicysta. I właśnie tam, pośród malowniczo zadrzewionych alejek, niebawem miało się zaroić od carskich agentów, gotowych pochwyć tajemniczego porywacza, który zamierzał podjąć resztę okupu.

Tymczasem na dziedzińcu przed pałacem gubernatora właśnie stawał kryty powóz, którym agent wrócił wraz z doktorem i Porajem z Majkowa. Teraz wysiadł i rozprostował kości. Z drugiej strony Zaif też otwierał już drzwi.

– A teraz mów, nicponiu, skąd wiesz o liście? – zawołał do Poraja, który siedział jeszcze na koźle i korzystając z chwilowej nieuwagi woźnicy, bawił się batem. – Bukowski zgłosił to na policję?

– Nie – odrzekł Poraj z kozła. – Przyszedł ten tajniak, któremu szef załatwił u rajcy pracę.

– Tym razem go dostanę! – oznajmił z zaciętością agent, ale nie wyjaśnił, czy miał na myśli Bukowskiego, czy porywacza.

– Nie pójdziesz do Bukowskich? – spytał Zaif. – Wygląda na to, że niezbyt się przejęli, gdy ostatnio na nich nakrzyczałeś, że nie zawiadomili policji.

– Nie mam zamiaru tracić czasu na oglądanie tych durniów. Poślę ludzi, żeby pilnowali cmentarza, a sami będziemy śledzić Bukowskiego. Zaprowadzi nas prosto na miejsce, a my wtedy tego porywacza... – zrobił ruch, jakby ukręcał łeb kurczakowi. – Bukowskimi zajmę się później. A teraz – czas na obiad.

– Czy i ja mogę coś skubnąć w kuchni? – zapytał nieśmiało Jasiek, zeskakując z kozła. Słowo obiad zawsze silnie przemawiało do jego wyobraźni i żołądka.

– Wszyscy musimy coś zjeść i nieco odpocząć. Spotkamy się tu o ósmej wieczorem, zrozumiano?

– Tak jest! – zawołałi jednocześnie Jasiek i Pietia.

Idący w stronę schodów wejściowych agent zatrzymał się nagle i odwrócił.

– Pietia, przydasz mi się w czasie akcji, ale że nie jesteś z policji, więc trzeba cię będzie jeszcze przeszkolić. Za dwie godziny spotkasz się z Sokołowem, który objaśni ci, jak jechać za innym powozem, żeby ten, co nim jedzie, niczego nie zauważył.

– Ja też mogę? – poprosił Jasiek.

– Możesz – zgodził się łaskawie agent. – Takie umiejętności przydadzą się każdemu policjantowi.

Na godzinę przed wyznaczoną na dostarczenie okupu porą wszyscy stawili się przy gotowym do drogi krytym powozie. Jezierski wydał ostatnie polecenia i większość jego ludzi rozeszła się, by zająć swoje miejsce na wyznaczonych posterunkach. Został tylko agent, doktor, Poraj i woźnica Pietia. Agent do specjalnych poruczeń wraz z doktorem wsiedli do powozu. Pietia i Poraj usadowili się na koźle.

– Jedź, Pietia, przed tobą poważne zadanie. Jasiek, pamiętaj, że ty po drodze przesiadasz się do dorożki.

– Pamiętam, szefie.

– Gotowi? No to w drogę.

Pół godziny później Jezierski wraz z Zaifem siedzieli w powozie w pobliżu domu rajcy Bukowskiego, jednak nie przy samej bramie. Uzbrowili się w lunety, by móc widzieć jego poczynania z dalszej odległości. Kilka innych powozów i dorożek kręciło się w pobliżu,

zwiększając uliczny ruch, by mężczyzna nie zauważył, że ktoś go śledzi. Niebawem z kamienicy wyszedł Bukowski i wesoło pogwizdując, rozejrzał się za dorożką. Mimo sporego ruchu nie było wolnego pojazdu. Niezrażony tym rajca zaczął się spokojnie przechadzać przed domem.

– Co on taki zadowolony? – złościł się agent, regulując długość lunety, by ustawić jak najlepszą ostrość. – Myślałby kto, że idzie na wesele, a nie na cmentarz. I w ogóle się nie spieszy.

– Tak, pan Bukowski często zachowuje się dziwnie – zgodził się Zaif. – Na pewno jest rozstrojony nerwowo z powodu... kłopotów z żoną. Tłumi emocje, a to nigdy dobrze nie wpływa na konstytucję psychiczną człowieka. Można od tego postradać zmysły.

– Myślisz, że już zwariował?

– Nie jestem psychiatrą. Czasem sprawia wrażenie, jakby mu już niewiele brakowało do przekroczenia granicy, a czasem wygląda zupełnie normalnie. Sądzę, że znalazł sposób, by rozładowywać gromadzące się w nim napięcie.

– Pewnie znalazł sobie jaką kochankę.

– To możliwe. Ale ja sądzę, że to coś innego...

Jeziński wciąż wpatrywał się przez lunetę w spacerującego rajcę.

– Oho, chyba znalazł wreszcie dorożkę... Nie, ta też zajęta. Co mówiłeś?

– Że Bukowski znalazł sposób na ukojenie zszarganych nerwów.

– Mówię ci, on niedługo i tak dostanie fiksum dyrdum – i tu agent wymownie zakręcił palcem przy skroni. – Widziałeś, jak się zachowywał na przyjęciu u Repphana? Najpierw siedział ponury jak chmura gradowa, a potem ni stąd, ni zowąd zrobił się radosny jak skowronek.

– Zauważyłem, a jakże – przytaknął doktor. – Nastrój mu się poprawił akurat w momencie, gdy baronowa von Treskow skończyła swoją historyjkę.

– Jaką historyjkę?

– Tę o przyjaciółce, która ukradła rzeźbę poprzedniej żony swego męża.

– Ach, żeby przestał ją wspominać! Pamiętam – agent gorączkowo manipulował lunetą.

– Czekaj, czekaj, złapał chyba dorożkę! Tak!

Faktycznie, jedna z dorożek zatrzymała się przed domem rajcy. Ten powiedział coś fiakrowi i na chwilę zawrócił do bramy. Wrócił, niosąc spory, nieforemny pakunek.

– Niesie pieniądze – zatarł ręce Jeziński, zadowolony, że wreszcie zaczęło się coś dziać.

– Zapewne – zgodził się Zaif. – Tylko dlaczego w takim dużym pakunku?

– Pieniądze zajmują sporo miejsca. Przecież banknoty są duże.

– Ale on ma donieść tylko sześć tysięcy! To nie aż tak dużo.

– Nie tak dużo! – wykrzyknął cicho agent. – Przecież to...

– Chodziło mi o wielkość pakunku, a nie kwotę.

– Hm, masz rację. Nie wiem, co tam jeszcze włożył, ale niedługo się przekonamy.

– Mam taką nadzieję.

Agent zastukał w ściankę, dając znak Pietii, by ruszył za dorożką wiozącą rajcę. Ten, zachwycony nową rolą i wyposażony w sztuczne wąsy, mające maskować jego prawdziwą tożsamość, na których widok Jeziński dostał ataku śmiechu, postanowił nie zawieść jego zaufania. Szczególnie, że kilka godzin wcześniej został dokładnie poinstruowany, jak ma śledzić inny powóz, nie rzucając się w oczy. Sumiennie ćwiczył z Porajem i Sokołowem. Mimo to agent postanowił zrobić sztuczny tłok z innych powozów, by ułatwić swemu woźnicy zadanie.

Na razie wszystko szło dobrze. Dorożka z rajcą w środku jechała niezbyt szybko, zmierzając ku ulicy Warszawskiej. Dalej droga prowadziła już prosto do Rogatki Wrocławskiej. Jeziński rozsiadł się wygodnie. Pozostawało tylko czekać. Za roгатką dorożka rajcy zwolniła

jeszcze bardziej, ale nie zatrzymała się przy bramie cmentarza miejskiego. Agent syknął ze złością i wyjął lunetę, by nic mu nie umknęło.

– Co też on wyprawia? – mruzczał zaniepokojony, nie spuszczać dorożki z oka. – Ten osioł gotów znów coś namieszać. W liście wyraźnie było napisane, żeby poszedł na cmentarz i zostawił pieniądze na nagrobku Joanny de Finance Milewskiej<sup>78</sup>. Byłem tam dziś wcześniej, gdy ty pojechałeś na obiad, i obejrzałem sobie ten nagrobek. Ma kształt rzymskiego sarkofagu, a zdobią go pochodnie i uskrzydłony wąż – uroboros.

– Skąd wiesz, że to uroboros? – zainteresował się mimo woli Zaif.

– Od pewnego jegomościa, który był akurat w pobliżu, na grobie niedawno zmarłej żony. Jest już dość stary, bo nieboszczka rozstała się z tym światem bodajże w 1832 roku, prawie sześćdziesiąt lat temu.

– Kto?! Żona tego jegomościa?! Przecież mówiłeś, że zmarła niedawno!

– Grób Milewskiej. To ona zmarła w 1832.

– Nie przeskakuj tak z tematu na temat. Nie można zrozumieć, o co ci chodzi.

– Nie marudź. Patrz! Wysiada!

Zaif przyłożył lunetę do oka i wyraźnie ujrzał Bukowskiego, który tłumaczył coś fiakrowi. Dorożka stała teraz w sporej odległości od bramy.

– Pewnie chce, żeby na niego zaczekał – stwierdził agent.

– Chyba tak – zgodził się Zaif. – Coś mi się jednak tu nie zgadza. Czemu on nie idzie do bramy?

– Może jeszcze pójdzie. Prawdopodobnie nie chciał, żeby dorożkarz widział, co robi.

– To nie ma sensu. Przecież dorożkarz na pewno jest przekonany, że on chce iść na cmentarz. Każdemu wolno. Co w tym dziwnego? Tylko późno trochę.

– Może... – agent nie dokończył zdania, gdyż rajca, zamiast zawrócić do bramy, zaczął się wspinać na pagórek, na którym znajdował się cmentarz.

– On idzie do muru! – zawołał agent zdumiony. – Co, u licha, ten osioł wyprawia?!

– Masz tam ludzi? – zaniepokoił się doktor.

– Spokojnie, są gęsto rozmieszczeni. O, widzisz tam, za krzakiem?

I wskazał przyjacielowi kępę gęstych krzewów śnieguliczki tulących się do cmentarnego ogrodzenia.

– Nic nie widzę.

– To dobrze, ale tam na pewno jest mój człowiek – agent zamilkł na chwilę. Rozległo się głośne hukanie sowy, które zaraz ucichło, jakby ptak zauważył ludzi.

– A teraz słyszysz? – głos agenta nabrzmiał dumą. – Drugi, który jest najbliżej tego w krzakach, zahukał jak sowa. Wzywa tych z cmentarza, żeby podeszli do miejsca, gdzie on stoi. Jeśli ten osioł będzie próbował przedostać się przez mur, chociaż sobie tego nie jestem w stanie wyobrazić, to oni... Co, u licha?

Bukowski w ogóle nie sprawiał wrażenia, że zamierza wdrapywać się na ogrodzenie. Przystanął przy nim i coś sprawdzał w niesionym pakunku.

– Odnoszę wrażenie, że rajca Bukowski ma zupełnie inne plany – stwierdził Zaif i uśmiechnął się szeroko. – A ja się chyba domyślam, jakie.

Jezierski spojrzał na przyjaciela jednocześnie podejrzliwie i z wyrzutem.

– No to mów, na co czekasz?

– Spokojnie, poradzimy sobie. Co teraz robi? Zastaniasz mi.

Agent spojrział przez lunetę.

– Przerzuca coś przez mur. To coś niedużego. Nie wiem, co.

– Dowiemy się.  
– No pewnie! Moi ludzie zaraz to podniosą. No, zobaczymy zaraz, co zrobi Bukowski.  
– Prawdopodobnie pojedzie prosto dalej. Wybiera się za granicę guberni, a potem pewnie jeszcze dalej na zachód. Najpierw do Niemiec, a później... kto wie.  
– Co ty mówisz? A dziecko?  
– Dziecko już ma. Przecież to jasne, że on je porwał.  
– Jakubie... – zaczął ostrzegawczo agent.  
– Lepiej go zatrzymaj, zanim nam ucieknie.  
Czas już był najwyższy, bowiem dorożka z rajcą oddalała się coraz bardziej. Jechała teraz dużo szybciej niż poprzednio.

Jezierski zacisnął usta i zawołał do Pietii, żeby popędził konia i dogonił uciekiniera.  
– Możesz się już nie kryć – dorzucił, widząc jak jego woźnica usiłuje manewrować powozem.

Pietia zaciął konia i ruszył w pościg, co spodobało mu się jeszcze bardziej niż poprzednie „śledzenie”. Nie upłynęło zatem pięć minut, gdy dogonił dorożkę i gromkim głosem nakazał woźnicy „stać, bo będzie strzelał”. Zaraz jednak opamiętał się i spojrzał niepewnie do tyłu. Miał nadzieję, że agent wybaczy mu tę chwilę zapomnienia. Chwilę potem dorożkę otoczyły inne powozy.

– Idiota – mruknął tylko agent i wysiadł.

Przestraszony dorożkarz rozglądał się na wszystkie strony, nie rozumiejąc, co się dzieje. W ogóle nie reagował na krzyki rajcy, który usiłował nakłonić go do dalszej jazdy. Gdy zaś zobaczył Jezierskiego otwierającego drzwiczki, zbladł jak ściana i zamilkł. Wyglądał jak królik schwyty w sidła.

– Proszę wysiąść, panie rajco – powiedział z ironiczną grzecznością agent. – Pozwoli pan, że odwieziemy go do miasta, bo zdaje się, że zgubił pan drogę.

Bukowski nie ruszył się z miejsca. Jego oczy biegały gorączkowo na wszystkie strony, pot zrosił czoło.

– Co pan tu robi? – wykrztusił wreszcie. – Pan nawet nie wie, w czym mi przeszkodził – dodał już bardziej opanowanym tonem.

– Ależ wiem doskonale.

– Nie może pan wiedzieć. Życie mojego dziecka jest zagrożone, a pan tu...

– Wysiadać! – krzyknął zniecierpliwiony już agent. – Pojedziemy do cyrkułu, gdzie złożę pan wyjaśnienia. Ciekawe, co powie pańska żona, gdy dowie się, że chciał pan ulotnić się z okupem...

– Pan nic nie rozumie! – krzyknął desperacko rajca.

– Ależ rozumiem. Porwał pan własne dziecko, bo chciał wyłudzić od żony pieniądze. Teraz wybierał się pan za granicę guberni.

– Dziecko jest u kogoś na wsi, prawda? – spytał Zaif, wylaniając się zza dorożki.

– Niedaleko stąd.

– Co pan... Co pan... – bełkotał Bukowski z przerażeniem, gorączkowo usiłując coś wymyślić. Przyciskał do piersi nieforemny pakunek, a ręce mu drżały jak w febrze.

– Walery, on zrobił jeszcze coś... – zaczął Zaif.

– Chwileczkę – przerwał mu agent. – Nie będziemy tu tak stać i rozprawiać o poważnych sprawach. Blokujemy drogę. Pojedziemy do cyrkułu i tam sobie wszystko wyjaśnimy.

Zaif nie był zadowolony, ale nie protestował. Bukowski natomiast tylko jęknął i zakrył twarz rękoma. Agent zawołał Sokołowa i odciągnął go na bok.

- Pilnuj go jak oka w głowie – rzekł surowo.
- Tak jest, wasza wielmożność.
- Co znaleźliście na cmentarzu?
- Nic, wasza wielmożność.
- Jak to nic? – zdumiał się agent.
- Sokołow przestąpił z nogi na nogę. Wolałby, żeby ktoś inny przekazał te wieści.
- Ano nic. Ktoś nas ubiegł.
- Kto?
- Nie wiemy. Uciekł...
- Sokołow – warknął agent. – Masz szczęście, że się spieszę. Jeszcze do tego wrócimy.

A teraz jazda go szukać! Stań na głowie, przetrząśnij miasto, ale musisz go złapać!

Po dwóch godzinach przesłuchania Jezierski nie posunął się ani krok do przodu.

Po początkowym załamaniu Bukowski zaciął się w sobie i nie powiedział ani słowa. W kółko powtarzał tylko, że jest niewinny i że popełnili błąd, zatrzymując go. Agent prosił i groził, straszył, że czeka go stryczek lub w najlepszym razie wieloletnie więzienie, wszystko na próżno.

Zrezygnowany, postanowił trochę odpocząć i wyszedł z pokoju przesłuchań. Rajcę zostawił pod silną strażą, a Jaśka wysłał po coś do jedzenia, także dla więźnia. Miał nadzieję, że widok apetycznych pieczonych kurcząt i zapach świeżo parzonej kawy lub herbaty skruszy opór aresztanta. Sam wszedł do pomieszczenia obok, w którym czekał Zaif.

- Idź do domu, Jakubie. Zaciął się w sobie. Nie wiadomo, jak długo to potrwa.
- Musi powiedzieć, gdzie jest dziecko. Nie wiadomo, w jakich warunkach przebywa, czy jest zdrowe, czy nic mu nie grozi.
- Wyciągniemy to z niego. Ty idź się przespać. Gdy tylko czegoś się dowiem, dam ci znać.
- Nie mógłbym zasnąć, wiedząc, że jesteście tak blisko.
- Jednak nie ma sensu, żebyś tu siedział.
- Pozwól mi z nim porozmawiać.
- Nie powiedział nic mnie, to i tobie nic nie powie.
- Pozwól mi spróbować – poprosił Zaif. – Co ci szkodzi?
- No, nie wiem – zawahał się agent. – Bukowski może odmówić rozmowy z tobą. Nie jesteś wszak policjantem.
- Równie dobrze może się zgodzić. Z tego samego powodu.
- Najpierw spróbuję go złamać jedzeniem. Za chwilę powinien wrócić Jasiek ze świeżo pieczonym drobiem, kawą i herbatą. Kazałem kucharzowi jego ekscelencji przyrzadzić wszystko jak najapetyczniej. Siądę tam z tymi przysmakami i będę powoli się nimi delektował. A on będzie patrzył i się ślinił. Jeśli złoży zeznania, dostanie jeść. Proste i z reguły skuteczne.
- On ma zbyt dużo do stracenia.
- Niby co? Mamy go i nie wypuścimy.
- Pieniądze i wolność.
- O wolności może zapomnieć. A pieniądze, które przy nim znaleźliśmy, zwrócimy jego żonie.
- Ma jeszcze czternaście tysięcy rubli. I dziecko.
- Tak, to jego karta przetargowa. Mam na myśli dziecko.
- Zamilkł. Doktor także się nie odzywał.
- Czy sądzisz... – zaczął po chwili agent. – Czy uważasz, że on mógłby poświęcić dziecko, żeby tylko nie przyznać się do winy?

– Nie wiem – odparł doktor poważnie. – Sam się nad tym zastanawiam. Nie mam jednak pojęcia, czy w ogóle kocha córkę. Można zapytać jego żonę...

– E tam – Jezierski machnął ręką. – Ta histeryczka wpadnie tylko w szal, a i tak nie powie nic użytecznego.

– Trudno by ją było tym razem za to winić. Gdybyś się dowiedział, że pogardzany dotąd mąż porwał ci dziecko i oskubał z pieniędzy...

– Wiem, ale to nie zmienia postaci rzeczy. Raczej nic przydatnego z niej nie wydobędziemy.

– Zatem pozwól mi z nim porozmawiać.

– Jeśli zapach pysznego kurczaka go nie złamie, to zobaczymy.

Po godzinie wrócił obładowany Poraj w towarzystwie równie objuczonego służącego z pałacu. Jego ekscelencja bowiem, poinformowany o tym, co się dzieje i co planuje agent, nakazał kucharzowi przygotować tyle stawy, by wszyscy w cyrkule mogli się porządnie najeść.

Jezierski bardzo się z tego ucieszył, gdyż zapach smakołyków rozszedł się po całym budynku, nie trzeba było ich nawet wnosić do pokoju przesłuchań.

– Najpierw my zjemy – zdecydował agent. – I to nie spiesząc się. On tymczasem niech siedzi tam i wdycha te aromaty. Powinno go to trochę zmiękczyć. Potem wrócę z talerzem pełnym frykasów i zapach jedzenia uderzy prosto w jego nozdrza. To będzie jak cios pałą!

– Walery, zapominasz o jednym.

– O czym?

– Że nie każdy jest takim smakoszem jak ty. Bukowski jest szczupły, nie ma śladu nadwagi, skąd więc pewność, że jedzenie zrobi na nim takie silne wrażenie?

– Może tylko szybko trawi. Są tacy ludzie, chudzi jak szczapy, a jedzą za dwóch.

– Są, ale niekoniecznie musi to być akurat on.

– Co nam szkodzi spróbować?

– Nic, oczywiście. Ale nie nastawiaj się tak, że od razu się załamię i wszystko ci wyśpiewa. A ja mam pewien pomysł.

– Jaki? – zainteresował się natychmiast agent, co nie przeszkodziło mu z lubością oderwać udko kurczęcia i delektować się jego smakiem.

– Cóż, nie mam pewności ani tym bardziej dowodów, ale sądzę, że nasz rajca ma jeszcze inne rzeczy na sumieniu...

– Sądzisz, że już wcześniej porywał dzieci? Albo inaczej wyłudzał pieniądze?

– Skądże znowu! Jego przeszłość jest znana. Pochodzi z Kalisza, z szacownej i zamożnej rodziny. Nie zostałby rajcą, gdyby było inaczej.

– Nie wiadomo. Ja słyszałem na przykład plotki, że gdyby nie wdzięki jego żony, która roztoczyła je we właściwej chwili przed właściwą osobą, nie dostałby tego stanowiska.

– Być może, ale gdyby miał coś na sumieniu, Repphan nigdy by go nie poparł, choćby pani Basieńka nie wiadomo jak się wysilała. Mimo zwykłych, ludzkich słabości jest osobą z zasadami i nie pozwoliłby na to, by jego nazwisko było wiązane z jakimś oszustem. Romans to jedno, a popieranie przestępcy to zupełnie co innego. Ludzie łatwiej wybaczą głupstwa popełniane z miłości, ale działanie wbrew prawu zwykle jest piętnowane przez społeczeństwo.

– Co zatem według ciebie zbroił jeszcze nasz ptaszek?

– Uważam, że...

W tej chwili do pokoju wszedł Sokołow. Jego smętna i przestraszona mina mówiła sama za siebie. Jego ludzie nie schwytali tajemniczego zbiega z cmentarza. Teraz oberpolicmajster chciał się dowiedzieć, jakie agent ma dla niego rozkazy.



- Czy zrobiono już spis rzeczy znalezionych przy więźniu? – zapytał Jezierski.
- Tak jest. – Sokołow wyjął kartkę i zaczął czytać:

*W węzélku były pieniądze w kwocie sześciu tysięcy rubli, paszporty dla trzech osób, w tym jeden dla dziecka, trochę kosztowności i papierów wartościowych na okaziciela. Poza tym zatrzymany miał w kieszeniach drobne pieniądze luzem w kwocie siedmiu rubli i pięćdziesięciu pięciu kopiejek, zegarek kieszonkowy z dewizką, chustkę, ołówek, zapisany kawałek papieru, klucze, prawdopodobnie do mieszkania, mały kluczyk na łańcuszku, jakby od walizki lub szkatułki, jeden klucz luzem, dość duży, srebrną papierośnicę, pomietą kopertę z listem, ale chyba niecałym...*

- Co to znaczy „niecałym”? – chciał wiedzieć agent.
- Brakuje pierwszej i ostatniej strony, a może nawet kilku stron. Nie wiem, jaki był długi.

Nie ma nazwiska nadawcy ani adresata.

- Rozumiem. Co jeszcze?
- Sokołow zajrzał do spisu.
- Jeszcze tylko stary kwit z jakiegoś sklepu.
- Agent uniósł brew.
- Jakiegoś?
  - W Kaliszu takiego nie ma. To chyba jakiś francuski sklep.
  - Pokaż – zażądał agent.
- Sokołow skierował się do drzwi. Jezierski zawołał jeszcze za nim:
- Przynies od razu wszystko. Obejrzymy to sobie z doktorem.
  - Tak jest.

Po kilku minutach przed obydwojma piętrzył się na stole stosik przyniesionych przez Sokołowa przedmiotów. Starannie oglądali każdy z nich, obracając w palcach najmniejszy drobiazg i dzieląc się uwagami.

– Szkoda – westchnął agent, który przede wszystkim rzucił się na papiery. – Masz przy sobie lupę? Dziękuję.

Przez chwilę uważnie studiował trzymany w ręku kawałek papieru.

– Ten kwit musiał długo nosić w kieszeni, bo prawie wszystko jest zatarte – oświadczył wreszcie. – Prawie nie sposób coś odczytać. O, a co tu mamy? Chyba miałem rację co do tych szali. Ale co ten wytarty rachunek robi w rzeczach Bukowskiego? – zamyślił się. W końcu odetchnął głęboko i lekko się uśmiechnął. Wreszcie coś zaczynało się układać w sensowną całość. Czyżby...? Ale w takim razie... – Popatrz, Jakubie.

Zaif zerknął mu przez ramię, ale nic nie dojrzał na wyblakłym i niemal do cna wytartym kawałku papieru.

Agent tymczasem odłożył trzymany rachunek i wziął do ręki kolejny papier.

- Ten list jest od jakiejś kobiety – powiedział. – Hm... Nie wygląda mi to na kochankę.
  - Dlaczego? – zaciekawił się Zaif.
  - Nie wiem. Co prawda pisał go ktoś wykształcony, ale papeteria zwykła, tania. Nie ma w nim też żadnych słów charakterystycznych dla zakochanych. Rozumiesz, o co mi chodzi?
- Doktor wyjął kartkę z rąk przyjaciela i uważnie ją obejrzał, a nawet powąchał.
- Tanie perfumy, choć ledwo je czuć... Wydaje mi się, że list nie został nimi skropiony, prędzej leżał pośród jakichś kobiecych drobiazgów przesiąkniętych perfumami. Może w torebce, koło chusteczki? Masz rację. To nie wygląda jak list od kochanki.

– Ale po co pisała do niego ta kobieta? Jeszcze gdyby o coś prosiła, tobym zrozumiał. Rajca mógłby jej w czymś pomóc, coś załatwić i tak dalej, ale tutaj nie ma żadnych próśb.

– Tak, to raczej opis jakiegoś miejsca. Kobieta zdaje się zachwalać to miejsce. Świeże powietrze, mleko prosto od krowy, jaja, chleb... I co tam dalej? Mili, nie nazbyt ciekawscy ludzie, zadbane chałupy, wiatrak koźlarz, który jej się podobał i drewniany kościół w pobliżu, do którego można pójść na mszę... Może jednak rajca załatwił coś komuś? Na przykład wypoczynek na wsi dla jakiejś chorej kobiety? I ona mu dziękuje w liście.

– Ale tu nie ma słowa podziękowania!

– Faktycznie nie ma, ale nie znamy całości listu. Chyba że...

– Mówże wreszcie! Już nie wiem, który raz dzisiaj zaczynasz coś i przerywasz.

– Chciałbym zauważyć, że zwykle, gdy zaczynam mówić, to ty mi właśnie przerywasz.

Ale mniejsza z tym. Pomyślałem sobie, że Bukowski po porwaniu wysłał dziecko pod opieką jakiejś kobiety na wieś albo że kogoś poprosił o znalezienie jakiegoś miejsca dla córeczki...

– To jest myśl! Zaraz z niego wszystko wyciągnę!

Zaif uśmiechnął się szeroko.

– Jak dotąd świetnie ci idzie.

– Nie bądź złośliwy.

– Przepraszam. Co jednak, jeśli ci się nie uda?

– Przeczytajmy list jeszcze raz. Może znajdziemy jakąś wskazówkę, coś, po czym rozpoznamy tę wieś.

– Już to zrobiłem. Charakterystyczny jest tylko drewniany kościółek i ten wiatrak.

Pozostałe rzeczy mogą być wszędzie.

– Wiatrak i kościół też nie są rzadkie.

– Niestety, masz rację.

– No to nie mamy nic.

– Na razie. Gdyby nam się udało znaleźć jakieś informacje o kobiecie, której mógł powierzyć dziecko... Czy znalazłeś w ogóle jakąś kobietę w jego życiu?

– Na razie żadnej. Ale możemy spytać...

– Chyba nie żonę? To ostatnia osoba, której by się zwierzył z romansu. Jeśli w ogóle miał jakiś romans. To może być zwykła przyjaźń.

Jeziarski prychnął.

– Nie ma czegoś takiego między kobietą a mężczyzną. Wierz mi, prędzej czy później zamienia się to w romans.

– Ale może ich znajomość nie doszła jeszcze do tego etapu.

– To prędzej.

– Z jakimi zatem kobietami miał styczność? Musiałby ją widywać przynajmniej od czasu do czasu, inaczej trudno nawiązać bliższą znajomość.

Jeziarski zamyślił się, potem zawołał Poraję i kazał mu przynieść wszystkie zapiski, jakie udało się zebrać na temat rajcy.

– Dokończmy kolację, bo wszystko wystygnie.

– Już wystygło.

– No to tym bardziej.

Jeziarski odgarnął przedmioty znalezione przy rajcy na bok i przysunął półmiski.

Na dłuższy czas w pokoju zapanowało milczenie, przerywane jedynie odgłosami jedzenia i szcękaniem sztućców. Z boku cierpliwie siedział Poraj z teczką dokumentów, czekając, aż panowie skończą posiłek. W końcu agent odsunął od siebie talerz i westchnął z zadowoleniem.

– Jasiek, połóż te papiery tutaj – wskazał miejsce przed sobą. – I sprzątnij migiem ze stołu.

- Czy mam dać zatrzymanemu coś do jedzenia?
- Jeszcze nie. Najpierw to przejrzę z doktorem. A Bukowski niech się przegłodzi.
- Tak jest, szefie.

Jasiek wyszedł, by za chwilę wrócić z tacą, na której ustawił naczynia z resztkami posiłku, a potem znów opuścił pokój.

Agent w tym czasie wprawnie przejrzał zapiski przyniesione przez Poraja.

– Czytałem je po wielokroć, więc jeżeli coś tu jest, powinienem szybko znaleźć – powiedział. – Ty skończ oglądać rzeczy Bukowskiego.

Zaif przysunął sobie przedmioty i ponownie zaczął je przeglądać.

Po piętnastu minutach Jeziński odłożył zapiski.

– Znalazłem kilka kobiet, z którymi się często stykał. Tyle że to, prócz żony, znajomości raczej nie „towarzyskie”. Widywał często niańkę, trzy służące, pomywaczkę, kucharkę, sprzedawczynię z trafiki, w której zaopatrywał się w tytoń, sekretarkę z magistratu, tę Skotnicką i jeszcze dwie urzędniczki, ale one są tak leciwe, że chyba trudno go podejrzewać o romans z którąś z nich. Znajomości towarzyskie miał, oczywiście, znał choćby Repphanów, ale nigdy nie chodził na wizyty bez żony. Przynajmniej w tym okresie, kiedy był pod naszą obserwacją, a nawet jakiś miesiąc przedtem, bo moi ludzie dotarli do wielu informacji wcześniejszych.

– Kogo zatem widywał najczęściej?

Jeziński chwilę pomyślał, przerzucił zapiski i stwierdził:

– Żonę, służbę, ekspedientkę z trafiki i Skotnicką.

– Żonę i służbę pomińmy na razie, bo jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby komuś takiemu zaufał w tak poważnej sprawie. Ekspedientka z trafiki też mi się wydaje mało prawdopodobna. Ładna chociaż?

– Chuda jak szczapa, z rzadkimi włosami i dziobami po ospie.

– Ją też bym wykluczył.

– Zostaje Skotnicka.

– Gdzie się z nią widywał?

– Głównie w Hotelu Polskim Woelffla, ale może bywał tam, bo do niedawna urzędował w tym miejscu magistrat i jeszcze nie wszystko przeniesiono do nowego ratusza.

– Tak, dopiero co się tam przenieśli. Kiedy to było? Dwunastego lipca. Po niemalże stu latach!

– No, w gmachu jeszcze trwają prace wykończeniowe, ale biura magistrackie już zainstalowano. Na pierwszym piętrze, od ulicy Mariańskiej. Od frontu – gabinet prezydenta, sala posiedzeń, kancelaria, gabinet sekretarza policyjnego, kasa i archiwum. A od strony ulicy Warszawskiej wkrótce zacznie działalność Klub Kaliski<sup>79</sup>. No i służbowe mieszkanie prezydenta. Zresztą to nieistotne. W hotelu mogły zostać jeszcze jakieś akta albo co.

– Ale jeśli by ich nawet potrzebował, wystarczyłoby wysłać kogoś ze służby. Po co sam się fatygował?

– Spytajmy zatem pannę Skotnicką. Jasiek!

W uchylonych drzwiach natychmiast ukazała się głowa Poraja.

– Przywieź tu pannę Skotnicką, ale dyskretnie. Nie jest na razie o nic podejrzana...

– Na razie?

– Nie wiadomo, co wyjdzie.

– Ależ Walery, jest późna noc!

– Trudno. Tu chodzi o dziecko. Reputacja tej panny jest teraz mniej istotna.

– Ależ w ten sposób możesz jej zniszczyć życie! To małe miasto i ktoś na pewno się

dowie...

– Jeśli okaże się, że nie ma nic wspólnego z porwaniem dziecka ani z zabójstwami kobiet, to osobiście napiszę do „Kaliszanina” podziękowanie za pomoc udzieloną władzom.

– Może jednak lepiej poczekać do jutra...

– Ani myślę. Dosyć tego zwlekania. Jedź, Jasiek. Ale nie mów nikomu. Nie chcę, żeby który policjant wygadał się przed Bukowskim, nawet niechcący.

– Tak, lepiej, żeby na razie nie wiedział, że ją przesłuchujemy. Mimo wszystko...

– Pozbądź się skrupułów. Włos tej pannie z głowy nie spadnie... pod warunkiem, że jest niewinna. A ja w tym czasie porozmawiam sobie z panem Bukowskim. Przedstawię mu pięknego, pieczonego kurczaka, złociste kartofelki i filiżankę kawy.

– A ja?

– Poczekaś na pannę Skotnicką. I jeszcze raz przejrzysz rzeczy Bukowskiego. Może coś ci się jednak rzuci w oczy.

– Wątpię, ale spróbuję.

Jeziński wyszedł, a Zaif wziął do ręki kawałek papieru, który znaleziono u Bukowskiego. Oderwano go od większej kartki, dlatego były na nim tylko fragmenty zdań. Żadne nie miało początku ani końca. ...*do Pelagii, mojej starej niańki*... – widniało w jednej linijce. Potem następowały słowa ...*miła wieś koło Kot*..., ...*dobrzy ludzie z tych Gutowsk*..., ...*nic się nie dzieje, chociaż*... i wreszcie ...*będzie dobrze w D*... oraz ...*ksiądz pomoże w razie*...

Zaif zastanowił się, czy coś mu mówią fragmenty nazw miejscowości, które – jak przypuszczał – tu wymieniono, ale na razie niczego nie wymyślił. Po kilkukrotnym odczytaniu odłożył kartkę i wziął do ręki kwit z francuskiego sklepu.

Rzeczywiście, trudno coś było z niego odczytać, tak był wytarty. Dało się odcyfrować pojedyncze litery lub ich niewielkie grupki, a sądząc po powtarzających się zbitkach „eau” i akcentach nad niektórymi literami, można było przypuszczać, iż jest to język francuski.

Zaif wyjął lupę i zaczął uważnie studiować kwit.

– O! – wykrzyknął nagle i pochylił głowę, by lepiej widzieć. – Czyżby Walery miał rację? – szepnął do siebie i popadł w głęboką zadumę.

Po kilku minutach ocknął się i sięgnął do zamszowego woreczka, w którym, jak się domyślał, znajdowały się jakieś kosztowności. Jeszcze ich nie obejrzał z agentem, skupiając się na papierach. Wysypał je na stół i obejrzał. Niewiele tego było, ale kilka rzeczy rzuciło mu się w oczy.

– No, no – powiedział do siebie. – Wszystko zaczyna układać się w całość.

Wtem drzwi otworzyły się z trzaskiem i wmaszerował Poraj, niemal ciągnąc za sobą pannę Skotnicką, którą mocno trzymał za łokieć. Zaif natychmiast zgarnął klejnoty do sakiewki i położył ją pośród innych rzeczy Bukowskiego.

Kobieta miała włosy w nieładzie i zapłakane oczy. Widać było, że ubierała się w pośpiechu. Zaifowi zrobiło się jej żal. Była ładna i drobna, o złocistych włosach i niebieskich oczach. Zubożała inteligencja, pewnie nawet kiedyś mieli swój majątek ziemski, pomyślał. Nie miała wyzywającej urody pani Basieńki ani jej seksapilu, ale emanował z niej spokój i ciepło. Wyglądała na niewiastę, która bez reszty jest oddana mężowi i rodzinie, jeśli ją oczywiście ma. Zaif bez trudu mógł sobie wyobrazić, że taką kobietę chętnie wybrałby Bukowski po porażce, jaką poniósł w małżeństwie.

– To niedopuszczalne – szeptała przerażona. – Dlaczego tak mnie traktujecie?! Jak jakiegoś... zbira!

– Ja tam nic nie wiem – odparł znudzony Poraj, widząc po raz nie wiadomo który

wypowiadający tę kwestię. – Agent do specjalnych...

– Nie rozumiem, czego ode mnie chcecie. Doktorze – zwróciła się błagalnym tonem do Zaifa. – O co tu chodzi? Czy jestem o coś oskarżona?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odparł z rezerwą Zaif. – Za chwilę przyjdzie tu agent...

W tym momencie drzwi znów otworzyły się z rozmachem i wszedł Jeziński we własnej osobie.

– Witam i przepraszam, że wezwaliśmy panią o tak późnej porze – powiedział szorstko. – Proszę siadać. Muszę zadać pani kilka pytań.

– Czy to nie mogło poczekać do jutra?

– Nie mogło.

– Ale...

– Ja tu zadaję pytania – uciął agent. – Pani tylko odpowiada. Czy to jasne?

– Tak – szepnęła słabo. Była już bardzo przestraszona.

– W ciągu ostatnich trzech miesięcy spotkała się pani z rajcą Bukowskim dziewięć razy, z czego sześć w Hotelu Polskim. Dlaczego?

– Ależ!... – wykrzyknęła kobieta i zaniemówiła. – Pan Bukowski prosił mnie o dokumenty w kilku sprawach, miałam mu też przepisać kilka rzeczy... To czysto służbowe sprawy!

– Może wcześniej, ale w lipcu oddano do użytku nowy ratusz i magistrat tam się przeniósł. Nie było potrzeby spotykać się w hotelu... ani w zajeździe pod Kaliszem.

Skotnicka splonęła rumieńcem.

– To był tylko spacer... Podczas majówki. Nie byliśmy sami ani przez chwilę!

A w zajeździe piliśmy tylko herbatę.

Agent zajrzał do teczek z zapiskami na temat Bukowskich.

– Czy to była majówka Towarzystwa Muzycznego?

– Tak – szepnęła.

– Odbyła się ósmego maja – przeczytał na głos. – O godzinie czwartej po południu członkowie Towarzystwa wyjechali do Noskowa, skąd pieszo udano się do lasu w Sulisławicach, następnie powrócono do Noskowa. Z nastaniem zmroku odpalono fajerwerki, a następnie przeniesiono się na salę, gdzie tańczono do godziny drugiej po północy<sup>80</sup>.

– Tak było – przytaknęła znów kobieta, odzyskawszy nieco pewności siebie. – Nie było w tym nic niestosownego.

– Czy ma pani romans z rajcą Bukowskim?

– Jak pan śmie! Jestem porządną kobietą!...

– Nie interesuje mnie, jak się pani prowadzi. Chcę wiedzieć, czy ma pani z nim romans.

Panna Skotnicka wciągnęła właśnie powietrze do płuc, by energicznie zaprotestować, ale wtrącił się Zaif.

– Nie ma sensu zaprzeczać – powiedział łagodnie. – Nikt się o tym nie dowie, zapewniam panią. Będziemy nadzwyczaj dyskretni. Potrzebne nam są jedynie pewne informacje, których tylko pani może udzielić.

Kobieta zawahała się, ale po chwili potrząsnęła głową.

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedziała, ale niezbyt pewnym tonem.

– Czy w dzieciństwie miała pani niańkę? – zapytał doktor.

Jeziński osłupiał. Niańkę?! A cóż to ma do rzeczy? Jego zdumienie było tak wielkie, że nie zdołał wydobyć z siebie głosu, więc Zaif mógł spokojnie kontynuować.

– Proszę odpowiedzieć, to ważne. Za chwilę powiem pani, jak bardzo i na co się pani naraża, zatajając informacje.

Kobieta wyraźnie się wahała. Wpatrzyła się intensywnie w oczy Zaifa i chyba dostrzegła w nich coś, co ją uspokoiło.

– Miałam – odparła.

– Nazywała się Gutowska i pochodziła ze wsi pod Kaliszem, prawda?

– Tak – szepnęła zdumiona i znów zaniepokojona.

– Jak się ta wieś nazywa?

Panna Skotnicka zamilkła.

– Proszę odpowiedzieć, to naprawdę ważne.

– Droszew.

– Ach, Droszew w pobliżu Kotowiecka, czy tak?

– Tak...

– Znam właściciela Kotowiecka, Józefa Morawskiego<sup>81</sup>. To już starszy człowiek, ma blisko osiemdziesiąt lat, ale świetnie się trzyma. Czy wciąż taki żywotny?

– Nie wiem, chyba tak.

– Dawno pani tam nie była?

– Właśnie.

– Gdzie jest to Kotowiecko? – wtrącił się agent. – Daleko stąd?

– Niezbyt daleko, ledwie kilkanaście wiorst – wyjaśnił doktor. – Ale już poza granicą i guberni, i Rosji. W zaborze pruskim.

– Zatem Droszew też jest za granicą?

– Jak najbardziej.

– A więc po to mu były te paszporty – mruknął agent.

– Tak, między innymi.

– Jakie paszporty? – spytała Skotnicka.

– Niech pani nie udaje niewiniątka – głos agenta był szorstki i daleki od kurtuazji, jaką zwykle okazywał damom.

– Walery, pozwól, proszę – wtrącił się Zaif. – Czy w Droszewie jest wiatrak?

– Tak, ale doprawdy nie wiem...

– Spokojnie, zaraz do tego dojdziemy. Czy na prośbę pana Bukowskiego umieściła tam pani jego córkę?

Skotnicka zbladła i zachwiała się na krześle.

– Więc to tak! – ryknął agent, zrozumiawszy wreszcie. Natychmiast się jednak uspokoił.

– Pani od początku wiedziała, że on porwał swoją córkę i nic nie powiedziała?! Przecież musiała pani słyszeć, że cała policja jej szuka?

– Wcale nie porwał! – zaprotestowała gorąco panna Skotnicka. – Zabrał ją tylko od tej okropnej kobiety! Wcale o nią nie dbała!

– Ma pani na myśli żonę czy niańkę? – zapytał agent, który nie lubił nieścisłości.

– Żonę, ale jaka tam z niej żona – prychnęła pogardliwie. – Zdradzała go. I tylko by się bawiła. Tańce, bale, teatr, toalety z Paryża... Tylko to jej było w głowie. Nie zajmowała się ani mężem, ani dzieckiem.

– Dlaczego pan Bukowski zabrał swoją córeczkę? – drążył agent tym razem już łagodnie, acz stanowczo. – Jednak to jest także dziecko jego żony. Ona je urodziła.

– Wiem – westchnęła i wyciągnęła chusteczkę. Wytarła oczy. – Mówiłam mu, że tak nie można. Ale on chciał wyjechać za granicę i tam wystarać się o rozwód. Mieliśmy zacząć nowe

życie, pobrać się, założyć rodzinę. Nie chciał zostawiać córki z żoną, bo bał się, że bez jego obecności ta kobieta zmarnowałaby jej życie. Kto wie, na kogo dziewczynka by wyrosła, mając tak zły przykład. Nie od razu, ale się zgodziłam. Dla dobra dziecka. To taka słodka istotka – rozpromieniła się. – Pokochałam ją jak rodzoną córkę. Dbałabym o nią, hołubiła...

– Nie przeszkadzało pani, że pan Bukowski zażądał okupu za własne dziecko? Czy to według pani moralne? Porwać dziecko i okraść żonę?

Panna Skotnicka spuściła oczy.

– Wiem, jak to wygląda, ale Teoś wytłumaczył mi, że to tylko dla odwrócenia uwagi. Miał te pieniądze oddać żonie zaraz po wyjeździe. Odesłałby je pocztą.

– O święta naiwności! – nie mógł powstrzymać się agent. Usiadł na krześle i oparł ręce na stole. Kobieta spojrzała na niego gniewnie.

– Pan go nie zna! – wykrzyknęła. – To dobry człowiek. Nie zrobiłby nikomu krzywdy! A że chciał lepszego losu dla siebie i córki? Cóż w tym złego?

– Niech pani nie będzie taka pewna. Czy zamawiała pani kaszmirowe szale w Paryżu? Zdumienie kobiety było widoczne, ale Jeziński nie mógł wykluczyć, że była zdolną aktorką. W końcu ratowałaby własną skórę.

– Czy pan oszalał? Jakże znowu szale? Mówiliśmy o dziecku Teosia, a pan z jakimiś szalami wyskakuje! Poza tym – dodała zaraz z lekkim żalem – nie stać by mnie nawet było na kaszmirowy szal. Po cóż zatem miałabym coś takiego zamawiać?

– Jest pani pewna?

– Oczywiście, że jestem. Nie jestem przecież głupia.

– Hm – chrząknął agent, ale natychmiast zamilkł.

– Nic nie wiem o żadnych szalach – mówiła tymczasem kobieta. – Proszę mi wierzyć. Dlaczego miałabym kłamać?

– Bo to byłoby równoznaczne z przyznaniem się do udziału w kilku zabójstwach – odparł spokojnie Jeziński.

Kobieta oniemiała. Po czym wstała z krzesła, ale się zachwiała.

– To... Niemożliwe... Pan jest... Pan jest...

I zemdląca.

Jeziński wstał i wychylił się za drzwi.

– Jasiu! – zawołał. – Przynies trochę wody. I może koniaku, jeśli coś takiego tu znajdziesz.

– Jest tylko gorzałka – odparł autorytatywnie Poraj, wsuwając głowę w drzwi. – O, zemdląca. No to przyniosę tej gorzałki. Też pomaga.

Zaif cucił tymczasem nieprzytomną kobietę. Posadził ją na krześle, ale musiał ją podtrzymywać, żeby się z niego nie osunęła.

– Nie wiedziałem, że możesz kobietę doprowadzić do takiego stanu – zakpił.

– No cóż, chyba faktycznie jest niewinna. W takim razie znów wracamy do punktu wyjścia, czyli jak wydusić z naszego rajcy informacje.

– Czy Bukowski się do czegoś przyznał pod wpływem aromatu z kurczaka? – zapytał niewinnie doktor.

– *Touché!* – roześmiał się agent. – A swoją drogą, skąd wiedziałeś o niańce i Droszewie? Przerwał, gdyż zemdlona kobieta drgnęła i otworzyła oczy.

– Co się stało? – spytała słabym głosem. – Chyba zemdlalam?

– Przykro mi – powiedział doktor łagodnie. – Zaraz ktoś odwiezie panią do domu.

Agent chciał zaprotestować, ale dał spokój. Zawsze zdążą ją aresztować, gdyż i tak była

pod stałą obserwacją.

– Jest ktoś, kto się może panią zająć? – spytał Zaif.

– Dam sobie radę.

Wstała i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę wyjścia.

– Czy ja dobrze rozumiałam? Teoś zrobił coś złego, tak? – zapytała jeszcze od drzwi.

– Obawiam się, że tak.

– Biedak, zagubił się. Wszystko przez tę kobietę, jego żonę. Ale w gruncie rzeczy to dobry człowiek. Nawet jeśli oszukiwał i kłamał, to przecież nie zrobił nic z gruntu złego.

Spróbujcie go zrozumieć i potraktujcie łagodnie. Przecież nikogo nie zabił!

Jezierski spojrział na nią poważnym wzrokiem. Zaif zerknął na niego i domyślił się, że przyjaciel doszedł już do tych samych wniosków, co on. Nic mu już nie musi mówić. Ale żał mu się zrobiło Skotnickiej i nie krył już współczucia.

Ta, widząc ich miny, zbladła i zachwiała się tak, iż Jezierski był pewien, że za chwilę znów zemdleje. Przysunął się bliżej, by zdążyć ją podtrzymać. Opanowała się jednak i już prawie krzycząc, powtórzyła ostatnie zdanie.

– Przecież on nikogo nie zabił!

– Niestety tak – westchnął agent.

## Rozdział 10

Podczas gdy w cyrkule rozgrywały się te dramatyczne sceny, inne, nie mniej dramatyczne wydarzenia, miały miejsce gdzie indziej.

Mężczyzna pierwszy raz w życiu widział coś takiego. W odległości kilku metrów przed nim wznosiła się ściana z żelaza. Do samego sufitu. Ludzie, stał przed ścianą z żelaza! Z żelaza! Z tego, co mu powiedziano, wszystkie ściany tego dziwnego, niezbyt dużego pomieszczenia, zostały wykonane z tego metalu, choć on widział tylko tę jedną. Podobno do innych brakowało dostępu. Było mu to całkowicie obojętne. Tak czy inaczej wydedukował, że ów dziwny pokój umiejscowiono wewnątrz domu niczym jakieś pudełko. Nie miał okien, tylko te metalowe ściany. No i gdzieś musiały być drzwi. Zupełnie jak dużych rozmiarów sejf, przemknęło mu przez myśl.

Ściany z żelaza! Mimo że stał niemal na wyciągnięcie ręki od jednej z nich, wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom! To musiało być niezmiernie trudne i kosztowne przedsięwzięcie. W końcu był kowalem, znał się na tym. Ludzie, którzy tu go przywieźli, powiedzieli mu, że próbowali wejść z różnych stron, ale okazało się to niemożliwe. Zagrożenie dla życia, stwierdzili krótko. Nie sprawdzono jeszcze tylko tej ściany, ale z całą pewnością gdzieś w niej były drzwi. Płacili dużo, bardzo dużo. W środku musiało być zatem coś niezmiernie cennego, ale jemu nic do tego. Wystarczyłyby mu pieniądze, które obiecali zapłacić za otwarcie tego przeklętego sejfu.

Spojrzął teraz na posadzkę, po której musiał przejść, by dotrzeć do ściany. Ułożono ją z białych i błękitnych płytek dość dużych rozmiarów, ale rozmieszczonych nieregularnie. Nie na przemian białą i błękitną, lecz jakoś tak bez ładu i składu, przypadkowo. Jakby ktoś brał płytki, nie patrząc na ich kolor, i układał je na zaprawie. Pomiędzy nimi błyskały wąskie paski metalu. Często, lecz nie zawsze, były ułożone równoległe do siebie, jakby zrobiono z nich fugi.

Mężczyzna nie zwrócił na to większej uwagi. Nie miał czasu zwracać sobie głowy fanaberiami bogaczy. Mimo to zauważył, że płytki jednak dobrano kolorem do tej części pokoju, w której stał. Przeciwnie do ściany tonęła w mroku, więc nie był pewny jej barwy, ale najbliższa była pomalowana na piękny, niebieski kolor, przypominający błękit nieba. W regularnych



odstępach wisiały na niej ni to obrazy, ni to płaskorzeźby wykonane z jakiegoś metalu. Może nawet ze srebra. Były pełne otworów, jak ser szwajcarski. Jakieś nowomodne dzieła sztuki, pewnie cenne, ale nie znał się na tym.

Spojrzał w górę. Sufit był biały. Omiótł wzrokiem resztę pokoju. Wszystkie sprzęty były tapicerowane lub pomalowane na błękitno, z białymi dodatkami. Firany w jedynym oknie, które widział z tego miejsca, były białe, zasłony błękitne. W sumie byłby to bardzo piękny pokój, gdyby nie wielkie, metalowe pudło zajmujące jego dalszą część. Sejf wielkości małego pokoju zbudowanego wewnątrz większego pokoju. Taka matrioszka, tylko nie z drewna. No i z pewnością nie zabawka dla dzieci.

Czas zaczynać. Nie ma co dłużej stać i wpatrywać się w to dziwadło, które wymyślił jakiś wariat. Uprzedzili go, że może być niebezpiecznie, ale nikt nie potrafił powiedzieć, na czym owo niebezpieczeństwo może polegać. Ostrożnie postąpił krok do przodu, wchodząc na białą płytkę. Nie wiedzieć czemu, skojarzyło mu się to z warcabami, a on zawsze lubił grać białymi. Nauczył się tej gry od biednego jak mysz kościelna nauczyciela, który wiele lat mieszkał na stacji u jego sąsiadki i, niestety, nie umiał się obejść bez alkoholu. Inaczej nie byłby taki biedny.

Zrobił kolejny krok. Nic się nie stało. Może to niebezpieczeństwo czyhało dopiero przy ścianie? To miałyby, jego zdaniem, większy sens.

Kolejny krok i znów nic. Powoli zaczął się odprężyć, więc wypuścił powietrze z płuc i dopiero wtedy zauważył, że z wrażenia wstrzymał oddech. Do licha, na stare lata będę płochliwy jak mysikrólik, pomyślał, uśmiechając się do siebie.

No, idziemy dalej. Jeszcze jeden krok.

Czy coś świsnęło, czy tylko mu się wydawało? Niemożliwe, przecież słyszy nie świst, a łomot, coraz szybsze stukanie. Co to za dziwny dźwięk? Nagle poczuł dziwne bóle brzucha, zaczął widzieć niewyraźnie, jakby podwójnie. Co, u licha? Dlaczego z ust cieknie mu ślina? Dygocze cały jak w febrze. Niedobrze, coś mu musiało zaszkodzić, pomyślał. Trzeba wrócić i chwilę odpocząć. Ściana może poczekać. Och, jakie ma zdrętwiałe nogi! Tak, trzeba odpocząć.

Aniela Skotnicka także czuła dreszcze. Czy dobrze usłyszała? Teoś kogoś zabił? Spojrzała najpierw na Zaifa, a potem na agenta. Nie żartowali. Jezierski wzrok miał surowy, lecz jednocześnie pełen współczucia.

Ramiona kobiety opadły, jak pod ciężarem ponad siły. Lecz po chwili wyprostowała się, gotowa na przyjęcie tego, co niósł los.

– Może mi pan powiedzieć całą prawdę – oznajmiła. – I zaraz sobie pójdę.

– W rzeczach pana Bukowskiego znaleźliśmy kwit z paryskiego sklepu o nazwie „Beau Monde”. Z pani nazwiskiem jako osoby zamawiającej kaszmirowe szale.

Skotnicka wydawała się zdziwiona, ale odparła:

– Przecież to jeszcze nie zbrodnia.

– Nie. Lecz szale te wysyłał później wybranym kobietom, którym następnie jego współnik podrzynał gardła.

Aniela milczała. Zgarbiła się i opuszczała głowę na piersi, cała sylwetka wyrażała skrajne przygnębienie.

– Musiała pani słyszeć o zabójstwach kobiet. Już trzy straciły życie.

– Tak – odezwała się wreszcie bezbarwnym tonem. – Słyszałam. Ale po co by to robił? Po co kazał zabijać te kobiety?

Agent zawahał się i spojrzał na Zaifa, który nieznacznie skinął mu głową.

– Przypominały jego żonę – podjął doktor. – W ten sposób symbolicznie ją unicestwiał.

– Rozumiem – powiedziała tylko.

Wstała i podziękowawszy cicho, wysunęła się z pokoju. Jezierski wyszedł za nią, by wydać dyspozycję odwiezienia kobiety do domu. Wrócił po dwóch minutach.

– A teraz mów, o co tu chodzi, bo nie wszystko jeszcze rozumiem – zażądał podekscytowany. – Skąd wiedziałeś o Bukowskim i tej niańce?

– Już wcześniej chciałem ci powiedzieć, że o zlecenie zabójstw kobiet podejrzewam Bukowskiego, ale najpierw nie miałem pewności, a potem ciągle ktoś mi przerywał.

– Mów teraz, serdecznie. Cały zamieniam się w słuch. Porównamy nasze wnioski.

– Jeśli chodzi o niańkę panny Skotnickiej, to zgadywałem. Po prostu strzelałem.

– Co ty mi tu usiłujesz wmówić?

– Naprawdę. Ten list dał mi do myślenia, choć nie odgadłem nazwy miejscowości. Lecz gdy tylko Skotnicka powiedziała, że miejscowość nazywa się Droszew, wszystko mi się poukładało. Powiedz lepiej, jak doszedłeś do tego, że Bukowski ma coś wspólnego z zabójstwami kobiet? Pewnie po kwicie?

– Oczywiście. Wydaje się niemal całkowicie zatarty, lecz użyłem lupy. I znalazłem końcówkę słowa „beau”, właściwie samo „eau”, ale zaraz potem było coś, co wyglądało na „monde”. Przynajmniej mogło tak wyglądać, bo faktycznie trudno tam cokolwiek odcyfrować. Dalej znalazłem „tnicka”. A że było to w rubryce, gdzie winno figurować nazwisko zamawiającego, przyszło mi do głowy, że Bukowski naprawdę posłużył się nazwiskiem swej kochanki, by zakupić szale. Teraz trzeba tylko sprawdzić, kto je odebrał w jej imieniu. I zdobyć opis tej osoby. Może ktoś zauważył jakiś charakterystyczny element w wyglądzie, ale wątpię – tu Jezierski posępnie pokiwał głową. – Gdzie tu u Bukowskiego znaleźć coś charakterystycznego – westchnął. – Sam powiedziałaś, że to zupełnie nijaki człowiek i trudno go zapamiętać.

– A jednak ma coś wyróżniającego. Niewielkie, brązowe znamię na grzbiecie prawej dłoni, u nasady kciuka. Nie większe niż pół centymetra.

Agent się ożywił i wstał z krzesła.

– Zaraz każę to sprawdzić – powiedział. – Ale wyjaśnij mi, co cię skłoniło, by go w ogóle podejrzewać? Zdaje się, że doszedłeś do tego nieco wcześniej niż ja, choć nie zdążyłeś nic powiedzieć.

– Na Bukowskiego naprowadził mnie przede wszystkim wygląd zabitych kobiet.

Wszystkie miały ten sam typ urody, co jego Basieńka.

– Ach, to dlatego pytałeś, czy kogoś mi przypominają?

Zaif kiwnął głową.

– Dziwny powód do podejrzewania kogoś o zbrodnię. Poza tym jakoś nie wydaje mi się, by ją przypominały.

– Bo Bukowska farbuje sobie włosy, no i jako kobieta bogata jest lepiej ubrana. Lecz figura, kolor włosów... oryginalny – zastrzegł – ...wszystko przypominało jego żonę. Wiek i karnacja też się zgadzały.

– Dobrze już, dobrze, wierzę ci. Co dalej?

– Miał też motyw. Nienawidził żony, a jednocześnie ją kochał lub przynajmniej pożądał. No i bał się. Nie potrafił sam jej zabić, więc wymyślił sobie zabójstwa w zastępstwie. Doktor Freud miałby tu o wiele więcej do powiedzenia. Lepiej by ci to wszystko wyjaśnił.

– A cóż to za jeden? Chyba go nie znam?

– To możliwe. To austriacki lekarz, neurolog i psychiatra, twórca psychoanalizy, zaczyna być znany w świecie. Chociaż porzucił praktykowanie religii swoich rodziców, zawsze

podkreślał, że jest Żydem, tak jak ja.

– Obawiam się, że nic o nim nie słyszałem.

– Nie szkodzi. Według niego wiele zaburzeń w psychice człowieka ma podłoże seksualne...

– Jakubie! – wykrzyknął Jeziński, świetnie udając zgorzenie.

Doktor zaczerwienił się.

– Mniejsza z tym. Jeśli będziesz chciał, pożyczę ci kilka prac, które napisał. Są niezmiernie ciekawe.

– Nie wątpię – uśmiechnął się agent i mrugnął porozumiewawczo. – Wróćmy jednak do Bukowskiego.

– Oczywiście. Jak już mówiłem, nienawidził żony, a jednocześnie jej pożądał. Za krzywdy, jakie mu wyrządziła, pragnął się zemścić. Zatem postanowił ją zabić. Ale że sam nie potrafił zmusić się do tak gwałtownego czynu, posłużył się kimś innym. Znalazł jakiegoś biedaka, pewnie na wpół szalonego lub po prostu głupiego, i coś mu tam wmówił, żeby go skłonić do zabójstwa. Niestety, nie wiem, kto to jest ani co powiedział mu rajca. Jestem jednak pewien, że ma współnika.

– Ha! – wykrzyknął agent. – Może to on zabrał to coś, co Bukowski przerzucił przez mur cmentarza!

– O, nie znaleźliście tego? – zdziwił się Zaif.

– Moi ludzie pokpili sprawę. Ale nadrobą to. Już ja o to zadbam.

– To jeszcze nie wszystko.

Doktor wziął do ręki woreczek z kosztownościami i wysypał je na stół.

– Czy coś ci to mówi? – zapytał.

Agent tylko rzucił okiem i gwizdnął.

– Ależ to znaczy, że Bukowski...?

– Tak – kiwnął głową Zaif. – To on włamał się do Repphanów. Sądzę jednak, że nie klejnoty były jego prawdziwym celem.

– A co?

– To – doktor wskazał jeden z kluczy znalezionych przy Bukowskim. Pojedynczy, dość duży. – I jeszcze coś.

– Klucz? Ale po co? I od czego ten klucz?

– Podejrzewam, że od zamka w kaplicy Repphanów.

– Czyżby to on pochował tam te ciała? – z niedowierzaniem spytał agent.

– Skądże znowu! Mówiłem ci, że ciała mają dobrych kilka miesięcy i przy zamku były stare rysy. Ktoś tam się kiedyś włamał, ale nie nasz rajca. A teraz, nie zapominaj, miał klucz.

– No dobrze, ale po co mu on? Zaraz, zaraz, pewnie chciał, by złożono tam okup. Nie wiedział, kogo żona wyśle z resztą pieniędzy. Mógł tylko mieć nadzieję, że jego, ale całkowitej pewności nie miał. No i obawiał się policji. Na pewno bał się, że ktoś mi w końcu doniesie o drugim liście, i *notabene*, tu miał akurat rację. Lecz gdy Repphanowie znaleźli tam podrzucone zwłoki, musiał zrezygnować z tego pomysłu. Pamiętam, że rajca był jedną z osób widzianych w pobliżu cmentarza ewangelickiego. Zełgał, że jedzie odwiedzić grób matki na cmentarzu obok. Ale mówiłeś też, że do Repphanów zakradł się po klucz i po coś jeszcze. Po co?

– Po szal baronowej von Treskow.

– Sądziś, że to on go ukradł?

– Jestem pewien. Widziałeś, jaki siedział zachmurzony przy stole, a potem humor mu się nagle poprawił. Sama baronowa podsunęła mu pomysł, jak wybrnąć z niebezpiecznej sytuacji.

– No tak. Baronowa nic mu nie zrobiła i w niczym nie przypominała jego żony. Gdy zobaczył na jej ramionach taki sam szal, jakim znakował kolejne ofiary, przestraszył się, że jego współnik zobaczy ją na ulicy i zabije. Nie chciał tego, więc postanowił go jej ukraść. Schował szal gdzieś, pewnie podczas zamieszania, jakie powstało, gdy zemdląca panna Miller. Bał się mieć go przy sobie, żeby ktoś ze służby albo Basieńka nie znaleźli go przy nim. Później wrócił po niego. Ale po co mu klejnoty Repphanowej?

– Och, sądzę, że chciał upozorować włamanie i zrzucić winę na jakiegoś złodzieja.

– No ale włamania nie musiał pozorować, bo włamał się naprawdę.

– No tak. Chodziło mi raczej o to, żeby wszyscy myśleli, iż włamał się jakiś zwykły złodziej.

– Rozumiem. Chciał odwrócić od siebie uwagę.

– Tak jakby.

– No cóż, Jakubie, chyba możemy być z siebie dumni. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Jedź do domu odpocząć.

– Ale...

– Żadnego ale. Dość już zrobiłeś. Bądź pewien, że zawiadomię cię potem o wszystkim.

– Ale może jeszcze się przydam...

– Idź się wyspać.

– A ty?

– Noc jeszcze młoda. Już ja teraz przycisnę naszego Teosia, aż mu dym uszami pójdzie.

Zaif poczuł się nagle ogromnie zmęczony. Faktycznie, tyle się dzisiaj wydarzyło! Sam był zaskoczony, że udało im się dociec prawdy przy tak mizernych wskazówkach. Ziewnął i dźwignął się z krzesła.

– Wiesz, chyba masz rację. Potrzebuję trochę snu. Czuję, że mój mózg nic więcej już z siebie nie wykrzesze.

– Ja przyduszę Bukowskiego, by przyznał się do winy. To znacznie ułatwi postawienie łajdaka przed sądem i zaprowadzenie go na szubienicę.

– Myślisz, że go powieszają?

– Nie jestem pewien. Wszak nie zabijał osobiście. Na czas zgonów tych kobiet zawsze miał alibi. Wszystko zatem wskazuje na to, że musi być ktoś jeszcze. I znajdziemy go. A co do Bukowskiego, możliwe, że dostanie czterdzieści lat katorgi. Zobaczymy. Grunt, że poniesie karę.

– Tak, to najważniejsze. Nic nie zwróci życia tym kobietom, ale ich rodziny zyskają jakieś zadośćuczynienie. Najgorzej, gdy zbrodniarz pozostaje bezkarny.

– Musimy jeszcze odzyskać dziecko i oddać je matce.

– Nie pojedziesz chyba teraz, w nocy?

– Nie, wybiorę się tam jutro. Potrzebne mi będą dokumenty, które ułatwią współpracę z pruską policją.

– Zabierz mnie ze sobą!

– Jeśli pojedę jutro, nie zdążysz odpocząć.

– Zdążę, nic mi nie będzie. Tak bardzo chciałbym przy tym być!

– Ależ oczywiście, jeśli tak ci zależy – agent serdecznie poklepał go po plecach.

– Kiedy zawiadomisz panią Bukowską? Musi się niepokoić, że mąż do tej pory nie wrócił.

Agent zaklął pod nosem.

– Całkiem o tym zapomniałem – przyznał. – Nie ma rady, trzeba ją zawiadomić, że Bukowski jest u nas. Nie chciałbym jednak mówić jej całej prawdy, zanim nie odzyskamy

dziecka. Kiedy już będzie miała przy sobie córeczkę, łatwiej jej przyjdzie pogodzić się z prawdą o mężu.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Walery. Obyś nigdy nie zatracił współczucia dla ofiar. Nawet tak niemiłych jak pani Basieńka. No, czas już na mnie. Do jutra.

– Do jutra. Wyśpij się, przyjacielu, bo mimo że rozwiązaliśmy zagadkę porwania i zabójstw kobiet, przed nami nadal nierozwikłana tajemnica zabójstw rzemieślników.

– No i wciąż nie mamy współnika Bukowskiego, a to on stanowi fizyczne zagrożenie.

– Tak, pan Bukowski ma nam jeszcze wiele do powiedzenia.

W tym samym mniej więcej czasie panią Bukowską przed złożeniem natychmiastowej skargi u gubernatora powstrzymała tylko późna noc. Jednak już następnego dnia wdarła się niczym furia do pałacu. Krzyczała i miotała się tak, że Jacenty był zmuszony poprosić swego pana o przyjęcie tej damy. Gubernator Daragan z uwagą wysłuchał, co miała do powiedzenia, a nawet znacznie więcej. Powiedział, iż natychmiast wyjaśni tę kwestię, ale jako że z pewnością zajmie to trochę czasu, sugerowałby jej powrót do domu, by tam czekała na wieści.

Bukowska wyszła co prawda z jego gabinetu, ale w poczekalni oświadczyła, że nie ruszy się stąd ani na krok, dopóki jej mąż nie zostanie zwolniony, a sprawcy bezprawnego zatrzymania ukarani.

– Jak pani sobie życzy – odparł z rezygnacją Jacenty i oddalił się czym prędzej, zostawiając kłopotliwą niewiastę straży.

Jeśli jednak pani Basieńka spodziewała się, że zobaczy wchodzącego do pałacu agenta do specjalnych poruczeń, któremu chętnie by wydrapała oczy, to się zawiodła. Gubernator skorzystał bowiem z telefonu, jaki łączył jego apartamenty z gabinetem Jezierskiego oraz z cyrkułem. Uważnie wysłuchał krótkiej, lecz treściwej relacji, upewnił się co do kilku szczegółów i zdecydował, że Bukowski pozostanie w areszcie. Kazał zanieść tę wiadomość jego żonie wraz z informacją, że wszystko zostanie skrupulatnie wyjaśnione. W holu rozpętało się prawdziwe piekło, ale pani Basieńka musiała w końcu ulec przewadze liczebnej i fizycznej pałacowej straży. Została niemal siłą odwieziona do domu, gdzie nakazano jej oczekiwać na dalsze wieści. Dwóch stójkowych pozostało na straży jej drzwi, by w razie czego nie dopuścić jej do pałacu gubernatora, gdyby przyszła jej ochota wyjść z mieszkania.

Natomiast agent w tym czasie wrócił do przesłuchiwania Bukowskiego, który odmawiał zeznań i cały czas twierdził, że jest niewinny. Jezierski wpadł wtedy na pewien pomysł. Miał nadzieję, że tym razem coś osiągnie, gdyż sam był już porządnie zmęczony. Rajca także, ale nie chciał przyjąć do wiadomości, że gra skończona i policja wie praktycznie o wszystkim, poza nazwiskiem jego współnika i miejscem ukrycia pierwszej części okupu. Najwyraźniej wciąż miał nadzieję, że jakoś się z tego wszystkiego wykręci.

Gdy Jezierski wrócił do pokoju przesłuchań, miał taki zadowolony wyraz twarzy, że Bukowski nieco się zaniepokoił.

– Uparł się pan jak osioł i odmawia zeznań – zaczął agent z wesołym uśmiechem.

– Oczywiście nic to panu nie da, ale byłoby nam wszystkim łatwiej...

Już miał powiedzieć „skazać pana”, ale w porę się powstrzymał. Trudno, by aresztowany przejawiał chęć pomocy w tej materii.

– ...I oszczędziłoby wielu kosztów społeczeństwu. Jako rajca doskonale pan wie, że procesy sądowe są finansowane ze środków publicznych. Ale mniejsza z tym.

Agent zamilkł na chwilę, by zapalić cygaro. Po czym ciągnął dalej:

– Skoro jednak nie chce pan nic powiedzieć, a przede wszystkim zdradzić nazwiska współnika, postanowiłem przywieźć tu pańską żonę. Przedtem jednak – wydmuchnął dym

i przez kilka sekund wpatrywał się w sufit, by wzmocnić wrażenie – zamierzam dokładnie ją poinformować o pańskich winach.

Bukowski pobladł lekko, ale mężnie odparł:

– Może pan robić, co się panu podoba. Basieńka nigdy nie uwierzy w te bzdury, które pan chce jej wmówić.

– Mnie mogłaby nie uwierzyć. Zamierzam jednak zabrać ją do Droszewa, by sama się przekonała, kto i gdzie umieścił jej dziecko. Ci ludzie na pewno dokładnie opiszą jej pańską osobę, jeśli był pan na tyle ostrożny, że podał im fałszywe nazwisko. Odzyska córeczkę, a to dla niej najważniejsze. A córeczka chyba pamięta, kto ją zabrał na wieś...

Agent znów przez chwilę zajmował się cygarem.

– Gdy dziecko będzie już bezpieczne w domu, przywiozę pańską żonę tutaj i zostawię ją z panem sam na sam. Ja, rzecz jasna, będę tuż obok, żeby nie stała się jej żadna krzywda. Ale przymknę oczy na jej atak złości, który niewątpliwie nastąpi.

Żadnej reakcji.

– Zrozumie, człowieku – zirytował się w końcu agent. – Nic cię już nie uratuje. Może uda ci się uniknąć stryczka, jeśli nam powiesz, kto był twoim współnikiem i gdzie go znajdziemy.

Cisza.

– To twoja jedyna szansa. Nikt ci nie pomoże. Kiedy żona dowie się, co zrobiłeś, nie kiwnie palcem w twojej sprawie. Nie licz na to, że pójdzie do jakiegoś możnego protektora, by się za tobą wstawił. Rozwiedź się z tobą albo poczeka, aż zadyndasz i zostaniesz wdową. Szybko znajdzie pocieszenie w ramionach innego, i to on będzie wychowywał twoją córkę. Panna Skotnicka także nie będzie cię bronić, dając fałszywe alibi na czas porwania. Już się dowiedziała, jak się posłużyła jej osobą przy kupnie szali. Wie także, iż to ty zlecałeś zabójstwa tych kobiet. Ich jedyną winą było lekkie podobieństwo do twojej żony. I to tylko zewnętrzne. A twoja żona wciąż żyje...

Bukowski zaklął szpetnie.

– Ta suka zniszczyła mi życie! – krzyknął, a w jego głosie zabrzmiała prawdziwa udreka. Agentowi przez moment zrobiło się go żal, ale uczucie to minęło natychmiast, gdy przypomniał sobie, że trzy niewinne kobiety poniosły śmierć z powodu fanaberii pana rajcy. – Już dawno bym zwariował, gdybym nie znalazł sposobu, jak ją unicestwić... nie zabijając przy tym! Te kobiety były do niej takie podobne! Gdy umierały, to tak, jakby ona umierała... Ale ja nikogo nie zabiłem, tylko szale wskazywały osobę, która musi umrzeć...

– Czy to znaczy, że przyznaje się pan do zabicia tych kobiet?

Bukowski przez chwilę jakby się wahał, lecz nie trwało to długo. Jego twarz wykrzywił gniew przemieszany z triumfem.

– Niczego mi nie udowodnicie! – krzyknął.

Przez następną godzinę agent próbował wyciągnąć z rajcy przyznanie się do winy lub chociaż jakieś szczegóły dotyczące zabójstw, a już szczególnie współnika, lecz była to walka z wiatrakami. Bukowski raz podawał jakieś informacje, potem je odwoływał, kluczył i kręcił tak, że Jeziński miał ochotę solidnie mu przyłożyć. W końcu nie wytrzymał i stwierdził, że jeśli rajca nie zacznie mówić, zrobi wszystko, by został powieszony. Bukowski przez chwilę milczał, osłupiał, a potem wybuchnął histerycznym śmiechem, który po chwili przerodził się w atak gniewu.

– Nie boję się was! – ryczał tak, że niemal szyby drżały w oknach. – Słyszycie, wy carskie pacholki?!

Przez następnych kilka minut miotał przeróżne bluźnierstwa, jakby wpadł w szał. Potem osłabł i położył głowę i ramiona na stole. Jezierski odczekał trochę i już miał znów zacząć mówić, gdy usłyszał... chrapanie. Bukowski zasnął! Agent dawno nie widział takiego zachowania u zatrzymanego. Dodatkowo zaskoczył go fakt, że zachowuje się tak właśnie słaby i nijaki rajca, ostatnia osoba, którą by o to podejrzewał. Zaniepokoił się i postanowił omówić to z Zaifem. Był bardzo zmęczony, gdyż nie spał już ponad dobę. Uważał jednak, że nie ma czasu na słabość, bo najwyraźniej w tej sprawie tkwi jeszcze jakiś haczyk, a on go na razie nie dostrzega. Kazał sobie zrobić dzbanek mocnej kawy i kilka kanapek.

W tym czasie obmył twarz w zimnej wodzie i posłał Jaśka po świeże ubranie. Zatelefonował też do gubernatora z prośbą o szybkie przygotowanie dokumentów, które ułatwią mu kontakty z pruską policją. Wyjaśnił, że zamierza jechać z Zaifem po porwane dziecko i nie chce żadnych komplikacji, które by to opóźniły. Zamierzał też zabrać Bukowską, ale pomny jej niedawnego wystąpienia gubernator szczerze mu to odradził.

W południe wszystko było gotowe do drogi. Pasażerowie także. Jezierski z Jakubem wsiedli do jednego powozu, a Poraj z Sokołowem do drugiego. Ruszyli.

– Ten Bukowski dziwnie się zachowuje – poskarżył się Zaifowi agent, gdy tylko omówili sposób postępowania w Droszewie.

– Co masz na myśli? – zainteresował się doktor.

– W ogóle nie przyjmuje do wiadomości, że mamy dość dowodów, by go zamknąć i skazać. Nic nie chce mówić. Wymyśliłem więc sobie, że może zmięknie, gdy mu zagrozę, że przyprawdę do cyrkułu jego żonę, przedstawię jej wszystkie fakty i zostawię z nim sam na sam przez jakiś czas.

– Nie przestraszył się? – zdziwił się Zaif.

– Z początku tak, nawet pobladł, ale szybko odzyskał pewność siebie i znów zaciął się w sobie. Niby w końcu się przyznał, że ma związek z zabójstwami tych kobiet, ale potem wszystko odwołał. Bezczelnie oznajmił mi, że niczego mu nie jestem w stanie udowodnić! No cóż, to się jeszcze okaże. Po chwili wpadł w gniew i zaczął strasznie kłąć. Nie wyobrażałem sobie nawet, że może znać takie słowa! Nigdy też nie podejrzewałbym go o takie reakcje. Jakby wpadł w szał.

– Rzeczywiście, to dziwne zachowanie. Bardzo jestem ciekaw jego powodów.

– Ja też. Myślałem, że wyjaśnisz mi, o co tu może chodzić.

– Walery, czy ty masz mnie za cudotwórcę?

Jezierski chrząknął, by pokryć zmieszanie.

– No może nie aż tak... Ale w końcu jesteś lekarzem i...

– Ale nie psychiatrą!

– Pomyśl jednak trochę nad tym. Może ci przyjdzie coś do głowy.

Zaif westchnął.

– Powtórz mi w miarę dokładnie, co mówiliście, ale naprawdę nie licz na zbyt wiele.

Jezierski natychmiast odzyskał humor i rozpoczął relację z przesłuchania. W ten sposób minęła im większa część podróży. Pod jej koniec doktor zamyślił się nad tym, co usłyszał od przyjaciela, natomiast agent, pozbywszy się balastu, który przerzucił na barki doktora, rozparł się wygodnie i zapalił cygaro.

Formalności z pruską policją nie trwały długo, w czym wydatnie pomógł opatrzony wszelkimi pieczęciami i podpisami dokument od gubernatora Daragana. Dostali nawet do pomocy dwóch umundurowanych policjantów, by wszystko odbyło się zgodnie z przepisami, gdyż Jezierski nie miał tu żadnej władzy. W Droszewie zapytali o drogę do gospodarstwa

Gutowskich. Leżało ono nieco na uboczu, z dala od reszty wsi. Po drodze minęli wiatrak, stojący nieopodal kościoła.

– To jest właśnie koźlarz – powiedział Zaif. – Takie wiatraki stawia się od kilku setek lat. Początkowo w Belgii lub północnej Francji, ale sam pomysł pochodzi z Chin lub Persji. Tak zwany koziół tworzy tu specjalną podstawę podtrzymującą słup stanowiący pionową oś, wokół której obraca się całą konstrukcję wiatraka wraz z mechanizmem po to, aby jego skrzydła mogły przyjąć odpowiednie położenie w stosunku do poruszającego je wiatru. Konstrukcja ta jest drewniana, a na zewnątrz pokryta gontem. Wiatrak ma trzy kondygnacje: dolną zajmuje stabilizująca konstrukcja kozła, dwie wyższe są przeznaczone do produkcji mąki.

– Na pewno znasz też jakąś ciekawostkę związaną z wiatrakami – uśmiechnął się agent.  
– Sądzę, że będzie ona znacznie bardziej interesująca od informacji na temat ich budowy.

Zaif także się uśmiechnął.

– Ze względu na koszt i ciężar gontowe ściany początkowo nie sięgały do samej ziemi i odsłaniały widoczny z daleka koziół. Ten widok dał zapewne początek bajkom o chatce na kurzej łapce. Chociaż być może w ten sposób chciano zniechęcić dzieci do zbliżania się do wiatraka. Jak łatwo się domyślić, jego skrzydła bywają przyczyną wielu śmiertelnych wypadków.

We wskazanym miejscu skręcili w boczną drogę ciągnącą się malowniczymi zakosami wśród pól. Przepiękny, sielski krajobraz rozmarzył agenta, który nagle pomyślał, jakby to było przyjemnie mieć domek na wsi. Albo jeszcze lepiej całe gospodarstwo, by móc się zajmować rolą, a może i hodowlą... Pieniądzy przecież oboje mają dość, może by tak wycofać się na wcześniejszą emeryturę? Cisza, spokój, dzieciaki rosłyby sobie na świeżym powietrzu i swobodzie, jadły świeże warzywa, jaja dopiero co zniesione przez kury i mleko prosto od krowy, a oni z Deborahą... Potrząsnął głową. Nie czas teraz na takie marzenia, ma zadanie do wykonania. Później jednak pomyśli nad tym i porozmawia z żoną.

Zagroda Gutowskich była skromna, lecz zadbana. Wszystko wokół uporządkowane, żadne niepotrzebne sprzęty nie szpeciły świeżo zagrabionego podwórka. Nieduży drewniany domek tonął w kwiatkach, wśród których baraszkowały trzy kociaki. Obok wejścia, pod ścianą stała drewniana ławeczka, na której wygrzewał się w słońcu jakiś starzec. Na widok obcych powozów, z których wysiadło sześć osób, w tym dwie umundurowane, staruszek krzyknął ze strachu i wbiegł do chałupy. Po chwili usłyszeli jakiś rumor, jakby ktoś przewracał meble.

– Czy on barykaduje wejście? – spytał zdumiony takim przyjęciem agent. – Przecież nic im nie zrobimy. Z pewnością przyjęli dziecko w dobrej wierze i nie wiedzą nic o porwaniu.

– Może wystraszył się na widok mundurów – zasugerował doktor.

– Tak, to możliwe. Jest taki stary, że pewnie brał udział w którymś z waszych powstań. Może ma teraz uraz.

Pruscy policjanci, na których ucieczka staruszka nie zrobiła wrażenia, podeszli do drzwi. Teraz łomotali w nie, krzycząc coś jednocześnie po niemiecku.

– Walery, powiedz im, że może lepiej porozmawiać z tym człowiekiem po polsku – poprosił Zaif.

– Spróbuję – odparł agent i podszedł do policjantów.

Po chwili wrócił, z trudem hamując uśmiech.

– Oni nie znają polskiego. Namówiłem ich jednak, żeby pozwolili mi spróbować z nim porozmawiać.

To mówiąc, podszedł do drzwi i rozpoczął pertraktacje. Uparty staruszek długo nie dawał się przekonać, ale wreszcie uległ perswazjom. Być może jakąś rolę odegrało tu kilka banknotów



o wcale nie miałym nominale, które agent wsunął w szparę pod drzwiami. W końcu drzwi się otwały i wszyscy mogli wejść do środka. Doktor z zadowoleniem pokiwał głową na widok schludnego wnętrza. Stary wyszedł do sionki i krzyknął coś w głąb domu.

– Napijcie się zsiadłego mlika? – spytał w nagłym ataku gościnności. – Na dworze upała, a mliko chłodzi się w ziemiance.

Doktor przyjął poczęstunek, a za nim, choć z rezerwą, także jego towarzysze. Po chwili do kuchni weszła nieśmiało jakaś młoda kobieta, prowadząc ze sobą kilkuletnią dziewczynkę. Za nimi cicho wsunęła się starsza niewiasta. Nie sprawiała wrażenia przestraszonej.

– Która z was to Gutowska? – zapytał Jezierski, spoglądając na przemian na obie kobiety.

– Ja jestem Maria Gutowska – powiedziała starsza z kobiet. – A to moja synowa, Helena. Też już Gutowska. O co chodzi? Czemu policja nas nachodzi? Nie zrobiliśmy nic złego.

– Z pewnością – rzekł uspokajająco agent. – Jednak dziecko, które u was umieszczono, zostało uprowadzone.

– Jezusie, Mario! – przeżegnała się kobieta. – Nie może to być! Toć sam ojciec je tu przywiózł!

– Tak, lecz odebrał je matce i wywiózł za granicę. Chciał zacząć nowe życie u boku... panny Skotnickiej – dodał, w ostatniej chwili gryząc się w język, by nie powiedzieć „kochanki”. – Żonie wmówił, że to jakiś porywacz, który żąda okupu. Tak więc porwał własne dziecko, okradł żonę i chciał uciec. Oszukał też pannę Skotnicką. Teraz już nie chce mieć z nim nic wspólnego.

– Na rany Chrystusa! A tak porządnie wygląda! Nie jak zbir, tylko jak zamożny, stateczny pan, nie byle kto!

– Tak też jest w istocie, ale przestępstwa popełniają różni ludzie, nie tylko zbiry.

– Święta prawda – stwierdził stary Gutowski i umilkł.

– Nie myślicie chyba, panowie, że my maczali w tym palce...? – przestraszyła się synowa Gutowskich.

– Nie, ale musimy zabrać dziewczynkę i oddać ją matce. Ona bardzo rozpacza, nie wie, gdzie córka jest i czy nie dzieje się jej krzywda.

– Ależ uchowaj Boże, u nas jej ptasiego mlika nie braknie!

– Może i nie, ale prawo jest prawem.

– Ano co robić. Żal nam będzie rozstać się z tą kruszyną. Synowa nie ma jeszcze dzieci, to pusto się tu zrobi bez tego maleństwa. Ale rozumiem, serce matki tęskni za dzieckiem. Nie wiem, co sama bym poczęła, gdyby to mnie kto dziecko odebrał. Zaraz spakuję panienkę i, jeśli poczekać, nakarmię ją przed drogą. A i na drogę coś się zda naszykować.

– No to bierzcie się za to – powiedział agent.

Gdy kobiety wyszły, Zaif wdał się w pogawędkę ze staruszką na temat pogody i jej wpływu na tegoroczne uprawy. Jezierski przysłuchiwał się rozmowie jednym uchem, drugim uchem nasłuchiwał, czy czasem ktoś nie próbuje wymknąć się z dzieckiem, by ukryć je gdzieś indziej. Pruscy policjanci milczeli, popijając ze smakiem zsiadłe mleko i zagryzając pajdami świeżego chleba z masłem. Po jakiejś godzinie mogli wyruszyć w drogę powrotną. Jednak zabrała się z nimi stara Gutowska, twierdząc, że same chłopcy nie zajmą się odpowiednio dzieckiem, z czym zresztą chętnie się zgodzili. Wzięła ze sobą także ogromny kosz żywności dla panny Skotnickiej.

– A jak wrócicie do domu? – zainteresował się Jezierski. – Może trzeba wam załatwić jakiś transport?

– Nie trza, poradzim sobie – oświadczyła stara, gramoląc się z dzieckiem do powozu

Jezierskiego. – Ja i Anielka. Bo wrócę z nią, jakżeby inaczej. Pewnikiem nie odmówi mi gościny, a potem przyjedzie tu ze mną Z tego, co mówiliście, ten człowiek skrzywdził moją biedną panienkę, a los i tak źle się z nią obszedł. Starszy pan, jej ojciec, znaczy się, miał ongiś majątek, ale Prusaki mu go zabrały. No to on, niewiele myśląc, strzelił se w łeb. A matka i córka zostały same, bez pieniędzy i dopiero rodzina przygarnęła bidule, aż Anielka znalazła se jakieś zatrudnienie. A kształcona jest, po obcemu szwargocze... Ale kilka lat biedowały, gnieżdząc się po różnych klitkach. Aż matce zmarło się w końcu na suchoty, że dwa lata będzie. Ale moja panienska nie poddała się. Ponoć w samym magistracie tera urzęduje?

– To prawda – potwierdził agent.

– No nic, tera zabiere ją na wieś, bo w mieście to ino same nieszczęścia. Przyjedzie, poprawi się na ciele i na duchu. Może gdzie w okolicy pójdzie na guwernantkę... Dobrze by było...

– Znam dość dobrze pana Morawskiego – rzekł Zaif. – Postaram się, by znalazł odpowiednią pracę dla panny Skotnickiej, jeśli ta zdecyduje się przyjechać do was i zostać.

Gutowska spojrzała mu badawczo w oczy.

– Widzi mi się, panie, porządny z was człek – zdecydowała. – Chocia i pan Ostrowski, ojciec tej kruszynki...

– Naprawdę nazywa się Bukowski – sprostował odruchowo agent.

– Jak go zwał, tak go zwał. Ale też wyglądał porządnie.

– To się jeszcze okaże – uciął sucho agent. – Natomiast doktor Zaif na pewno jest porządnym człowiekiem. Przyjaźnię się z nim od kilku lat i nie znam lepszego niż on. Biednych leczy za darmo, nikomu nie odmówi pomocy.

– Przydałby się i u nas taki doktor – westchnęła Gutowska. – Odkąd stary doktor Kruszyk, świeć Panie nad jego duszą...

Dalsza podróż upłynęła im na opowieściach z życia codziennego mieszkańców Droszewa i okolic. W Kaliszu kobieta z wielkim wzruszeniem pożegnała się z małą podopieczną i wysiadła przed kamienicą, w której panna Skotnicka wynajmowała skromny pokój. Jasiek wysiadł razem z nią, by pomóc jej wnieść ciężki kosz pełen wiktuałów. Później miał udać się prosto do pałacu, by zameldować gubernatorowi, co zdziałali za granicą.

Radość pani Basieńki na widok córeczki była tak ogromna, że Jezierski natychmiast wybaczył jej wszystkie nieprzyjemne słowa i niewłaściwe zachowanie. Lecz nie chcieli zostać na herbacie ani na obiedzie. Wiedzieli, że kobieta nie ma teraz głowy, by zajmować się gośćmi. Odprowadziła ich jednak do drzwi i zapytała:

– Czy naprawdę zrobił to mój mąż?

– Niestety, szanowna pani.

– I wszystko, co o nim usłyszałam w pałacu gubernatora, to prawda?

– Nie wiem, co pani usłyszała, ale niebawem usłyszycie sporo. Nie da się długo utrzymać tej sprawy w tajemnicy, więc wkrótce prasa będzie miała temat do wielu sensacyjnych artykułów. A potem proces, więc i kolejne relacje w gazetach.

– Czy mógłby pan z doktorem wstąpić do mnie jutro około południa i powiedzieć mi, jak się sprawy przedstawiają?

– Oczywiście. Musi pani wiedzieć, co się dzieje. Wszak to mąż pani i jego postępek tak czy inaczej wpłyną na życie pani i... córki.

– Prawdopodobnie wkrótce wyjadę z małą na dłuższy czas za granicę. Nie chcę brać udziału w tym, co tu się będzie działo.

– Słusznie, szczególnie że mąż pani ma o wiele więcej na sumieniu niż porwanie

własnego dziecka i wyłudzenie od pani pieniędzy.

- Co pan mówi?! Cóż może być jeszcze gorszego?
- Porozmawiamy jutro. Teraz proszę zająć się córką.
- Ma pan rację. Do jutra zatem.

Pożegnawszy się, przyjaciele wrócili do swych obowiązków. Zaif do szpitala, a Jeziński do cyrkułu. Miał przecież nowe wieści dla rajcy. Najpierw jednak postanowił zjeść solidny obiad w towarzystwie Michała Piotrowicza, jego małżonki i Marii. Uznał, że należy mu się chwila odpoczynku. Gubernator najwyraźniej podzielał jego zdanie, gdyż w pałacu czekał już wspaniały posiłek. Kucharz otrzymał szczegółowe instrukcje i teraz na stole w jadalni jego ekscelencji na półmiskach piętrzyły się góry smakołyków. Podawano je według wzorca rosyjskiego: najpierw przystawki, potem zupy, dania mięsne, a na końcu ciasta i herbata z konfiturami. Po obfitym posiłku agent streścił gubernatorostwu wszystko, czego do tej pory dokonał. Tyle że ze względu na obecność pań pominął drastyczniejsze szczegóły.

– Mówisz, że kazał zabijać te biedne kobiety tylko dlatego, iż przypominały jego żonę? – nie mogła się nadziwić gubernatorowa.

- Otóż to. Trudno w to uwierzyć, ale później Bukowski sam to potwierdził.
- Ale dlaczego? Dlaczego? Przecież to niewinne istoty! Pewnie ich nawet nie znał.
- Właśnie tak było.
- Jak on to wytłumaczył?
- Powiedział, że dawno by już zwariował, gdyby nie zaczął sobie wyobrażać, jak zabija żonę. No, z początku może nie od razu chodziło o zabijanie – tu agent chrząknął wymownie i posłał znaczące spojrzenie w kierunku Marii.

Gubernatorowa, kobieta mądra i taktowna, w lot zrozumiała, o co agentowi chodzi, i poprosiła córkę, by ta przyniosła jej z buduaru jakąś książkę, bo właśnie sobie przypomniała, że miała ją pożyczyć kochanemu Walieszy. W rewanżu Maria, która nie była w ciemną bita i natychmiast domyśliła się, dlaczego to ona musi iść po książkę, a nie ktoś ze służby, wychodząc z jadalni pokazała Jezińskiemu język. Po jej wyjściu dorośli mogli swobodnie porozmawiać o dziwnych ścieżkach, jakimi błądzi umysł ludzki.

– Zaif mówił mi o jakimś Freudzie, podobno znanym na zachodzie lekarzu psychiatrze – podjął trochę niepewnie agent.

– Freud! – wykrzyknęła pani Daragan. – Tak, słyszałam o nim. Pamiętasz, mój drogi – zwróciła się do gubernatora – jakem ci czytała ten artykuł o nim z jakiegoś wiedeńskiego pisma? Pisali tam, że doktor ów za główny mechanizm kierujący ludzką aktywnością uznaje nie świadomość, lecz pierwotne popędy. Szczególnie... szczególnie... – tu przerwała zakłopotana.

- Popęd seksualny – palnął Jeziński, przypominając sobie słowa doktora.
- Ależ Waliesza... W każdym razie ten Freud uważa, iż te popędy są ukryte głęboko w podświadomości i pozostają w konflikcie z wpojonymi w dzieciństwie zakazami i nakazami społecznymi, czyli z tym, co wypada, a co nie.

– No i co?

– Jak to? Tłumione myśli i uczucia przyczynają się w naszej podświadomości i uzewnętrzniają w formie irracjonalnych zachowań. Mogą to być pozornie nic nieznaczące przeżyczenia, zapomnienia, przestawienia wyrazów, ale mogą być i wyraźne objawy choroby psychicznej. Freud wyjaśnia, że podświadome procesy psychiczne mają znaczący, jeśli nie główny wpływ na zachowanie się człowieka.

Jeziński spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Mam uwierzyć, że jeśli się przejęczę, to nie dlatego, że zwyczajnie się pomyliłem lub

myślałem o czymś innym, lecz dlatego, iż mam w podświadomości jakieś wstydlive wspomnienia?

– Sam mi przyznałeś rację! – klasnęła w ręce gubernatorowa. – Powiedziałeś: „przejęzyczyłem się, bo myślałem o czymś innym”.

– I cóż z tego?

– A jakież to myśli odciągały cię od tematu rozmowy?

– A skąd mam wiedzieć? To był tylko przykład!

– Dajże mu już spokój, duszko – poprosił Daragan.

– Dobrze, bo i tak Maria zaraz wróci. Jeszcze mu tylko wyjaśnię, co to jest psychoanaliza, bo jej właśnie powinien dokonać jakiś psychiatra na tym Bukowskim. To metoda oparta na przekonaniu, że procesy psychiczne są podświadome, a najważniejszą rolę odgrywa pierwotny popęd... no wiecie, seksualny. Relacje między świadomością i nieświadomością polegają na konflikcie i cenzurze, których źródeł należy poszukiwać we wczesnych fazach rozwoju dziecięcej seksualności, pomimo iż na rozwój i kształtowanie jednostki jako istoty społecznej mają wpływ także obyczaje środowiskowe. Podświadomość to ta część umysłu, która leży niejako poza granicami świadomości, gdyż jej zawartość jest często zbyt bolesna, aby mogła pozostać w sferze świadomej. I co wy na to?

Zapadła chwila ciszy.

– Nic a nic z tego nie rozumiem – stwierdził z prostotą agent.

– Ja również – przyznał gubernator.

– Jesteście doprawdy...

Nie dane jej było skończyć, gdyż do jadalni wróciła Maria. W tym momencie biesiadnicy jak gdyby nigdy nic zastanawiali się już nad tożsamością mordercy. Gubernator był za tym, iż musi to być jakiś dobry znajomy rajcy, gdyż jak inaczej ten mógłby go skłonić do takich czynów? Pani Daragan uważała, że zabójcą musi być ktoś, kogo świadomość jest mocno zaburzona zepchniętymi w podświadomość niemiłymi wspomnieniami.

– On na pewno to jakoś manifestuje, Waliesza – stwierdziła z przekonaniem, mrugając do niego znacząco. – Mówię ci, szukaj kogoś, kto się zachowuje nie całkiem normalnie.

– Jednym słowem wariata, tak? – zażartował agent.

– Nie w dosłownym znaczeniu tego słowa. To może być ktoś rozumny, ale udręczony.

Jeśli męczą go przeżycia, wiecie jakie, to może wpaść w skrajną przeciwność.

– Co to znaczy?

– Zacznie zachowywać się i robić skrajnie przeciwne rzeczy.

– To zrozumiałem, ale nie mam pojęcia, co masz na myśli. Co niby zacznie robić?

– Na przykład wpadnie w manię religijną, będzie chciał za wszelką cenę piętnować każdy grzech albo to, co uważa za grzech. W oczach takiego człowieka każda kobieta może być grzesznicą...

Jezierskiemu coś drgnęło w pamięci, ale trwało to zaledwie sekundę i zgasło. Jednak jakiś niepokój pozostał, powiedział więc tylko:

– Mam nadzieję, że się mylisz.

I przeszedł do relacji z wyprawy po porwane dziecko. Ta historia najbardziej wzruszyła kobiety, toteż musiał opowiadać bardzo dokładnie, co kto zrobił i powiedział. W końcu gubernator położył kres tym indagacjom, gdyż wiedział, że agent ma jeszcze sporo pracy. Przede wszystkim trzeba było zakończyć przedłużające się przesłuchanie Bukowskiego i przenieść go z cyrkułu do aresztu, by tam oczekiwał na akt oskarżenia i rozprawę. Po dwóch godzinach syty pochwał i jedzenia Jezierski mógł wrócić do swoich obowiązków. Nie bardzo miał ochotę znów

oglądać rajcę, ale cóż było robić – służba nie drużba.

Nazajutrz rano wkroczył do laboratorium przyjaciela radosny jak szczygieł.

– Zaczął mówić! – zawołał od progu, starannie omijając wzrokiem kolekcję doktora – choć nie wszystko, niestety.

– Zdradził nazwisko współnika?

– Tego wciąż nie chce powiedzieć. Ale przyznał się do porwania i przywłaszczenia pieniędzy. Chociaż nie wiem, jak to potraktuje sąd. Wszak były to wspólne małżeńskie pieniądze, więc to tak, jakby okradł sam siebie, czyli tak naprawdę nie ukradł... Ale i na to jest rada. Sprawdźmy, jak się rzeczy naprawdę mają. Przecież bywa i tak, że żona, mimo ślubu, zachowuje odrębność majątkową. Przecież Debora także ma swój majątek, by w razie czego nie zostać bez grosza przy duszy...

– W razie czego? – zapytał podejrzliwie Zaif.

– No wiesz, różnie w życiu bywa. Może mi się coś przytrafić, papiery wartościowe, które mam, mogą stracić wartość...

Zaif odetchnął.

– A już myślałem, że ci jakiś romans w głowie.

– Bój się Boga! Ja miałbym opuścić Deborę? Drugiej takiej nie ma na całym świecie! Ty to masz czasem zupełnie absurdalne pomysły!

– Nie ekscytuj się tak. Sam zaczynasz temat i mówisz tak dziwnie, że człowiekowi różne rzeczy mogą przyjść na myśl. Powiedz lepiej, co robimy dalej.

Jezierski spochmurniał. Potarł machinalnie podbródek i spojrzał przyjacielowi w oczy.

– Pójdę niedługo porozmawiać z Bukowską, a potem znów zacznę przeglądać wszystkie notatki, raporty, zeznania. Musimy złapać tego, który zabijał kobiety, a choć Bukowski przyznał się w końcu, że zamówił te szale i wskazywał ofiary, nie chce podać nazwiska współnika.

– A powiedział ci, dlaczego zażądał okupu za własne dziecko? Przecież i bez majątku żony nie jest biedny. Panna Skotnicka była pewna, że on te pieniądze chciał potem oddać, ale ja w to nie wierzę.

– Ja też nie. Bukowski przyznał, że chciał zatrzymać te pieniądze jako rekompensatę za wszystkie lata, jakie spędził u boku swej okropnej małżonki. Uznał, że połowa tego, co wniosła w posagu, będzie sprawiedliwym zadośćuczynieniem. Powiedział też... Zaraz, to było coś dziwnego. Powiedział, że i tak w końcu los da mu więcej. Nie wiem, co miał na myśli, ale przypomniałem mu, że być może nie będzie miał żadnej przyszłości, bo grozi mu szubienica.

– Co on na to?

– Że Pan Bóg do tego nie dopuści.

– Nagle zrobił się religijny?

– Na to wygląda. To częsta reakcja na więzienie.

– Ale on jeszcze nie jest w więzieniu, tylko w areszcie!

– Widocznie nerwy go zawodzą. Sam wiesz, w jakim żył napięciu. Ostatnie wydarzenia i kompletne fiasko jego próby rozpoczęcia nowego życia na pewno mu nie pomogły.

– Masz rację.

– A co ty będziesz robił?

– Mam zamiar... – zaczął Zaif, ale nie skończył, gdyż drzwi do laboratorium otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadł Jasiak Poraj. Agent natychmiast nabrał złych przeczuć. Doktor tylko westchnął i zaczął zdejmować fartuch lekarski.

– Co tym razem? – spytał Jezierski.

– Trup! – zawołał zdyszany Jasiak z nieukrywaną satysfakcją.

Zaif już pakował swoją torbę lekarską. Agent ugryzł się w język i zaniechał uwagi o niezdrowej radości z faktu przynoszenia tak złych wieści, wiedział bowiem, że to i tak nic nie da. Jasiek był niebywale dumny z udziału w tropieniu tylko poważnych przestępstw kryminalnych, inne po prostu bezwstydnie lekceważył.

- Czyj? – spytał ponownie Jezierski.
  - Jeszcze nie wiadomo.
  - Wypadek, samobójstwo czy...
  - Nie wiadomo, bo nieborak ma tylko jedną małą dziurkę w szyi. Nie od kuli – dodał zaraz.
  - A od czego?
  - Nie wiem, szefie. Doktor na pewno będzie miał co robić, bo on jakiś dziwny jest.
  - To znaczy?
  - Siny jakiś, taki trochę powykęcany i...
- Tu Jasiek zaczął się wiercić niespokojnie.
- Mówże wreszcie!
  - Ano, trochę przypomina świętej pamięci panią Radziejowską<sup>82</sup>.
  - Trucizna! – wykrzyknął Zaif.

## Rozdział 11

Poraj zawiózł ich na Nowy Rynek<sup>83</sup>, który w ciągu niespełna dwudziestu lat zmienił się nie do poznania. Kiedyś odbywały się tam targi bydła i nierogacizny oraz targi drzewne. W pobliżu, po obu stronach mostu, nad niedużą, ale często wylewającą Babinką<sup>84</sup>, stały magazyny, stanowiące wielkie zagrożenie dla wielokroć niszczonego pożarami Kalisza. Nic dziwnego, że właśnie w ich pobliżu wzniesiono budynek straży pożarnej. Naprzeciwko remizy powstał odwach, czyli areszt. Oba projekty były autorstwa budowniczego Józefa Chrzanowskiego.

Gmach straży był wyjątkowo wdzięcznym przykładem ówczesnej mody naśladowanej stare formy i wykorzystywano go nie tylko jako miejsce, w którym dzielni chłopcy w srebrzystych hełmach pełnili służbę. Odbywały się w nim także bale i strażackie galówki, w późniejszych zaś latach urzędowała komisja poborowa. Areszt natomiast, uroczy z wyglądu budynek zaprojektowany w stylu małego gotyckiego zameczku, cały czas służył celom, dla których go wzniesiono i – niestety – rzadko bywał pusty. Co nie znaczy, by był jakoś szczególnie ścisły i surowy. Jeden z jego naczelników, niejaki Proskurin, wypuszczał podobno za 30–50 kopiejek aresztantów na noc do domów, pod warunkiem że delikwent rano zgłosi się z powrotem. Zapewne sielanka ta nie trwała długo, wystarczająco jednak, by litościwego naczelnika wspominano tak rzewnie, iż przeszedł do legendy<sup>85</sup>.

W tym to areszcie przebywał obecnie rajca Bukowski, tyle że naczelnikiem był już ktoś inny. Rajca nie mógł więc liczyć na żadne ulgowe traktowanie. Zresztą teraz nie on zaprzętał głowę agenta do specjalnych poruczeń, lecz niezidentyfikowane jeszcze zwłoki. Znalaziono je porzucone w okolicach mostu na Babince. Na miejscu okazało się, że w słowach Jaśka nie było przesady. Ciało należało do silnego i wysokiego mężczyzny dobrze po czterdziestce. Było sine i w plamach. Niektóre członki zastygły nienaturalnie wygięte.

Zaif zafrasował się na ten widok.

- Koniecznie trzeba będzie zrobić dokładniejsze niż zwykle badania, gdyż nie wiem, co to za trucizna – powiedział. – Ale że to trucizna, tego jestem pewien.
- Wygląda strasznie – westchnął agent. – Bardzo cierpiał?

– Nawet jeśli, to bardzo krótko. Takie trucizny przeważnie działają piorunująco. W ciągu kilku minut albo nawet szybciej. To zależy od organizmu.

– Ciekawe, kto go otruł.

– Tak. I dlaczego.

– Nie wygląda na ofiarę naszego zabójcy rzemieślników.

– Nie.

– Ma jakieś rany?

– Żadnych nie widzę, ale pod ubraniem może coś być. Chociaż to mało prawdopodobne, bo wtedy odzież powinna być przecięta. Chyba że...

– Tak?

– Że ubrano go po śmierci.

– To przecież możliwe?

– Oczywiście. Obejrzę go dokładnie w czasie sekcji.

– Będziesz tu coś jeszcze robił? Tylko szkice? Jeśli chcesz, każe wezwać fotografa.

Jasiek może go przywieźć.

– Szkoda czasu. Moim zdaniem to nie jest miejsce zbrodni.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Z powodu ułożenia zwłok. A właściwie jego braku. Leży tak, jakby ktoś wyrzucił go z wozu, a ciało sturlało się trochę niżej.

– Może masz rację – agent krytycznie przyjrzał się ciału. – Ale mógł też zostać otruty gdzieś indziej, na przykład u kogoś w domu. Wyszedł stamtąd jeszcze żywy, a potem trucizna zaczęła działać i umarł właśnie tutaj. A ciało samo się sturlało.

– Teoretycznie mógłbyś mieć rację, gdyby nie fakt, że trucizna działała, moim zdaniem, bardzo szybko. Nie zdążyłby nigdzie pójść. Może doszedłby do drzwi, jeśli były w pobliżu, ale to wszystko.

– A jeśli się mylisz co do działania trucizny?

– Wszystko jest możliwe – wzruszył ramionami Zaif, który nigdy nie uważał się za alfę i omegę. – Dlatego zaraz po oględzinach ciała zajmę się sprawdzaniem, jaka to mogła być substancja. Przyznam, że mam pewne podejrzenia, ale bardzo mgliste. Upłynęło już wiele lat od czasu, gdy zetknąłem się z pewną trucizną, a właściwie z dwiema. To było jeszcze w czasie studiów. Kilka lat później wróciłem do tego tematu, ale zupełnie amatorsko. Obie były pochodzenia roślinnego i łatwo dostępne, choć nie każdy wie, jak przyrządzić odpowiedni wyciąg. Niemniej jest wiele roślin dziko rosnących, całkiem pospolitych, których można by użyć w tym celu. I choć ich właściwości są znane, często stają się przyczyną zatrucia. Szczególnie u dzieci i zwierząt domowych.

– Naprawdę tak łatwo je zdobyć?

– Oczywiście, przeważnie to zwykłe zielsko. Ale często są podobne do innych roślin, na przykład użytkowych lub nieszkodliwych chwastów. Wtedy łatwo się pomylić.

– Poczekaj, pošlę kogoś po starego Maciąga, a my sobie chwilkę przez ten czas pogwarzyśmy. Jasiek za chwilę znajdzie ci dorożkę.

– Dziękuję, sam mogę ją znaleźć.

– Ale po co, skoro Jasiek i tak się nudzi?

Zaif spojrzął ponad ramieniem przyjaciela.

– Maciąg już przyjechał – oznajmił. – Chyba ktoś go już wcześniej wezwał.

– Mam sprawnie działających ludzi. Ale nie to chciałem powiedzieć. Najgorsze teraz jest to, że nie wiem, czy ten człowiek zginął z rąk naszego tajemniczego zabójcy rzemieślników, czy

też to zupełnie inna sprawa.

– Tak – zgodził się doktor. – I mnie to gnębi. Postaram się znaleźć coś w czasie sekcji, ale nie obiecuję.

– Że też ten morderca nie zostawi choć jednego śladu! Zupełnie nie wiem, czego się uchwycić! Nie znoszę czuć się tak bezradnie.

– Pewnie po wszystkim sprawa okaże się jasna, zrozumiała i całkiem prosta – westchnął doktor.

– Gdy człowiek pozna już prawdę, wtedy wszystko wydaje się proste. Na razie jednak jestem ciemny jak tabaka w rogu.

– Przyznam, że ja też. Gdybyśmy tylko mogli odkryć, dlaczego on ich zabija! Motyw ułatwia znalezienie sprawcy. Czy to nienawiść do rzemieślników? Ale czym spowodowana? Gdybym to wiedział, mógłbym coś wymyślić, ale tak...

– To mi przypomniało, że miałem cię zapytać, co sądzisz o dziwnym zachowaniu Bukowskiego. Myślałeś może nad tym?

– I to sporo, ale nic nie wymyśliłem. Zupełnie nie rozumiem, skąd u niego ta nadzieja, że uda mu się ze wszystkiego wykręcić! Że dostanie najwyżej kilka lat więzienia, a potem i tak rozpocznie nowe życie. Pamiętaj jednak, że nie odnaleźliśmy tych czterestu tysięcy z pierwszej raty okupu. Coś w tym jednak musi być.

– Nie demonizujmy naszego rajcy, bo taki z niego diabeł, jak ze mnie... Mniejsza z tym. Pojedziesz ze mną do Bukowskiej?

– Nie, lepiej od razu zajmę się tym nieborakiem. Wiesz, ile czasu wymaga ekstrakcja trucizny? Zresztą nie wiem jeszcze, jaką metodę badawczą przyjąć w tym wypadku.

– Ja w każdym razie muszę tam jechać. Powinna, biedaczka, dowiedzieć się prawdy o swoim mężu ode mnie, a nie z gazet.

– Tak będzie lepiej.

Przyjaciele pożegnali się i każdy odjechał w swoją stronę. Wkrótce doktor rozpoczął z pomocą Małyszki oględziny ciała, natomiast agent udał się prosto do żony rajcy. Jego wizyta trwała bite trzy godziny. Pani Basieńka bowiem nijak nie mogła zrazu uwierzyć w to, co usłyszała. Jej mąż porywaczem? Złodziejem? Mordercą kobiet, nawet jeśli wykonanie zlecił komu innemu? Jezierski tłumaczył, dowodził i przekonywał. Przytoczył nawet zeznania panny Skotnickiej, choć słowa kochanki nie mogły być miłe żonie.

– Doprawdy, to niesamowite – westchnęła w końcu Basieńka, ciągle nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia. – Wiem, że mam trudny charakter, ale on mnie tak niewymownie drażni! Żadnego oporu, własnego zdania, nic! Tylko „tak, kochanie” i „jak sobie życzysz, duszko”! A ja potrzebuję walki, namiętności, ramion silnego mężczyzny! A on co? Fajtłapa i nieudacznik, chodząca potulność i nieśmiałość, na wszystko się zgadzał. A tu proszę, co za niespodzianka! Zabijał kobiety, bo darzył mnie tak silnymi uczuciami, że inaczej by go rozsadziły! Gdyby wcześniej nie bał się okazywać swych uczuć, to nigdy by do czegoś takiego nie doszło!

Jezierski przezornie nie drażył tego tematu.

– Co teraz pani zrobi? – zapytał. – Wyjedzie?

– Miałam taki zamiar. Ale teraz zdecydowałam, że wyślę córkę z moją siostrą za granicę. Ja zostanę, bo chcę obejrzeć proces. To będzie ekscytujące!

Jezierski zdumiał się niepomierne, lecz nie dał po sobie poznać, że nie popiera tak nierozsądnej decyzji. Pani Basieńka widocznie taka już była: nieokiełznana, nieprzewidywalna i kompletnie pozbawiona rozsądku.

– Pan z pewnością się dziwi – perorowała tymczasem, odprowadzając go do drzwi. – Ale



na koniec mój mąż zrobił coś dziwnego, co mnie zaskoczyło – i zaśmiała się. – Dlatego zostaję.

Agent nadstawił ucha.

– Otóż przed swoim wyjazdem, choć ja oczywiście wtedy nie wiedziałam, że on chce uciec, zostawił mi pięknie zapakowane pudło z różnymi kosztownymi drobiazgami. Taki prezent. W liściku napisał, że to na osłodę ciężkich godzin oczekiwania. Wtedy tak się wściekłam, że rzuciłam tym pudłem o ścianę. Ale teraz już rozumiem, co miał na myśli.

– Co było w tym pudle? Słodyczne?

– Ach, nie. Nowy wachlarz, flakon francuskich perfum, rękawiczki. Takie tam damskie drobiazgi. Dużo tego było. Chce pan zobaczyć?

– Niekoniecznie. Czy mogę być jeszcze w czymś pani pomocny? – zapytał agent z ręką na klawecie. Miał już dość tej rozmowy, mimo że pani domu była dziś przemiła i w znakomitym humorze.

– Nie, bardzo panu dziękuję. I proszę przyjąć wyrazy mojej dozgonnej wdzięczności za odnalezienie córki!

– To nic wielkiego, spełniłem tylko swój obowiązek.

Bukowska ucałowała go w oba policzki i jeszcze raz podziękowała. Zirytowany agent wszedł do powozu i kazał się wieźć do pałacu gubernatora. Miał, co prawda, wielką ochotę wstąpić do szpitala, gdyż po rozmowie z panią Basieńką potrzeba mu było rozmowy z kimś dysponującym zdrowym rozsądkiem. Wiedział jednak, że Zaif jest teraz bardzo zajęty, postanowił więc kiedy indziej podzielić się z przyjacielem wrażeniami z tej dziwnej wizyty. Teraz zamierzał całkowicie poświęcić się śledztwu.

Po kilku godzinach żmudnego przeglądania akt spraw opatrzonych kryptonimami „Dom śmierci” i „Szał”, musiał wreszcie odpocząć. Kazał sobie podać herbatę i zapalił cygaro. Rozmyślał właśnie nad tym, jak spędza czas jego żona i dzieci, gdy do gabinetu wszedł Sokołow.

– Już wiemy, kim jest ostatnia ofiara, wasza wielmożność – oznajmił.

– Mów. A gdzie Jasiak? Zwykle to on przynosi mi takie wieści.

– Rozmawia z rodziną zabitego.

– Kim był nieboszczyk?

– To Jan Strachowski, kowal.

– Hm – mruknął Jezierski. – Znów rzemieślnik. Ale sposób, w jaki został zabity, w ogóle nie pasuje do poprzednich wypadków. Możesz iść. Przyślij potem do mnie Jaśka, gdy tylko się pojawi.

– Tak jest, wasza wielmożność.

Jezierski musiał jednak poczekać aż do następnego ranka, bowiem Jasiak wrócił bardzo późno. Zostawił tylko wiadomość, że spisał już większość zeznań rodziny, współpracowników oraz znajomych kowala.

Minęło kilka dni. Jezierski znów chodził z kąta w kąt, rozmyślając o śledztwach. Co jakiś czas wzywał kogoś z podwładnych i zadawał dodatkowe pytania dotyczące czynności, które ten wykonywał w ramach dochodzenia. Był niezadowolony, gdyż ciągle tkwił w miejscu. Wiedział, że Zaif także jest zapracowany, więc mu nie przeszkadzał, choć miał wielką ochotę na wymianę myśli z przyjacielem. Brakowało mu rozmów z błyskotliwym doktorem, którego sama obecność i powściągliwe uwagi pobudzały jego szare komórki.

Niemal w tydzień po odnalezieniu ostatniej, piątej już ofiary zabójcy rzemieślników, Zaif sam przyszedł do jego gabinetu.

– Nareszcie! – agent nie krył radości. – Nic mi nie idzie. Mam nadzieję, że tobie się

poszczyliście i masz dla mnie jakieś dobre wieści?

– Można tak rzec. Dostanę herbaty i coś na ząb? Od dwóch dni niemal nic nie jadłem. Dziś, kiedy wreszcie mi się udało rozwiązać zagadkę, chciałem jak najszybciej podzielić się z tobą tym, co odkryłem.

Doktor rzucił byle jak kapelusze i laskę, z czego agent wywnioskował, że przyjaciel rzeczywiście musi być bardzo zmęczony. Zaraz też wezwał Jacentego i kazał mu co prędzej przynieść coś do jedzenia i dzbanek herbaty. Jacenty spisał się jak zwykle znakomicie. Po niecałych dziesięciu minutach rozstawiał na stole w gabinecie agenta pierwsze potrawy. Na przystawkę dostali grzanki grubo posmarowane masłem i kawiozem. Obok na talerzyku leżały ćwiartki cytryny do skropienia. Następnie na stół wjechała pieczona jagnięcina obłożona gotowaną marchwią, ziemniakami i rzepą, do tego chleb. Na koniec rosyjska odmiana szarlotki. Był to tort biszkoptowy z mleczno-owocowym kremem. I oczywiście herbata oraz nieodłączne konfitury.

Gdy wreszcie doktor zaspokoił apetyt, agent zaś nalał im herbaty, a sam zapalił cygaro, przeszli do spraw służbowych.

– Domyślam się, że zidentyfikowałeś truciznę? – zagadnął Jeziński.

– Tak, to koniina wyodrębniona ze szczwołu plamistego. Szczwół zwany jest inaczej psią pietruszką, weszka lub pietrasznikiem plamistym. Rośnie na nieużytkach, śmietnikach, wokół rowów, w miejscach cienistych. Dochodzi do półtora metra wysokości. Liście przypominają pietruszkę, kwiaty są białe, na baldaszkach, a owoce kuliste. W dni upalne i po rozterciu roślina wydziela mysią woń.

– Tak jak mówiłeś, typowy chwast. W dodatku podobny do pietruszki, tak?

– Niestety, choć tylko liście. We wszystkich częściach rośliny znajduje się duża zawartość koniiny. Koniina działa początkowo pobudzająco, a następnie porażająco na zakończenia nerwów ruchowych. Podobnie jak kurara.

– Kurara? Czy to nie trucizna jakichś Indian?

– Tak, południowoamerykańskich. Działa piorunująco.

– Dużo się zdarza przypadkowych zatruć? Może on...

– Nie, nie zatruł się przypadkiem. Miał ślad na szyi po ukłuciu. Ale trucizna również świetnie wchłania się przez skórę i błony śluzowe, nie trzeba jej podawać z pokarmem. Zbadałem ranę i znalazłem w niej ślady trucizny, zatem tamtędy przedostała się do organizmu. Ale przypadkowe zatruć rzeczywiście się zdarzają. U dzieci najczęściej wskutek pomylenia szczwołu z liśćmi lub korzeniem pietruszki bądź z korzeniem chrzanu. Objawy zatrucia to wymioty, bóle brzucha, rozszerzenie źrenic, zaburzenia widzenia, ślinotok, drętwienie kończyn dolnych, drgawki. Śmierć następuje zwykle wskutek porażenia ośrodka oddechowego. Trudno jest odratować kogoś, kto spożył liście szczwołu. Zwykle następuje zgon.

– Czyli właściwie nie miał szans na przeżycie?

– Raczej nie. Można wywołać wymioty, ale zwykle niewiele to pomaga, zwłaszcza że organizm zatrutego tak właśnie się broni i biedak wymiotuje sam z siebie.

– Okropność.

– Taka śmierć nie jest zła. Przynajmniej szybka.

– Co mi tam po takiej szybkiej śmierci, skoro przez te kilkadziesiąt sekund człowiek męczy się jak potępieniec. Ale wiemy już, kto to był. Jan Strachowski, kowal.

– O? – zdziwił się Zaif. – Czyli to jednak ofiara tępiciele rzemieślników?

– Na to wygląda, ale... Sam widzisz, że ten rodzaj śmierci nie pasuje do poprzednich ofiar. Dlaczego morderca zmienił sposób zabijania?

Doktor zastanowił się.

– Cóż, może on zabija tak, jak może w danych okolicznościach.

– Chyba nie do końca cię rozumiem.

– Posługuje się tym, co ma w danej chwili pod ręką, że tak powiem. A może kował był po prostu zbyt silny, by go zaatakować jakąś lancą czy toporkiem?

– To drugie wyjaśnienie bardziej do mnie przemawia.

– Mógł też być ofiarą jakichś porachunków. Może ktoś go nienawidził albo chciał się zemścić za jakieś krzywdy doznane od nieboszczyka.

– Niestety, to także jest jak najbardziej możliwe – westchnął agent. – Ten Strachowski to był niezły awanturnik. W dodatku silny jak byk. Wszyscy się go bali, ale, choć to zabrzmiało niezbyt sensownie, właściwie był lubiany. Najczęściej awanturował się po pijanemu, ale nigdy nie uderzył kobiety albo dziecka. Zawsze bił się z mężczyznami. Słabszych szybko powalał i zostawiał, nie pastwił się nad nimi. Poza tym był kawalerem i mimo pięćdziesiątki na karku podobał się kobietom. Romansował na potęgę.

– To może być motyw.

– I to jaki! Ale na razie nie znaleźliśmy nikogo, kto by był jakoś szczególnie podejrzany. Maglujemy więc wszystkich z jego kręgu.

– No to życzę powodzenia – Zaif ziewnął. – Przepraszam cię, ale jestem wykończony.

– Jedź do ojca, wyśpij się. Tam o ciebie zadbają, nie będziesz musiał sam sobie gotować albo jadać na mieście.

– Chyba tak zrobię. Dasz znać, gdy czegoś się dowiesz?

– Oczywiście.

Zaif pojechał do ojca i został u niego na noc. Następnego dnia obudził się późno, ale wypoczęty. Pyszne śniadanie od razu przywróciło mu siły.

– Idziesz gdzie dzisiaj? – spytał go ojciec znad gazety.

– Może po południu. Chciałbym sprawdzić, jak się miewa ten Francuz, który omal nie zmarł z upływu krwi. Przez tę całą aferę z Bukowskim i kolejne ciała dobrych kilka dni u niego nie byłem. Pamiętasz go? Przecież ci mówiłem. Ten człowiek przeżył ciężki szok, a przecież może wiedzieć coś użytecznego dla śledztwa.

– Dlatego, że przeżył szok? – zdziwił się Maks Zaif.

Jakub roześmiał się.

– Tego nie wiem. Ale w malignie mówił dziwne rzeczy.

– Na przykład? – zainteresował się ojciec.

– Coś o domu śmierci.

Brwi seniora powędrowały w górę.

– Czy to nie zanadto melodramatyczne? Brzmi wręcz nieprawdopodobnie. Jak z jakiejś nowomodnej sztuki teatralnej.

– Nic na to nie poradzę.

– Lepiej przejrzyj swoją korespondencję – poradził ojciec. – Nazbierało się tego. Masz kilka listów z Ameryki i nie są to listy od babci – powiedział znaczącym tonem. – Nawet po tak długiej podróży przez ocean nadal pachną perfumami.

Zaif mimo woli zaczerwienił się.

– To pewnie od Sary. Wiesz, Sary Sachs.

– Znana bankierska rodzina. Poznałem chyba jej dziadka, a może ojca? Nie pamiętam. To było dawno temu. Poznaliśmy się w Niemczech albo Austrii. Jaka jest ta Sara? Czy ładna?

– Urocza.

- Ale czy ładna?
- Dlaczego tak cię to interesuje?
- Chcę mieć ładne wnuki.
- Doprawdy, ojczu! Sara jest po prostu dobrym kompanem, nie romansujemy ze sobą!
- A szkoda! – odparł starszy pan surowo, lecz w oczach czaił mu się figlarny błysk. – Już

najwyższy czas. Chciałbym dożyć chwili, gdy założysz wreszcie rodzinę i dasz mi gromadkę wnuków. Mam nadzieję, że przynajmniej to dziewczę inaczej niż ty zapatruje się na łączące was stosunki.

Jakub posłał mu spojrzenie, które w zamierzeniu miało być pełne wyrzutu, ale i tak przebijająca w nim spora doza czułości dla „staruszka”, zabrał z tacy na listy swoją korespondencję i wyszedł z jadalni. Następną kilkanaście godzin spędził na czytaniu i odpisywaniu na listy, których rzeczywiście zbierało się wiele. Od Sary były trzy. Reszta pochodziła z różnych zakątków świata i dotyczyła spraw naukowych, głównie medycyny.

Po południu odwiedził Jeana Bernadotte, który wciąż jeszcze przebywał w domu doktora Wilczewskiego. Gospodarz na jego widok niezmiernie się ucieszył, mimo że nie lubił swojego młodszego kolegi po fachu.

– Panie Zaif! Jakże się cieszę, że pana widzę. Nie mam pojęcia, co zrobić z tym Francuzem. On już u mnie mieszka chyba z miesiąc! Ja ponoszę wydatki, rozumie pan, prawda? Nikogo to nie obchodzi. No i jeszcze lekarstwa, opatrunki. Nie wiem, co mam robić! Czy miasto zwróci mi koszt?

Zaifowi nie drgnęła nawet powieka na te kłamstwa w żywe oczy. Nie przyznał się też, że cały czas przysyłał dla Francuza jedzenie i lekarstwa.

– Miasto nie, ale może rodzina pana Bernadotte...

– Nie wiem, czy on ma jakąś rodzinę.

– Jak to? Czyżby nie odzyskał jeszcze świadomości? – zaniepokoił się Zaif nie na żarty. Niemożliwe, by dobrze karmiony i leczony pacjent pozostawał tak długo nieprzytomny, myślał. – To stanowczo zbyt długo, trzeba by...

– Odzyskał, ale cóż z tego – głos Wilczewskiego wprost ociekał goryczą. – Jest jak kukła. Leży i gapi się w sufit. Albo siedzi i gapi się na ścianę. Prawie nic nie mówi, chyba że czegoś potrzebuje. Ja już zacząłem wątpić, czy on ma jakąś rodzinę.

– Pozwoli pan, że do niego zajrzę. Może uda mi się czegoś dowiedzieć.

– Życzę szczęścia. W razie czego jestem w salonie.

Zaif poszedł do pokoju chorego. Mimo zamożności i zbytku widocznych w innych częściach obszernego mieszkania, ten pokój urządzone był wręcz spartańsko. Tylko niezbędne sprzęty, żadnych wygód.

Doktor usiadł naprzeciwko chorego i przyjrzał mu się. Tamten uczynił to samo.

– Dobrze tu panu? – spytał Zaif po francusku. – Może lepiej byłoby wezwać kogoś z pańskiej rodziny? Albo przeniósłby się pan do mnie? Byłoby panu o wiele wygodniej i... przyjemniej. Doktor Wilczewski nie należy do ludzi...

Zamilkł, bo zabrakło mu słowa. Jak taktownie oznajmić, że Wilczewski to interesowny, zarozumiały narcyz, który nie widzi dalej niż czubek własnego nosa? W dodatku teraz okazuje się, że być może wcale nie dawał choremu żywności, którą Zaif anonimowo przysyłał. Właściwie okradał rannego... Obrzydliwość.

Bernadotte niespodziewanie się uśmiechnął. Ledwie widocznie, ale jednak. Teraz Zaif był już pewien, że zdoła się z nim porozumieć. Nawiązała się między nimi cieniutka, nie sympatii.

Doktor Wilczewski siedział tymczasem wygodnie w fotelu, pogrążony w lekturze jakiegoś romansu i zjadał kandyzowane owoce, popijając je przednim burgundem. Spokój zakłócił mu wzburzony lokaj, który wkroczył do salonu niewzywany. Niewzywany, słyszał to kto?, oburzył się w duchu doktor.

– Cóż tam znowu, Antoni? – mruknął z niezadowoleniem.

– Za pozwoleniem jaśnie pana... – lokaj obejrzał się za siebie, jakby w zdumieniu.

– Doktor Zaif wybiegł stąd jak... jak... oparzony i pognał gdzieś. Biegiem! – dorzucił wstrząśnięty lokaj.

Wilczewski też wyglądał na wstrząśniętego. Dobrze wychowany człowiek? Biegiem? Ach ci Żydzi!

– Powiedział coś?

– Że dowiedział się czegoś niezmiernie ważnego i musi zawiadomić... policję!

Wilczewski poczuł, że mu jednak niewygodnie w tym fotelu, a kołnierzyk koszuli zrobił się nagle jakby przyciasny. Czyżby ten podły Francuz poskarżył się? Jedzenie nie zawsze było... A może pościel? Kazał ją zmienić tylko raz... A wszak agent Jezierski surowo mu przykazał... No i te kosze z żywnością, które nie wiadomo kto przysyłał... Może to ktoś znaczny? Nie daj Boże ustosunkowany? Jeśli to się wyda... Fotel zdecydowanie go uwierał, podobnie jak kołnierzyk. Trzeba go będzie oddać do naprawy, a krawca złajać...

– Powiedział coś jeszcze? – spytał słabym głosem.

– Tylko tyle, że najpóźniej jutro zabierze stąd Francuza i ureguluje koszty jego pobytu.

– Ha! – doktor odetchnął z ulgą i pozwolił sobie na uśmiech. – Nareszcie. Spakuj rzeczy Francuza. Niech czekają w gotowości. I daj mu porządną kolację. Może pieczony kurczak? Hm, trochę szkoda, został tylko jeden...

– Podam rybę, jaśnie panie. Inaczej się zaśmierdnie.

– Znakomicie! – Wilczewski ucieszył się jak dziecko. – I nie żałuj mu chleba. Chleba mamy pod dostatkiem i jest tani.

– A co do picia? Może wino? To przecie Francuz.

Wilczewski zatrząsł się z oburzenia.

– Nie mam w domu żadnego cienkusza, a swojego burgunda przecie mu nie oddam!

– W tym ostatnim koszku było też wino... Jeden kieliszek, jaśnie panie, w zupełności wystarczy.

Doktor posłał mu bazylijskowie spojrzenie.

– Pół – postanowił. – Możesz dopełnić wodą.

Zaif tymczasem faktycznie pędził co sił do pałacu gubernatora, gdzie spodziewał się zastać agenta. Niestety, na miejscu czekał go zawód.

– Szef pojechał do jakiejś kobiety – poinformował go Poraj, który na wieść o przybyciu Zaifa wyszedł z kuchni i czym prędzej podążył do gabinetu zwierzchnika. Widząc zdziwione spojrzenie doktora, pospieszył z wyjaśnieniem.

– Chciał z nią porozmawiać, ale ona jest chora i nie może przyjść. Przesłała mu list. Musi jakiś ważny być, bo szef zerwał się na równe nogi i kazał zaraz zaprzęgać.

– Czemu nie zabrał cię ze sobą?

– Bo mnie jeszcze tu nie było. Siedziałem w cyrkule i uzupełniałem papiery. Całe góry papierów. Takie marnotrawstwo...

Poraj wzdrygnął się na samo wspomnienie nie ulubianej czynności.

– Jasiek, ja wiem, gdzie zginęli ci wszyscy rzemieślnicy! – przerwał mu zdenerwowany doktor.

– No to jadziem, panie doktorze! – ucieszył się Poraj. – Zostawimy tu wiadomość, żeby szef do nas dołączył. Ale pewnikiem damy sobie radę sami! Jego ekscelencja z pewnością nie poskąpi nagrody.

Zaif miał spore wątpliwości, czy to dobry pomysł, ale sam był ogromnie ciekaw tego mitycznego dotąd domu śmierci. Jeśli zachowają ostrożność, to Jasiak powinien sobie poradzić z ewentualnym aresztowaniem. Można zabójcę związać, a wtedy nie będzie już groźny. Pewnie jednak do niczego takiego nie dojdzie, a on może zdoła się rozejrzeć.

– Jasiak, on może być uzbrojony – ostrzegł młodego policmajstra. – A właściwie to jestem pewny, że jest. A ja nie wziąłem ze sobą broni. Skąd mogłem wiedzieć, że będzie mi potrzebna?

– Mam to – Jasiak poklepał tęgą pałkę zawieszoną u boku.

I pojechali, zostawiwszy przedtem wiadomość dla Jezierskiego.

Na miejscu panowała cisza. Nastawał zmierzch, ale było jeszcze dostatecznie jasno, by móc obejść się bez latarki. W lipcu nieprędko zapada noc. Za to zabudowania tonęły w ciemnościach. W oknach nie było widać ani śladu światła.

– Wygląda na to, że nikogo nie ma – stwierdził odrobinę niepewnie Jasiak.

– Mimo to sprawdzę, czy da się wejść do środka – odparł doktor.

– Ja sprawdzę z drugiej strony domu. Może gospodarz siedzi sobie na ganku i popija piwo.

– Prędszej wino.

– Nieważne, byle nas zaprosił.

– Jasiak, to może być miejsce wielu zbrodni! Gospodarz jest pierwszym podejrzanym.

– To się jeszcze okaże – oświadczył Jasiak butnym tonem. Rozsadzała go duma, że samodzielnie bierze udział w takiej akcji. – Wszystko sprawdzimy.

Zaif spojrział na niego z powątpiewaniem, ale nic już nie powiedział. Ruszył w kierunku drzwi wejściowych, Poraj natomiast skierował się za najbliższy węgiel budynku. Doktor zapukał lekko i odczekał chwilę, lecz nic się nie działo. Nacisnął klamkę i, ku jego zaskoczeniu, drzwi ustąpiły. Wszedł, ale z powodu całkowitych ciemności zatrzymał się zaraz za progiem. Potarł zapalniczkę i rozejrzył się. Po obu stronach korytarza znajdowały się drzwi do innych pomieszczeń, a z boku schody na górę.

Tylko jedne drzwi były otwarte i z tego, co Zaif pamiętał, prowadziły do salonu. Zapalniczka oparzyła go w palce, więc ją zgasił. Niepewnie postąpił kilka kroków w stronę salonu, gdy usłyszał jakiś szmer. Wydało mu się również, że w korytarzu zrobiło się jakby jaśniej.

Zaif odwrócił się i zobaczył przed oczyma lufę rewolweru. Przed nim stał Vogel i jego prawa ręka, osiłek Michał, który właśnie odsłaniał trzymaną w ręku lampę naftową.

– O, wścibski doktor – ucieszył się Vogel, nie opuszczając broni. Twarz wykrzywił mu paskudny uśmiezek. – Po waszej wizycie trochę zaciągnąłem języka i dowiedziałem się, że jesteście masonem. I policyjnym szpiclem.

Zaif milczał.

– Kto cię tu przysłał? Ci z Berlina czy policja? Mów! – krzyknął.

Jakub w mgnieniu oka zrozumiał wszystko. Przypomniał mu się nawet cyrkiel ze złotą, który mignął mu w tym gabinecie w rzeczach zrzucanych z kanapy, gdy – wtedy jeszcze Vogel – dostał jakiegoś ataku. Działo się to podczas poprzedniej wizyty, jakiś miesiąc temu. A przecież nikt nie używa do pracy cyrkla ze złotą! Powinien od razu domyślić się, że ma do czynienia z masonem. Później zapomniał o tym, a szkoda, bo może wcześniej udałoby mu się rozszyfrować prawdziwą tożsamość Vogla i oddać go w ręce trzech emisariuszy berlińskiej loży.

Teraz oni wyjechali, a on jest sam... Jasiak! Oby był ostrożny.

– Pan Schmitt, jeśli się nie mylę – stwierdził spokojnie, choć jego umysł gorączkowo poszukiwał jakiegoś sposobu ucieczki.

Vogel vel Schmitt uśmiechnął się szeroko.

– Sprytny jesteś. Ale ja jestem sprytniejszy. I uzbrojony.

Niestety, fakt ten nie podlegał dyskusji.

– Co zatem zamierzasz? – spytał doktor, także przechodząc na ty, skoro ten drab tak się do niego zwracał.

– O, mam swoje plany. A jeśli chodzi o tego młodego chojraka, który myszkował z tyłu domu, to już leży związany jak baleron. Nie musisz na niego czekać.

Ostatnia nadzieja zgasła.

– Co proponujesz?

– Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że raczej nie wyjdiesz stąd żywy? Ale przedtem mam dla ciebie małą robótkę. Spróbujesz dostać się tam, gdzie nikomu się nie udało.

– Ach, twój architekt szybko cię przejrzał, skoro zbudował taki sejf, do którego nikt nie może się dostać. Zwłaszcza ty sam.

– To prawda, nie doceniłem go. Ale on już i tak nie żyje, a z nim ta podła suka, moja żona. Łajdaczyła się pod moim nosem i myślała, że puszcze to płazem!

– Może po prostu go kochała?

– Jej psim obowiązkiem było kochać mnie, prawowitego małżonka!

– Mogłeś pozwolić jej odejść. Prawdziwy mężczyzna zwróciłby kobiecie wolność w takiej sytuacji. Ale ty musiałeś ich zabić!

– Tylko krew zmywa taką hańbę! Ale co ty o tym możesz wiedzieć! – dorzucił szyderczo. – Wciąż kawaler. Bogaty i nic. Kobiety cię nie chcą, bo jesteś Żydem?

– Lepiej być Żydem niż mordercą. Będziesz wisiał, Schmitt!

– Może tak, a może nie. Lepiej myśl teraz o sobie, a nie o martwych kochankach. Jeśli dostaniesz się do tego „sejfu” – wskazał ręką w głąb pokoju – to puszcze cię wolno. Możesz być pewien.

Zaif pomyślał, że pewnoś ma akurat co do zupełnie przeciwnej opcji, lecz nie powiedział tego na głos. Był w sytuacji bez wyjścia. Cała nadzieja w tym, że Walery w porę otrzyma wiadomość. Ale czy zdąży na czas? Trzeba zwlekać, ile tylko się da.

– No i jak? – spytał Schmitt.

– Zgoda. Ale musisz mi pozwolić zorientować się w sytuacji. Nie poganiaj mnie, a może uda mi się dostrzec coś, czego nie zauważyli inni. Co wiesz o pułapkach, jakie zastawił twój architekt?

Schmitt roześmiał się z goryczą.

– Tylko to, że są śmiertelnie skuteczne!

– Na pewno wiesz coś więcej, skoro dobierałeś różnych rzemieślników!

– Dobrze, powiem ci, co wiem, bo zależy mi, żeby ten pokój dało się wreszcie otworzyć. Muszę tam wejść, nie tracąc życia. Zaleski, ten z bożej łaski architekt, zostawił plany. Niezbyt dokładne, ale coś tam można z nich było wywnioskować. Pokażę ci je.

Schmitt kiwnął na Michała, każąc mu gestem mieć oko na jeńca i wszyscy trzej przeszli do gabinetu. Tam Schmitt wyjął jeden z wielu rulonów papieru opartych o biblioteczkę i rozwinął na biurku.

Zaif nie mógł pohamować ciekawości. Na chwilę zapomniał o grożącym mu niebezpieczeństwie i chciwie wpatrywał się w rozłożone plany.

Na rysunku zobaczył, że pokój-sejf znajduje się niemal w rogu pokoju właściwego, chyba salonu, tak że od zbiegających się ścian dzieli go tylko niewielka przestrzeń. Charakterystyczne było to, że w żadnej nie umieszczono okna.

Pozostałe dwie ściany „sejfu” wychodziły na otwartą przestrzeń salonu. Jednak nie można było przejść dookoła tego sekretnego pokoju, gdyż przejście między nim a ścianami zostało zamurowane i pewnie także zabezpieczone jakimiś pułapkami. Tak więc z salonu był dostęp tylko do dwóch ścian.

– Przypuszczam, że już próbowaliście dostać się do „sejfu” od strony zewnętrznej budynku? – zapytał. – W końcu to nie problem wybić dziurę w murze.

– Próbowaliśmy, a jakże. W tym celu zatrudniliśmy murarza. On pierwszy padł ofiarą pułapek.

– Murarz? Ambroży Łabędź?

Schmitt skinął głową.

– Ależ on nie był pierwszą ofiarą! Pierwszy był Stanisław Zamułka, stolarz.

– Ach, ten – Schmitt machnął lekceważąco ręką. – To był wypadek. Sprawdzał okiennice, które sam zamontował. To specjalne okiennice, podnoszone do góry, *notabene* wymyślone także przez Zaleskiego. Mają ostrza w dolnej krawędzi. Takie zabezpieczenie przed nieproszonymi gośćmi i złodziejami. Tuż pod parapetem czy w samym parapecie, nie orientując się aż tak dokładnie, zamontowany został specjalny mechanizm, który pod wpływem nacisku o odpowiedniej wadze zwalnia okiennicę. Ta spada z wielkim impetem i jeśli nie zdążysz uskoczyć... ciach! Coś tam odcina. Pech chciał, że jemu obcięła akurat głowę. Co miałem robić? Pozbyłem się ciała i tyle.

– Ach! To dlatego odepchnąłeś mnie od okna, gdy podczas poprzedniej bytności dostałeś rzekomego ataku dusznicy, a ja próbowałem wezwać kogoś do pomocy!

– Nie chciałem, żeby w obecności policjanta okiennica ucięła ci głowę. Dopiero bym się musiał tłumaczyć!

– Tak, nawet obawa przed złodziejami nie byłaby wystarczającą wymówką. Takie mordercze narzędzia są nielegalne.

– Zawracanie głowy. Człowiek broni się jak może. A z Zamułką to był zwykły wypadek, nikt nie dybał na jego życie. Tak naprawdę wszyscy, którzy tu zginęli, także ulegli wypadkom. Nie zamierzałem ich zabijać. Chciałem tylko, żeby otworzyli pokój i żebym miał dostęp do mojego skarbu.

Zaif przezornie przemilczał sporną kwestię własności owego skarbu i ponownie skupił się na głównym wątku rozmowy.

– Jak zatem zginął ów murarz?

– Gdy biedak przebił się już z zewnątrz przez ceglany mur, w środku niewiele było widać. Mało światła wpadało ze dworu, a nikomu nie chciało się iść po latarnię. Pewnie i tak nic by to nie dało. No więc Łabędź zajrzał do środka i powiedział, że tam nic nie ma, tylko jakieś deski. Włazł i stanął na tych rzuconych luzem deskach i oglądał następny mur, już ten od „sejfu”. Miał wymyślić, jak się przez niego przebić. Stał więc tak i główkował. Nie było to łatwe, gdyż okazało się, że mur jest nie ceglany, lecz metalowy. I nagle krzyknął, że ściana się rusza. Ale to nie ściana się ruszała, tylko deski pod nim zapadały się w piach.

Później domyśliłem się, że ten łotr architekt zainstalował w piwnicy ogromny zbiornik z bardzo drobnym piaskiem i zapadnię, którą uruchamia ciężar człowieka i piasek zasypuje biedaka. No i tak właśnie Łabędź stracił życie: utonął w piasku.

– Jak go w takim razie wyciągnęliście?



– Jedna z desek o coś przypadkiem zahaczyła, więc murarz nie dotarł do dna. Coś wystawało.

– Nie mogliście go od razu wyciągnąć?!

– Nie, bo za mało wystawał. Zrozum, to nie była głowa czy ręka! Zresztą w pobliżu nie mieliśmy żadnych narzędzi czy sznurów. Zanim moi ludzie przynieśli liny, głowy już nie było widać. Ale, jak mówiłem, jedna z desek o coś musiała zahaczyć i nie zapadła się aż do dna, bo z piasku wystawał koniuszek jednej dłoni. Ledwo czubki palców. Ile myśmy się namęczyli, żeby jakoś zahaczyć o nie linę! W końcu go wyciągnęliśmy, ale było już za późno.

Zaif westchnął ciężko. Pomyślał, że architekt nie chciał śmierci niewinnych ludzi. Pewnie miał nadzieję, że Schmitt sam spróbuje dostać się do „sejfu” i zginie. Ten był jednak na to zbyt ostrożny i przezornie zlecił to innym.

– A jak poszło od strony drugiej zewnętrznej ściany?

– Podobnie. Tylko że tam zamiast sufitu jest krata zakończona zaostrozonymi palikami, która opada z góry. Jak się wejdzie w tę wąską przerwę między ścianami dworu i „sejfu”, to człowiek nie ma gdzie uciec i zostaje nadziany jak prosię na rożen. Krata jest na całej szerokości sufitu w tym miejscu.

– Trzeciak nie miał ran na głowie, więc krata opadła na niego, gdy leżał. Pewnie się przewrócił?

– E tam, zaraz przewrócił. Sam padł, jak zobaczył zjeżdżającą z góry kratę z palikami ostrymi jak zęby wampira. Ale i tak go dosięgła, a potem jak po sznurku wróciła do góry.

Schmitt westchnął, jakby to on sam zmagał się z kratą.

– Jego też trudno było wydobyć, bo wszyscyśmy się bali, że jak ktoś się za mocno przechyli do środka, to krata znów zacznie zjeżdżać. Ale w końcu się udało.

Wawrzyn Trzeciak był pierwszą ofiarą, którą Zaif zobaczył po powrocie do Kalisza. Jego ciało wyrzucono z powozu w czasie zaćmienia Słońca, dosłownie kilka minut przed przyjazdem doktora. Miał więc do niego nieco bardziej osobisty stosunek.

– Teraz już wiem, jak zginął – szepnął do siebie doktor.

– Co mówisz?

– Nic, nic. Ale czemu zatrudniliście akurat Trzeciaka? Przecież to cieśla, a ściany „sejfu” są metalowe?

– Jak się przebiliśmy przez ścianę dworu, wyglądały na drewniane. Bo ten mądrała kazał je obić drewnem. Zachciało mu się boazerii, psia krew!

– Chwileczkę – przerwał mu Zaif. – Trzeciak był czwartą, a nie trzecią ofiarą. Przed nim zginął ślusarz. Jak on się nazywał? Chyba Kłocki. Czemu go zamroziłeś?

– Faktycznie, wcześniej był ten Kłocki – zdumiał się Schmitt. – Bystry jesteś. Skąd wiedziałeś, że go kazałem zamrozić?

Zaif mimo woli musiał się uśmiechnąć.

– Bo został szybko znaleziony i lód jeszcze się całkiem nie roztopił.

– Jak pech, to pech – westchnął sentencjonalnie Schmitt.

– Wyjaśnij mi jednak, dlaczego go zamroziłeś.

– Ano – gospodarz podrapał się w głowę. – Zbyt wiele ciał w krótkim czasie. Kłocki zginął w kwietniu, tak jak Łabędź. Dwa trupy w jednym miesiącu mogły wzbudzić czyjeś podejrzenia.

– Niepotrzebnie się fatygowałeś. Nawet po miesiącu i tak wzbudziły.

– Ostrożności nigdy za wiele.

– Rozumiem, ale powiedz mi, jak zginął Kłocki?

– Jemu dostały się drzwi. Jedyne widoczne drzwi, z porządnym zamkiem, tyle że bez klucza. Pewnie są jeszcze inne, tylko zamaskowane. Z planu wynika, że mogą być w tej metalowej ścianie, którą miał zbadać kowal. Ale pewności nie mam...

– No dobrze, ale w jaki sposób on zginął? Po śmierci wyglądał... dziwnie. Był rozcięty na pół od głowy do pasa!

– Niepiękna śmierć, w rzeczy samej. A było tak, że Kłocki długo majstrował w zamku, bo był solidny, nie byle jaki. Jednak to tylko zamek, dobry ślusarz poradzi sobie w końcu z każdym. Wszyscy odetchnęliśmy, gdy w końcu drzwi same się otworzyły, pewnie na jakiejś sprężynie. Ale pułapka kryła się nie w zamku, tylko w drzwiach. Ledwo jegomość przekroczył próg, spadło na niego ostrze. Wyglądało to zupełnie jak gilotyna.

– Teraz rozumiem! Ramą gilotyny była futryna. Zaiste pomysłowe. Ten Zaleski musiał być geniuszem! Proste pułapki, tyle że śmiertelnie skuteczne...

Schmitt skrzywił się tylko.

– A jakże. Tylko że ja nadal nie mogłem wejść do „sejfu”. Na kolejnego fachowca czekałem jednak aż do czerwca.

– Pięknie. Niemal jak w zegarku. Co miesiąc jedna ofiara.

– Co miałem robić? Chciałem tylko dostać się do środka.

– Co przytrafiło się ostatniemu? Przynajmniej wiem, dlaczego to był kowal.

– Żelazna ściana, a kto się lepiej zna na żelazie niż kowal?

– To po co go truć?

– Ja? To nie moja robota. Kolejna pułapka. Zanim biedak doszedł do tej żelaznej ściany, trafiła go strzałka z zatrutym grotem. Pełno tego świństwa w tych obrazach czy płaskorzeźbach, które mój wspañiały architekt umieścił na ścianie salonu. Na szczęście z jednej strony. Cieniutkie jak igła, ale ostre i jadowite. Nawet pacierza nie zdążył zmówić, a już leżał martwy. Nie wiem, czym Zaleski zatrul te strzałki, ale działa błyskawicznie.

– Co wyzwała mechanizm powodujący wystrzelenie strzałki?

– Nie mam pojęcia. Kowal przeszedł kilka kroków i nic się nie stało. Aż tu nagle szast-prast i leży w drgawkach. Nikt się nie odważył wejść w tę część salonu. Musieliśmy zarzucić na niego linkę z hakiem i tak przyciągnęliśmy go z powrotem w bezpieczny rejon. Ale i tak był już z niego zimny trup. No, może nie taki zimny – zarechotał paskudnie Schmitt.

– Skąd wiedzieliście, gdzie zaczyna się niebezpieczna strefa?

– Popatrz tu – palcem wskazał miejsce na planie. – W tej części salonu nie ma żadnych znaczków. Tu natomiast, kilka metrów od „sejfu”, podłoga jest wykropkowana. Od razu się domyśliłem, że coś jest na rzeczy, i zabroniłem wchodzić na ten teren. Na granicy ustawiłem kozły.

– Tak, zdążyłem zauważyć.

– I to wszystko. Teraz wiesz tyle, co ja. Od której strony zamierzasz spróbować?

– Pozwól mi się zastanowić.

– Byle nie za długo. Nie mogę pozwolić, by zaczęli cię zanadto gorliwie szukać.

– Przyjrzę się planom, a potem chciałbym dokładnie obejrzeć salon. Wtedy zdecyduję, którą drogę wybrać.

– W porządku. Michał będzie miał cię na oku. Jak widzisz, krzepy mu nie brakuje i w razie czego pokona cię gołymi dłońmi. Ten osiłek to moja prawa ręka. Wierny i oddany. Mówię tak, żebyś się nie trudził próbami przekupstwa czy namawianiem do czegoś innego. Strata czasu.

– Nie zamierzałem, ale dziękuję za radę.

– W takim razie obejrzyj sobie plany. Potem Michał zaprowadzi cię do salonu.

Schmitt wyszedł, a doktor został przy biurku, na którym leżał plan pokoju-sejfu. Michał ulokował się na krześle przy drzwiach i uważnie wpatrywał się w każdy jego ruch.

Doktor tymczasem wcale się nie spieszył, wręcz przeciwnie. Powoli studiował rysunki, intensywnie rozmyślając, jak dostać się do wnętrza. Prawdę mówiąc, już się zdecydował, którą drogę wybierze. Unikanie zatrutych strzałek wydawało mu się w tej chwili najłatwiejsze. Oznajmił, że jest gotów.

Stał teraz przed posadzką z białych i błękitnych płytek i uważnie im się przyglądał. Były kwadratowe i duże, o długości boku około dwudziestu centymetrów. Obejrząwszy płytki, zaczął rozglądać się po całym pokoju. Nie było to łatwe w świetle kilku lamp gazowych, które miał za plecami, i lampy naftowej, którą trzymał Michał. Schmitt stał obok i cierpliwie czekał. Zaif poprosił o jakiś długi kij. Schmitt wziął od Michała lampę i kazał mu coś znaleźć. Po chwili osiłek wrócił z motyką i grabiami.

Doktor wybrał motykę i zaczął nią mocno uderzać w płytki, starając się sięgnąć jak najdalej. Z brzegu było więcej białych, więc wychylił się mocno, by trafić w błękitną. Wciąż nic się nie działo.

Zastanowił się chwilę i poprosił o worek cementu.

– Na co ci to? – Schmidt vel Vogel nie krył już niezadowolenia.

– Może pułapka działa dopiero pod ciężarem człowieka. Motyka jest za lekka.

Vogel skinął głową i Michał pospieszył po worek. Przyniósł od razu dwa, naprawdę ciężkie. Zaif z trudem przepchnął motyką jeden z nich na błękitną płytkę. Rozległ się złowrogi świst i coś przemknęło mu tuż nad głową. Na szczęście był dość mocno pochylony, inaczej zostałyby kolejną ofiarą zatrutej strzałki.

– Trzeba chodzić tylko po białych płytkach – powiedział lekko drżącym głosem, ocierając pot z czoła.

– Jesteś pewien? – spytał Schmitt. W jego oczach zabłysła nadzieja i chciwość.

– Tak uważam.

Schmitt zastanawiał się chwilę i Zaif już miał nadzieję, że da mu spokój i sam pójdzie, lecz wrodzona ostrożność tego nieuchwytnego jak dotąd przestępcy zwyciężyła.

– Ruszaj więc. Jak dojdiesz do żelaznej ściany, dołączymy do ciebie.

Chcąc nie chcąc, Zaif musiał posłuchać. Wszedł niechętnie na posadzkę, stąpając tylko po białych płytkach i modląc się w duchu, by architekt nie zastosował podwójnego blefu, w wyniku którego strzałka w pewnym momencie wyfrunie po nadeptnięciu białego kwadratu. Był już w połowie drogi. Te dwa czy trzy metry, które przeszedł, wydały mu się całą milą. Przystanął, by otrzeć czoło z potu.

– Nie zatrzymuj się! – rozkazał mu Schmitt. – Nie ma czasu. Ja nie mam czasu.

– Myślę, że masz – odezwał się nagle jakiś władczy głos z tyłu. – Rzuć to!

Zaif odwracał się powoli i ostrożnie, bo akurat tam, gdzie stał, płytki nie tworzyły grup, lecz były ułożone naprzemiennie. Nie zdążył zrobić pełnego obrotu, gdy rozległ się pojedynczy strzał, a zaraz po nim dwa kolejne, prawie jednocześnie. Coś upadło z łoskotem na podłogę. Zaif zamarł w bezruchu, pewien, że wkrótce trafi go kula lub strzałka.

– Możesz już wracać, Jakubie.

Zaif z trudem odwrócił głowę. Zobaczył agenta i nigdy chyba jeszcze widok przyjaciela nie był mu tak miły. Obok niego stało kilku policjantów, ale nie był w stanie ich teraz policzyć. Grunt, że jest ich kilku, pomyślał, bo Vogel miał przecież więcej ludzi w swojej brygadzie remontowej.

Zaif powoli zaczął się ruszać. W końcu udało mu się na miękkich nogach wrócić. W bezpiecznej strefie natychmiast osunął się na najbliższy fotel, inaczej by się przewrócił. Dopiero teraz skutki silnego napięcia nerwów zaczęły w pełni dawać o sobie znać. Zaif czuł się słaby jak pisklę i trzęsła go febra. Usiłował nie patrzeć na dwa trupy leżące w pobliżu.

– Poszukajcie jakiegoś koniaku czy wódki – zarządził agent. – Najlepiej w gabinecie.

– Zjawiłeś się w samą porę – wychrypiał Zaif. – Straciłem już nadzieję, że zdążysz.

– Co ci do głowy przyszło jechać tu beze mnie?! – wybuchnął agent, który dopiero na widok żywego przyjaciela przestał drżeć o jego życie. – Sam, bez broni?

– Był ze mną Jasiak, ale nie wiem, co się z nim stało.

Agent zaklął i natychmiast kazał szukać Poraja. Na szczęście poszukiwania nie trwały długo, gdyż znaleziono go na tarasie. Faktycznie był związany jak baleron.

– Amatorzy! – wykrzyknął agent, gdy policjanci przywlekli Jaśka, trzymając go pod pachy. Chłopak nie miał jeszcze czucia w kończynach, gdyż sznur mocno wpił mu się w ciało i zatrzymał krążenie.

– Jasiak, ja ciebie do koni odeślę! Wiesz, na co naraziłeś siebie i doktora?! Już myślałem, że znajdę tu tylko wasze trupy! Zobaczysz, cholero, jak tylko wrócimy, tak wygarbuję ci skórę, że cię rodzona matka nie pozna!

– Jasiak, pan radca tylko się cieszy, że żyjemy... – próbował pocieszyć Poraja doktor.

– Ty też bądź cicho, bo wcale nie jesteś lepszy od niego! Żebyś ty wiedział, co ja przeżywałem całą drogę! Myślałem, że nigdy tu nie dotrę! A jak dotrę, to znajdę twoje zwłoki!

Agent przerwał, bo wszedł policjant, ostrożnie niosąc tacę, na której stała karafka pełna złocistego płynu i pękate kieliszki.

– Dawaj tu ten koniak! – krzyknął agent. – Ja też muszę się napić!

Trzy godziny później Jezierski z doktorem siedzieli w gabinecie w pałacu gubernatora i popijali gorącą herbatę wzmocnianą koniakiem z kredensu agenta. Jasiak rezydował w kuchni, całkowicie już wyleczony ze słabości po nieudanej eskapadzie.

Przyjaciele mogli sobie teraz wreszcie w spokoju wyjaśnić, w jaki sposób każdy z nich osobną drogą dotarł do „domu śmierci”.

– Jak się dowiedziałeś, że to dwór w Majkowie? – zapytał agent, zapalając cygaro. Lecz widząc, że przyjaciel dolewa sobie solidną porcję koniaku do niedużej filiżanki, począł go strofować, niczym kotka swoje młode. – Nie pij już tyle, bo się upijesz. Nie jesteś przyzwyczajony do alkoholu. Jacenty zaraz przyniesie coś na ząb.

– Ależ gderasz. Wciąż się trzęsę. To reakcja na szok.

– Lekarzu, lecz się sam! – zaśmiał się agent.

– Cóż robić, ty się nie znasz na medycynie.

– Powiedz wreszcie, skąd wiedziałeś, że to Majków? Na kartce nabazgrałeś tylko, żebym pojechał tam najszybciej jak się da i nic poza tym.

– Odwiedziłem wreszcie tego rannego Francuza, Bernadotte. Odzyskał już przytomność i wszystko mi opowiedział. A ty gdzie się podziewałeś?

– Byłem u pewnej starszej kobiety. Wezwała mnie jej córka. Przyniosła list od matki, bo ta od dwóch dni nie dawała jej spokoju i kazała posłać po policję, gdyż sama jest przykuta do łóżka. Upierała się, że zna osoby z rysunku zamieszczonego w „Kaliszaninie”. Chodziło o te dwa ciała znalezione w krypcie Repphanów.

– Rozpoznała je?

– Tak. To architekt Zaleski i pani Vogel czy też Schmitt.

– Ach! – zdołał tylko powiedzieć Zaif.

– No i tym sposobem mamy wreszcie sprawę załatwioną.

– Powiedz mi jednak, dlaczego dopiero ta kobieta ich rozpoznała, a nikt inny nie? I skąd ich w ogóle знаła, skoro, jak mówisz, jest chora?

– Faktycznie, ta kobieta cierpi na zaawansowany reumatyzm i od lat nie wychodzi z domu. Może się poruszać jedynie po mieszkaniu w fotelu na kółkach. Jej jedyną rozrywką jest wyglądanie przez okno, no i czasami córka wozi ją w tym fotelu do parku.

Jeziński przerwał na chwilę, by napić się herbaty. Smakowała wspaniale.

– Mówże dalej! – zniecierpliwził się Zaif.

– Pozwolisz, że na chwilę zmienię wątek. Nikt w Kaliszu ich nie rozpoznał, gdyż oboje nie pochodzili stąd, byli tu obcy.

– Obcych jeszcze łatwiej zauważyć w tak małym mieście – zaproponował doktor.

– Ale oni większość czasu spędzali w Majkowie, tam przecież mieszkali. Do Kalisza przyjeżdżali rzadko i w dodatku nie afiszowali się. Nie zapominaj, że mieli romans.

– No tak, rozumiem.

– Gdy już jednak przyjeżdżali, zwykle zachodzili też do parku i po drodze mijali dom tej chorej kobiety. A jak już mówiłem, ona całymi dniami tkwiła w oknie i się nudziła. Dlatego zwróciła na nich uwagę i zapamiętała.

– Skąd jednak wiedziała, że to architekt i żona Schmitta?

– Nie wiedziała, kim są, nie znała ich nazwisk. Wiedziała tylko, że mieszkają w dworze Karśnickich w Majkowie.

– Ale skąd to wiedziała?

– Czysty przypadek. Podobno któregoś razu zatrzymali się na chwilę w pobliżu jej okna i rozmawiali. Zastanawiali się, jak niepostrzeżenie wrócić osobno do dworu w Majkowie, by mąż nie zaczął ich podejrzewać. Przyznasz, że te informacje są wystarczające, by wydedukować, kim byli? Oczywiście, potwierdzimy to jeszcze, tak na wszelki wypadek, ale to trochę potrwa, skoro nie pochodzili stąd. Grunt, że sprawę zabójstw rzemieślników możemy uznać za zakończoną.

– Jeszcze nie. Trzeba otworzyć ten pokój-sejf, a to niebezpieczne.

– Już ty się o nic nie martw. Moi ludzie popracują tam całą noc albo i dłużej, jeśli będzie trzeba. Mają plany, a ty przekazałeś dość informacji o działaniu pułapek. Poradzą sobie, mają wszelki potrzebny sprzęt.

– Ale czaszka...

– Dostaniesz. Będziesz mógł ją sam przekazać, komu zechcesz.

Zaif odetchnął z ulgą i oparł się wygodniej o poduszki, którymi Jacenty wypełnił fotel za jego plecami. Owinął się szczelnie pledem z wielbłądziej wełny i sięgnął po filiżankę.

– Zimna – skrzywił się.

– Zaraz naleję ci świeżej. Ale już bez koniaku. O, Jacenty! Co tak długo?

Następną godzinę spędzili na solidnym pokrępaniu się smakołykami przysłanymi z kuchni i rozmowie. Potem udali się na spoczynek w pokojach gościnnych pałacu. Żaden bowiem nie czuł się na siłach wracać do domu, i to nie tylko z powodu zmęczenia.

Przez kilka kolejnych dni pływali się w glorii sławy i chwały. Znów zostali bohaterami lokalnej prasy, a wkrótce także i stołecznej. Sam Hurko przysłał gratulacje. Krótkie i bardziej niż związane, ale zawsze. Na ulicach zaczepiali ich obcy ludzie, chcąc uścisnąć im dłoń, wyrazić podziw i wypytać. Jeziński przez następny tydzień zrezygnował z chodzenia pieszo z powodu trudności z dotarciem do celu na czas. Podobnie doktor. Tylko Jasiek nie miał nic przeciwko przejawom zachwyty i podziwu, które i jemu, choć skromniejsze, przypadły w udziale.

Obecnie już tylko jedna chmurka mąciła spokój agenta. Mianowicie do tej pory nie znalazł jeszcze współnika rajcy Bukowskiego, który zabił trzy kobiety.

– Jedźmy do pięknej Basieńki – zaproponował Zaif, gdy przyjaciel zwierzył mu się z tego problemu. – Może podsunie nam pomysł, jak podejść do jej męża, by powiedział nam prawdę. Może trzeba go zastraszyć, albo przeciwnie, pochlebiać mu? W końcu zna go dobrze. I, jak wiesz, do niedawna słuchał jej i spełniał wszystkie polecenia.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – miał wątpliwości agent. – Ta kobieta mnie denerwuje. Gdy byłem u niej ostatnio i opowiadałem o tym, co zrobił jej mąż, wydawała się... wyglądała jakby...

– Tak?

– Jakby go podziwiała! – wybuchnął agent. – Rozumiesz? Podziwiała!

– Dlaczego się dziwisz? Pierwszy raz jej fajtłapa okazał odwagę, silną wolę i wystrychnął ją na dudka. Zresztą nie tylko ją, ale i policję...

– Nie na długo – warknął agent.

– Ale wystarczająco, by wzbudzić podziw w małżonce. No i te zabite zamiast niej kobiety... Ten dreszczyk emocji, powiew niebezpieczeństwa... Basieńka była pewnie w swoim żywiole.

– Nie żartuj sobie.

– Odkąd uniknąłem śmierci, wszystko wydaje mi się takie piękne! I wszystko mnie cieszy. Chodź, pojedźmy do niej. Co ci szkodzi?

Jezierski uśmiechnął się pod wąsem. Rad był niezmiernie, że przygoda w Majkowie skończyła się szczęśliwie.

– A co mi tam. Jedźmy!

– Nie, pogoda taka piękna. Chodźmy piechotą.

– Ale wiesz, że na ulicy będą zaczepiać nas ludzie.

– Mamy środek lata, wiele osób wyjechało – uspokajał doktor. – A jak opuścimy nisko ronda kapeluszy, nikt nas nie rozpozna.

– Będziemy wyglądać jak jakieś szemrane zbiry!

– No to co? Przynajmniej nikt nas nie zaczepi.

Nie znajdując na takie postawienie sprawy żadnego argumentu, agent, wprawdzie niechętnie, ale ustąpił. Poszli jednak do mieszkania Bukowskich bocznymi zaułkami, by jak nie rzucać się w oczy, choć na ulicach było znacznie mniej ludzi niż przed tygodniem.

Byli jeszcze dość daleko, gdy ujrzeni wychodzącą z bramy Bukowską, która zaczęła oddalać się w przeciwnym kierunku. Oni właśnie opuścili ulicę Kanoniczną, by nieco dalej przejść na drugą stronę ulicy, gdzie mieściła się kamienica Bukowskich.

– Popatrz – powiedział agent. – Właśnie wyszła. Dajmy sobie spokój.

– Jeśli przyspieszymy kroku, łatwo ją dogonimy.

– E tam, nie ma potrzeby.

I po chwili dodał:

– Co robisz?

To pytanie agent wypowiedział mocno zdziwionym tonem, jako że doktor nagle wyszarpnął z kieszeni niewielką lunetę i przyłożył ją do oka.

– Ktoś ją chyba śledzi – odrzekł Zaif. – Dziwnie się skrada.

Jezierski bez słowa wyjął mu z ręki lunetkę i sam przez nią spojrział.

– No faktycznie – mruknął. – Ten jegomość zachowuje się podejrzanie. Musimy ich dogonić.

Zaif bez słowa przyspieszył, Jeziński odjął lunetę od oka i także zaczął iść szybciej. Odległość między nimi a Bukowską i tajemniczym mężczyzną zaczęła się systematycznie zmniejszać. Gdy byli już dość blisko, Zaif przystanął nagle zaskoczony.

- Ona ma na sobie szal z kaszmiru! – wykrzyknął. – Taki sam, jak tamte kobiety!
- Na Boga! Masz rację! Szybciej!

Ruszyli biegiem, nie zwracając uwagi na zdziwione miny niezbyt licznych przechodniów. Idący za Bukowską dziwnym, skradającym się krokiem mężczyzna wyjął tymczasem coś z kieszeni mocno sfatygowanego tużurka.

- Jeśli to nóż – wydyszał Jeziński – to już po niej. Nie zdążymy.

Jakub nie tracił czasu na odpowiedź, tylko ruszył ostro do przodu, jak podcięty batem. Jeziński, mimo zadyszki, trzymał się tuż za nim. Po drodze sprawdził, czy broń łatwo wychodzi z kabury. Zbliżali się szybko, ale mężczyzna był bliżej ofiary. Gdy oplótł ramieniem szyję Bukowskiej, Zaif rzucił się na niego szczupakiem, modląc się, by tamten nie zdążył kobiecie zadać cięcia.

Przewrócili się obaj, ale Zaif, świadom niebezpieczeństwa, natychmiast się poderwał. Zaatakowana krzyknęła przeraźliwie, a gdy zobaczyła leżący na trotuarze nóż, krzyczała już bez przerwy, jakby ją kto obdzierał ze skóry. W tej chwili dobiegł do nich agent. Szybkim spojrzeniem ocenił sytuację i mało elegancko kazał pani Basieńce zamilknąć. Kopnięciem odrzucił nóż dalej, a sam chwycił rękę podnoszącego się właśnie mężczyzny i wykręcił ją mocno do tyłu.

Tamten wrzasnął nie gorzej niż jego niedoszła ofiara, choć w innej, zdecydowanie niższej tonacji. Zdenerwowany Zaif nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

- To tylko nerwy – powiedział, gdy minął mu atak śmiechu. – Bardzo państwa przepraszam.

Bukowska stała błąda jak chusta i nierozumiejącym wzrokiem wpatrywała się w mężczyznę.

- Co się stało? – spytała wreszcie lekko łamiącym się głosem. – Kim jest ten człowiek i czego chciał ode mnie?

- Zna go pani? – zapytał agent.
- Nigdy w życiu go nie widziałam.
- Zapewne jest to właśnie współnik pani męża. Skąd ma pani ten szal?

Bukowska odruchowo spojrzała na ramiona.

- Od męża. Mówiłam panu, że zostawił mi pudło z prezentami.

Agent westchnął ciężko.

- Powinienem był jednak wtedy je obejrzeć – powiedział tylko. – Nic pani nie jest?
- Chyba nie.
- Nie skaleczył pani?

- Nic nie czuję, więc raczej nie. Och! Zniszczył mi koronki przy dekolcie!

- Z tym da się żyć.

- Życ? Co pan ma na myśli?

Jeziński znów westchnął, zastanawiając się, czy wszystkie kobiety w dramatycznej sytuacji wykazują się taką samą tępotą.

- On chciał panią zabić.
- Zabić? – powtórzyła z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Skoro nic pani nie jest, proszę natychmiast wracać do domu i nigdzie nie wychodzić. Doktor odprowadzi panią do bramy. Zaraz do pani kogoś przyślę, by spisał pani zeznania. Ja,

niestety, nie mogę teraz poświęcić pani czasu. Muszę natychmiast zamknąć i przesłuchać tego człowieka. Czy ma się kto panią zająć? Jest ktoś w domu? – a gdy kobieta skinęła głową, uchylił kapelusza. – Pani wybaczy – powiedział i odwrócił się na pięcie, wciąż mocno ściskając ramię mężczyzny.

Wokół nich zaczęli powoli gromadzić się gapie, więc Zaif szybko podprowadził kobietę do pobliskiej bramy jej domu. Tam ukłonem pożegnał wciąż zdumioną kobietę i poszedł za przyjacielem. Po drodze podniósł porzucony nóż i owinął go w chusteczkę. A widząc nadjeżdżającą wolno dorożkę, zatrzymał ją i wszyscy trzej wsiadli, by uniknąć ciekawskich spojrzeń. Jezierski nie puszczał ramienia zatrzymanego, choć mężczyzna nie wydawał się agresywny. Nie bronił się i nie odzywał ani słowem. Nie odpowiadał również na żadne pytania, czym jeszcze bardziej rozsierdził agenta.

W cyrkule Jezierski zostawił mężczyznę na jakiś czas pod strażą, a sam zajął się wydawaniem poleceń. Przede wszystkim kazał ustalić personalia mężczyzny, więc policjanci przeszukali go z nadzieją, że ma przy sobie dokumenty. Znaleźli jakieś, lecz nadal nie było pewności, czy dokumenty nie są skradzione. Agent wysłał więc pod wskazany w nich adres dwóch policjantów, by to sprawdzili. Kazał też na wszelki wypadek przyprowadzić kogoś, kto mógłby go rozpoznać.

Później sprawy potoczyły się już szybko. Zatrzymanym okazał się Józef Łapa, murarz z zawodu. Jezierskiemu nazwisko wydało się znajome, więc szybko przewertował akta sprawy i znalazł zeznania niejakiego Łapy, który był na ulicy Łaziennej w chwili, gdy ktoś zamordował Janinę Stawiecką. Teraz już nie było wątpliwości, że zatrzymali współnika rajcy.

Uzbrojony w tę pewność agent wziął mężczyznę w krzyżowy ogień pytań, nie szczędząc przy tym gróźb. Ale Łapa niczego nie mówił, tylko głośno się modlił. Wiedziony instynktem agent postanowił sprowadzić ojca Andrzeja, znanego im zakonnika z bractwa franciszkanów, albo w ogóle jakiegoś księdza. Obecność i łagodne perswazje osoby duchownej powinny skłonić tak religijnego człowieka do mówienia. Zaif gorąco poparł ten pomysł, Jezierski zatem, nie zwlekając, wysłał stójkowego z krótkim liścikiem do ojca Andrzeja.

Zakonnik, starszy już, bardzo wysoki i szczupły, przybył po niespełna dwudziestu minutach, gdyż klasztor Franciszkanów sąsiadował z cyrkułem.

– Cóż takiego się stało? – spytał niespokojnie zaraz po powitaniu. – Stójkowy nijak nie umiał mi tego wytłumaczyć, powtarzał tylko w kółko, że to ważne.

– Ojcie Andrzeju – zaczął Jezierski. – Potrzebna nam pomoc ojca. Mamy tu pewnego mężczyznę, który zabił trzy kobiety. Poderżnął im gardła.

Poruszony zakonnik przeżegnał się odruchowo.

– Zrobił to prawdopodobnie za namową rajcy Bukowskiego – ciągnął agent. – Nie chce jednak nic powiedzieć, chociaż niespełna dwie godziny temu złapaliśmy go z doktorem na gorącym uczynku, gdy próbował zabić panią Bukowską. Miał nóż i próbował jej właśnie poderżnąć...

– Nie musi mi pan nic więcej mówić – przerwał, wzdrygając się, ojciec Andrzej.

– Domyślam się, że chce pan, bym skłonił go do mówienia.

– Byłoby to wielce pożądane. Być może przed ojcem chętniej się otworzy, a my zdobędziemy niezbite dowody winy pana Bukowskiego.

– Dlaczego jednak sądzi pan, że mi się to uda?

– Sprawia wrażenie głęboko religijnego, choć w jakiś wypaczony sposób – odezwał się Zaif.

Ojciec Andrzej spojrział na niego.



– Jak się nazywa ten nieszczęśnik?  
 – Józef Łapa, murarz – wyjaśnił agent.  
 Przez twarz zakonnika przemknęło zdumienie.  
 – Znam go – powiedział. – To dobry murarz i często go zatrudnialiśmy przy różnych pracach. Od czasu jednak, gdy opuściła go żona, popadł w lekki obłąd. Nie był jednak niebezpieczny. Przynajmniej dotąd.  
 – Dlaczego opuściła go żona? – zainteresował się doktor.  
 – Z powodu pijaństwa. Na budowach to powszechne zjawisko, niestety. Nie był złym mężem, żony nie bił, ale cóż, skoro potrafił przepić wszystko, co zarobił. Kobieta długo jakoś to znosiła, ale w końcu odeszła od niego. Wyjechała, zdaje się, do Stawiszyna. Z przykrością muszę stwierdzić, że żyje w grzechu z innym mężczyzną, ale to głównie za przyczyną jej męża, który nie zgadzał się na rozwód. Co zresztą niewiele zmienia, gdyż w świetle prawa kościelnego rozwód...  
 – Tak, tak – wtrącił szybko Jeziński, którego prawo kościelne w tym momencie najmniej interesowało. – Może ojciec powie, jak się zachowywał od czasu, gdy... Hm, popadł w obłąd?  
 – Zrobił się fanatycznie religijny – przyznał zakonnik. – Ale tak, jak mówił doktor, pojmował Boga i jego nauki w sposób trochę spaczony. Wszędzie doszukiwał się grzechu i straszył ludzi ogniem piekielnym. Szybko zniechęcił do siebie nawet najwierniejszych przyjaciół i został sam. Stracił stałą pracę, utrzymywał się z drobnych zleceń...  
 Ojciec Andrzej zaczerwienił się lekko.  
 – Pewnie to ojciec dawał mu pracę – domyślił się agent.  
 – No cóż, trudno to nazwać pracą. Roboty w klasztorze już ukończyliśmy. Ale zawsze mógł liczyć na miskę stawy w zamian za drobne usługi. Nie chciałem, by poczuł się, jakby dostawał jałmużnę. To sumienny człowiek, dokładnie wykonuje swe obowiązki.  
 – Czy nadal pije?  
 – Z tego, co wiem, nie. Zwrócenie się ku Bogu zwykle pomaga w walce z nałogiem.  
 – Spróbuje ojciec na niego wpłynąć? Szczere wyznania na pewno pomogą w złagodzeniu wyroku. Nie ukrywam, że czeka go więzienie, ale fakt, że działał za namową kogoś innego, kto wykorzystał jego manię religijną...  
 – Tak – powiedział w zadumie zakonnik. – Myślę, że to mój obowiązek. Muszę pomóc temu biedakowi, by nie odpowiadał sam za winy innego człowieka. Oczywiście, jeśli zabił te kobiety...  
 – Nie jeśli – przerwał agent. – Zabił.  
 – Ale nie był w pełni poczytalny – wtrącił Zaif.  
 – Niemniej popełnił grzech śmiertelny – podsumował łagodnie zakonnik.  
 – Mam pomysł – oznajmił Jeziński. – Niech mu ojciec powie, że w więzieniu będzie miał wiele okazji, by nawracać grzeszników. No co?  
 To ostatnie było skierowane do Zaifa, który popatrzył na niego z wyrzutem.  
 – A wie pan, że to całkiem dobry pomysł – ucieszył się zakonnik. – Dobrze pokierowany, bez możliwości wyjścia, gdy słowa księdza nie odpowiadają jego wizji Boga... Tak, tak. To dobry pomysł. Znam trochę więziennego kapelana, porozmawiam z nim.  
 – No widzisz? Nie doceniasz mnie, Jakubie.  
 – Przyznaję – uśmiechnął się doktor.  
 – W takim razie do dzieła, Bóg nas poprowadzi! – zakończył ojciec Andrzej pełen zapału.

## Epilog

Dwa tygodnie później w reprezentacyjnym salonie gubernatora Daragana odbyło się nieformalne przyjęcie dla kilkunastu osób. Zaproszono tych, którzy w istotny sposób przyczynili się do rozwiązania trzech spraw kryminalnych oraz tych, którzy – nie ze swojej winy – byli w nie wplątani. Sprawy te przez wiele miesięcy nie dawały spokoju kaliskim stróżom prawa i zagrażały życiu mieszkańców miasta. Wszystko jednak skończyło się dobrze i trybunał wydał niedawno surowe wyroki na oskarżonych Teodora Bukowskiego i Józefa Łapę.

Był już sierpień, ale pogoda nadal panowała wspaniała. Jedynie ranki i noce bywały już chłodnawe, przypominając o zbliżającej się jesieni. Teraz jednak, wczesnym wieczorem, okna salonu były uchylone, wpuszczając do wnętrza słodki zapach maciejki i śpiew kosów. Na stole wspaniała zastawa nęciła bielą delikatnie złożonej porcelany, blaskiem sreber i skrzącymi się w świetle kryształami. Lokaje w liberjach czekali przy kredensie pod wodzą kamerdynera Jacentego w postawie pełnej szacunku. Goście powoli się schodzili.

W salonie, oprócz gospodarzy, był już agent do specjalnych poruczeń wraz z małżonką, doktor Zaif z ojcem, Jasiek Poraj, ojciec Andrzej i panna Skotnicka. Ta ostatnia specjalnie przyjechała na tę okazję z Kotowiecka.

– Kogo jeszcze brakuje? – spytał dyskretnie Jezierski swego pryncypała i przyjaciela.  
– Głodny jestem...

Gubernator z uśmiechem przyglądał węża.

– Zaprosiłem panią Bukowską – oznajmił, zerkając filuternie spod oka na agenta, który mimowolnie się wzdrygnął – lecz nie wróciła jeszcze z granicy, dokąd udała się po ataku tego nożownika.

Jezierski nieznacznie odetchnął.

– Ale będzie *monsieur* Bernadotte, który tak wiele wycierpiał.

Agent tym razem z aprobatą kiwnął głową.

– Brakuje też państwa Repphanów. Wraz z nimi mają przybyć ci trzej cudzoziemcy, których poznałeś na przyjęciu imieninowym Emila Repphana.

Jezierski jęknął cicho.

– Ludwig Yorck von Wartenburg, Jonatan Weston i ten przeklęty Daan van Dyke!

– W rzeczy samej.

– Po co tu oni? Doskonale moglibyśmy się obejść bez nich.

– Cóż, to goście państwa Repphanów, nie mogli ich przecież pozostawić samym sobie i przyjść tutaj. Poza tym nalegali na ich zaproszenie, jako że oni również są poniekąd stroną zainteresowaną. Przynajmniej jedną ze spraw.

– Zainteresowani, owszem. Ale w niczym nie pomogli.

– Z pewnością chętnie by to uczynili.

– Być może, nadal jednak uważam...

– Państwo Repphan z gośćmi! – zaanonsowano głośno od drzwi. A kilka sekund później:  
– Pan Bernadotte!

Gubernator pospieszył ich przywitać i zaraz potem całe towarzystwo przeszło do jadalni, by zasiąść do stołu. Królowała na nim kuchnia francuska wraz ze swoimi znakomitymi winami, także szampańskimi. Rozmawiano w kilku językach jednocześnie, ale nikomu to nie przeszkadzało. Jedynie Jasiek i ojciec Andrzej nie wszystko rozumieli, zwłaszcza gdy mówiono po francusku lub angielsku, ale panna Skotnicka chętnie im tłumaczyła ważniejsze fragmenty.

Znakomite potrawy zdołały w końcu udobruchać agenta, który wołałby spotkanie w bardziej kameralnym gronie, bez obcych. Towarzystwo żony niewidzianej od kilku tygodni

oraz przyjaciół całkiem przywróciło mu dobry humor.

Po wyśmienitym obiedzie oraz deserze, podczas których szampan lał się gęstą strugą, towarzystwo wróciło do salonu, gdzie czekała już do wyboru kawa albo herbata oraz koniak lub porto. Przy wyjściu na taras, pełniący w tym ciepłym dniu rolę palarni, wyłożono dla panów na małym stoliku cygara, papierosy oraz mieszanki tytoniu fajkowego.

Rozmowa siłą rzeczy zeszła na niedawne wydarzenia. Gubernator poprosił Jezierskiego i doktora, by opowiedzieli, co się tak naprawdę wydarzyło i – przede wszystkim – dlaczego. Towarzystwo rozsiadło się wygodnie, gdzie kto chciał, i zamarło w oczekiwaniu.

– Z przyjemnością streszczę państwu tę historię, pod warunkiem że powstrzymacie się od okrzyków zgromy, a panie nie będą mdlały. Jeśli ktoś ma słabe nerwy, lepiej niech pójdzie na taras pospacerować sobie lub zapalić.

Goście ze śmiechem zgodzili się na warunki agenta, choć panie zaróżowiły się z emocji.

– Wszystko zaczęło się wiosną – rozpoczął swą opowieść Jezierski. – Pod koniec marca jeden z przechodniów znalazł przypadkiem straszliwie okaleczone zwłoki. Ofiarą był Stanisław Zamulka, stolarz. Miał odciętą głowę wraz z częścią tułowia. Po nim nastąpiły kolejne zbrodnie i średnio raz w miesiącu znajdowaliśmy zwłoki kolejnych rzemieślników. Następny był Ambroży Łabędź, murarz, uduszony czy też „utopiony” w piasku, po nim Franciszek Kłocki, ślusarz, rozplątany wzdłuż ciała, Wawrzyniec Trzeciak, cieśla, wielokrotnie przebity ostrym narzędziem, i w końcu Jan Strachowski, kowal, otruty.

W tym czasie słałem listy do doktora Zaifa, który był naówczas w Ameryce, z prośbą, by jak najszybciej wrócił i pomógł mi w śledztwie. Sprawca nie zostawiał bowiem żadnych namacalnych śladów, a wszystkie miejsca znalezienia ciał nie były miejscami zbrodni. Jedyny wspólny mianownik stanowił fakt, że zabici byli przedstawicielami zawodów powiązanych mniej lub bardziej ściśle z budownictwem.

Doktor wrócił w połowie czerwca, akurat w dzień zaćmienia Słońca i znalezienia czwartego z kolei ciała, cieśli Trzeciaka. Ktoś podczas zaćmienia wyrzucił je z powozu w środku miasta, przy zgromadzonym tłumie gapiów!

Agent przerwał na chwilę, chcąc zapalić cygaro, ale w porę przypomniał sobie, że nie wypada przy damach, więc tylko sięgnął po kieliszek i upił łyk porto.

– Długo nie mogliśmy ruszyć z miejsca, nawet gdy znalazła się jedna ofiara, która przeżyła, ale długo pozostawała bez przytomności. Był to obecny tu *mosnieur* Bernadotte. Myślę, że najlepiej będzie, gdy on sam opowie państwu swoją część tej niezwyklej historii.

Francuz, już zdrowy i ubrany z wyszukaną elegancją, znamionującą człowieka bogatego, w niczym nie przypominał tego mężczyzny, który zabiedzony leżał nieprzytomny w domu doktora Wilczewskiego.

– Pochodzę z możnego rodu – zaczął nieco niepewnie, gdyż wobec wpatrzonych w niego oczu tyłu gości poczuł się onieśmielony – lecz żądza przygód sprowadziła mnie na manowce. Skalałem dobre imię mojej rodziny, ale nauczka, jaką dostałem, wyleczyła mnie z tego raz na zawsze. Los pokarał mnie tym, że dość wcześnie odziedziczyłem majątek po matce, która zmarła, gdym miał zaledwie pięć lat.

Widząc zdumione spojrzenia większość gości, Bernadotte uśmiechnął się gorzko. Tylko Jakub Zaif zdawał się rozumieć Francuza.

– Tak, tak, majątek w młodym wieku to przekleństwo dla nieukształtowanego jeszcze charakteru. Ale nie miejsce teraz na tego typu dywagacje. Otóż bawiąc kiedyś w Paryżu dowiedziałem się od jednego z przyjaciół, który należał do loży masonskiej, że w Berlinie wybuchł tajemniczy skandal. Nikt dobrze nie wiedział, o co chodzi, mówiono tylko, że afera jest

nadzwyczaj poważna i może godzić w sam trzon organizacji. Pojechaliśmy więc z moim ówczesnym przyjacielem Franzem, do Berlina, by dowiedzieć się czegoś więcej. Nie będę państwa zanudzał opowieściami, ile zachodu i pieniędzy kosztowało mnie szybkie przyjęcie na ucznia, dość że mogłem w końcu wraz z Franzem uczestniczyć w spotkaniach. Od razu też ofiarowałem swe siły i majątek na usługi łoży, gorąco pragnąc wziąć udział w rozwiązywaniu owej tajemniczej afery.

Cóż, byłem młody i naiwny, koniecznie chciałem czegoś dokonać, wsławić się jakimiś wielkimi czynami. Bracia docenili mój zapał i jako jeden z kilkunastu ochotników zostałem wybrany. Uchyłono też przede mną rąbka tajemnicy, gdyż musiałem przecież wiedzieć, o co chodzi. Okazało się, że jeden z nowo upieczonych masonów, zamożny przedsiębiorca budowlany, wkradł się podstępem w łaski starego, ale wysoko postawionego w hierarchii organizacji pana... – Francuz umilkł nagle, nie wiedząc, jak wybrnąć z sytuacji.

– Mniejsza o nazwisko – wtrącił hrabia von Wartenburg. – I tak nic ono nikomu nie powie.

Bernadotte skłonił głowę z wdzięcznością i kontynuował:

– Wystarczy, że ów przedsiębiorca budowlany okazał się podłym zdrajcą i złodziejem. Okradał pałace swoich możliwych przyjaciół, które odnawiał, ale głównym celem jego działania było zdobycie pewnego niezwykle cennego przedmiotu...

Tu Francuz znów zamilkł, niepewny, ile może powiedzieć. Z kłopotu wybawił go ponownie hrabia von Wartenburg.

– Był on cenny sam w sobie – powiedział hrabia – ale zawierał też wskazówki dotyczące miejsca ukrycia najstarszego ze skarbów masonów, pochodzącego jeszcze z czasów templariuszy, do którego przez wieki dokładano nowe, wartościowe przedmioty. A teraz proszę mówić dalej, młody człowieku.

– Zdrajca wyjechał i ślad po nim zaginął – Bernadotte uśmiechnął się ujmująco. – Ale wiadomo było, że do skarbu masonów nie dotarł. Wciąż istniała więc nadzieja na odzyskanie tego cennego przedmiotu, w którym ukryto wskazówki. Bracia nie skąpili pieniędzy na poszukiwania złodzieja i po wielu podróżach i fałszywych tropach ślad poprowadził do Polski. Miałem widocznie odrobinę szczęścia, bo dość szybko trafiłem do Kalisza, miłego, cichego miasteczka – proszę wybaczyć, jeśli kogoś obraziłem – najmniej prawdopodobnego miejsca pod słońcem. Szczęście mnie nie opuszczało i przypadkiem stanąłem oko w oko z poszukiwanym. On mnie nie znał, podczas gdy ja jego portret studiowałem godzinami, więc rozpoznałem go od razu i trafiłem za nim do Majkowa. Tam zorientowałem się, że przebudowuje miejscowy dwór i że w miejscu tym prowadzi jakąś podejrzaną działalność. Postanowiłem to sprawdzić. Udawałem turystę i gdy tylko mogłem, zaczynałem się w pobliżu dworu. Z przerwami trwało to prawie trzy tygodnie. Nie od razu zorientowałem się, w czym rzecz, ale po jakimś czasie odkryłem straszną prawdę. Byłem wstrząśnięty i, co tu ukrywać, przerażony. Zobaczyłem, jak ludzie Schmitta wynosili z dworu zwłoki... Za jakiś czas kolejne...

Francuz otarł pot, który pod wpływem wspomnień zrosił mu czoło. Reszta towarzystwa z zapartym tchem oczekiwała dalszego ciągu.

– Byłem pewien, że ludzie ci zostali z jakiegoś powodu zamordowani. Potem podsłuchałem fragment rozmowy, z którego wynikało, że padli ofiarą jakichś pułapek we dworze. Uznałem to za inną formę zabójstwa, wszak rządził tam wtedy niepodzielnie Schmitt, pułapki więc musiały być jego dziełem. Ale sytuacja zrobiła się tak niebezpieczna, że postanowiłem zawiadomić braci w Berlinie i poczekać na jakieś wsparcie. Na jakiś czas zawiesiłem bezpośrednio śledzenie poczynań Schmitta w Majkowie, ograniczając się do

czuwania z daleka. Czekałem na wieści z Berlina. Czas jednak płynął, a nikt nie przyjeżdżał. Nie wiedziałem, że panowie – tu spojrzal na trzech cudzoziemskich gości Repphana, a ci skłonili mu się lekko – są już w drodze. Niecierpliwiłem się i niepokoiłem, że zdrajca osiągnie swój cel i znów zniknie. W czerwcu znów więc zacząłem kręcić się w pobliżu, ale już w rozsądniejszej odległości. Wyczekiwałem dnia, kiedy nikogo nie będzie i gdy wreszcie los podsunął mi taką szansę, próbowałem zakraść się do środka. Wówczas szczęście mnie opuściło. Podczas próby sforsowania okna, które nie było niczym zabezpieczone – przynajmniej tak mi się zdawało – omal nie zginąłem. Z góry spadła na mnie ciężka okiennica zakończona metalowym ostrzem. Gdybym był powolniejszy, zginąłbym niechybnie. Cudem uniknąłem śmierci, ale zostałem poważnie ranny w rękę. Jak umiałem, tak opatrzyłem ranę i ruszyłem z powrotem, myśląc jedynie o tym, by trafić do jakiegoś lekarza, inaczej bowiem pewnie umarłbym z upływu krwi. Nie wiem, jak dotarłem do Kalisza. Nie pamiętam ostatniej części tej pieszej wędrówki, choć wiem, że pod koniec byłem tak wyczerpany, że czołgałem się i pełzałem niczym wąż. Wreszcie straciłem przytomność i odzyskałem ją dopiero po wielu dniach! Całą prawdę powiedziałem dopiero doktorowi Zaifowi, gdyż okazało się, że on doskonale zna tę sprawę i pomaga ją rozwiązać. Przedtem... No cóż, zwyczajnie się bałem. Gdy doktor wybiegł ode mnie, dwie godziny później zjawili się dwóch służących, którzy zabrali mnie do domu jego ojca, gdzie całkiem wydobrzałem. Pan Maks – skłonił głowę w stronę Zaifa seniora – zawiadomił moją rodzinę i w ogóle był mi nieocenioną pomocą. Myślałem, że nigdy tu nie wrócę, ze względu na przykre wspomnienia... jednak jego ekscelencja przysłał mi zaproszenie wraz z tak serdecznym listem, że nie mogłem odmówić. A teraz, jak sądzę, dalszy ciąg tej opowieści należy do doktora.

Zaif odchrząknął, upił łyk wina i kontynuował historię Francuza.

– Od pana Bernadotte ruszyłem prosto do gabinetu agenta Jezierskiego. Nie zastałem go jednak, zostawiłem więc krótką wiadomość, dokąd się udaję, z prośbą, by jak najszybciej do mnie dołączył. Skreśliłem też krótki liścik do mego ojca, by zabrał pana Bernadotte do siebie, gdyż opieka doktora Wilczewskiego, hm... pozostawiała wiele do życzenia.

Sam natomiast nie popisałem się rozumem, udając się tylko w towarzystwie policmajstra Poraja do Majkowa. Nie wiedziałem jeszcze, że chodzi o Schmitta, który okradł masonów, o czym poinformowali mnie wcześniej goście pana Repphana – tu doktor skinął głową w kierunku trzech mężczyzn. – Miałem jednak niemal pewność, że w dworze tym dokonano kilku krwawych zbrodni na rzemieślnikach. Na moje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że chciałem jedynie sprawdzić ten trop. Nie zamierzałem przedsięwziąć niczego na własną rękę. Los jednak zrzędził inaczej. Dwór wyglądał na pusty, więc wszedłem do środka, by się rozejrzeć. Nie zdążyłem ujść daleko, gdy przyłapał mnie gospodarz. Dość szybko zrozumiałem, że pod fałszywym nazwiskiem Vogla ukrywa się zdrajca z berlińskiej loży. Schmitt sam mi wszystko opowiedział. Stwierdził, że nie chciał nikogo zabić, poza żoną i architektem, z którym go zdradzała. Chciał tylko dostać się do pokoju-sejfu, który miał chronić jego skarby. Zdążył umieścić tam tylko jeden, najcenniejszy, skradziony masonom. Reszta rzeczy leżała nierozpakowana w piwnicy.

Jednak architekt Zaleski przejrzał Vogla. Domyślił się zapewne, że ten wie o romansie z jego żoną i z pewnością szykuje zemstę, czekając jedynie, by Zaleski ukończył zabezpieczenie pokoju-sejfu. No i zabezpieczył go znakomicie. Opatrzył tyłoma pułapkami, że wejście z którejkolwiek strony groziło śmiercią. Tu muszę przyznać, że Zaleski był geniuszem. Wszystkie pułapki skonstruował na bazie maszyn prostych, znanych jeszcze w starożytności, czyli głównie dźwigni, kołowrotów, przekładni i śrub.

Przez następne pół godziny Zaif wyjaśniał istotę działania owych pułapek, by wreszcie

opowiedzieć, jak uniknął śmierci dzięki brawurowej akcji agenta Jezierskiego i serdecznie mu jeszcze raz podziękował.

Potem Jezierski podjął opowiadanie dalszego ciągu historii.

– W tym czasie, gdy ginęli rzemieślnicy, mieliśmy jeszcze jedną sprawę, która spędzała nam sen z powiek – powiedział, gdy umilkły już okrzyki uznania i gratulacje. – A właściwie dwie, tyle że, jak się później okazało, łączące się ze sobą. Mianowicie porwanie córeczki państwa Bukowskich i zabójstwa kobiet. Nie było łatwo, ale i tu w końcu odnieśliśmy sukces. Porwania dokonał rajca Bukowski, który znienawidził żonę i pragnął z dala od niej rozpocząć nowe życie wraz z dzieckiem i częścią majątku. Nie mogąc się zdobyć na zabicie żony, zlecił pewnemu maniakowi religijnemu zabójstwo „zastępcze” kilku kobiet, które mu ją przypominały. W tym celu kupił drogie, kaszmirowe szale, stanowiące coś w rodzaju oznakowania kobiety, która miała zostać zabita.

I agent opowiedział szczegółowo wszystkie wydarzenia, zakończone odzyskaniem dziecka, aresztowaniem rajcy i murarza Łapy, złapanego podczas próby zabicia ostatniej ofiary, którą miała być pani Bukowska.

– Wszystko to pięknie nam wyłożyłeś, kochanku – powiedział gubernator, gdy Jezierski zakończył opowieść. – Nie rozumiem jednak dwóch rzeczy. Jak rajca Bukowski poznał tego Łapę, człowieka z innego kręgu społecznego, i dlaczego był taki pewien, że zostanie uniewinniony lub najwyżej dostanie niewielki wyrok?

– Na jedno pytanie mogę odpowiedzieć – odezwał się niespodziewanie ojciec Andrzej. Oczy wszystkich gości natychmiast skierowały się na niego, co go nieco zdeprymowało. Spojrzał w górę, jakby tam odruchowo szukał pomocy, ale zaraz się opanował i ciągnął ze stoickim spokojem:

– Wiem, jak się poznali, gdyż byłem przy tym. Otóż kiedyś zaprosiłem rajcę Bukowskiego do naszego kościoła, by przedstawić mu projekt odnowienia kaplicy Męki Pańskiej<sup>86</sup>. Nasz opat prosił magistrat, by wspomógł zbożny cel i dołożył się do sfinansowania prac. Rajca przyszedł, by obejrzeć wszystko na miejscu i później złożyć relację odpowiedniej komisji wraz z rekomendacją.

Traf chciał, że w tym czasie w kaplicy modlił się Józef Łapa, któremu często zlecałem drobne prace, by miał z czego żyć. Po odejściu żony biedak popadł w manię religijną i za swoją misję uznał tępienie wszelakiego grzechu. Często również przychodził do kościoła, by się pomodlić. Nie wiem dlaczego, ale modlitwa i słowa tego prostego murarza zrobiły wielkie wrażenie na rajcy. Dał mu trochę pieniędzy i swój bilet wizytowy, by zaszedł do jego domu po ubrania, których racja już nie nosił. Zaznaczył przy tym taktownie, że są one całkiem nowe, a nie może ich nosić, gdyż przytył za bardzo. Wiedziałem, że to nieprawda, gdyż rajca był szczupły jak zawsze, ale byłem mu wdzięczny za pomoc okazaną potrzebującemu. Nigdy nie przypuszczałem, że pan Bukowski wykorzysta nieszczęśnika do tak niecznych celów. Nie wiedziałem, czy spotkali się później i prawdę mówiąc, cała sprawa uleciała mi z pamięci.

Goście pospieszyli zapewnić zakonnikowi, że nie było żadnej jego winy w tym, jak dalej potoczyła się znajomość rajcy z murarzem.

– Czy ktoś jednak potrafi mi wyjaśnić, dlaczego rajca, po okazaniu mu wszelkich dowodów jego winy, wciąż był przekonany, że wyjdzie z całej kabały obronną ręką? – spytał gubernator.

Zapadła cisza.

– Ja spróbuję – oświadczył Zaif – choć nie mam pewności.

– Bardzo proszę, doktorze. Pańskie hipotezy są z reguły nadzwyczaj trafne.

– Sądzę, że rajca miał nadzieję na uniewinnienie, gdyż dowody w jego sprawie były właściwie bardzo słabe. Niemal ze wszystkiego potrafiłby się wykręcić, szczególnie przy pomocy dobrego adwokata. Nie patrz tak na mnie, Walery, bo to prawda. Porwał dziecko, ale własne i miał w zanadrzu łzawą historyjkę, jak złą matką była jego żona i że tylko dla dobra dziecka pragnął założyć nową rodzinę. Wziął okup, to prawda, ale tylko dlatego, żeby wyglądało to na porwanie przez kogoś obcego. Później pieniądze odesłałby żonie, choć, rzecz jasna, wcale nie zamierzał tego zrobić. Historyjka była bardzo przekonująca, wszak dała się na nią nabrać i panna Skotnicka.

Aniela Skotnicka zapłonila się jak róża, ale mężnie potwierdziła słowa doktora.

– Szale kupił – kontynuował Zaif – ale w listach, jakie wysłał do obcych kobiet wraz z nimi, napisał, że chodzi o informacje na potrzeby magazynu mody. W sądzie mógł dowodzić na przykład, że tak naprawdę chciał zobaczyć, jak wyglądałaby w takim szalu jego żona, ale wstydził się do tego przyznać. Wymyślił więc fikcyjną firmę badającą opinie klientów, by móc rozkoszować swe oczy widokiem tych kobiet, tak podobnych z wyglądu do jego żony.

Był tylko jeden człowiek, który mógł zniweczyć jego plany. Józef Łapa. Nie podał jego nazwiska, choć wiedział, że zdajemy sobie sprawę, iż ma współnika. Do tej pory Łapa był nieuchwytny i rajca miał nadzieję, że tak pozostanie. Bez niego nikt nie mógł mu udowodnić zlecenia zabójstw, a za miłość do dziecka oraz cierpienia doznane od niewiernej i złej żony opinia publiczna pewnie by go okrzyknęła męczennikiem i zażądała uniewinnienia. Niestety, złapaliśmy murarza, *notabene* syna rzeźnika, stąd u niego znajomość właściwego zadawania cięć, by ofiary nie zdołały krzyknąć, kiedy je mordował. W dodatku złapaliśmy go na gorącym uczynku. Ojciec Andrzej pomógł nam bardzo i skłonił nieszczęśnika do ujawnienia wszystkiego, co wie w tej sprawie. Przed wszystkim nazwiska zleceniodawcy. Okazało się, że rajca był na tyle nieostrożny, iż wiele instrukcji wysłał mu listownie. Tłumaczył szczegółowo, że kobiety te to jawnogrzeznice, *et cetera*. Oczywiście, kazał mu te listy niszczyć natychmiast po przeczytaniu, ale w tym jednym Łapa mu się nie podporządkował. Uważał bowiem rajcę za głos Boga i chciał mieć coś w rodzaju pamiątki... Zwykła ludzka słabość, ale dzięki temu zdobyliśmy dowody winy Bukowskiego na piśmie. Tego nie przewidział, dlatego w sądzie się załamał i przyznał do wszystkiego. Chciał ratować życie, choć wiedział, że nawet jeśli go nie powieszają, to dostanie wyrok dożywotniej katorgi. Z katorgi wszak jednak można próbować uciec... Póki życia, póty nadziei, jak się to mówi. Trzeba jednak przyznać, że prawie mu się udało.

Goście siedzieli zaszuchani, jakby nie zauważyli, że doktor przestał mówić. Panującą ciszę przerwał Emil Repphan.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, na co Bukowskiemu był klucz do kaplicy? I po co w ogóle włamywał się do mojego domu?

– Przed wszystkim po szal baronowej – wyjaśnił Zaif. – Przy okazji postanowił wziąć klucz od kaplicy, by tam schować pieniądze z okupu, choć potem był zmuszony zmienić miejsce. Mógł też znaleźć w kaplicy kryjówkę, gdyby okazało się, że ktoś... to znaczy policja...

– ...lub żona – podsunął mu usłużnie Jeziński.

– Tak, lub żona, przed którą wciąż czuł respekt, przedwcześnie przejrzeni jego plany i go śledzili.

– Wiedział o schowanych tam zwłokach?

– Jestem pewien, że nie. Zwłoki podrzucił Schmitt, a oni obaj nigdy się nie spotkali.

– Ale dlaczego ten Schmitt wybrał sobie grobowiec mojej rodziny? Czy to nie podejrzany zbieg okoliczności, że dwaj przestępcy upatryli sobie akurat to samo miejsce?

Zaif mimo woli uśmiechnął się.

– Sądzę, że to jednak zwykły zbieg okoliczności. Schmitt wykorzystał pańską kaplicę, gdyż jako przybysz z Niemiec mógł łatwo wytłumaczyć swoją obecność na cmentarzu ewangelickim. Kluczowym jednak powodem, jak mniemam, był fakt, że tylko pańska kaplica była na tyle obszerna, że można było wejść do środka i spokojnie podrzucić zwłoki, nie zwracając niczyjej uwagi. No i jako jedyna jest zamknięta na klucz.

Przez moment Repphan wydawał się wstrząśnięty takim wyjaśnieniem. Po chwili jednak uśmiechnął się słabo.

– Nie ma to jak solidna, niemiecka robota – stwierdził i dolał sobie nieco wina. Jego żona nieznacznie odetchnęła.

– Jak już sobie tak wszystko wyjaśniamy, to ja chciałbym wiedzieć, gdzie rajca trzymał pieniądze z pierwszej części okupu? – spytał Maks Zaif.

– W niemieckim banku. Był tak pewny siebie, że otworzył konto na własne nazwisko. I to właściwie już wszystko.

Gdy Zaif umilkł, rozbrzmiały pochwały i gratulacje. Goście byli zachwyceni opowieścią na kilka głosów, gubernator także czuł się usatysfakcjonowany. Pani Wenanta Repphan posunęła się tak daleko, że głośno wyraziła żal, iż jej przyjęcia nie są ani w połowie tak zajmujące, na co mąż przypomniał jej z przekąsem, że teraz może opowiadać historię, jak to rajca Bukowski włamał się do ich domu, by zdobyć klucz do kaplicy na cmentarzu. A starając się, by zdarzenie wyglądało na robotę zwykłego włamywacza, ukradł jej klejnoty. O zwłokach podrzuconych do kaplicy już nie wspominając.

Pani Repphan jakby nie zauważyła sarkazmu męża. Ucieszyła się i przytaknęła, że to istotnie znakomity pomysł, ale spłonęła przy tym rumieńcem, którego przyczynę znał tylko Jezierski. Ten jednak nie zamierzał zdradzać jej tajemnicy.

Z zakłopotania wybawił ją hrabia von Wartenburg, który wstał i poprosił o głos.

– Wznieśmy toast za wszystkich, którzy przyczynili się do schwytania lub unieszkodliwienia sprawców tych strasznych zbrodni! – powiedział. – Niech nam żyją sto lat!

Wszyscy chętnie chwycili za kielichy. Zaraz potem posypały się następne toasty. Nastrój był wspaniały.

W pewnej chwili doktor odciągnął na bok Jezierskiego z żoną. Widząc to, Maks Zaif dyskretnie podążył za nimi, prowadząc ze sobą ojca Andrzeja.

– Chciałbym was zaprosić... – zaczął Jakub, ale widząc nadchodzącego ojca z zakonikiem urwał w połowie zdania.

– No mówże, mów – powiedział Zaif senior, uśmiechając się tajemniczo. – Mój syn ma wam do zakomunikowania ważną nowinę. Chyba nie sądziłeś, że o niczym nie wiem?

– Ojciec – jęknął Jakub, czerwieniąc jak burak. – To nie to, co myślisz.

– Jak to? – udał zdumienie jego rodziciel. – Nie zamierzałeś zaprosić ich na zaręczyny z uroczą panną Sarą Sachs? Dziewczyna zjedzie z rodzicami do Kalisza łąka dzień! I co, przemierza niemal pół świata na próżno?

Przyjaciele Zaifa wydali stłumiony okrzyk zdziwienia.

– Ależ to tylko zwykła wizyta towarzyska... – wybąkał młody doktor zażenowany bezpośredniością ojca i jego upartym napomykaniem o konieczności rychłego ślubu, podczas gdy on nie był na to absolutnie gotowy. Nie przebolewał jeszcze śmierci drogiej Anny, by myśleć o innej kobiecie.

– Nie wierzcie mu. Prędzej porosnę pierzem niż uwierzę, że nie masz wobec niej poważnych zamiarów!

– Ojciec, stanowczo zbyt wiele sobie obiecujesz po zwykłej...



– ...wizycie towarzyskiej, tak, wiem. Jeśli jednak sam się jej nie oświadczysz do przyszłego roku, wiedz, że zrobię to za ciebie. Odebrałem pierścioneł i obrączki, które zamówiłem u jubilera Schingele. Tak, tak, uznałem, że czas najwyższy wziąć sprawy we własne ręce, inaczej nigdy nie doczekam twojego ożenku! Zapominasz, że nie będę żył wiecznie, mój drogi. Ty zresztą też nie.

– W takim razie wypijmy za szczęśliwe przybycie panny Sachs! – zawołał Jeziński, szczerze ucieszony z nowiny. – No, kochany, nie martw się, nikt cię nie zmusi do ślubu, ale jeśli ta panna okaże się taka urocza, jak mówi twój ojciec, to w końcu chyba nie wykręcisz się od ołtarza.

– Nie w głowie mi teraz amory – westchnął Zaif.

– Liczę, że panna Sachs inaczej zapatruje się na tę sprawę – z werwą oświadczył Maks.

– Ale jeśli ona cię nie przekona, to już doprawdy nie wiem, kto inny zdoła.

– Na świecie jest dużo kobiet – uśmiechnęła się Debora. – Któraś wreszcie poruszy twoje serce, Jakubie.

– Ja bym się jednak cieszył, gdyby nastąpiło to jak najszybciej. Dlatego wiąże wielkie nadzieje z przyjazdem panny Sachs. Kazałem sobie przysłać jej zdjęcie z Ameryki. Jest bardzo piękna i wygląda na bystrą osóbkę. Przyjdźcie do mnie jutro, to wam pokażę.

– A teraz dołączmy lepiej do reszty gości – Zaif chciał jak najszybciej odwrócić od siebie uwagę i zmienić temat. – Wolę już odpowiadać na niekończące się pytania związane z zabójstwami.

– Tak! – roześmiał się Jeziński. – Nic tak nie ożywia znudzonego towarzystwa jak soczysta zbrodnia!

### **Podziękowania**

Wiem, że to banalne, ale chciałabym ogromnie podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki, na każdym jej etapie. Najbardziej jednak redaktorom, ponieważ to na ich barki spadła wyjątkowo ciężka praca ujarzmienia setek stron mojego tekstu, nie wspominając już o przypisach.

Nieustające podziękowania dla Anny Tabaki i Macieja Błachowicza za ich cudowne teksty o dawnym Kaliszu, które są dla mnie niewyczerpanym źródłem nie tylko informacji, ale przede wszystkim przyjemności. Moim zdaniem nigdy dość pochwał dla ich pracy, ale także dla nich samych jako ludzi – skromnych, życzliwych i jednocześnie pełnych pasji. To samo mogę powiedzieć również o Krzysztofie Walczaku, człowieku niezwykle ciepłym i serdecznym, którego może rzadziej w tej książce przywołuję, ale to nie znaczy, że jego praca nie była mi natchnieniem. Mam tu na myśli nie tylko jego twórczość naukową, ale choćby i fakt, że przyczynił się do wykształcenia i ukształtowania wielu innych osób – z owoców ich pracy teraz mogę korzystać.

Z kolei pani Halinie Marcinkowskiej, prezes kaliskiego oddziału Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, należą się podziękowania za to, że podzieliła się ze mną najnowszymi wynikami swoich poszukiwań dotyczących rodziny Daraganów, za co jej jestem ogromnie wdzięczna. Na szczęście zdążyłam je umieścić w tej książce i żałuję tylko, że nie były znane wtedy, gdy powstawał *Strażnik skarbu*, ale pisałam go w latach 2008–2009, więc dość dawno temu.

Nie mogę również nie wspomnieć o moich bliskich – rodzinie i przyjaciółach. Nie będę tu wymieniać nazwisk, bo to po pierwsze osoby prywatne, a po drugie, nie jest ich znowu (na szczęście!) tak mało. Na pewno każde z moich przyjaciół, czy to z Kalisza, Warszawy, czy z innej części Polski, a nawet Europy wie, że właśnie jego/ją mam teraz na myśli. Im należą się

podziękowania przede wszystkim za cierpliwość i wyrozumiałość, z jaką odnosili się do mojej pracy, na skutek której nierzadko przez całe miesiące nie miałam czasu na nic innego, nawet na rozmowę czy e-mail. Mimo to zawsze mnie wspierali, nie szczędzili słów otuchy, a nawet pochwał, choć nie sądzę, by były w pełni zasłużone.

I wreszcie: *last, but not least*, jak mawiają Anglicy – specjalne podziękowania dla Marcina Mikołajczyka. To jedyna osoba z grona moich przyjaciół, którą wymieniam tu z nazwiska, ale cóż, po prostu mu się to należy. Poza tym jako historyk, autor publikacji naukowych, członek kaliskiego Towarzystwa Opieki nad Zabytkami i Bóg wie, czego jeszcze, jest także osobą publiczną. Marcin z bezinteresownym poświęceniem wyszukiwał i sprawdzał dla mnie różne informacje, przede wszystkim te wymagające obecności w Kaliszu. Przeglądał numery „Kaliszanina” i „Gazety Kaliskiej”, dostępne tylko na miejscu, w Muzeum Okręgowym Ziemi Kaliskiej. Otworzył przede mną swoje zbiory calisianów oraz służył radą przy poszukiwaniu nowych źródeł informacji i nie tylko. Poza tym z niesłychaną cierpliwością wysłuchiwał tysiąca moich wątpliwości i narzekań, choć mam nadzieję, że akurat nie to zostało mu w pamięci z naszych rozmów. Podziękowania za inspirujący spacer po zabytkach Ostrowa należą się Rafałowi Dyzie, z którego olbrzymiej wiedzy w tej materii wykorzystałam zaledwie ułamek.

Na pewno nie udało mi się wymienić wszystkich, którym winna jestem wdzięczność, dlatego jeśli kogoś pominęłam – proszę o wybaczenie. Także za wszelkie ewentualne nieścisłości czy błędy. Tym razem posłużę się cytatem z moich ukochanych, choć rzadko już teraz słuchanych Zeppelinów – „Nobody’s fault, but mine”. Nie jest to ich własna piosenka, lecz w ich wykonaniu usłyszałam ją po raz pierwszy.

Aneta Ponomarenko

### Przypisy

- 1 W latach 1806–1809 powstała kopalniana kolej konna w Altaju, długości 2 km.
- 2 14 czerwca 1845 r. nastąpiło otwarcie pierwszego odcinka. Trzy lata później „dociągnięto” tory do granicy austriackiej.
- 3 Powstała w 1862 r.
- 4 Wiorsta – według systemu wprowadzonego w Rosji ukazem carskim 11 października 1835 r. była to miara długości równa 1/7 mili rosyjskiej i wynosiła 1077 m. Po 1835 r. – 1066,78 m. Długość linii miała zatem wynosić ok. 7 tysięcy kilometrów. Budowa rozpoczęła się w 1891 r., trwała do 1916 r.
- 5 Ok. 25 km.
- 6 Historia kolei, <http://www.ostrowwlpk.pl/Default.aspx?tabid=89>
- 7 Ok. 100 km.
- 8 Wszystkie informacje o kaliskich Grekach, często potocznie nazywanych też Macedończykami, pochodzą z pracy magisterskiej Marcina Mikołajczyka *Grecka kolonia w Kaliszu*, praca magisterska napisana pod kierunkiem dr. hab. Michała Jarneckiego, Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu, Wydział Pedagogiczno-Artystyczny w Kaliszu, Kalisz 2009. Informacje o księgarni Grabowskich znajdują się na s. 95–96.
- 9 Dymitr Simo Szymanowski – brał czynny udział w działalności Kaliskiego Domu Schronienia św. Trójcy, Rady Nadzorczej Szpitala św. Trójcy oraz w Komitecie Zupy Rumfordzkiej. Wraz z Puschem przyczynił się do powstania 7 grudnia 1855 r. Kaliskiego Domu Schronienia św. Ducha dla ubogich z Kalisza i okolicznych gmin.

10 Jan Grabowski-Rayko (?–1900), właściciel księgarni. Był ostatnim przedstawicielem społeczności greckiej w Kaliszu.

11 Rocznik Kaliski, tom XV, pod red. Władysława Rusińskiego, Poznań 1982, s. 275–278.

12 Okolice dzisiejszej ul. Częstochowskiej.

13 Wszelkie informacje dotyczące życia gubernatora Daragana pochodzą z artykułu A. Tabaki i M. Błachowicza, *Nieznane losy Daragana*, <http://www.zyciekalisza.pl/?str=82&id=128045> oraz informacji przekazanych przez H. Marcinkowską, prezes kaliskiego oddziału Towarzystwa Opieki nad Zabytkami.

14 (1800–1875).

15 (1806–1877).

16 Z informacji udostępnionych przez H. Marcinkowską wynika, że starszy syn Daragana, Iwan Michajłowicz, urodził się 18 marca 1885 r. w Kaliszu, a zmarł 5 stycznia 1977 r. w San Francisco, podobnie jak jego brat, Piotr Michajłowicz, który urodził się w 1893 roku, a zmarł w 1958, także w San Francisco. Obaj byli wojskowymi, brali udział w wielu wojnach i walkach na terenie Rosji. Obaj wyemigrowali w końcu do USA. Por. też: A. Tabaka, M. Błachowicz, *Nieznane losy Daragana*, op cit.

17 Wydarzenia te zostały opisane w książce A. Ponomarenko *Strażnik skarbu*.

18 Josif Władimirowicz Romejko-Hurko (28 lipca 1828 – 28 stycznia 1901). W latach 1883–1894 był generałem-gubernatorem warszawskim i dowódcą Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Zaciekły zwolennik rusyfikacji. Wyrugował język polski ze szkół i urzędów, zaostrzył cenzurę oraz prześladował unitów. Od r. 1886 członek rosyjskiej Rady Państwa. W grudniu 1894 r. w uznaniu zasług wojskowych awansowany do stopnia generała-feldmarszałka. Po wstąpieniu na tron Mikołaja II zdymisjonowany i przeniesiony w stan spoczynku.

19 Ok. 25 km.

20 Teresa Dohnalowa, *Rozwój transportu w Wielkopolsce w latach 1815–1914*, Warszawa–Poznań 1976.

21 Linię do Skalmierzyc wybudowano 7 lat później. Tory kolejowe między Kaliszem a Skalmierzycami położono w 1906 r. tory i tym samym Ostrów został skomunikowany z całym imperium. Co ciekawe, aż do 1927 r. pociągi z Poznania do Warszawy jeździły przez Ostrów.

22 Mauretański styl, w jakim zbudowano ostrowską synagogę, był wówczas dość popularny. Obecnie jest to jedyna taka synagoga wielkowiejska w Polsce. Inne się nie zachowały.

23 Gmina żydowska została założona w Ostrowie w 1724 r. i dość szybko się rozwijała. W 1846 r. liczyła 1709 osób, co stanowiło około 30 proc. ogólnej liczby 5685 mieszkańców ([http://pl.wikipedia.org/wiki/Nowa\\_synagoga\\_w\\_Ostrowie\\_Wielkopolskim](http://pl.wikipedia.org/wiki/Nowa_synagoga_w_Ostrowie_Wielkopolskim)). Natomiast osiedlenie się społeczności żydowskiej w Kaliszu nastąpiło w 1139 r., zatem dużo wcześniej. W 1804 r. mieszkało tam 2113 Żydów (30 proc. ludności miasta), a w 1827 r. już 12 107 ([http://pl.wikipedia.org/wiki/Historia\\_%C5%BByd%C3%B3w\\_w\\_Kaliszu](http://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_%C5%BByd%C3%B3w_w_Kaliszu)). Gmina żydowska w Kaliszu należała do najznacniejszych w Koronie Królestwa Polskiego, a rabini Kalisza stali na czele Sejmu Czterech Ziem (1581–1764). Za: A. Plencler, *Szlak kultury żydowskiej w Wielkopolsce*, Wielkopolska Organizacja Turystyczna, Poznań 2011, s. 13.

24 Synagoga została zbudowana po 1659 r. W 1792 r. spłonęła podczas wielkiego pożaru miasta. Dzięki zamożności kaliskiej gminy szybko udało się ją odbudować. 18 lipca 1852 r. w dzielnicy żydowskiej wybuchł kolejny pożar, który strawił znaczną część budynków oraz

synagogę. Na jej miejscu wzniesiono nową, zwaną Wielką, w stylu renesansowym.

25 Synagogę w Ostrowie Wielkopolskim. zaczęto budować 7 kwietnia 1857 r., kiedy rabin z Kępna Mojżesz Stössel wmurował kamień węgielny. Budowę zakończono w 1860 r.

26 Aron ha-kodesz – szafa ołtarzowa w synagodze służąca do przechowywania rodaju, czyli ozdobna drewniana skrzynka, w której przechowywane są zwoje Tory. Aron ha-kodesz, jeden z najważniejszych elementów wyposażenia głównej sali modlitwy, stoi na osi ściany skierowanej w stronę Jerozolimy, w Europie na ścianie wschodniej. Kształt, oprawa szafy, ornamenty zdobiące zależne były od epoki i kraju, w którym została wykonana.

27 Opisane tu zaciemnienie zapowiedział „Kaliszanin” z dnia 1 czerwca 1890 r., nr 46. Zjawisko miało miejsce 17 czerwca i trwało od godz. 9.58 do 12.36.

28 Jerzy Kreiner, *O zaciemniach Słońca*, „Kontekst”, nr 2/2005.

29 Nawiązanie do wydarzeń opisanych w powieści A. Ponomarenko *Strażnik skarbu*.

30 „Kaliszanin” z dnia 12 maja 1889 r., nr 41, s. 2. Składnia oryginalna.

31 Car nakazał, aby jeden egzemplarz (tzw. cenzorski) trafiał do zbiorów największej biblioteki imperium, czyli Biblioteki Publicznej im. M.J. Sałtykowa-Szczedrina w Petersburgu (Leningradzie). Zbiory szczęśliwie przetrwały rewolucję i oblężenie Leningradu w czasie wojny, w przeciwieństwie do tych, które przechowywano w Kaliszu. Rosjanie jednak nie udostępniają ich Polakom.

32 „Kaliszanin” z dnia 9 stycznia 1890 r., nr 6, s. 2. W każdym cytacie z czasopisma zachowano oryginalną składnię.

33 „Kaliszanin” z dnia 20 lutego 1890 r., nr 18, s. 1.

34 „Kaliszanin” z dnia 13 lutego 1890 r., nr 16, s. 1.

35 Czesław Czyński, pseud. Punar Bhawa (ur. 16 lipca 1858 r. w Turzynku; zm. 17 sierpnia 1932 r. w Warszawie) – polski okultysta, parapsycholog, pisarz, hipnotyzer, chiromanta.

36 „Kaliszanin” z dnia 23 lutego 1890 r., nr 19, s. 2.

37 Proces Czyńskiego odbył się naprawdę, lecz w rzeczywistości miał miejsce w roku 1894.

38 W 1910 r. w Paryżu od Wielkiego Mistrza Zakonu Martynistów Papusa Czyński otrzymał nominację na Suwerennego Generalnego Delegata Zakonu Martynistów na Rosję i Polskę. Przyjął imię zakonne Punar Bhawa i 1 lutego 1912 r. ustanowił Wielką Narodową Lożę O.T.O. (Ordo Templi Orientis – Zakon Świątyni Wschodu) dla krajów słowiańskich. Około roku 1918 założył Zakon Martynistów w Warszawie. W 1926 r. został oskarżony o postępowanie niezgodne z konstytucją zakonu i został zmuszony do jego opuszczenia. Praktycznie natychmiast założył Zakon Białego Wschodu, który stał się miejscem skandalu satanistów.

39 „Kaliszanin” z dnia 12 czerwca 1890 r., nr 49, s. 2.

40 Ibid., składnia oryginalna.

41 Alphonse Bertillon (ur. 24 kwietnia 1853 r. w Paryżu; zm. 13 lutego 1914 r. w Münsterlingen w Szwajcarii) – francuski uczony, funkcjonariusz policji. Twórca antropometrii kryminalnej, techniki identyfikacyjnej opierającej się na założeniu, że niektóre wymiary ciała ludzkiego (np. wzrost, obwód głowy, długość ręki) są niezmiennie od osiągnięcia dojrzałości. Technika ta okazała się jednak mało skuteczna, a przy tym skomplikowana oraz czasochłonna i została wyparta przez daktyloskopię.

42 Chodzi o rok 1889.

43 Patrz: *Strażnik skarbu*.

44 Dziś ul. Śródmiejska.

45 Samuel Colt – konstruktor i producent broni strzeleckiej, jego dziełem był rewolwer

nazwany od nazwiska twórcy coltem. Ich produkcję przejęła firma Smith & Wesson, powstała w roku 1857.

46 Urządzenie stosowane w operacji usunięcia fragmentu żuchwy.

47 William Halsted (ur. 23 września 1852 r. w Nowym Jorku; zm. 7 września 1922 r. w Baltimore) – chirurg amerykański. We współpracy z firmą Goodyear stworzył gumowe rękawiczki operacyjne i zastosował je po raz pierwszy w 1889 r. podczas zabiegu operacyjnego. Był także prekursorem znieczuleń miejscowych, w tym celu przetestował na sobie działanie zastrzyków z kokainy.

48 Więcej o wielkim pożarze można przeczytać na stronie:

[http://www.stary.kalisz.pl/go\\_poprzezwieki\\_15.php](http://www.stary.kalisz.pl/go_poprzezwieki_15.php)

49 Robert Pusch (1813 – 1873) – założyciel kaliskiej straży ogniowej. Był właścicielem popularnego Hotelu Wiedeńskiego. Można go uważać za prekursora straży miejskiej. Do grobu jego trumnę odprowadzali zgodnie przedstawiciele różnych wyznań.

50 Obecna nazwa: Chałupy. Jeszcze wcześniej miejscowość nazywała się m.in. Budziszewo – od nazwiska rybaków Budziszów. Pierwsze wzmianki o osadzie pochodzą z 1635 r., kiedy to król Władysław IV założył w tej okolicy twierdzę Vladislausburg, stanowiącą element systemu obrony polskiego wybrzeża. W 1664 r. osada rybacka Budziszew przeszła pod władanie rodziny Sobieskich. Inna nazwa Chałup to Ceynowa. Nazwa Chałupy pojawiła się poraz pierwszy w roku 1920, choć nazwa Ceynowa funkcjonowała jeszcze do roku 1928.

51 Obecnie ul. Kazimierzowska.

52 Względy cara odzyskał dopiero w 1902 r., gdy otrzymał nominację na szefa administracji nadwiślańskiej. Wszystkie informacje o gen. Czertkowie za: Łukasz Chimiak, *Gubernatorzy rosyjscy w Królestwie Polskim. Szkic do portretu zbiorowego*, „Funna”, Wrocław 1999.

53 Margareta Beckman, *Jean Baptiste Bernadotte. O tym, jak żołnierz armii Napoleona został następcą tronu szwedzkiego*, Wydawnictwo Finna, Gdańsk 2011.

54 J.U. Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich. Dzieło pośmiertne Juliana Ursina Niemcewicza – Niemcewicz, Julian Ursyn (1758–1841)*, Wydawnictwo Angelus, Tarnów 1880.

55 Około 31 kg.

56 Chodzi tu o tzw. garniec nowopolski, jednostkę używaną od dziewiętnastego w.; oficjalnie stosowany od 1819 do 1849 r., kiedy zastąpiły go miary rosyjskie, w praktyce korzystano z niego również później. Równowartość 4 litrów; dzieli się na 4 kwarty i 16 kwaterek.

57 Na podstawie: Józef Andrzej Szwagrzyk, *Pieniądz na ziemiach polskich X–XX w.*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1973, 1990.

58 Kalisz był stolicą guberni dwukrotnie: w latach 1837–1844 i 1867–1918.

59 A. Tabaka, M. Błachowicz, *Gdy Kaliszem rządzili gubernatorzy*, „Życie Kalisza”, <http://www.zyciekalisza.pl/index.php?str=82&id=83216>

60 Chodzi o sztuczne ruiny wybudowane w kaliskim parku z inicjatywy gubernatora Daragana w 1888 r., które nie zachowały się do czasów obecnych. Pozostały jedynie fotografie.

61 Jego lojalistyczna postawa wobec zaborcy była powszechnie znana. W 1894 r. Repphan był delegatem na pogrzeb Aleksandra III, dwa lata później wziął udział w koronacji cara Mikołaja II. W 1897 r. witał generała-gubernatora księcia Aleksandra Imeretyńskiego i został członkiem komitetu zbierającego składki na dar dla cesarza. Z tego powodu portret kaliskiego fabrykanta znalazł się nawet w *Album Pamiątkowe z pobytu ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa w Królestwie Polskim*. Otrzymał złoty medal, ale dopiero w 1889 r.,

z napisem „«Za gorliwość» dla noszenia na szyi na wstążce ś-go Stanisława”. W roku 1897 otrzymał go ponownie wraz z tytułem radcy handlowego cesarstwa.

62 Wieś wymieniona po raz pierwszy w 1283 r. w związku z postanowieniem Przemysła II o jej poddaniu pod jurysdykcję sądu kaliskiego. Za: Władysław Kościelniak, *Wędrówki po moim Kaliszu*, Edytor, Kalisz 2010.

63 Fragment tytułu przewodnika Stanisława Anatola Lewickiego w opracowaniu Mieczysława Orłowicza.

64 Ogrodnik z Marchwacza, za: J.A. Splitt, *Perłą jest park jego*, <http://www.info.kalisz.pl/historia/park.htm>

65 Edmund Jankowski (ur. 7 sierpnia 1849 r. w Warszawie, zm. 19 listopada 1938 r. tamże), polski biolog, ogrodnik, specjalista w dziedzinie nauk sadowniczych; od roku 1921 profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Współpracował z Szaniorem.

66 Franciszek Szanior (ur. 1853 r., zm. 1945 r.) – ogrodnik, działający głównie w Warszawie. Studiował w paryskiej Szkole Hodowli Drzew. W swoich pracach wzorował się na angielskich parkach krajobrazowych.

67 A. Tabaka, M. Błachowicz, *Park, jakich mało*, „Życie Kalisza”, <http://www.zyciekalisza.pl/?str=82&id=2008>

68 Nazwa używana wymiennie z Przedmieściem Warszawskim.

69 Por.: *Dzieje północzoch*, <http://historiamody.cba.pl/ponczochy.htm>

70 Stefan Szolc-Rogoziński urodził się 14 kwietnia 1861 r. Ukończył Akademię Morską w Petersburgu i jako oficer odbył podróż dookoła świata. Dzięki pomocy społeczeństwa polskiego wyruszył z wyprawą do Kamerunu, gdzie wraz z Klemensem Tomczekiem zbadał wybrzeże i dorzecze rzeki Mungo, odkrył Jezioro Słoniowe i zdobył wraz z Leopoldem Janikowskim najwyższy w tej okolicy szczyt Fako. Usunięty z Kamerunu przez administrację niemiecką, wrócił do Polski, gdzie opracował i spopularyzował swoje badania. Zmarł śmiercią tragiczną 1 grudnia 1896 r. w Paryżu, gdzie padł ofiarą wypadku ulicznego.

71 *Masońska symbolika dla laika*, strona internetowa *Wirtualny Wschód Wolnomularski*, [http://wolnomularstwo.pl/index.php?option=com\\_content&task=view&id=94&Itemid=46](http://wolnomularstwo.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=94&Itemid=46)

72 W j. franc. – piękny świat.

73 McKinley rzeczywiście wygrał wybory prezydenckie w 1896 r. Został dwudziestym piątym prezydentem USA na lata 1897–1901.

74 Fonograf – skonstruowany przez Thomasa Edisona poprzednik gramofonu (opatentowany 19 lutego 1878 r.); urządzenie do zapisywania i odtwarzania dźwięku.

75 Dawna drobna moneta francuska, jedna dwudziesta franka.

76 Ebenista – wytwórca mebli artystycznych fornirowanych i intarsjowanych; pierwotnie stolarz wyrabiający meble z hebanu.

77 Cassapanca – mebel służący do siedzenia, będący prototypem kanapy, ława z pełnym oparciem i podłokietnikami, ustawiana na podeście.

78 Nazwisko i nagrobek prawdziwe. Wymienia je M. Błachowicz w swojej pracy magisterskiej *Śmierć w dawnym Kaliszu. Dzieje chrześcijańskich pochówków, grobów i cmentarzy kaliskich od czasów najdawniejszych do 1914 r.*, Poznań 2003.

79 Czyli resursa z biblioteką i czytelnią.

80 „Kaliszanin” z dnia 8 maja 1890 r., nr 39, s. 1.

81 Józef Morawski (14 września 1813–7 sierpnia 1902). W rodzinnym Kotowiecku zaczął gospodarować w 1835 r. Był też właścicielem Pawłowa i Pawłówka. Aktywny działacz polityczny i społeczny.

82 Wydarzenia opisane w książce *Strażnik skarbu*.

83 Plac wcześniej nosił nazwy: Świńskie Targowisko, pl. św. Mikołaja, pl. 1 Maja. Dziś to Nowy Rynek.

84 Kanał ten został zasypany w czasie okupacji podczas II wojny światowej. Do tego celu Niemcy użyli książek polskich oraz żydowskich ze zbiorów bibliotecznych miasta, niszcząc w ten sposób dorobek literacki i kulturalny całych pokoleń.

85 Bogumił Kunicki, *Ballady kaliskie*, Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Kalisz 1991, s. 179.

86 Odnowienie kaplicy miało miejsce w latach 1892–1893, lecz na potrzeby książki data ta została przesunięta w czasie.